

POLSKA
KSIĄŻKA DO CZYTANIA

dla

szkół wydziałowych i wyższych klas szkół ludowych

UŁOŻYLI

Franciszek Próchnicki i Romuald Starkel.

TOM I.

DLA KLASY PIĄTÉJ.

WYDANIE DRUGIE

OPRACOWAŁ

FRANCISZEK PRÓCHNICKI.

WE LWOWIE.

NAKŁADEM TOWARZYSTWA PEDAGOGICZNEGO.

Z DRUKARNI PILLERA I SPÓŁKI.

1889.

Izabelle Schmidt

Uczennicy IV klas

u Św. Tro

PRZEDMOWA.

Książka niniejsza, obejmująca cztery tomy, a przeznaczona dla szkół wydziałowych i wyższych klas szkół ludowych, zastosowana jest do *Planu naukowego* z r. 1886.

W doborze ustępów do czytania miano tu na oku ważniejsze względy pedagogiczne i dydaktyczne, przedewszystkiém wiek i zakres wiedzy, podawanéj młodzieży w każdym roku nauki.

Celem tedy ustępów, zamieszczonych w tomie I., jest nastręczenie młodzieży pouczającego a przystępnego i na tym stopniu nauki „Planem“ wskazanego materyału, przeważnie *opowiadań i opisów,* tak prozą jak wierszem, na którychby uczniowie, zaciekawieni ich treścią, mogli z pożytkiem *śledzić tok i związek myśli,* oraz zaprawiać się *w poprawności i zwięzłości wyrażenia.* Systematyczny zaś pod względem formy układ zamieszczonych tu ustępów naprowadza uczniów równocześnie a prawie mimowiednie do elementarnego poznawania głównych rodzajów prozy i poezyi i najwybitniejszych ich gatunków.

W ten sposób tom I. toruje drogę dwom następnym, które, podając coraz obfitszy, treścią i formą coraz doskonalszy materyał, służą do głębszego wytłómaczenia *szczególniejszych zwrotów języka,* wybitniejszych form

stylistycznych i poetycznych, warunków piękna w poezyi, podziału prozy i poezyi na rodzaje i gatunki — a przytém nastręczają coraz częstszą sposobność do *krótkich uwag historycznych i biograficznych, odnoszących się do pisarzów, których utwory się czyta.*

Pierwsze więc trzy tomy, utwierdzając ustawicznie i rozszerzając zwolna wszystko to, czego się młodzież uczyła w każdym poprzedzającym roku nauki, przygotowują zarazem materyał do tomu czwartego.

Tego zaś tomu zadaniem jest ułatwić uczniom *krótki pogląd na historyczny rozwój literatury polskiéj,* przyczém nie chodzi wcale o dokładność w szczegółach, lecz tylko o jak najprostszy zarys całości. Z tego powodu tom czwarty zawiera ile możności niedługie wyjątki z dzieł najwybitniejszych w literaturze polskiéj poetów i prozaików w porządku chronologicznym, począwszy od Długosza aż do dni naszych. Dokoła zaś tych wybitniejszych postaci i ważniejszych dzieł, w tym tomie uwzględnionych, ugrupują uczniowie wszystko to, czego się z literatury w klasach poprzednich przy sposobności uczyli, *utwierdzając w ten sposób i uzupełniając nabyte już wiadomości.*

Oprócz tego tom czwarty, mając ułatwić uczniom powtórzenie tego, czego się dotąd z zakresu stylistyki i poetyki nauczyli, zawiera przykłady nie tylko z każdego rodzaju poezyi i prozy w ogólności, lecz także prawie ze wszystkich ważniejszych gatunków w obrębie każdego z tych rodzajów. Powtórzenie tych wiadomości u kresu nauki szkolnéj zarówno pożądane jest w celu zebrania i ujęcia w pewną całość tego, czego się w szkole w tym kierunku uczono, jakotéż w celu przygotowania młodzieży na przyszłość do rozumnego czytania arcydzieł literatury narodowéj w całości.

We Lwowie 1. października 1889.

SPIS RZECZY,
zawartych w tomie pierwszym.

CZĘŚĆ PIERWSZA:

PROZA.

A. Proza powieściowa.

Powiastki, legendy, opowiadania i obrazki powieściowe.

Stronica.

1. Kto z Bogiem, z tym Bóg, przez Klementynę z Tańskich Hofmanową 1
2. Torebki, przez Józefa Ignacego Kraszewskiego . . 1
3. Bieda, przez Kaz. Wład. Wojcickiego 3
4. Mitręga, przez Józefa Ignacego Kraszewskiego . . 7
5. Jałmużna, przez Karola Balińskiego 11
6. Owoc nauki, z Przeglądu powszechnego 13
7. Miłosierdzie, z Przeglądu powszechnego 14
8. Biedny Góral, przez Józefę Kamocką 15
9. Pierwsza jałmużna, przez Józefę Kamocką . . . 18
10. Wdzięczność, przez Antoniego Andrzejowskiego . . 19
11. Poświęcenie Joasi, przez Bolesława Baranowskiego . . 23
12. Trzebnica, przez Władysława Zawadzkiego . . . 26
13. Pierścień Kunegundy, przez Bronisławę Kamińską . . 27
14. Błogosławiony Sadok i jego towarzysze 29
15. Kazimierz Korsak 30
16. Bogobojność Rudolfa z Habsburga 34
17. Stopka królowéj Jadwigi 35
18. Św. Jan Kanty 36
19. Grzegorz z Sanoka 37
20. Dobroczynność Skargi 41
21. Karol Chodkiewicz w szkole 42
22. Dziecięce lata Sobieskich 43
23. Spotkanie z królem, przez Józefa Ignacego Kraszewskiego 46
24. Przytomność umysłu 51

Stronica

25. Kominiarczyk królewski 51
26. Przemiana nazwiska 52
27. Troskliwość arcyksięcia Karola o rannych wojowników . 53
28. Z młodocianych lat Franciszka Karpińskiego, według St. Tomkowicza 54
29. Mickiewicz w Weimarze, według Ant. Edw. Odyńca . 55
30. Arcyksiążę Franciszek Karol, opiekun ubogich . . 56
31. Przyjaciele dzieci, według W. Smoleńskiego . . . 57
32. Cesarz Franciszek Józef i wieśniak tyrolski, według L. Smollego 59
33. Cesarz Franciszek Józef w szkole wojskowéj, według L. Smollego . . . . . , . . . 61
34. Austryacki hymn ludu, według A. Teuffenbacha . . 62

B. Proza historyczna.

Obrazki i opowiadania historyczne.

35. Św. Seweryn, apostoł austryacki, przez Ł. Tatomira . 64
36. Z życia Karola Wielkiego, przez Tadeusza Korzona . 67
37. Apostołowie słowiańscy św. Cyryl i Motody, przez Ł. Tatomira 70
38. Olga, wielka księżna ruska, według kroniki Nestora . 73
39. Chrzest Mieczysława, przez Karola Szajnochę . . . 74
40. Chrzest Włodzimierza Wielkiego, według kroniki Nestora 76
41. Cesarz Otto III. gościem u Bolesława, przez K. Szajnochę 79
42. Św. Stefan, król węgierski, według H. Zeissberga . . 82
43. Początek wojen krzyżowych, przez L. Rogalskiego . . 85
44. Młodość Bolesława Krzywoustego, przez Józefa Ignacego Kraszewskiego 88
45. Pierwsze napady Tatarów na Ruś, przez Anat. Lewickiego i Teodora Morawskiego 92
46. Bitwa pod Lignicą, przez T. Morawskiego . . . 95
47. Daniel, król ruski, przez Anat. Lewickiego . . . 97
48. Rudolf z Habsburga i Otokar II., według Fr. Kronesa 100
49. Wesele wnuczki Kazimierza, przez Karola Szajnochę . 103
50. Przybycie i koronacya Jadwigi, przez Karola Szajnochę 109
51. Turnieje, przez T. Dziekońskiego 113
52. Bitwa pod Warną, według Józefa Ignacego Kraszewskiego 117
53. Upadek Konstantynopola, według A. Poplińskiego . . 120
54. Krzysztof Kolumb, według A. Poplińskiego . . . 122
55. Maksymilian I. 124

Stronica
56. Ostatni z Habsburgów po mieczu, według J. B. Weissa . 125
57. Marya Teresa wstępuje na tron Habsburgów, według J. B. Weissa 127
58. Procesye OO. Trynitarzy, przez Karola Szajnochę . . 130

C. Proza opisowa.

I. Opisy geograficzne.

59. Wodospad w Tatrach, przez Seweryna Goszczyńskiego . 134
60. Lud galicyjski, przez Ł. Tatomira 135
61. O Hucułach i Bojkach, według Ł. Tatomira . . . 137
62. Wieś w Krakowskiém, według Ł. Tatomira . . . 140
63. Mazury, przez Zygmunta Glogera 141
64. Wieś poleska, przez Józefa Ignacego Kraszewskiego . 144
65. Lodowce i lawiny w Alpach, przez Ł. Tatomira . . 147
66. Rybacka wieś w Holandyi, przez Bol. Baranowskiego . 151
67. Wielki gejzer islandzki, przez Ł. Tatomira . . . 154
68. Morze, przez A. Rehmanna 156
69. Burza morska, według Józefa Siemiradzkiego . . . 158
70. Jezioro Aralskie, przez Ł. Tatomira 160
71. Zima w Jakucku, przez Ad. Szymańskiego . . . 162
72. Mieszkańcy lodów podbiegunowych, przez Ł. Tatomira . 164
73. Wielka pustynia afrykańska, przez Bol. Baranowskiego . 167
74. Las dziewiczy w południowéj Ameryce, według J. Siemiradzkiego 170
75. Trzęsienie ziemi w Karakas, wedł. Stroynowskiego . . 173
76. Podróż w świat gwiaździsty, przez Bol. Baranowskiego . 175

II. Obrazy z życia.

77. Okrężne, przez Zygm. Glogera 179
78. Wigilia Bożego Narodzenia, przez Antoniego Andrzejowskiego 181
79. Pochód na Połoniny, przez Władysława Zawadzkiego . 184
80. Pożar w Rumianéj, przez Józefa Ign. Kraszewskiego . 187
81. Lirnik, przez Wincentego Pola 191
82. Polowanie na dzika, przez Kazimierza hr. Wodzickiego . 194

III. Przyroda, jéj zjawiska i płody.

83. Koń, według A. Mazura 197
84. Obrona osła, według Brehma 199
85. Z życia wróbla, przez K. hr. Wodzickiego . . . 202

Stronica
86. Jaskółka, przez Sewerynę Pruszakową 205
87. Z życia mrówki, według Antoniego Żyszkiewicza . . 210
88. Słonecznik, przez Józefa Rostafińskiego 213
89. Sen roślin, przez Antoniego Żyszkiewicza . , . 215
90. Kreda, przez Józefa Bąkowskiego 217
91. Marmury, według A. Wagi 219

D. Proza naukowa.

Rozprawki.

92. Rolnictwo, według Franciszka Staszica 221
93. Mieszkanie, według Franciszka Staszica 223
94. Opatrzność Boga, przez Klementynę z Tańskich Hofmanową 225
95. Skarbonka gliniana, przez K. z Tańskich Hofmanową . 226
96. Praca a próżnowanie, przez Franciszka Dmochowskiego . 229

CZĘŚĆ DRUGA:

POEZYA.

A. Proza epiczna.

I. Bajki i powiastki.

1. Pan i pies, przez Ignacego Krasickiego 233
2. Potok i rzeka, przez Ignacego Krasickiego . . . 233
3. Ptaszki w klatce, przez Ignacego Krasickiego . . . 233
4. Żółw i motyl, przez Franciszka Morawskiego . . . 233
5. Osieł i Jacek, przez Franciszka Morawskiego . . . 234
6. Gęś i osieł, przez Juliana Ursyna Niemcewicza . . 234
7. Żaba, przez Antoniego Góreckiego 235
8. Kulawy i ślepy, przez J. Krasickiego 235
9. Wolnoć Tomku w swoim domku, przez Alex. hr. Fredrę 236
10. Przyjaciele, przez Adama Mickiewicza 236
11. Dziad i baba, przez Józ. Ignacego Kraszewskiego . . 237

II. Legendy.

12. Garnek popiołu, przez Ignacego Hołowińskiego . . 238
13. Dwie dusze, przez Teofila Lenartowicza 239
14. Chleb kamienny w Oliwie, przez Adama Gorczyńskiego . 240
15. Święta Kinga, przez Józefa Szujskiego 242
16. Jan Kanty, przez Karola Antoniewicza 245

Stronica

III. Ballady.

17. Powrót taty, przez Adama Mickiewicza 246
18. Pielgrzym, z Walter Skota (B. Zaleski) 249
19. Giermek, przez Franciszka Morawskiego 250

IV. Opowiadania i gawędy.

20. Pustka, przez Adama Mickiewicza 253
21. Leszek Biały, przez Jul. U. Niemcewicza . . . 254
22. Jan III. w szkole, przez Wincentego Pola . . . 256

V. Opisy i obrazki.

23. Zaranie, przez Ad. Mickiewicza 257
24. Kościół wiejski, przez Jul. Słowackiego 258
25. Dwór szlachecki, przez Ad. Mickiewicza 259
26. Ogród. przez Ad. Mickiewicza 259
27. Ptastwo domowe, przez A. Mickiewicza 260
28. Zachód słońca, przez A. Mickiewicza 261
29. Śniadanie, przez A. Mickiewicza 261
30. Wigilia Bożego Narodzenia, przez Wincentego Pola . 262
31. Wielkanoc, przez Wład. Syrokomlę 263
32. Jak to na Mazurach, przez Teofila Lenartowicza . . 264
33. Jak to na Góralach, przez Teofila Lenartowicza . . 265
34. Podole, przez Wincentego Pola 266
35. Puszcza, przez Wincentego Pola 266

B. Poezya liryczna.

I. Pieśni opisowe.

36. Wiosna, przez Teofila Lenartowicza 268
37. Lato, przez Teofila Lenartowicza 269
38. Jesień, przez Teofila Lenartowicza 270
39. Ranek majowy, przez Adama Asnyka 270
40. Ulewa w Tatrach przez A. Asnyka 271

II. Krakowiaki, Dumki, Pieśni.

41. Krakowiak, przez Antoniego Góreckiego 272
42. Krakowiaki, przez Edmunda Wasilewskiego . . . 272
43. Pieśń góralska, przez J. Korzeniowskiego . . . 273
44. Prostak wiejski, przez Stef. Witwickiego . . . 273
45. Słonko, przez Adama Asnyka 274

Stronica

46. Dumka, przez Bohdana Zaleskiego 274
47. Domowa piosnka, przez Miecz. Romanowskiego . . 275
48. Wiochna, przez Teofila Lenartowicza 275
49. Jaskółka, przez Maryą Konopnicką 277
50. Dobre rady, przez Wincentego Pola 278
51. Złote słowa, przez Wincentego Pola 278

III. Pieśni nabożne.

52. Modlitwa do Dzieciątka Jezus, przez Władysława Bełzę . 279
53. Hymn do Boga, przez Jana Kochanowskiego . . . 279
54. Wołanie do Boga, przez St. Witwickiego . . . 280
55. Hymn za Cesarza 281

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I. Kto z Bogiem, z tym Bóg.

Była w Krakowie jedna biedna kobieta; Piotrową zwali ją sąsiedzi. Ta, owdowiawszy, została bez żadnego sposobu do życia, a córka jedna i parę złotówek były całym jéj majątkiem. Pobożna i pracowita, rąk nie opuściła i uszła nędzy. Z tą parą złotówek umyśliła się wziąć do handlu. W dniu, w którym go rozpocząć miała, weszła do kościoła Dominikanów, a padłszy na kolana, błagała o pomoc Boga, opiekuna wdów i sierót — i ślubowała, że jeżeli za łaską Jego i pracą swoją dojdzie do chleba i majątku, dzielić się nim będzie z potrzebniejszymi od siebie i zniszczoną w tym kościele kaplicę Matki Zbawiciela zupełnie odbuduje.

Z dawna „najmilszą Bogu się zdała pracującéj ręki chwała“: wysłuchał więc modlitw, pobłogosławił zabiegom czynnéj niewiasty. Piotrowa rannèm wstawaniem, niestrudzoną pracą, nieposzlakowaną uczciwością w przeciągu lat kilkunastu dorobiła się majątku, wyposażyła córkę, odnowiła kaplicę... i jeszcze się jéj została cząstka dla potrzebujących; jeszcze ta ręka, odpędziwszy nędzę od siebie, i drugim oczy ocierać umiała.

Już od lat kilku ta poczciwa kobieta nie żyje; w kaplicy, przez nią odnowionéj, jest prosty jéj nagrobek; w wielu sercach została jéj pamięć.

Klementyna z Tańskich Hoffmanowa.

---

2. Torebki.

Był raz staruszek, bardzo zacny i święty, który, przepędziwszy młodość z szablą, a późniejszy wiek przy uprawie roli, ciężko raz zaniemógł; począł tedy pragnąć spoczynku

i tak sobie postanowił, że chodzić będzie, modlić się, myśleć o Bogu i nauczać maluczkich.

Wziąwszy więc kij w rękę, powędrował sobie od wioski do wioski powoli. A gdzie stanął, to dzieci zgromadziwszy koło siebie, rozprawiał i opowiadał im różne ciekawe dzieje. Ale bywały na niego takie dni, że się zamyślił, zadumał i cały dzień nieruchomy przesiedział, słowa do nikogo nie mówiąc; lecz po takiém zachwyceniu wstawał rzeźwiejszy daleko, z nierównie jaśniejszą twarzą i jakby upojony.

Jednego razu, siedząc na kamieniu przy drodze, znalazł się w zachwyceniu duszy na drugim świecie i wcisnął się przez drzwi zamknięte do samego nieba.

Była to właśnie chwila, gdy sam Pan Bóg wyprawiał stamtąd młodziuchne duszyczki na pielgrzymkę życia, błogosławiąc je na drogę. Każdéj z nich zawieszał torbeczkę z różnymi darami; — ale staruszek dojrzéć nie mógł, co się tam w nich znajdowało, bo choć bardzo święty, ale oczyma, świeżo z ziemi przeniesionymi, pochwycić ich nie mógł.

Szczęściem stojący u drzwi jakiś święty mąż, widząc ciekawość staruszka, zbliżył się doń i zapytał, czyby chciał wiedzieć, co się w owych torebkach znajduje?

— O, i bardzo!

— Wiedz więc — rzekł święty — że żadna dusza nie wychodzi stąd bez darów niebieskich, którymi szczodrą dłonią sam Pan Bóg ją uposaża; ale wszystkie potém, powracając nazad, muszą zdać ścisły rachunek ze skarbu, im powierzonego.

— Spojrzyj tylko — dodał święty — przez to okienko, przez które widać drogę ziemską i idące po niéj duszyczki, co się to z tymi niebieskimi torbeczkami dzieje!

Staruszek, że był bardzo ciekawy takich rzeczy, głowę wychylił przez okienko i spojrzał... Gościńcem szły tysiące duszyczek z torebkami na piersiach pełnymi... Nie rychło rozpatrzył się stary w tym tłumie, ale powoli okiem poszedł za jedną, potém za drugą duszą i rozpoznał, jak się to dary Boże marnują. Jedni szli spiewając i rozsypywali je po drodze przez nieuwagę; drudzy padali, nie spojrzawszy pod nogi, i rozrzucali, co mieli w torebce; innym zabiegali drogę filuci i za lada cacko wyfrymarczyli najdroższe zapasy życia; mało bardzo było takich, coby donieśli do mety, co im Bóg dał, całe lub pomnożone. Najczęściéj odarty i nagi przychodził

człowiek do kresu i dopiero u drzwi niebieskich spostrzegał, że próżną niósł torebkę. Byli i tacy, co chronili całą spuściznę swą; ale gdy przyszli nazad do porachunku, pytano ich, czemu z darów Bożych nie korzystali i nie pomnożyli ich pracą?

Niektórzy, zamiast brylantów niebieskich, wracali z torebką błota i piasku, inni z naloną łzami gorżkimi i żalem; ale tych ostatnich Ojciec niebieski do serca przytulał, bo łzy i żal warte były drogich kamieni. — Patrzał się tak a patrzał staruszek i byłby tam nie wiem jak długo pozostał — taki to był widok cudny tych ziemskich pielgrzymów w białych z początku sukienkach, które się brukały, prały we łzach i znów świeciły i znowu czerniały — gdyby święty ów nie odciągnął go był od okienka.

Zdawało mu się, jakby się ze snu przebudził i znalazł znowu na tym kamieniu, na którym siedział przy drodze.

Ale pamięć tego widzenia przez całe się w nim nie zatarła życie; przypomniał sobie potém, z czém wyszedł na pielgrzymkę życia i z czém z niéj powinien powrócić; zbierał to, co utracił, pomnażał, co zebrał; a gdy przyszedł do rachunku, pewnie łzą żalu poczciwą reszty torebki dopełnił.

Józef Ign. Kraszewski.

(Bajeczki.)

---

3. Bieda.

W pewnéj wiosce mieszkało dwóch braci rodzonych: Janek i Antek. Starszy Janek objął po rodzicach gospodarstwo i pierwszy się ożenił. Antek z początku mu pomagał, potém chodził na zarobek, czas jakiś służył we dworze, a zapobiegliwy i chciwy, zebrał niemało grosiwa, wreszcie ożenił się z córką bogatéj wdowy.

Przez ten czas Jankowi Pan Bóg jakoś nie darzył, chociaż był człowiekiem pobożnym, pracowitym i miłosiernym. Naprzód zachorowała mu żona, a ledwie się podniosła z ciężkiéj choroby, czworo dziatwy zapadło mu na zimnicę. Janek, który ostatni grosz na ratunek swéj żony wyłożył, teraz musiał pożyczać na wysoki procent od brata. Niedosyć jednéj niedoli; padły mu dwie krowy, wół okulał, koń zdechł na nosaciznę. Na dobitkę nieszczęścia grad wybił mu oziminę.

Tyle klęsk złamało biednego Janka; pożyczał a pożyczał od brata. Antek dawał, bo zapragnął chaty i gospodarstwa bratowego. Jakoż niedługo po obrachunku musiał Janek z żoną i siedmiorgiem dzieci wynieść się z ojcowizny i osiadł w pustéj chacie, na samym końcu wioski. Płakał rzewnymi łzami, gdy ostatni raz ucałował próg chaty, w któréj się urodził.

Na plecach przenieśli swoje graty, bo nieludzki Antek odmówił fury. Karczmarz kupił pozostałego wołu za pół darmo. Z Janka, zamożnego gospodarza, stał się wyrobnik. Przy pustéj chacie miał tylko mały warzywny ogródek i kilka zagonów pod kartofle i kapustę, które skrzętnie uprawiała żona z dziećmi. Tak w biedzie przetrwali długie lata, a gdy Antek był nie tylko we wsi, ale w całéj okolicy najbogatszym gospodarzem, Janek był najuboższym zagrodnikiem.

Bogaty Antek wyprawił sute wesele najstarszéj córce, gdy głód zajrzał do chaty Janka. Kiedy Janek poszedł do kościoła, zobaczył brata, bratowę i ich dzieci, postrojonych, siedzących w pierwszych ławkach. Organista hucznie przygrywał, a Janek w kąciku płakał, drżąc z zimna i głodu.

Z dala za weselnym orszakiem szedł Janek, ocierając łzy gorżkie, i mimowoli do dawnego gniazda przyszedł, co przypomniało mu jego lata dziecięce. Kapela w izbie grzmiała; Janek stanął w sieni na uboczu i wnet ujrzał brata, jak dumnie przechodził. — „Panie bracie“ — rzekł drżącym głosem — „Boże błogosław! jam głodny, żona i dziatwa głodne: wspomóżcie mię w tym dniu, tak dla was uroczystym.“

Właśnie w téj chwili niesiono misę pieczonego mięsiwa. Antek spojrzał groźno na brata i mruknął: „Próżniaków nie wspomagam.“ — Wziął jednak kość prawie bez mięsa i podał Jankowi.

Ten, na pół struchlały z oburzenia, wziął kość w rękę, sam nie wiedząc, co robić, i wybiegł za wieś. Naraz stanął nad głębokim strumieniem. Usiadł na łączce, a poczuwszy głód większy, zaczął darowaną kość ogryzać z odrobin mięsa.

Gdy tak chciwie zajada, poczuł na ramionach jakby lekkie dotknięcie, a potém cichą prośbę:

— Daj i mnie trochę mięsa, daj i mnie!

Janek obejrzał się po za siebie i ujrzał wysokie, kościste widmo, które tak cienka skóra powlekała, że je na wskróś przejrzałeś. Oblicze miało chude, wybladłe, oczy zapadłe i podsiniałe. Przy téj trupiéj bladości dziwnie odbijały różane

usta i białe zęby. Nagość swoję okrywało płachtą z pajęczyny, brudną, jak ścierka, zszarzaną, ale przeźroczystą. Na głowie miało wianek z uschłéj paproci. Janek był chłop dobrego wzrostu, ale widmo przenosiło go o całą głowę. Chociaż to była straszna postać, Janek jakoś się nie przestraszył, ale patrząc na nią, rzekł z uśmiechęm:

— Cóż ty chcesz, żebym ci dał, kiedy widzisz, że to kość prawie naga?

— Musisz mi dać resztki — wyszeptało widmo z cicha; — muszę choć polizać, bo ja jestem twoją biedą, co ci od lat tylu towarzyszę po bratersku.

Na te słowa zerwał się Janek na równe nogi.

— A! ty pogańskie plemię! — krzyknął w uniesieniu — to z twojéj przyczyny mrę głodem z rodziną? to ty przyniosłaś mi niedolę? Dobrze, żem cię spotkał: teraz nie wyjdziesz mi cało!

Ale bieda, nie ruszając się z miejsca, spokojnie odrzekła;

— A cóż mi zrobisz, biedny człowieku, kiedy mnie nikt ani zabić ani zranić nie może? Ciało moje z mgły nie zachowa nawet śladu uderzenia. Słuchaj mię: oddaj mi swoję kość, a na kilka godzin opuszczę ciebie, żonę i dzieci i zostawię was w spokoju.

Na to wspomnienie ochłonął odrazu Janek i ze łzami w oczach podał biedzie kość, trzymaną w ręku. Bieda chciwie ją chwyciła, ogryzła żyły, a dojrzawszy trochę szpiku w głębi otworu kości, włożyła w środek rękę jednę i drugą, potém głowę, wreszcie cała się tam wsunęła, tak, iż tylko długie a chude nożyska zwisły.

Wtém przyszła Jankowi szczęśliwa myśl do głowy. Co prędzéj kawałek gałęzi kozikiem zastrugał, porwał kość, wepchnął w rurę nogi biedy i zabił doskonale przygotowanym kołkiem, poczém rzucił kość w głębinę i zatopił.

Zaraz uczuł Janek w duszy szczególny spokój: serce napełniła mu dziwna radość i po wielu latach pierwszy raz odetchnął z całą swobodą.

Rad i rzeźwy wraca do swéj chaty. Koło karczmy zastępuje mu drogę kilku sąsiadów, każdy go ściska, całuje i zaprasza na kieliszek. Trudno było odmówić. Za stołem zaczęli poczciwi sąsiedzi przypominać sobie dawne czasy, zamożność Janka, jego pracowitość i miłosierdzie i czyste, zawsze sumienne z każdym postępowanie, aż w końcu jeden

z sąsiadów podał myśl, czyby Janek nie wziął udziału z nimi w wyrąbaniu sągów w pobliskim lesie i zwiezieniu ich do miasta. Napróżno się Janek tłómaczył swoją biedą; najstarszy wiekiem zaliczył mu zaraz kilkaset złotych, żeby sobie dobrego konia kupił.

Płakał z radości Janek, wkońcu przyjął ofiarę i spółkę. Wraca do chaty; na progu wita go uradowana żona i wesoła dziatwa. Ktoś uwiadomił dwór o strasznéj nędzy całéj téj rodziny: przysłano im całą furę mąki, zboża, słoniny, grochu, a nadto sto złotych. Janek słuchał o wszystkiém, jak o cudzie Boskim; ukląkł z żoną i dziećmi przed obrazem Matki Boskiéj, a po gorącéj modlitwie opowiedział wiernie swoje przygody.

Odtąd wszystko szło mu jak z płatka. Wybudował sobie nową chatę, zakupił całe przyległe gospodarstwo. Parę dobrych koni rżało u żłobu, cztery krowy dojne i dwie pary wołów stały w oborze. Teraz, sam zajęty robotą w lesie, przyjął dwóch parobków, a żonie dziewczynę do pomocy. I nie brakło mu nic, chyba, jak to mówią, ptasiego mleka.

Zazdrosny Antek zdumiał się nad nagłém szczęściem brata; powoli więc zbliżył się do niego i, przyjacielskiém wabiąc słówkiem, zaprosił do siebie.

Janek, który miał zawsze dobre serce, przyjął zaprosiny, a wśród rozmowy, gdy brat rzucił podejrzenie o nieuczciwym sposobie poprawienia swéj doli, opowiedział mu wiernie całe swoje zdarzenie z biedą.

Na to czekał chytry Antek. Uściskawszy brata nibyto czule i serdecznie, pobiegł czémprędzéj do strumienia. Długą tyką dobył kość, a gdy wyrwał drewniany kołek, zabity ręką Janka, bieda, wyskoczywszy ze swego więzienia, porwała go w swe objęcia i zawołała uszczęśliwiona:

— O, mój wspaniały wybawco, teraz ciebie trzymać się będę wiernie i do śmierci ciebie nie opuszczę.

Struchlał zły Antek na te słowa, bo biedę chciał wypuścić na brata, a ona jego się uczepiła; — zaraz téż doznał smutnych skutków.

Gdy dochodził do domu, ujrzał gumna swoje w płomieniach; krowy na pastwisku pies wściekły pokąsał, konie jedne z jakiéjś zarazy padły, drugie następnéj nocy podusiły wilki.

W kilka dni Antek był równym nędzarzem, jak brat jego niedawno. Ale poczciwy Janek nie odmówił mu swéj

pomocy: wspierał go wedle sił, choć wszystko szło na marne. Niedługo Antek ze zgryzoty umarł, a bieda dopiero wtedy opuściła osieroconą wdowę i dzieci, przenosząc się gdzieindziéj.

Kaz. Wład. Wojcicki.
(Klechdy.)

---

4. Mitręga.

Posłał raz Pan Bóg na ziemię anioła, który nigdy jeszcze na niéj nie bywał. Patrzał na nią tylko z wysoka, a uszu jego dochodziły stamtąd skargi i narzekania. Ciekawym więc był z bliska ten padół płaczu zobaczyć. Sprawa, z którą został wysłany, nie była tak bardzo pilna; pozwolił więc Pan Bóg, aby się bliżéj rozpatrzył po ziemi.

Anioł, postać ludzką przybrawszy, spuścił się na zieloną dolinę, zewsząd lasem otoczoną, przez którą płynęła rzeczułka. Była właśnie wiosna. Ptastwo wśród drzew i na łące szczebiotało, kwiaty rozkwitały, powietrze wonne było i świeże. Bardzo mu się ziemia podobała. Uśmiechnął się do niéj, mówiąc do siebie w duchu: Ludzie bardzo zepsuci być muszą, kiedy się na pobyt w takim raju uskarżają.

Na skraju lasu trafił na ubogą chatkę. Mieszkał w niéj budnik, który się zwał Mitręga. Było to bardzo biedne człeczysko. Właśnie, przyniósłszy wody, łupał siedząc w progu szczepki, żeby było czém ogień podpalić i jeść zgotować. Odziany był ubogo, koszulę miał czarną, włosy nieuczesane, a ręce zasmolone. Robiąc wciąż stękał głośno, a narzekał.

Zbliżył się anioł do niego i rzekł: — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków — odpowiedział Mitręga.

— No i cóż tam u was słychać? — zapytał anioł — jakże tam na roli i w domu?

— A! zachcieliście! — rzekł Mitręga; — bieda i po wszystkiém! Nędza coraz gorsza, co roku to ciężéj na chleb zapracować, pot się z czoła leje, chwileczki spoczynku człek nie ma. A tu dzieci kupa, a tu wszystko jeść woła i na moich ramionach dom, gospodarstwo, aż już tchu nie staje.

— Cóż ci to najbardziéj dolega? — badał anioł — powiedz mi szczerze.

— Co? — chyba wszystko! — począł Mitręga. — Dobrego nie ma nic, złe od rana do nocy prześladuje. A ze wszy-

stkiego najgorsze to, że nieustannie bez spoczynku pracować potrzeba.

— W niedzielę przecież odpoczywacie! — rzekł anioł.

— Co mówicie? — zawołał Mitręga. — Toć muszę drew żonie przynieść, wody przygotować, często ziemniaki skrobać, w ogień dmuchać, bydełku zarzucić paszy i napoić! A! a! kto to zliczy!

— Ale i w ciągu roku — mówił anioł — przecie są tygodnie i miesiące, w których wypoczywacie.

Mitręga począł się śmiać.

— A skądżeto was tu Pan Bóg dał? Chyba nie znacie życia naszego i porządku ziemskiego. Kiedyżto spocząć można? Zimą to się młóci, wysiewa, wywozi, a długo tam téj zimy? Namarznie człek, prawda, ale żeby wypoczął? gdzie zaś! A tu ledwie wiosenkę skrowronki obwieszczą, ruszajże z gnojem w pole i z sochą; trzeba siać, żeby grad miał co wybijać. Skończyła się siejba, zaczyna się kośba; jeszcze siano moknie w kopicach, a tu już przepiórka woła: „Pójdźcie żąć, pójdźcie żąć!" Nim się owsy pokłosiły, a tu już orać trzeba na gwałt, aby pierwsze żyto na Bartłomieja zasiać.

I westchnął Mitręga, a że się rozgadał, więc mu język chodził już jak rozpędzony kołowrotek, który, choć prządka odejdzie, jeszcze się obraca.

— Ale bo taki źle na tym świecie, źle! Spoczynku nie ma. A niewiadomo nawet, czy i na drugim będzie lepiéj, bo tam, jak słychać, trzeba będzie z aniołami dzień i noc spiewać, a to także robota.

— Więc ci się robota tak naprzykrzyła? — zapytał anioł.

— A jużci! a jużci — odparł Mitręga; — bo odkądem się urodził, tom spoczynku nie zaznał.

Coś sobie anioł pomyślał i powiada mu:

— Człecze kochany, żal mi ciebie. Wiesz co? Oto ja dam ci worek złota, ale pod tym warunkiem, żebyś sobie życie urządził spokojnie i żebyś nic a nic nie robił.

Mitręga do kolan mu się rzucił, całując go po nogach i zbawcą swym nazywając; a gdy chciał podziękować jeszcze mocniéj, anioł wstał i odleciał co prędzéj. Powtórzył mu tylko jeszcze raz, że teraz mu nic a nic robić już nie wolno.

— A ktoby tam o robocie myślał, kiedy może, za piecem leżąc, jeść słoninę z chlebem! — odparł Mitręga i czapką podrzucił z radości.

I poszedł anioł daléj.

Tymczasem ów Mitręga panem się stał i począł we wszystko opływać, Panu Bogu dziękując. Miał już i parobków i włodarzy i dozorców i tak, jak sobie życzył, za piecem się umieścił, szperkę przyskwarzoną z chlebem zmiatał i piwem popijał. Dobrze mu się działo. To téż podobało mu się zrazu takie życie.

Przyszła zima, przywieziono mu drew, napalono w piecu, a Mitręga, z boku na bok się przewracając, Pana Boga chwalił.

Wtém jakoś po krótkim czasie napadło go poziewanie. Ziewa, ziewa, aż mu w szczękach trzeszczy; co ziewnie, to krzyżyk zrobi na ustach, a nie pomaga. Myśli sobie: wstanę. Zwlókł się tedy do okna, na ławie siadł, popatrzał sobie na podwórko, drzemiąc. Nudno mu było.

Zbierało się już jakoś na drugą wiosnę. Na podwórku wróble kupami latały, to przypadając ku ziemi, to gniazda ścieląc; skowronek bujał, jaskółki błoto w dzióbkach nosiły, bociany po łąkach się uwijały; co żyło, strasznie się ruszało, krzątało, kłopotało, a spiewało wesoło.

Mitręga ziewał.

— Chwała Tobie, Panie — myślał — że ja nie potrzebuję nic robić; to się za wszystkie lata wywczasuję.

A no, ziewał — nudno mu było.

Wyszedł w podwórze i siadł na przyzbie.

A tu parobcy z dziewczętami się kręcą, ciężary dźwigają, bydło zaganiają, z pługami wychodzą, z bronami wracają. Mitręga sobie siedzi, ręce złożywszy; palce około palców okręca i ziewa. — Dobrze mi! — powiada do siebie.

Wieczorem poszedł za piec. Ale że cały dzień drzemał, zasnąć nie mógł. Poczęło go wyciągać, sen nie przychodził; przeleżał tak do rana.

— Dawajcie jeść!

Przynieśli mu ogromną misę klusek; wziął się do niéj zajadać — ale apetytu nie było. Zdawało mu się, czy przydymione, czy nie dosolone; soli dosypał, słoniny dołożył. W gardło nie idzie. Więc do piwa. Piwsko zdawało mu się kwaśne — woda niesmaczna.

Żonę połajał, dostało się wszystkim potrosze, na ławie siadł i muchy spędzał.

Dzień mu się wydawał długi taki, że ani przeżyć; nadeszła noc, ani przespać.

Owo ziewanie napastuje go ciągle. Humor mu się popsuł.

W kilka dni stękać począł, sam dobrze nie wiedząc, czego. W pole poszedł; nogi mu ociężały, nagniewał się na parobków i powrócił zły. Cały dzień przekawęczał, całą noc znowu przestękał.

I myśli sobie: — Co to jest? Wszystkiego podostatkiem mam, czego dusza zapragnie, a do niczego ochoty nie mam. Bywało!... Ale przypomniawszy sobie, jak ciężko dawniéj pracował, pocieszył się tém, że nic nie robi i usnął. We śnie mary go trapiły: obudził się z bolem głowy strasznym, a taki zły, że ani przystępu do niego.

Co tu robić?! Ba — poczynało mu się już zachciewać byle czém ręce zająć, choćby pójść drewek narąbać; ale wstydził się, a potém — słowo dał. A słowa, choć Mitręga, dotrzymać musi.

Sam sobie nałajawszy, siadł Mitręga na przyzbie i gryzł orzechy. Wszystkie prawie były dziurawe. Narzekał tedy znowu, jaki jest strasznie nieszczęśliwy, i pluł i złorzeczył. Już ku jesieni życie mu zbrzydło nie do wytrzymania.

Przy pracy bywał zdrów i okrągły, a teraz wychudł, zżółkł, zmizerniał i ledwie się trzymał na nogach. Przyszło do tego na ostatku, że dawnego życia pożałował.

— Głupim był — powiedział sobie...

Wtém, gdy się tak męczy, patrzy: — idzie tensam, który go złotem obdarzył.

— Niech będzie pochwalony.

— Na wieki wieków!

— A co u was słychać, poczciwy Mitręgo? Jużci szczęśliwi jesteście, gdy macie, coście chcieli?

Poskrobał się w głowę chłop. Nie śmiał się przyznać, że głupim się czuł.

— Pewnie, żem z łaski waszéj szczęśliwy — rzekł, wzdychając poniewoli; — a no, a no, coś mi jest.

— Cóż ci jest? — spytał anioł.

— Ot, czasami zachciewa się coś robić, bo mnie nuda zjada.

— Przecieżeś panem i pracować nie potrzebujesz — odezwał się anioł. — Chciałeś państwa i spoczynku: masz je.

Mitrędze już tak nuda i bezsenność dokuczały, że, nie namyślając się, do nóg dobroczyńcy padł.

— Wróć mnie do dawnego stanu! — rzekł do niego. — Już mi dziś nic nie smakuje, sen nie bierze; schnę i mrę. Co mi po bogactwie, kiedy szczęścia i ono nie daje?... Wolę biedować, jak przedtém.

Anioł się nad nim ulitował znowu i, zmieniając postać, stanął przed nim, jasnością okryty.

— Człowiecze mój! — rzekł. — Niech ci się stanie, jak pragniesz; ale wiedz o tém, że na świecie całego szczęścia nigdzie nie ma. Pan Bóg zaś dał pracę człowiekowi, aby mu ulżyć i życie znośniejszém uczynić.—Módl się więc i pracuj!

Józef Ign. Kraszewski.

(Bajeczki.)

5. Jałmużna.

Szedł sobie ubogi dziadek przez wieś po prośbie i wstąpił do Błażkowéj. Ale Błażkowa tak była skąpa i chciwa, że kawałka suchego chleba nie dawszy dziadkowi, jeszcze go ofuknęła i z izby wypędziła.

Dziadek, nic nie powiedziawszy, szedł sobie daléj od chaty do chaty i, wyszedłszy od Błażkowéj, zaszedł naprzód do jéj sąsiadki Janowéj. Janowa była to bardzo dobra i miłosierna kobieta. Skoro jeno ujrzała ubogiego dziadka, zaraz ostatnie dwa kawałki chleba, dopiero co dla dzieci masłem posmarowane, od gęby im oderwała i dziadka nimi obdarzyła, dodając: aby go Pan Bóg czém lepszém opatrzył, gdyż ona jest biedna i nie ma nic więcéj w chałupie.

— Bóg zapłać, miłosierna kobieto; oby cię Bóg w dziesięcioro obdarzył, obyś twoje nagie ogarnęła dzieci i sama była szczęśliwą, a jak co zaczniesz dzisiaj robić, daj ci Boże, abyś do zachodu słońca ledwie skończyła! — Tak mówił wychodząc staruszek.

— Bóg zapłać! Bóg zapłać za błogosławieństwo! — dziękowała odchodzącemu Janowa, ale wszystkiego, co dziadek mówił, dobrze nie uważała ani nie rozumiała. Nie wiedziała też, że tym dziadkiem był święty Piotr apostoł, którego Pan Bóg zesłał na ziemię, aby zaglądnął do chat wieśniaczych i zaniósł błogosławieństwo Pańskie tym, którzy są miłosiernego serca.

Janowa była ubogą wdową i żywiła dwoje swych dziatek z ciężkiego wyrobku. Na wiosnę dostała była od swéj

bogatéj sąsiadki, Błażkowéj, trzy zagony lnu, za które przez wiele dni ciężko pracować musiała. Len ten zebrała sobie, zmoczyła, wyczesała, sprzędła i dała do tkacza, który jéj z niego zrobił ze dwadzieścia łokci płótna. To chowała na zimę na koszule dla dzieci i dla siebie. Kiedy jednak po odejściu dziadka dzieciom z głodu aż na płacz się zbierało, przyszło jéj na myśl zanieść na sprzedaż do karczmarza kilka łokci płótna i kupić chleba i soli. Wzięła się więc do mierzenia swego płótna. Dzieci się uspokoiły, a ona mierzy i mierzy: co wyciągnie na łokieć, płótno ciągnie się bez końca. Mierzy i mierzy, coraz więcéj i więcéj, aż do zachodu słońca. Z dwudziestu łokci namierzyła tysiące! Uradowana podziękowała naprzód Bogu, a sprzedawszy kilka łokci, posiliła dzieci i siebie.

Na drugi dzień był jarmark w mieście. Janowa poszła z płótném, a że było gęste i gładkie, sprzedała dobrze, nakupiła przeróżnych rzeczy i wróciła jeszcze ze sporym workiem pieniędzy do domu. Niezadługo kupiła sobie dwie krowy, kawałek pola i łączkę, przyjęła czeladkę, chwaliła Boga i pracowała.

To szczęście Janowéj kłuło w oczy Błażkową; dopytywała się więc Janowéj, jakim téż ona sposobem przyszła do swéj chudoby i czeladki? A Janowa, nie ukrywając nic, wszystko jéj wiernie opowiedziała.

Wysłuchawszy to Błażkowa, rzekła: „O, moja kumo, jeśli ten dziadek kiedy do was zajdzie, powiedzcie mu téż, niech i do mnie wstąpi!“ Janowa, wszystkim życzliwa, obiecała to uczynić.

Wkrótce potém znów tensam dziadek przez wieś przechodził i do Janowéj wstąpił. Ona nie wiedziała, gdzie go posadzić; dziękowała mu, raczyła go i obdarzyła, a gdy wychodził, prosiła, aby i jéj kumy Błażkowéj nie minął. Dziadek obiecał do niéj wstąpić, kiedy będzie z drugiego końca wioski powracał.

Gdy go Błażkowa zdaleka przez okno ujrzała, nasmarowała dzieciom po kromce chleba, a kiedy dziadek we drzwi wstąpił, ona czémprędzéj poodrywała im chleb od gęby i dziadkowi go dała.

— Bóg zapłać! — rzekł dziadek — Daj Boże, abyś zacząwszy co robić, do zachodu słońca ledwie skończyła! To rzekłszy, wyszedł.

Błażkowa, mając przygotowane płótno do mierzenia, już wyciągnęła z kąta łokieć i już mierzyć miała, kiedy dzieci pić zachciały i jéj saméj wielkie pragnienie dokuczać poczęło. Aby nie tracić wiele czasu, pobiegła prędko do zdroju z konewką po wodę; ale gdy przyniosła jednę konewkę, coś ją ciągnęło pobiegnąć po drugą; daléj przyniosła trzecią, czwartą, dziesiątą — i tak do zachodu słońca bez potrzeby wodę nosiła.

Karol Baliński.

---

6. Owoc nauki.

Michał był dzielnym i pracowitym czeladnikiem, ale lubiał pić i hulać; nieraz owoc kilkodniowéj pracy przetrwonił z towarzyszami w ciągu jednego wieczora.

Pewnego razu zaglądnął do niedzielnej szkółki. Właśnie nauczycielka wymownymi słowy przedstawiała ciężącą na dzieciach powinność utrzymywania starych rodziców z należytém uszanowaniem i troskliwością. Michał przypomniał sobie, że jego stara matka żadnego nie ma przytułku, że nie ma nawet gdzie siwéj głowy do snu złożyć, lecz sypiać musi, gdzie się uda, najczęściéj pod jakimś wozem. Zawstydził się bardzo i niezadowolony był ze siebie. Wyszedłszy ze szkoły, już tego dnia nie pił wcale, mimo zachęty, a nawet docinków towarzyszy. Zamiast wódki kupił parę desek, zbił z nich niekształtne schronisko i wprowadził w nie matkę staruszkę. Nędzna i ciasna to była buda, ale biedna kobieta znalazła przynajmniéj dach nad głową i zasnąć mogła spokojnie, bez obawy przed deszczem, zimnem lub psami.

Taki był początek. Odtąd przy pracy i dobrych chęciach Michała coraz lepiéj było sędziwéj jego matce. Dziś Michał jest dobrym rzemieślnikiem i zapobiegliwym ojcem rodziny; w domu jego panuje dobrobyt, a matka przy nim mieszka. Spotkawszy się raz z nauczycielką, tak jéj dziękował za naukę: „Pani mnie zbawiłaś swoją powiastką. Byłem pijakiem i hulaką; nagle zrozumiałem, żem winien matce pomoc i opiekę i zbudowałem dla niéj schronisko. Był to pierwszy wysiłek, który mnie niemało kosztował. Teraz czuję błogosławieństwo Boże nad sobą.“

Wedł. dzieła Du Campa: *Cnota we Francyi.*

(Przegląd powszechny 1887.)

---

7. Miłosierdzie.

Pewien wieśniak francuski, który się w kilku kampaniach Napoleońskich chlubnie odznaczył, musiał wskutek ciężkiéj rany wcześniéj od towarzyszów broni wrócić w progi rodzinne, a ożeniwszy się, wiódł życie spokojne i pomyślne na ojcowskim zagonie. Mała winnica przynosiła mu znaczny dochód, a skrzętna żona pracą i oszczędnością podnosiła dobrobyt domowy. Jednego im tylko niedostawało do szczęścia: nie mieli dzieci, nie było więc dla kogo przyrabiać majątku.

Pewnego dnia, w zimie r. 1813., patrząc z progu swéj chaty na sypiący się śnieg i mroźną zadymkę, zoczył opodal szkółki wiejskiéj małego kominiarczyka, który, acz zziębnięty do kości, zdawał się na coś czekać i czegoś wyglądać. Zagadnięty odparł, że czeka na dziatwę szkolną, która, wracając do domu, daje mu niekiedy resztki swego śniadania.

— Alboż ty nie masz rodziców, rodziny? — zapytał zdziwiony wieśniak.

— Nie mam już nikogo — odpowiedział chłopiec.

— Skądżeś rodem?

— Hen, daleko z za gór.

Wtém otworzyły się drzwi szkoły i tłumnie wysypały się dzieci. Jeden z chłopców rzucił kominiarczykowi kromkę niedojedzonego chleba. Głodny chłopczyna ze smutkiem podjął nieobfite dziś żniwo.

— Czy ty nie jadłeś dziś śniadania? — zapytał wieśniak.

— Nie miałem dotąd nic w ustach.

— Gdzież sypiasz?

— Jak się uda, w pierwszéj lepszéj stodole lub oborze.

— A z czego mieć będziesz dziś obiad?

— Nie wiem.

Ulitował się wieśniak nad biednym chłopcem, zabrał go do chaty, nakarmił zgłodniałego; a gdy chłopczyna wdzięczny, odchodząc ze łzą w oku, dziękował za przytułek i posiłek, powiedział mu wieśniak: „Ilekroć tędy przechodzić będziesz, pamiętaj, że znajdziesz u mnie wieczerzę i nocleg“.

Zdarzenie to nadzwyczajne na poczciwym wieśniaku wywarło wrażenie. Nazajutrz długo chodził zadumany. Przypomniał sobie przykrości żołnierskiego życia, długie pochody bez wypoczynku, głód i chłód, noclegi pod gołém niebem,

dni znużenia i znoju. Te przypomnienia obudziły dziś w jego sercu jakąś nieskończoną litość dla tych wszystkich, którzy cierpią, którym głód lub pragnienie dokucza, którzy nie mają gdzie skłonić głowy w przymusowéj wędrówce. Latem jak latem — myślał; — ale zimą, kiedy mróz ścina oddech, kiedy sama nawet przyroda zda się odpychać nieszczęśliwych i pchać ich ku śmierci!...

— Iluż podobnych biedaków — tak dumał poczciwy wieśniak, pochyliwszy ku ziemi zachmurzone czoło — przeszło tą drogą, przechodzi nią dotąd! a jam nie przyjął żadnego, nie spostrzegł, nie ugościł! Godneż to serca chrześcijańskiego? godne wysłużonego żołnierza?

Nagle wypogodziło się jego oblicze; jakaś myśl zajaśniała mu w oczach, jak promień słońca, gdy z poza chmur wystrzeli.

— Nie! — rzekł do siebie — odtąd każdy, na wzór tego kominiarczyka, gotowy pod moim dachem znajdzie przytułek; kiedy dzieci Bóg mi nie dał, niech mi je biedni podróżni zastąpią.

Piękna ta myśl podobała się żonie wieśniaka i odtąd dom ich, przy drodze stojący, na oścież się otworzył. Robotnik, szukający zarobku — żołnierz, wracający za urlopem — żebrak zgłodniały — rzemieślnik lub czeladnik, wędrowiec czy podróżny — każdego przyjmował, witał, gościł, byle tylko miał pewność, że ratuje pracę i potrzebę, a nie próżniactwo i włóczęgę. Zacni małżonkowie prześcigali się w miłosiernéj posłudze. Czasem po kilka razy na dzień wypadało rozniecać ogień dla coraz nowych przechodniów.

Szlachetne serce poczciwego wieśniaka zjednało mu cześć powszechną. Kiedy się Akademia paryska dowiedziała o pięćdziesięcioletniém istnieniu gościnnego tego domu, chcąc uczcić tę wielką cnotę i poświęcenie, przesłała pochylonemu wiekiem starcowi nagrodę, aby tém świetniéj i hojniéj mógł obchodzić swoje złote z miłosierdziem chrześcijańskiém śluby.

Według dzieła Du Campa: *Cnota we Francyi.*

(Przegląd powszechny 1887.)

---

8. Biedny góral.

Byłoto przed świętami Bożego Narodzenia. Do biura pocztowego w Krakowie wszedł młody góral. Jasne włosy,

mocno odbijające od szaréj jego burki, spadały mu na ramiona, a w dużych jego oczach i świeżéj a śniadéj twarzy jaśniała taka otwartość i szczerość, iż zdawało się, że przez te oczy jego możnaby zajrzéć w głąb jego duszy.

Stanął skromnie na uboczu, czekając cierpliwie, aż przyjdzie na niego koléj zbliżenia się do kratek, przy których przyjmowano pieniądze. Obok niego stał jakiś stary i poważny pan.

— Co ty tu robisz w naszém mieście? — zapytał tenże pokornie stojącego chłopca.

— Garnki drutuję, panie; grywam téż na kobzie i śpiewam ludziom nasze piosenki, a to już wystarczy, aby zarobić sobie na życie.

— Zapewne, kto chętny do pracy, ten nie umrze z głodu. Domyślam się, że te oszczędności twoje chcesz dzisiaj wysłać do swojéj wioski.

— Oszczędności?!... Oj, niewiele ja, panie, zaoszczędzić mogę. Biedny się urodziłem i biedny téż umrę. Zaledwie dziewięć lat miałem, gdym przybył tu do miasta, a z domu wyniosłem tylko 50 centów na drogę.

— Czyliż rodzice twoi tak mało dbali o ciebie?

— Oj nie, panoczku; ale oni bardzo byli biedni i dawno już pomarli!

— Komuż więc posyłasz te pieniądze, które masz zawinięte w tém płótnie? Musi ich tam być dużo?

— Dużo? — ach gdzież tam, mój panie! Jest ich tu zaledwie cztery złr.

— Cztery złr.? — a tak ich się tutaj wydaje wiele!

— Bo to, proszę pana, są tesame pieniądze, które dostawałem za moję grę na kobzie. Tyle przez cały rok za piosenki nasze zarobiłem; sam zaś żyłem z tego, co zarobiłem, drutując różne naczynia.

Sędziwy męszczyzna patrzał z rzewném współczuciem na tę ubożuchną, może głodem okupioną ofiarę biednego chłopca i przypomniał sobie grosz ów wdowi i cenę, jaką mu nadał najwyższy Sędzia czynów, spełnianych na ziemi.

— Jesteś, jak mówisz, sierotą; komuż więc przeznaczasz te pieniądze? — zapytał raz jeszcze ów pan sędziwy.

— Kiedy pan chce wiedzieć, to powiem panu prawdę, bo dlaczegoż miałbym się z tém ukrywać? Posyłam te pieniądze jednéj kobiecie w naszéj wiosce, staréj Katarzynie, która po

śmierci méj matki opiekowała się mną troskliwie i chowała mnie jak własne dziecko. Ona tam pewnie teraz, kiedym odszedł od niéj daleko, codzień o mnie myśli i przy pacierzu wspomina. Bardzo ona słaba i biedna; te cztery złr. wystarczą na jéj wyżywienie przez zimę.

Opowiadanie to górala wzruszyło owego pana głęboko.

— Mój przyjacielu — powiedział — u was, w górach, nie widują pewnie złotych pieniędzy; daj mi więc te, które masz, miedziaki — będą one dla mnie bardzo miłe — a w zamian weź tego dukata odemnie. Ja tu zaraz przy tobie opakuję go i wyślę, a ty już nic więcéj dopłacać nie potrzebujesz. Dobrze?

— Ach panie! jaki pan dobry! — O jakże się biedna Katarzyna ucieszy, kiedy odbierze taki złoty pieniądz od swego Piotrusia! Ona będzie myślała, że ja taki jestem bogaty. Biedna kobieta, ona rozpłacze się z radości.

— I ja, mój chłopcze, czuję prawdziwą radość, widząc dobre twoje serce; ale powiedz mi szczerze, czy dużo się tobie zostało na życie, na wypadek choroby albo téż w braku roboty? Może już nic zupełnie?

Góral podniósł głowę i spojrzał panu w oczy.

— Ja się domyślam, rzekł, dlaczego pan pyta mnie o to. Przyznaję, że nie mam już nic; ale, panie, ja mam moję pracę, ja mam także kobzę. Codzień zarobię tyle, aby żyć, a więcéj nad to nic mi nie potrzeba. Wiem, że ten jeden pieniądz złoty więcéj znaczy, niżli wszystkie moje miedziaki; przyjmuję więc łaskę pana z wdzięcznością — dla mojéj biednéj Katarzyny; ale dla siebie... ja nie wziąłbym ani grosika, jeślibym go sobie nie zapracował. Bóg zapłać panu za jego dobroć dla mnie!

Sędziwy pan przejęty był do głębi duszy słowami ubogiego chłopca. Widział jasno, że jego serce o tyle było bogate, o ile nędzném było ubranie, a westchnąwszy, pomyślał: ile to dzieci, mających wiele sposobności do wykształcenia swojego serca i duszy, mogłoby brać przykład z tego biednego górala, wyrosłego jak kwiat polny bez starań i opieki nad sobą, a tak szlachetnie wdzięcznego względem téj, która go wychowała jak matka, tak pełnego poczucia osobistéj godności w liczeniu na własną jedynie pracę!

Józefa Kamocka.

(W imię prawdy i dobra).

---

9. Pierwsza jałmużna.

Pewna mała dziewczynka widywała często ubogich, przychodzących do domu jéj rodziców; widywała, jak karmiono głodnych, ogrzewano zziębniętych, opatrywano nędzarzy; słyszała nieraz, jak oni, odchodząc, błogosławili domowi i życzyli szczęścia dla dziatek, w nim rosnących. Dziewczynkę owę, obdarzoną sercem dziwnie wrażliwém, błogosławieństwo ubogich wzruszało głęboko; chętnie podawała im jałmużny, z rąk matki pochodzące, ale nigdy jeszcze sama od siebie nic im nie dała.

Razu jednego matka zajęta była w ogródku, w którym się dzieci pod jéj okiem bawiły; Ewunia — tak się bowiem nazywała dziewczynka — chodziła koło domu, podlewając kwiateczki, gdy naraz spostrzegła, że ktoś, wszedłszy do sieni, nieśmiało zatrzymał się na progu. Podbiegła i zobaczyła, że jakiś bardzo blady i nędznie odziany człowiek drżącymi rękoma usiłował otworzyć zamknięte drzwi do kuchni.

— Czego wy chcecie, staruszku? — zapytała Ewunia, patrząc z litością w bladą twarz nędzarza; — kucharki nie ma w kuchni.

— Głodny jestem, panienko; nie jadłem dziś nic jeszcze. Wczoraj wyszedłem ze szpitala; pracować sił nie mam, bo jeszcze nogi drżą podemną, a z głodu jeszcze bardziéj osłabłem. Prosiłbym więc choćby o suchego chleba kawałek.

— Dobrze! dobrze! ja wam zaraz coś przyniosę — mówiła dzieweczka z głębokiém współczuciem i chciała już iść matce o tym biedaku powiedzieć; ale ledwo parę kroków zrobiła, gdy jakaś nagła myśl przebiegła jéj przez główkę; oto zapragnęła dziś sama nakarmić głodnego biedaka. Prędko wróciła, wbiegła drugimi drzwiami do domu, otworzyła drzwi kuchni i, wysuwając ławkę z pod stołu, rzekła do starca:

— Usiądźcie sobie, staruszku, a ja zaraz przygotuję wam śniadanie.

Miała w garnuszku mleko, którego jeszcze nie wypiła: przystawiła je czémprędzéj do ognia, przyniosła swoję bułkę, wzięła łyżkę i miseczkę — i w kilka chwil późniéj postawiła to wszystko na stole przed starcem.

— Jédzcie, proszę, jédzcie — mówiła do niego, przysuwając mu ciepłe mleko. Biedak drżącą ręką wziął łyżkę i chciwie do ust ją podniósł. Jadł i ożywiał się, a Ewunia patrzyła

na niego i doznawała takiego wrażenia, jakgdyby każda łyżka, pokrzepiająca głodem zmorzonego człowieka, ją samę zasilała jakiémś błogiém, nieznaném jéj dotąd uczuciem...

— Niech cię Bóg błogosławi, panienko! — rzekł biedak, odchodząc; — niech ci stokroć zapłaci każdą kroplę tego mleka i każdą téj bułeczki kruszynę! Wyrośnij zdrowa i szczęśliwa; niech ci nigdy w życiu twojém niczego nie zabraknie; niech cię wszyscy kochają i dobrymi niech będą dla ciebie za to, żeś miała litość nade mną!

Ewunię, słuchającą tych słów ubogiego, dziwne wzruszenie przejęło; łzy jéj w oku zabłysły, serce żywiéj uderzyło, a w duszy stało się tak rzewnie, tak radośnie, jak dotąd nigdy jeszcze nie było. Biedny ów człowiek odszedł, pokrzepiony i orzeźwiony; ale chwila ta w życiu Ewuni zaznaczyła się nigdy niezatartém wspomnieniem.

Wyrosła zdrowa i szczęśliwa; chleba własnego miała podostatkiem nie tylko dla siebie, ale i dla drugich. Bóg błogosławił jéj pracy, a ilekroć, kochana i szanowana powszechnie, w głębi swéj duszy sądziła, że otrzymuje od Boga i ludzi więcéj, aniżeli zasłużyła, wtedy — rzecz dziwna! — stawał jéj zawsze przed oczyma ów blady, głodny człowiek; słyszała jego błogosławieństwa i życzenia, odczuwała wrażenia małéj niegdyś dziewczynki i coś jéj w duszy szeptało, że te wszystkie dobrodziejstwa, jakie były jéj udziałem, w ścisłym zostają związku z ową pierwszą jéj jałmużną, są spełnieniem błogosławieństwa nakarmionego wówczas nędzarza.

Józefa Kamocka.

(W imię prawdy i dobra.)

---

10. Wdzięczność.

Byłoto w ostatnich latach przeszłego stulecia, w początku sierpnia. Z nader szczupłym zapasem pieniężnym wracaliśmy do domu, a chociaż ledwie dwadzieścia mil oddzielało nas od kresu naszéj podróży i droga była wyborna, trudno jednak było pośpieszyć trzema końmi, które i ciężki wóz i nas osób ośm i duży pakunek dźwigać musiały.

Dnia trzeciego naszéj podróży dzień był gorący, konie znużone prawie ustawały; wcześnie więc przed zachodem słońca trzeba było stanąć na nocleg. Zajechaliśmy przeto do

pięknéj, przy drodze stojącéj gospody, ażeby przenocować i odpocząć.

Gospodarze, dwoje młodych i pięknych ludzi, najuprzejmiéj nas powitali; dano nam obszerny, czysty pokój, z wygodnymi łóżkami, a gdy gospodyni prowadziła nas do stancyi, gospodarz pomagał konie wyprzęgać i rzeczy poznosić. Zaledwieśmy się cokolwiek rozgościli, gospodyni przyniosła dla nas dzieci trzy filiżanki mleka i trzy piękne bułeczki i zapytała mojéj matki, czy nie zechcą panie czém się posilić, nim wieczerza będzie? Matka moja, znając smutny stan swoich finansów, bo już tylko dziesięć złotych miała, a do domu jeszcze dwa dni drogi było, nie śmiała nadużywać uprzejmości gospodyni; ale wtém nadszedł i sam gospodarz i oboje silnie zaczęli nalegać. „Ludzie dobrzy!“ — rzecze matka moja — „od popasu niewieleśmy ujechali i jeszcześmy niegłodni“. Ale gospodarz, patrząc na nas, chciwie zajadających podwieczorek, domyślał się, że popas nasz nie musiał być wielce obfity.

Słońce było na zachodzie i powiew wieczorny ochładzał dzienne gorąco. Blisko gospody był lasek, z niego widok na piękną wioskę. Tam całą naszą gromadką wyszliśmy na przechadzkę, podczas któréj i matka i ciotki przypominały sobie, gdzie i kiedy tego gospodarza i jego żonę widzieć mogły, bo tak nieobce im były ich twarze. Już się ściemniało, kiedy wróciwszy zastaliśmy stół nakryty i zastawioną wyborną wieczerzę. „Jeść, to dobrze“ — mówiła do sióstr moja matka — „ale jak się potém wypłacić?“ Uprzejmość jednak miłych gospodarstwa i potrzeba posiłku przemogły; jedliśmy smaczno, a gospodarz poglądał na nas z takiém rozczuleniem, że to i starsi zauważali, a nawet naszych dziecinnych nie uszło postrzeżeń. A gdy moja matka chciała go o przyczynę wzruszenia zapytać, już go w pokoju nie było, aniśmy go tego wieczora więcéj nie widzieli; gospodyni tylko sama służącéj naszéj w usłudze pomagała.

Nazajutrz, ledwieśmy powstawali, gospodyni wniosła w porządnym przyborze kawę z wyborną śmietanką i świeżymi bułeczkami. Co się w sercu mojéj matki działo, trudno wypowiedzieć. Tyle dogodności, tyle dostatku, taka uprzejmość, a czém to opłacić? Bo nie tylko dla nas, ale dla ludzi naszych i koni dostatnia była wygoda. Słudzy nasi z pomocą gospodarza pakowali rzeczy w powozie, a gdy już wszystko

było gotowe, matka moja zaprosiła gospodarza do obrachunku.

Na twarzy jego widać było wielkie wzruszenie. Zapytany, co się za nocleg należy, odpowiedział stanowczo: „Nic.“ „Jakto nic?“ zawoła matka. — „Niech pani będzie łaskawa, posłucha mnie“ — rzekł mocno wzruszony młody człowiek — „a potém niech pani sama osądzi, czy mogę wymagać jakiéjkolwiek zapłaty. Żył przed niewielu laty w Dubnie pan porucznik Sobiński, mąż wielce szanowny; mieszkał w pięknym domu własnym przy Piekarskiéj ulicy, miał zacną małżonkę i kilka córek, takich miłych, takich poczciwych, jak i rodzice. Zacne dusze tych państwa znane były w całém Dubnie. Obok w sąsiedztwie mieszkał szewc Weryński, niemłody już człowiek, dobry majster; ale — mówił daléj, ciężko westchnąwszy — Bóg dopuścił na niego nałóg pijaństwa. Miał on syna Jasia i tego do swego rzemiosła sposobił. Jaś miał już może lat ze trzynaście. Dobry musiał być chłopiec, bo go pan porucznik bardzo lubił i sam go czytać i pisać wyuczył. Niech w Bogu spoczywa ten dobry pan — mówił daléj ze łzami. — Jaś uczył się czytać i pisać w domu czcigodnych i bogobojnych państwa; tam się nauczył bać Boga, kochać bliźniego i poczciwie pracować na kawałek chleba. Jaś, osierocony od ojca, wziął się szczerze do rzemiosła i ciężko pracował na utrzymanie chorowitéj matki, siostry i siebie. Bóg mu pomagał pod ojcowską opieką szanownego p. porucznika. Kochał go Jaś synowskiém sercem i całą rodzinę jego kochał, a dla panien porucznikówien najpiękniejsze robił trzewiki. Tymi dziećmi p. porucznika wy panie jesteście, a ten Jaś jest przed oczyma waszymi, u nóg waszych“ — dodał, rzucając się do nóg mojéj matki.

Rozrzewnienie nie dało nikomu słowa przemówić; ale nakoniec matka moja odezwała się: „Panie Weryński! to wszystko, coś powiedział, nie uwalnia mnie od zapłacenia tak wygodnego noclegu. Wszak na to wzięliście gospodę na wielkim gościńcu, ażeby stąd mieć przyzwoite utrzymanie, a każdy przejezdny, jeżeli używa gościnności, opłacić ją powinien“. — „O nie!“ — zawołał Weryński z płaczem — „pani płacić mi nie będziesz, pani mi téj krzywdy nie zrobisz! Pan Bóg błogosławi pracy naszéj, jesteśmy na nasz stan dość bogaci; czemuż nie mamy Bogu dziękować za Jego Opatrzność nad nami, dowodząc wdzięczności naszym dobro-

dziejom? A pamiętasz pani, kiedy matka moja ciężko zachorowała, a ojciec skutkiem nałogu ciężko zaniemógł, kto nas karmił swym chlebem, kto doktora sprowadził, kto lekarstwa opłacał?... Pan porucznik!... Kto przy chorych z nami nocy przesiadywał i o chorych najtroskliwsze miał staranie?... Pani porucznikowa i pani. A kiedy ojciec mój biedny życie zakończył, kto pogrzebem się zajął, kto koszta opłacał? I pan porucznik z całą rodziną swoją ubogiego szewca do grobu odprowadził i życzliwą garstkę ziemi na ten grób rzucił! Pani to sobie przypominasz, widzisz nasze uczucia i chcesz, ażebym ja przyjął zapłatę za ten kawałek powszedniego chleba, który wam winienem, i za ten kąt odpoczynku po trudzącéj podróży. A jestże w tém sprawiedliwość?“ To rzekłszy, zasłonił oczy i głośno płakał i przez płacz to jeszcze wyrzekł: „Gdybym od pani wziął zapłatę, coby na to stamtąd rodzice moi powiedzieli?“

Mowa Weryńskiego wywołała powszechne rozrzewnienie. Płakaliśmy wszyscy i była chwila uroczystego milczenia. Nareszcie podniosła się matka moja i, objąwszy głowę poczciwego Jasia, po macierzyńsku ją ucałowała: „Rozpoznaję cię, Jasiu“ — rzekła; — „rysy twojéj twarzy nieco się zmieniły, ale twoje poczciwe serce zawsze tosamo. Kochał cię nasz ojciec, bo przewidział, że będziesz poczciwym człowiekiem, jak byłeś dobrym synem, i pewnym był, że cię Bóg błogosławić będzie. Przyjmuję twoję uprzejmość wdzięczném sercem i takiémże sercem ci dziękuję. Niech ci Bóg stokrotnie nagrodzi, niech ci dopomaga i szczęści we wszystkiém, a ja do zgonu czynu twojego nie zapomnę“.

Weryński nie posiadał się z radości, całował ręce mojéj matki, ciotek, starszéj siostry, a nas dwoje mniejszych chwycił na ręce i, przyciskając do serca, nosił na ręku po pokoju, śmiejąc się i płacząc. Po chwili tego rozrzewniającego uniesienia, matka moja zapytała Weryńskiego: „Kto jest twoją żoną, bo mi jéj twarz znajoma?“ — „A to Kasia Biesiadycka, którąś pani, będąc jeszcze niewielką panienką, z panem porucznikiem do chrztu trzymała i dała jéj swoje imię... Kasiu! — zawołał — idź, ucałuj nogi twojéj kochanéj matki chrzestnéj!“ Wesoła, hoża Kasia, niosła dwie serwety, napełnione podróżnymi dla nas zapasami, a postawiwszy to na stole, do nóg mojéj matce upadła; ta ją podniosła i uścisnęła. Nakoniec

najczuléj pożegnawszy poczciwych Weryńskich, w dalszą puściliśmy się drogę.

Na noclegu jeszcze mocniéj przekonaliśmy się, że wdzięczność tych poczciwych ludzi nie ograniczyła się samą w ugoszczeniu nas uprzejmością i że ich przezorność umiała z całą delikatnością wyśledzić nasz niedostatek. W podróżnym worku swoim znalazła matka moja pięć dukatów i list taki: „Racz Pani Dobrodziejka łaskawie nam odpuścić, że podstępnie wywiedzieliśmy się od Anusi — tak się zwała nasza służąca — że Państwo ze szczupłym bardzo zapasem pieniędzy do domu wracacie. W drodze może się wydarzyć, Boże uchowaj! jaki przypadek. Ośmieliliśmy się włożyć pieniądze do worka Pani Dobr., nie jako dar, ale jako pożyczkę. Daruj Pani Dobr. nam tę śmiałość, ale nam ją podyktowała wdzięczność i serdeczne przywiązanie do Państwa. Może nam Bóg pozwoli kiedy odwiedzić naszych najukochańszych Państwa, naszych Dobrodziejów, to dług ten nam wypłacicie, czego życząc, zostajemy do zgonu itd. — Weryńscy."

List ten, tak prosty, czytaliśmy ze łzami i moja matka zachowała na pamiątkę ten dowód pięknych uczuć Weryńskiego. Matka moja lubiła często powtarzać to miłe wydarzenie, więc je tu wiernie, co do słowa, wypisałem.

Antoni Andrzejowski.
(Ramoty starego Detiuka.)

II. Poświęcenie Joasi.

Joasia mieszkała wraz z matką swą w ubogiéj, podgórskiéj wiosce, którą obejmowały z dwóch stron dwie bystre górskie rzeki, łączące się poniżéj gromadzkiego pastwiska. Ojciec Joasi już dawno nie żył, brat starszy służył w wojsku, a matka, znękana doznanymi zmartwieniami i pracą nad siły, zapadła była od dłuższego czasu na zdrowiu.

Na Joasię spadł przeto wcześnie cały trud gospodarstwa domowego: pracą rąk swoich utrzymywała siebie i matkę. Całą bowiem ich posiadłością była chata z ogrodem, położona w pobliżu pastwiska.

Joasia utrzymywała porządek w domu, uprawiała ogród i sadziła w nim jarzyny, doglądała krowy, chodziła do lasu po chrust i grzyby, gotowała strawę, wychodziła na zarobek do dworu i do majętniejszych gospodarzy, przędła zimowymi

wieczorami wraz z matką przy łuczywie przędziwo, prała w bliskiéj rzece bieliznę, jednèm słowem, była właściwą gospodynią domu. Mimo tych zajęć, była Joasia zawsze swobodną i wesołą. Codzień na wiosnę rozlegał się jéj śpiew z ogródka po pastwisku. Wszystkich witała pogodną twarzą, a choć sama żyła w niedostatku, umiała przecież być litościwą i dobroczynną dla biedniejszych od siebie.

W téjsaméj chacie mieszkała po drugiéj stronie sieni biedna wdowa z trojgiem dzieci, którą Joasina matka przyjęła litościwèm sercem w komorne. Joasia dzieliła się ze zgłodniałą dziatwą wdowy nieraz zapracowanym przez siebie chlebem, doglądała dzieci, gdy sąsiadka wyszła na zarobek, myła je i czesała, uczyła utrzymywać porządek w izbie i wyręczała ile możności ich matkę.

Razu jednego trwała w lecie kilka dni słota. Gospodarze smucili się, nie mogąc zwieść snopów z pola. Codzień spoglądali ku górom, czy się nie rozchodzą rozwieszone nad nimi chmury, i codzień kładli się do snu z tąsamą troską.

Raz obudził Joasię przed świtem niezwykły szum i łoskot, zbliżający się od strony pastwiska. Wybiegła na próg chaty i spostrzegła przerażający widok. Całe pastwisko było zalane bałwanami obu rzeczułek, które wezbrane wystąpiły z brzegów. Namuliste fale niosły ze sobą zrąbane kłody albo i całe drzewa, wyrwane z ziemi. Belki z mostów, deski ze stajen i stodół pędziły w dół, niesione wartkim prądem. Bydło i konie walczyły nadaremnie z przemagającą siłą wody. W brzasku porannym spostrzegła Joasia w oddali nawet całą chatę, uniesioną pędem wody, z któréj dymnika wyglądali przerażeni mieszkańcy, wyciągając ręce i wołając o pomoc. Atoli nim kto zdołał przybyć im z ratunkiem, fale uniosły ich w dół i chata znikła z oczu Joasi.

Joasia prędko poznała, że jéj chatce zagraża podobne niebezpieczeństwo. Woda bowiem zalewała już podwórko i ogród, śród którego tylko pagórek niski wznosił się ponad fale.

Nie namyślając się długo, zastukała Joasia w drzwi sąsiadki, aby ją zbudzić, wpadła do izby, w któréj matka, także już obudzona, z przestrachem wyglądała przez okienko, porwała kilka sztuk odzieży na ramię, wzięła omdlewającą matkę na plecy i wybiegła z nią z chaty. Fale wciskały się już do

sieni, a zanim przebrnęła podwórko, już jéj powyżéj kolan woda sięgała.

Joasia widziała jedyną możliwość ratunku w dostaniu się na urwisty brzeg wzgórza, wznoszącego się za ogrodem. Brnąc po pas w wodzie i ślizgając się w bruzdach, przebyła ogród i poczęła wdrapywać się na urwisty stok wzgórza.

Za sobą usłyszała straszny krzyk i płacz.

To sąsiadka, wybiegłszy z dziećmi na podwórze, wołała za nią. Dwoje dzieci mniejszych trzymała na ramionach, a starszy chłopak chwycił się przerażony za jéj odzież. „Joasiu! — wołała wdowa — nie zostawiaj nas! Ratuj nas!“

Joasia zatrzymała się zadyszana w połowie wiszaru i zawołała: — „Brnijcie na pagórek w ogrodzie. Ja wrócę i zabiorę dzieci! Ale weźcie téż i krowę naszę ze sobą!“

Starszy chłopczyna, oprzytomniawszy cokolwiek, porwał za postronek, którym krowa była przywiązana, i podążył z nią za matką.

Tymczasem Joasia wdrapała się na wzgórze, oddała matkę w ręce włościan z chaty najbliższéj, którzy się tam już byli schronili, i wróciła się napowrót. Sąsiedzi ją zatrzymywali, widząc oczywiste niebezpieczeństwo, na jakie się narażała. Woda bowiem ciągle gwałtownie wzbierała i pokryła już pagórek w ogrodzie, na którym z trudem trzymała się wystraszona sąsiadka, z uczepionymi u jéj ramion dziećmi i z krową.

Joasia nie dała się jednakże powstrzymać. Pędem zbiegła z góry i, walcząc z napierającymi bałwanami, które jéj już powyżéj ramion sięgały, zdążała ku wdowie. Nim jednakże doszła, wir fal porwał wdowę z dziećmi, porwał chłopaka, trzymającego się krowy, i pociągnął wszystkich na dół.

Joasia znalazła się sama wobec rozhukanych bałwanów. Spojrzała ku wzgórzom, ale z widzów przypatrujących się żaden nie miał odwagi przyjść jéj w pomoc. Spojrzała w niebo, westchnęła i, zalana bałwanami, również poszła na dno.

Tak zginęła szlachetna dziewczyna.

Za kilka dni woda opadła. Mieszkańcy wioski poczęli wracać do chat opuszczonych, ale zwłok Joasi nie znaleziono. Nie znalazł ich i brat jéj, gdy powrócił do matki, która wskutek przestrachu i żalu, po stracie Joasi, gorzéj jeszcze na zdrowiu podupadła.

Mieszkańcy wsi wystawili jednakże na brzegu wzgórza duży krzyż na pamiątkę tego zdarzenia a wszystkie dzieci nazywają go „Joasinym krzyżem“ i śpiewają piosenki, opowiadające powyższe zdarzenie.

Bolesław Baranowski.

12. Trzebnica.

Na Szląsku, trzy mile od Wrocławia, w pięknéj okolicy, nad źródłami rzeki Sieczki, leży miasteczko Trzebnica, z jednym z najstarszych w Polsce kościołów, zbudowanym w pierwszych latach XIII. wieku przez Jadwigę, małżonkę Henryka Brodatego, księcia wrocławskiego, gdzie téż spoczywają zwłoki téj świętéj niewiasty. Pobożnością, miłosierdziem i cnotliwymi uczynkami odznaczało się całe jéj życie do tego stopnia, iż ją Stolica apostolska w poczet świętych zaliczyła. Za jéj pobudką stanął tu wspaniały klasztor, a zakonnice, sprowadzone przez nią z Niemiec, piękne wokoło miasta pozakładały winnice. Z założeniem tego klasztoru i kościoła wiąże się następujące podanie:

Święta Jadwiga, powziąwszy zamiar zbudowania w tém miejscu kościoła, prosiła męża o wykonanie tego zamiaru, lecz on się wymawiał brakiem funduszów i tak upłynęło lat kilka na bezowocnych prośbach. Przypadek atoli okazał się skuteczniejszym od prośby niewieściéj. Henryk, polując w puszczy tutejszéj ze swym nieodstępnym przyjacielem Konradem, mistrzem kawalerów Jerozolimskich, wpadł na trop jelenia, którego ścigał zapamiętale. Jeleń, uchodząc pogoni, przypadł nad brzeg zielonéj łączki, którą jednym skokiem przesadziwszy, umykał daléj. Łączka ta był to moczar bezdenny, zieloną z wierzchu porosły trawą. Henryk, chcąc ją przeskoczyć w pogoni za jeleniem, wpadł z koniem w bagno i omal że w niém nie utonął. Wszelkie usiłowania wydobycia się stamtąd były daremne. W téj chwili Henryk, widząc pewną a niezaszczytną śmierć przed sobą, uczynił w duchu ślub zbudowania w tém miejscu, zgodnie z wolą swéj małżonki, kościoła i klasztoru, skoro wyjdzie żyw z tego niebezpieczeństwa. Jakoż wnet dźwignął się i wskoczył na brzeg stały, a i koń wyrwał się z bagna; a gdy stanął na twardym gruncie, z pod kopyta jego trysnęło źródło czystéj

wody. Źródło to bije dotąd, a lud mu uzdrawiające przypisuje własności.

Tutaj obok tego źródła stanął kościółek i obszerny, w czworobok zbudowany klasztor. Gdy budowę ukończono, sprowadziła Jadwiga i osadziła w tych murach zakonnice Cysterki, aby szerzyły między ludem pobożność i oświatę, tudzież znajomość uszlachetnionéj uprawy ziemi, któremu to zajęciu z zamiłowaniem się oddawały. Księżna zaopatrzyła hojnie klasztor we wszystkie wygody, a chcąc uprzyjemnić siedzibę jego mieszkankom, pamiętała o wszystkiém, co im potrzebném być mogło.

Raz z jéj rozkazu zapytano przeoryszy, czy klasztor dostatecznie zaopatrzony jest we wszystko i czyli im czego jeszcze nie potrzeba?...

— Trzeba nic — odpowiedzieła Niemka łamaną polszczyzną; i od tego powiedzenia, jak niesie podanie, miejsce to następnie Trzebnicą nazwano.

Kościółek Trzebnicki jest jednym z najstarożytniejszych zabytków polskich na Szląsku i utrzymuje się w dobrym stanie do dnia dzisiejszego, ale mury niegdyś klasztorne, zachowane również dobrze, inne mają dziś przeznaczenie. Nie ma już w nich zakonnic, oddanych modlitwom i uprawie bogatych winnic; nie ma tych, którym było tu tak dobrze, że już im nie było więcéj trzeba nic; ale z czasem obrócono zabudowania te na fabrykę sukna, a w ogrodzie, na miejscu rozkosznych winnic, stanęła wielka suszarnia wełny.

Takto z biegiem czasu zmieniają się ludzie i rzeczy, a pamiątki, do miejsc przywiązane, zapisuje i przechowuje historya ku czci u potomnych.

Władysław Zawadzki.

13. Pierścień Kunegundy.

Żyła w Węgrzech święta dziewica, córka króla Beli, a zwała się Kunegundą. Prosta była w swych obyczajach, pobożna i miłosierna, a poznałeś, że była królewną tylko po tém, że czyniła ludziom więcéj dobrego, niżby kto inny mógł uczynić. Sława jéj cnót rozeszła się daleko. Posłyszał więc o niéj także Bolesław, książę polski, a że był młody i nie

żonaty, więc umyślił wspólnie z panami i duchowieństwem prosić króla Beli o rękę córki.

Kiedy posłowie polscy przybyli z tém na dwór króla Beli, Kunegunda, poznawszy wolę ojca, poprosiła posłów do siebie i wypytywała się o kraj, o jego zamożność, o mieszkańców, o ich potrzeby.

— Żelazo mamy — odpowiedzieli posłowie, uderzając o pałasze — złoto i drogie jedwabie mamy, bo ich dostaniemy zawsze za nasze zboże; ale soli nie mamy, którą trzeba wozić zdaleka i kupować za drogie pieniądze, a lud biedny na tém cierpi.

Były zaś na Węgrzech ogromne góry soli, o których Kunegunda wiedziała; umyśliła więc ojca prosić, by jéj w posagu dał górę soli.

Skoro przyszło do zrękowin i Kunegunda opuszczała dom ojcowski, stary król, obcierając ukradkiem łzy, rzecze:

— Córko moja, cóż ci mam dać w posagu?

A ona, ukląkłszy i ucałowawszy jego nogi, zawołała:

— Ojcze mój, daj mi górę soli!

Uśmiechnął się król i rzecze:

— Cóż ci z niéj przyjdzie? Daję ci ją, skoro twoja wola, tylko powiedz, którą?

I zawoławszy podskarbiego, powiedział mu:

— Poprowadź Kunegundę tam, gdzie kopią sól; niechaj sobie jednę górę wybierze.

Wziąwszy z sobą posłów polskich, narzeczona Bolesława poszła za podskarbim; a kiedy przyszli do jednéj kopalni, o któréj mówiono, że była najbogatszą, zdjąwszy pierścień z palca, rzuciła do otchłani, mówiąc:

— Niechaj to będzie na znak wyboru mego.

Stało się wedle jéj woli i odtąd w téj górze nie kopano więcéj.

Ile było płaczu przy odjeździe z Węgier, tyle nastało uciechy, kiedy młoda królewna zawitała do Polski. Wyszedł lud i duchowieństwo z procesyą i sam Bolesław na pięć mil z Krakowa wyjechał naprzeciw niéj. Dwa orszaki spotkały się w Bochni.

Padła do nóg mężowi swemu Kunegunda i nieśmiałym głosem rzekła:

— Panie mój i mężu, nie przywożę ci żelaza, bo je masz, nie przywożę złota ani jedwabiów, ale przywożę sól, bo musisz ją zwozić zdaleka, a lud biedny na tém cierpi.

A kiedy Bolesław, nie zrozumiawszy jéj słów, patrzał, gdzie są te wozy, na których wiozą sól, Kunegunda jednemu z obecnych kazała kopać w ziemi.

Zaledwie kilka stóp odkopano, aliści zjawiła się bryła szara i lśniąca, którą wydobyto na wierzch. Rozbito ją na rozkaz Kunegundy, a wtém okrzyk podziwu i radości zabrzmiał naokoło: „To sól! Święta pani przywiozła nam sól!“ A Kunegunda, schyliwszy się, z bryły solnéj wydobyła pierścień, który wrzuciła do szybu na Węgrzech, i ofiarowała go mężowi. *Bronisł. Kamińska.*

---

14. Błogosławiony Sadok i jego towarzysze.

Straszne były napady tatarskie, które przez kilka wieków pustoszyły naszę ojczyznę. Pierwszy raz napadli Tatarzy na Polskę w r. 1240. za panowania Bolesława Wstydliwego, szerząc dokoła pożogę i zniszczenie. Zaledwie zaczęły się goić rany, zadane Polsce przez srogą dzicz; zaledwie spalone wioski i miasta zaczęły się dźwigać z gruzów: wpadli Tatarzy powtórnie do Polski z końcem r. 1259. I znów pokazały się łuny pożarów i znów dał się słyszeć jęk mordowanych ofiar, bo pohańcy nie oszczędzali nikogo. Szczególniéj jednak znęcali się jako nieprzyjaciele krzyża nad kapłanami, znieważając i burząc domy Pańskie.

Właśnie wtenczas znajdował się w Sandomierzu kościół OO. Dominikanów, którzy się wielką odznaczali pobożnością.

Przełożonym ich był Sadok, kapłan pełen ducha Bożego, który już wiele grzeszników nawrócił, wiele dusz świętobliwym swoim przykładem Bogu pozyskał.

Obyczajem klasztornym wstał on z bracią zakonną w nocy na modlitwę, tak zwaną jutrznię. Gdy po skończoném nabożeństwie najmłodszy braciszek miał śpiewać martyrologium, to jest zapowiedzi świąt, zobaczył w księdze napisane złotymi literami następujące słowa: *„Dziś w Sandomierzu męczeństwo Sadoka i czterdziestu dziewięciu zakonnych braci.“* Strwożył się wielce braciszek, ale przeczytał głośno

to, co widział. Przelękli się zrazu i zakonnicy. Wtedy Sadok wziął książkę i przeczytał tesame słowa. Książka przechodziła z rąk do rąk i wszyscy tosamo widzieli; dopiero gdy ostatni przeczytał, widzenie znikło. Bogobojny Sadok, pomodliwszy się w duchu, rzekł: „Bracia drodzy, Bóg żąda od nas krwi i życia, dajmy mu je chętnie. Żałujmy za grzechy nasze, posilmy się ciałem i krwią Jezusa Chrystusa, a potém niech się dzieje święta wola Boża! Zakonnicy schylili głowy w pokorze i powtórzyli: „Niech się dzieje święta wola Boża.“ Całą resztę nocy spowiadali się z grzechów swoich, przyjęli komunią świętą, a ich nabożne śpiewy rozlegały się wśród ciszy nocnéj w murach kościoła św. Jakóba. Zapowiedź męczeństwa niedługo czekać na siebie kazała. Rankiem 2. lutego 1260. wpadli Tatarzy do Sandomierza, zapalili miasto, wycięli mieszkańców, a wtargnąwszy do klasztoru OO. Dominikanów, w okrutny sposób rozsiekali Sadoka i czterdziestu dziewięciu zakonnych braci. Z modlitwą na ustach przelali krew swą męczennicy, a dusze ich przeniosły się w krainę wiekuistego szczęścia.

Papież Aleksander IV. policzył ich w poczet błogosławionych, przeznaczając na ich uczczenie dzień 30. października.

---

15. Kazimierz Korsak.

Przed trzystu laty żył w głębokiéj Litwie bogaty pan, nazwiskiem Korsak, mający kilkanaście wsi, rozległe ziemie i pełny skarbiec.

Dwoje dzieci mieli Korsakowie: syna i córeczkę o kilka lat młodszą. Ojciec wychowywał syna Kazimierza bardzo starannie. A dobry to był chłopiec, gdyż matka, niewiasta pobożna, wpajała w jego serce cnoty chrześcijańskie. Był on rodzicom posłuszny, szanował starszych, a cała służba we dworze bardzo go kochała.

Jednego dnia Kazimierek sześcioletni wybiegł z ogrodu do pobliskiego lasu, a zbierając kwiatki, zaszedł tak w gęstwinę, że trafić nie mógł do domu; zmęczony więc i głodny, usiadł pod drzewem i płakał długo, aż w końcu sen go zmorzył.

Chłopek, zbierający susz w lesie, nadszedł przypadkiem w to miejsce, a ujrzawszy panicza, przebudził go, okrył su-

kmaną i chciał wziąć na ręce. Chłopczyk, spostrzegłszy człowieka obcego, przeląkł się i zaczął krzyczeć; ale wieśniak uspokoił go, mówiąc:

— Nie bój się, paniczu; ja ci nic złego nie zrobię, tylko cię okryję, boś zziąbł, i zaniosę do domu.

Chłopczyk uśmiechnął się i wyciągnął rączki do włościanina, pozwalając się wziąć, a potém szepnął nieśmiało:

— Jeść mi się chce bardzo.

Tedy ów człowiek wydobył z kobiałki kawał czarnego chleba i dając Kazimierkowi, rzekł:

— Jédz, paniczyku; nie nawykłeś we dworze do takiego jadła, ale kiedy głód przyciśnie, to wszystko smakuje.

Tymczasem we dworze panował wielki niepokój; szukano zaginionego dziecięcia. Wtém ukazał się przed dworem chłopek, niosący Kazia. Poskoczył ku niemu marszałek dworu, ale zamiast mu podziękować za pomoc, nakrzyczał jeszcze, że się poważył pańskie dziecię okrywać brudną sukmaną.

Kazimierkowi utkwiło to w pamięci. Żal mu się zrobiło biednych ludzi i odtąd wymykał się czasami na wieś, niosąc łakocie chłopskim dzieciom.

Upłynęło lat kilkanaście. Kazimierek wyrósł na dorodnego młodzieńca, nauczył się dosiadać konia i doskonale robił bronią.

Naraz rozbiegła się wieść, że Tatarzy wpadli i pustoszą kraj ogniem i mieczem, a lud uprowadzają w niewolę.

Stary Korsak wyprawił Kazimierza na czele kilkunastu zbrojnych do obozu hetmana, gromadzącego wojsko przeciw poganom.

Wkrótce wyruszyło rycerstwo na Podole, kędy tatarskie hordy grasowały, a napotkawszy z nich jednę, uderzyło na pogan.

Zdobyto obóz tatarski, a w nim znaleziono mnóstwo jeńców, najwięcéj zaś męszczyzn i kobiet wiejskich, skrępowanych i wygłodniałych.

Korsak, choć lekko ranny i wielce strudzony, poszedł między jeńców i, pamiętny na owego chłopa, który go okrył i posilił, niósł pomoc wiejskiemu ludowi.

W parę dni potém wysłał hetman Kazimierza z oddziałem konnych na zwiady. Po przejrzeniu okolicy przybyli do jednéj wsi, już blisko o północy. Tu młody dowódca rozstawił czaty, a sam wszedł do chłopskiéj chaty i, zdjąwszy ku-

brak, położył się chwilkę wypocząć. Aliści zaledwie usnął, usłyszano wystrzały.

Kazimierz zerwał się i, odziawszy się naprędce, dopadł konia. Sąsiednią wieś plądrowali Tatarzy. Korsak rzucił się na ratunek. Jak piorun wpadli Polacy na pogan i porazili ich. Dopiero wtedy zwrócił Kazimierz oczy na swój ubiór i ujrzał, że w prędkości zamiast kubraka porwał sukmanę chłopską. I ujrzał w tém zrządzenie Opatrzności, że już po raz drugi w życiu znalazł się w chłopskiéj sukmanie.

Wojna wkrótce się skończyła, Tatarów odparto; ale w jednéj z ostatnich potyczek Kazimierz, otoczony przemagającą siłą, mimo dzielnéj obrony, dostał się do niewoli i zapędzono go do Krymu.

Tu dopiero pierwszy raz w życiu srogiéj zaznał biedy: obdarto go ze wszystkiego, okuto w kajdany i do najcięższych robót użyto.

Pomiędzy jeńcami najwięcéj było włościan; z nimi teraz zarówno pędzono do pracy syna bogatego pana, z nimi razem cierpiał niewygody, głód i odbierał bicie. Nie wydał się jednak Kazimierz, kim był, a poznawszy tu po raz pierwszy smutek i biedę, ślubował Panu Bogu, że jeśli za Jego łaską wydostanie się z pogańskiéj niewoli, nie wróci do swych dostatków, ale dla zyskania chwały niebieskiéj będzie prowadził taki żywot, jaki najbiedniejszy chłop prowadzi.

Jak długo Kazimierz zostawał w niewoli i jak się z niéj wydobył, to niewiadomo: pozwolił mu przecie Bóg Wszechmocny wrócić do ukochanéj ojczyzny.

Rodzice jego już nie żyli, a siostra wyszła za mąż za pana litewskiego, który po Korsakach cały majątek odziedziczył.

Gdy przyszedł na miejsce, przypatrzył się tylko zdaleka dworowi, w którym się urodził i wychował, a potém poszedł do lasu, kędy go ów chłop znalazł przed laty, i upatrzywszy jaskinię pośród gąszczów, osiadł w niéj i całe dni na modlitwie przepędzał. Żywił się przytém lichą strawą, zbierając ją w lesie lub prosząc o nią miłosiernych ludzi. W tém odludném ustroniu przeżył lat kilka, doskonaląc się w pobożności.

Aż jednéj nocy, gdy po całodziennéj modlitwie zasnął u stóp krzyża, zdawało mu się, iż widzi przed sobą anioła, oblanego światłością, który doń przemówił:

— Czyż myślisz, że dosyć jest modlić się, a w bezczynności choćby najuboższy żywot pędzić? Idź między ludzi, a pracuj w ubóstwie, jak oni; bo człowiek nie dla siebie samego, ale dla swoich bliźnich jest stworzony, a przeznaczeniem jego jest praca.

Zbudził się Kazimierz, a podziękowawszy Panu za przestrogę, pomodlił się ostatni raz w swojéj pustelni i poszedł między ludzi.

Przez siedm lat pracował Korsak u zagrodnika. Delikatne ręce jego zgrubiały od siekiery, cepów i sierpa. Nienawykły do ciężkiéj pracy, upadał nieraz od znużenia, ale krzepiła go miłość Pana Boga.

Najcięższe i najlichsze roboty odbywał z chęcią, zasług wcale nie biorąc. W nędznéj, połatanéj sukmanie chodził nieraz do dworu, w którym mógł być panem, nosił wodę, rąbał drzewo, łajany i potrącany nieraz od sług dworskich, a wszystko z milczeniem i wielką cierpliwością dla miłości Bożéj przyjmował, nie wydając się, kim jest, ani żaląc na złe obchodzenie.

Jakoż błogosławił Bóg pracy Kazimierza, bo zagrodnikowi, u którego służył, darzyło się i w polu i w oborze tak, że w ciągu tych lat przyszedł do dobrego bytu.

W końcu siódmego roku swéj służby wpadł Kazimierz w niemoc ciężką, a przeczuwając, że się zbliża śmierci godzina, rzekł do gospodarza:

— Miły Janie, wyjdźcie na gościniec, spotkacie tam kapłana; więc poproście, ażeby przyszedł opatrzyć mnie na śmierć.

Była to już noc późna, blisko północy, więc gospodarz odpowie:

— Cóż ci się widzi, człeku? skądby się ksiądz wziął o tym czasie na gościńcu? Ja założę konie, pojadę do miasteczka i stamtąd księdza przywiozę.

— Nie zastałby mnie już przy życiu — odrzeknie Kazimierz. — Idźcie zaraz, a napotkacie kapłana, jadącego bryczką od chorego.

Gospodarz, zdziwiony tą pewnością, z jaką mówił Korsak, nie ociągał się dłużéj, ale pobiegł na drogę; ledwie na niéj stanął, dał się słyszeć turkot. Nadjechała bryczka, a na niéj siedział kapłan, powracający od chorego.

Na prośbę zagrodnika poszedł natychmiast do jego chaty. Tu na lichém posłaniu ujrzał chorego, który go pięknie po łacinie przywitał.

Zdziwił się ksiądz, usłyszawszy, że taki biedak umie po łacinie; a dowiedziawszy się, że pragnie się wyspowiadać, kazał ludziom wyjść z izby.

Teraz dopiero z większém jeszcze zdziwieniem dowiedział się, kogo ma przed sobą. Wkrótce Korsak umarł i stosownie do jego życzenia pochowano go w prostéj trumnie, jak najuboższego chłopa.

W siedm lat dopiero, w rocznicę śmierci Kazimierza, kapłan ów odprawił uroczyste nabożeństwo za jego duszę i na kazaniu, wypełniając ostatnią wolę zmarłego, obecnéj siostrze i wszystkim zgromadzonym w kościele opowiedział o życiu Korsaka.

Wszyscy obecni rzewnym płaczem uczcili pamięć błogosławionego męża. Siostra jego świadczyła wiele dobrego wieśniakom i szczerze się nimi opiekowała. A gdy na którego przyszło strapienie lub nieszczęście, biegł na grób Kazimierza Korsaka i tam w modlitwie szukał pomocy i pociechy.

16. Bogobojność Rudolfa z Habsburga.

Przed 600 laty żył w Niemczech możny hrabia, Rudolf z Habsburga. Wybrawszy się raz do kniei na polowanie, usłyszał zdala głos dzwonka. Zdziwiony udał się niezwłocznie w tym kierunku i ujrzał kapłana, śpieszącego z Przenajświętszym Sakramentem do chorego. Wąska drożyna leśna gubiła się właśnie w tém miejscu nad brzegiem szumiącego potoku, którego wody, ulewą wezbrane, uniosły kładkę ze sobą. Nie zważał na to zacny kapłan i, nie tracąc czasu, jął czémprędzéj ściągać obuwie, ażeby w bród dostać się na drugą stronę. Hrabia, widząc to, zeskoczył natychmiast z konia i ofiarował go kapłanowi z uprzejmą prośbą, aby go zechciał użyć do dalszéj podróży. Czas naglił, kapłan więc przyjął bez namysłu ofiarę i ruszył w drogę.

Kiedy za powrotem odprowadził konia hrabiemu, odezwał się doń Rudolf: „Uchowaj Boże, abym miał dosiąść jeszcze kiedykolwiek rumaka, który nosił mego Boga i Pana; zatrzymaj go więc przy sobie, aby ci nadal służył do podo-

bnych celów!“ Kapłan, wzruszony do łez dobrocią hrabiego, wzniósł oczy ku niebu i zamiast podzięki gorąco modlił się do Pana Zastępów o błogosławieństwo dla wspaniałomyślnego dawcy.

Błogosławieństwo to wkrótce się ziściło. Książęta niemieccy, zebrawszy się dla wyboru króla, ofiarowali koronę bogobojnemu Rudolfowi. Za jego sprawiedliwych rządów pokój i szczęście zapanowały w całym kraju, syn zaś Rudolfa, Albrecht, otrzymał w lenno kraje austryackie. Odtąd potomkowie jego rządzili w Austryi bez przerwy, a tak Rudolf z Habsburga dał początek dynastyi, do dnia dzisiejszego najmiłościwiéj nam panującéj.

17. Stopka królowéj Jadwigi.

W Krakowie, na przedmieściu, zwaném Piasek, budowano kościół na cześć i chwałę Najświętszej Panny. Jeden z mularzy pracował, co sił starczyło; dźwigał ciężkie kamienie, narzucał je wapnem i ani na chwilę nie spoczął. Lecz nie był tak wesołym, jak inni; twarz jego była zachmurzona smutkiem i boleścią, a zamiast śpiewać wesoło, jak towarzysze jego, ocierał od czasu do czasu łzy z oczu.

Z zamku królewskiego wyszła królowa Jadwiga z mężem swoim, Władysławem Jagiełłą, i liczną dworzan drużyną. Wszyscy szli prosto na Piasek, przypatrzeć się budowie kościoła. Lecz zaledwie stanęli na miejscu, dostrzegła królowa smutek mularza. Zapytała go w téj chwili o powód smutku.

— Miłościwa Pani! — rzekł mularz, kłaniając się do stóp królowéj — żona moja leży chora, w gorączce, bez przytomności. O drobnych dzieciach nie ma kto pamiętać; chodzą głodne, bose i obdarte. Praca moja nie wystarcza na to, aby żonę leczyć, dzieci nakarmić i ubrać... I nie mógł daléj mówić, a łzy płynęły mu potokiem po twarzy.

Serce się ścisnęło królowéj Jadwidze, gdy to usłyszała. Wsparła nogę na leżącym obok kamieniu, a schyliwszy się, odpięła od trzewika kosztowną sprzążkę i dała ją biednemu mularzowi, mówiąc:

— Nie mam z sobą pieniędzy, lecz weź ten klejnot, a on przywróci zdrowie twéj żonie, odzieje i nakarmi twe dzieci.

Na ten widok król i dworzanie dorzucili także hojne datki, a biedny rzemieślnik stał się bogatym w jednéj chwili. Upadł do nóg swoim dobrodziejom, a kiedy odeszli, spostrzegł na kamieniu, na którym Jadwiga nogę swą oparła, wyraźny ślad jéj stopy, gdyż kamień ten był przed chwilą wapnem narzucony. Chwycił więc za młot i dłuto i, na pamiątkę szczęśliwéj godziny, wykuł w kamieniu ślad stopy litościwéj pani.

Po dziś dzień w murze kościoła Panny Maryi na Piasku, widzieć można ten wykuty ślad stopy, a ludzie zowią go *stopką Jadwigi.*

18. Święty Jan Kanty.

Święty Jan Kanty, nasz rodak i patron uczącącéj się młodzieży, urodził się w roku 1412. za panowania króla polskiego Władysława Jagiełły, w miasteczku Kęty, położoném niedaleko Krakowa; stąd téż powstała jego nazwa Jana z Kęt czyli Kantego.

Młodziuchny Jan, mając piękny przykład pobożności od rodziców, przywykł wcześnie do bogobojnego życia. Rychło téż oddano go do Krakowa na naukę do sławnéj akademii krakowskiéj. Młodzieniaszek czynił zadziwiające w naukach postępy, a przytém nie zaniedbywał doskonalenia się w cnotach chrześcijańskich. Chodził często i chętnie do kościoła, gdzie modlił się szczerze i uważnie. Wyświęcony na kapłana, oddał się cały chwale Boga i dobru bliźnich. Wszystkie swoje dochody obracał na wsparcie biednych.

Razu pewnego siedział przy stole z kilku studentami, jedząc obiad. Wtém wchodzi żebrak i prosi o jałmużnę. Tknięty litością oddał mu ksiądz Jan własny kawałek mięsa. Raz znów, gdy w nocy Bożego Narodzenia szedł Jan Kanty do kościoła na jutrznię, ujrzał leżącego na śniegu nędzarza, który drżał od zimna i prosił miłosierdzia. Świątobliwy kapłan, choć mróz był dotkliwy, nie namyśla się długo, ale daje zwierzchnią szatę proszącemu.

Często, widząc ubogiego z bosymi nogami, dawał mu własne trzewiki, a sam szedł boso, spuszczając płaszcz, aby nie było widać braku obuwia. Bardzo piękny przykład pozostawił nam też ksiądz Jan w przebaczaniu uraz, gdyż choć go

kto obraził, nie gniewał się za to, a jeżeli mu się zdawało, że kogo nieumyślnie uraził, szedł do niego i prosił o przebaczenie. Miał on w swéj celi napisane słowa: „Strzeż się bliźniego obrazić, bo niełatwo przebłagać; strzeż się kogo zniesławić, gdyż trudno odwołać.“

Zakończył chwalebny żywot ksiądz Jan Kanty w Krakowie 1473. roku: pochowano go w kościele świętéj Anny. Dla licznych cudów, które Bóg za jego przyczyną uczynił, został kanonizowany w r. 1750.

---

19. Grzegorz z Sanoka.

Na szerokiéj drodze, ciągnącéj się wśród pól, ogołoconych już ze złotych kłosów żyta, ukazały się dwie postaci: męszczyzna w wieku podeszłym i chłopię niedorosłe. Obaj byli widocznie mieszkańcami, jeśli nie téj wsi, którą mijali, to jakiéjś innéj; ubiór ich świadczył o tém... Stary podpierał się grubym, sękatym kijem, od czasu do czasu wzdychał ciężko; chłopiec rozglądał się ciekawie wokoło.

— No — rzekł stary — to i rozstać się nam trzeba; ja daléj iść nie mogę, choćbym i chciał. Ciężka ci dola naznaczona, lecz sam się do niéj rwiesz, a ja ci nic dać nie mogę, bo w chacie jeszcze pięcioro żywić trzeba. Nie zapomnij, żeś synem prostego kmiecia, nie zapomnij braci twoich i téj wioski, gdzieś pierwszy raz słońce ujrzał, gdzie stoi chata twoja, gdzie mogiła twéj matki. Gdy nad książkami zasiądziesz i mądrości się z nich nauczysz, nie pogardzaj tymi, co z pługiem po roli chodzą, bo i oni uczciwie pracują, i oni potrzebni na téj ziemi. Niechaj nauka uczyni cię tylko mądrym i dobrym, abyś mógł przez nią kiedyś bliźnim twoim drogę do szczęścia otwierać.

Chłopak płacząc pochylił się do kolan ojca, uścisnął je, poczém rozstali się; stary podążył ku wsi, któréj chaty teraz z poza mgły się ukazały, chłopak poszedł naprzód daléj. Kilkakrotnie obejrzeli się za sobą, kilkakrotnie przystanęli, by popatrzeć na siebie, nakoniec stracili jeden drugiego z oczu.

Chłopak zrazu szedł zwolna; smutny, zadumany, ciągle przystawał i ku wiosce patrzył, jakby mu jéj żal było, lecz po niejakim czasie rozweselił się.

Około południa spoczął pod drzewem przy drodze, napił się wody ze strumienia, posilił chlebem i serem, który mu ojciec dał jeszcze w chacie, i znowu powędrował daléj; a gdy noc nadeszła, ułożył się do snu w suchym rowie. Nazajutrz, równo ze świtem, zerwał się i puścił znowu daléj, pytając przechodniów o drogę do Krakowa.

Tak było przez dni parę. Lecz potém wesołość poczęła go jakoś opuszczać; spostrzegł ze strachem, że pieniądze, które mu ojciec dał na drogę, wyczerpują się, a do Krakowa jeszcze daleko.

Podarły się chłopcu chodaki i boso daléj wędrować musiał, choć kamienie kaleczyły mu nogi. Coraz mu ciężéj było; zrazu szedł od świtu do południa bez odpoczynku, teraz co godzina wytchnąć musiał, bo czuł, że padnie w drodze, jeśli nie spocznie. Głód nieraz téż dobrze dokuczył chłopcu; czasami prócz kawałka chleba nic cały dzień do ust nie włożył. Smutno, ciężko było mu na duszy; przecież szedł wciąż naprzód. Cierpiał, lecz się nie skarżył; patrzał z trwogą w przyszłość, ale nie cofał się...

Nareszcie po wielu dniach znużenia i głodu ujrzał wieczora jednego jakieś mury, jakieś wieżyce i dachy przed sobą, a gdy zapytał przechodniów, co to za miasto, powiedziano mu, że to Kraków. Więc dobił się wreszcie do celu... Gdy dostał się w gwarne ulice miasta, sam nie wiedział, co się z nim dzieje. Blady ze zmęczenia, wychudły, obdarty, mógł litość budzić i budził ją istotnie. Przechodzący przypatrywali mu się z ciekawością i ze współczuciem. Niespodzianie uczuł czyjąś rękę na ramieniu. Obejrzał się: za nim stał młody ksiądz. Taka dobroć, taki spokój, taka powaga malowały się na jego twarzy, iż chłopiec odrazu nabrał zaufania do tego nieznajomego.

— Tyś tu obcy, szukasz kogoś? — zapytał nieznajomy głosem łagodnym.

— Szukam szkoły — odparł śmiało chłopiec, zdjąwszy kapelusz z głowy; — przywędrowałem tu zdaleka, by się uczyć w akademii.

Uśmiechnął się nieznajomy.

— Pierwéj trzeba ci przygotować się do akademii, zanim do niéj cię wpuszczą; jeszcześ mały.

— To i co? kiedyś przecie będę duży.

— A nie przestrasza ciebie to, że tyle lat w szkole siedzieć będziesz musiał; że, kiedy inni będą swawolili po łąkach, ty będziesz musiał w izbie nad książkami ślęczeć? — pytał nieznajomy, badawczo patrząc chłopcu w oczy.

Chłopak ruszył ramionami.

— Po tom przecie mil tyle wędrował, by się uczyć; jabym całe życie chciał tylko nad książką siedzieć.

— Ileż ty masz lat?

— Dwanaście.

— Imię twoje?

— Grzegorz.

— Skądże ty jesteś? masz rodziców?

— Z pod Sanoka pochodzę, ojca mam; pozwolił mi iść do Krakowa, gdy o to poprosiłem, ale powiedział, że pieniędzy na naukę nie da, bo nie ma.

Nieznajomy popatrzał ze współczuciem na dziecko.

— Trudne będziesz miał życie — rzekł po chwili; — no, ale tak niejeden tu przyszedł i radzi sobie. Uczyłeś się już czego?

Grześ podniósł czoło.

— Umiem czytać, pisać, rachować, no i śpiewać trochę — odrzekł śmiało; — chodziłem do szkoły parafialnéj w Sanoku.

— Zobaczymy, zobaczymy — odparł nieznajomy, gładząc jego płowe włosy; — w szkole zdasz egzamin z tego, co umiesz. Chodź! poprowadzę cię do szkoły.

Na jednéj z bocznych ulic wznosił się piękny, murowany budynek, schludny i duży.

Gdy weszli do niego, znalazł się Grześ w obszernéj izbie. Stały tutaj ławy, w których siedzieli chłopcy; naprzeciwko wznosiła się katedra. Zasiadł w niéj ów ksiądz i podał Grzesiowi księgę. Malcy nadstawili uszu, czekając, jak Grześ jąkać się zacznie, gdy ku ogólnemu zdziwieniu chłopak przeczytał gładko całą stronicę. Ksiądz go pochwalił, kazał mu potém pisać; i z kaligrafią się powiodło.

Tegoż więc jeszcze dnia syna ubogiego kmiecia z pod Sanoka zapisano do grona uczniów szkoły św. Anny. Łagodna a przytém rozumna jego twarz, zdolności, jakie okazał, zjednały mu łaskę księdza, który był przełożonym téj szkoły. Skoro dziatwa szkołę opuściła, przywołał chłopca i powiódł go z izby szkolnéj do swéj celi, która na tymsamym korytarzu się znajdowała.

— O mieszkanie się nie troszcz — rzekł — dam ci kąt do spania; tylko o obiedzie pomyśleć trzeba. Ale i na to poradzimy, będziesz żył, jak wielu, z jałmużny.

Na bladą twarz Grzesia wybiegł rumieniec.

— Z jałmużny? — powtórzył pytającym tonem.

— Zaraz cię objaśnię; teraz południe, pójdziesz po obiad. Ci wszyscy, którym z domu nie przysyłają pomocy, żyją tu z jałmużny; mieszczaństwo krakowskie jest poczciwe. — To powiedziawszy, zakrzątał się po celi i niebawem przyniósł Grzesiowi glinianą miskę, łyżkę drewnianą i jakąś kartkę.

— Idź z tém na ulicę, zastukaj do pierwszego domu za kościołem, pokaż kartkę, a jeść ci dadzą. Znam ludzi, którzy tam mieszkają; liczną mają dziatwę, pożywisz się przy niéj.

Grześ patrzał na księdza, spoglądał na miskę i nie odpowiadał; nagle z jego oczu łzy trysnęły.

— I czegóż płaczesz? — spytał ksiądz — wszakże życzenia twoje spełnione, uczyć się będziesz.

Chłopak już połknął łzy, skłonił się do nóg księdza, wziął miskę, łyżkę i kartkę i wyszedł z celi. Jeść mu się chciało, ale myśl, iż żebrać ma, przykrą mu była, więc nie śpieszył; szedł zwolna z głową, smutnie ku piersiom opuszczoną. Wtém ujrzał kilku kolegów z łyżkami i miskami, wysuwających się z bramy szkolnéj i dążących do jednego z domków, położonych wśród zielonych ogrodów. Zastukali do drzwi, rozwarły się podwoje i z jednych wysunęła się jakaś mała dziewczynka z garnuszkiem w ręku, uśmiechnęła się do stojącego w progu żaka i nalała mu ciepłéj zupy na miskę; z drugich wyszła jakaś sędziwa niewiasta, z innych grzeczne chłopię: ani jeden z malców z próżną miską nie odszedł. Grześ patrzył i czuł miłe wzruszenie w sercu; piękny bo téż to był obraz patrzeć, jak miasto pomaga dziatwie, by na ludzi wyrosła. Teraz już go nie bolało tak, iż prosić musi, posunął się w ulicę i do domu wskazanego przez księdza zastukał, ale bardzo lekko; otworzono mu wszakże natychmiast, a w progu ukazała się rumiana, uśmiechnięta dobrotliwie kobieta.

— Cóż tak kołacesz nieśmiało? — spytała — czy się boisz, czy się wstydzisz? Pewnoś w Krakowie nieoddawna.

Grześ w miejsce odpowiedzi podał kartkę księdza. Kobieta na nią nie spojrzała.

— Nie masz się czego bać — ciągnęła dalèj — i wstydzić się nie masz czego... My wam dziś dajem, potém wy nam dawać będziecie, wprawdzie nie strawy na miskę, lecz coś droższego, czego złotem nie opłacisz... dacie nam naukę, mądrość, światło. Kto wie, może ty kiedyś wnuki moje uczyć będziesz.

To powiedziawszy, wskazała chłopcu drzwi, do sieni wiodące, i za chwilę Grześ siedział w dużéj izbie przed stołem, białym obrusem zasłanym, nad miską pełną krup, suto okraszonych.

Najgorętszemu pragnieniu Grzesia stało się tedy zadość. Znalazłszy cudem prawie opiekę, nie potrzebując już troskać się ani o kawałek chleba ani gdzieby mógł złożyć głowę do spoczynku, wziął się szczerze do nauki. Szybko mijały lata, spędzone nad księgami i wśród ustawicznéj pracy, aż wreszcie jego pilność, wytrwałość i gorąca miłość nauki zostały uwieńczone. Grzegorz z Sanoka, syn ubogiego kmiecia, z ucznia akademii krakowskiéj został jéj nauczycielem, a później nawet doradcą króla Władysława Jagiełły. Zasłużył się ojczyźnie także przez swą naukę, gdyż niejedno złe usunął, niejeden błąd sprostował. Dzięki swym zasługom, został w końcu arcybiskupem lwowskim. Umarł w 1477. roku, mając lat 70.

---

20. Dobroczynność Skargi.

Do najsławniejszych ludzi w XVI. wieku w Polsce należał Piotr Skarga, znakomity mowca i kaznodzieja, mąż uczony i światły pisarz, który oprócz wielkich przymiotów umysłu, posiadał jeszcze serce anielskie i duszę szlachetną. Lubo był kaznodzieją nadwornym króla Zygmunta III., jednakże prowadził życie bardzo skromne. Izdebka, którą zamieszkiwał, nie tylko ubogą, lecz nędzną nawet była.

Pewnego razu, jadąc do Lwowa, zatrzymał się w małém jakiémś miasteczku i ujrzał koło jednego z domów zbiegowisko. Zapytawszy o przyczynę, dowiedział się, że egzekutorowie zajmują właśnie rzeczy jakiegoś ubogiego rzemieślnika, ojca rodziny, który wskutek choroby zadłużył się i swemu wierzycielowi długu uiścić nie mógł.

— Ileż wynosi dług? — zapytał Skarga.

— Sto dukatów — odpowiedziano mu.

Skarga nic nie rzekł, kazał jechać daléj, a gdy oddalili się nieco od domu tego nieszczęśliwego, zawołał wówczas na woźnicę, aby się zatrzymał. Potém dobył z woreczka sto dukatów i rzekł, podając je woźnicy:

— Wróć tam, gdzieśmy się przed chwilą zatrzymali, i kup za tych sto dukatów pierwszy lepszy przedmiot, jaki sprzedawać będą.

Woźnica śpiesznie wykonał rozkaz. Właśnie, gdy przybył na miejsce, sprzedawano jakiś stary, o trzech nogach stolik.

— Daję za niego sto dukatów — zawołał woźnica.

Wszyscy spojrzeli z niedowierzaniem, niektórzy głośno się rozśmiali, inni szeptali: To waryat pewno!

Lecz jakież było ogólne zdumienie, kiedy nieznany nikomu przybysz w chłopskiém ubraniu posunął się naprzód i powtórzył znowu: Daję sto dukatów!

Mówiąc te słowa, położył na stół potrzebną sumę na zaspokojenie wierzyciela. Dług w jednéj chwili był zapłacony, a nieszczęśliwy ojciec, który już myślał nad tém z rozpaczą, gdzie dzisiejszą noc z dziećmi przepędzi, co im do ust poda, ujrzał się niespodzianie wybawionym od nędzy.

---

21. Karol Chodkiewicz w szkole.

Uroczystym był dzień dla uczniów wileńskiego kolegium, w którym król Stefan Batory, znakomity wojownik i polityk, troskliwy o oświecenie podległego sobie ludu, osobiście, w towarzystwie hetmana Jana Zamojskiego i innych znakomitych panów, przybywał w mury szkolne, ażeby zwiedzić je i obecnością swoją do nauk i pilności młodzież zachęcić.

Z dobrocią nieraz odzywając się do powstałych na jego przybycie młodzieńców, spoglądał Batory na te niedorosłe szczepy, na których przyszłe państwa spoczywały nadzieje. Przypatrując się tym twarzom świeżym i wesołością tchnącym, król z rysów ich i blasku spojrzenia starał się odgadnąć przyszłość niejednego z tych nawpół jeszcze dzieci.

W ten sposób przechodząc, zatrzymał się Stefan przed młodzieńcem, którego otwarte oblicze i wysokie czoło wskazywały wielki i przedsiębiorczy umysł, a żywe i przenikliwe spojrzenie zdradzało niezwykłe zdolności. Chwilę z zajęciem

spoglądał nań król, potém z ojcowską poufałością opierając rękę na jego ramieniu, rzekł:

— Jak się nazywasz, chłopcze?

— Karol Chodkiewicz -- odpowiedział niezmieszany młodzian.

— Podobałeś się nam -- rzekł daléj Batory; — ucz się, bądź pilnym, a zrobimy cię człowiekiem.

Uradowany łaskawością monarchy Chodkiewicz, nie umiał słowa odpowiedzieć i podaną mu przez króla rękę przycisnąwszy do ust, z żywém uczuciem po kilkakroć ją ucałował.

— Bądź zdrów — dodał oddalając się król — a pamiętaj o dobréj radzie naszéj!

Kiedy zaś o tyle odsunął się od Chodkiewicza, iż ten go usłyszeć nie mógł, raz jeszcze zwracając się ku niemu, rzekł do Zamojskiego:

— Zobaczysz, hetmanie, że ten chłopiec kiedyś znakomitym mężem i wielkim rycerzem będzie.

Spełniły się wieszcze słowa Stefana Batorego. Karol Chodkiewicz po opuszczeniu kolegium, odznaczając się bystrością umysłu i odważném sercem, przebiegł w ciągu lat kilkunastu niższe wojskowe stopnie, otrzymał nakoniec senatorski urząd żmudzkiego starosty, a w roku 1604. został mianowany hetmanem litewskim. *E. Bogusławski.*

---

22. Dziecięce lata Sobieskich.

Marek i Jan Sobiescy spędzili pierwsze lata swego dzieciństwa na zamku Oleskim, pod okiem kochającéj matki i troskliwego, acz surowego ojca.

Jakób Sobieski, który zasługami około kraju coraz wyższych dobijał się godności, a nawet właśnie w tych latach z krajczego postąpił na podczaszego koronnego, miał na samym sobie najlepszy dowód, że jedynie nauka toruje człowiekowi drogę do zaszczytów; że nauki nie zastąpi ani szlachetne urodzenie ani majątek; dlatego téż wcześnie, jużto sam jużto przy pomocy dobranych nauczycieli, udzielał swym synom początków nauk, stosownych do ich wieku. Szczególnie zaś dbał o to, ażeby się nauczyli jasno, płynnie i w uprzejmy sposób swe myśli tłómaczyć i wiedzieli, jak i kiedy w towarzystwie stosownie się odezwać, Toż nieraz w tym celu stawiał obu malców przed sobą na stołkach i kazał, aby, patrząc

mu śmiało w oczy, opowiadali płynnie i porządnie, z odpowiednim gestem, co przez dzień robili, albo też, aby go o co grzecznie prosili. Ubiór ich bywał bardzo skromny, a zawsze, tak teraz jak i późniéj, tylko narodowy, polski; podgolone ówczesnym zwyczajem i w krąg strzyżone głowy nakrywała zwykła magierka, do któréj w święto lub przy uroczystościach, jako największą ozdobę, piórko przypinać ojciec pozwalał. Rano bez niczyjéj pomocy ubierać się musieli. Podobnie też, mimo wielkich w domu dostatków, żywiono chłopców od dzieciństwa przeważnie grubymi potrawami, aby zawczasu przywykli do niewygód, z jakimi kiedyś spotkać się mieli w obozie. Hartowano ich też na znoszenie upału i mrozu, przyzwyczajano do wszelakich trudów. W tym celu biegali zimą i latem, a późniéj harcowali na koniach pod okiem ojca na podwórzu zamkowém. Dla ćwiczenia zręczności grywali w piłkę i strzelali z łuków.

Wśród takichto pożytecznych zabaw i dziecinnych igraszek płynęły obu chłopcom dni wesoło i swobodnie na zamku oleskim. Jaś, chociaż o półtora roku młodszy, w niczém nie ustępywał starszemu Marasiowi, ani w początkowych naukach ani w ćwiczeniach ciała, owszem był nawet pojętniejszy, zręczniejszy i odważnieszy, lecz obok tego i bardziéj porywczy, za co go ojciec nieraz surowo karcił.

W podobny sposób, jak w Olesku, spędzili oni jeszcze dwa lata na zamku w Żółkwi, z tą chyba różnicą, iż tu zaczęto ich powoli wprawiać do łaciny. Pierwszymi wyrazami łacińskimi, które się wojewodzice od matki nauczyli czytać i rozumieć, były słowa napisów na grobach przodków w farze żółkiewskiéj. „O jakże słodko umrzéć za ojczyznę!“ i „Oby kiedyś powstał z kości naszych mściciel“, a podniosłe te wyrazy budziły w nich chęć do wielkich czynów.

Kiedy już Maraś miał lat jedenaście, a Jaś koło dziesięciu, umyślił ojciec posłać ich dla dalszego kształcenia do słynnéj natenczas szkoły, t. j. do akademii krakowskiéj. Wprawdzie przyjmowano tam chłopców dopiero po skończonym czternastym roku życia, ale tym razem zrobiono wyjątek ze względu na dobre chłopców przygotowanie domowe.

Jak tedy ówczesnym obyczajem na dostojne przystało panięta, wyruszył z Żółkwi z wojewodzicami liczny orszak do prastaréj Piastów stolicy, pod opieką pana Orchowskiego, dawnego, doświadczonego dworzanina wojewody, który jeszcze

z nim samym odbywał przed 30-tu laty dalekie podróże za granicą. Był w tym orszaku i pan Rożenkiewicz, nauczyciel do rzeczy szkolnych, i pan Zdarowski do rozmowy w języku niemieckim i młody Francuzik do konwersacyi francuskiéj, prócz tego kilku wyrostków szlacheckiego pochodzenia do posługi, a wreszcie kucharz z zapasami i przyborami kuchennymi, razem osób dziewięć. Podróż w tak liczném towarzystwie trwała dość długo.

W Krakowie najęto dom niedaleko kościoła św. Anny. W jednéj izbie sypiali wojewodzice z panem Orchowskim, druga służyła za jadalnię i do nauki, w dwóch innych mieściła się reszta domowników. Tryb życia z polecenia pana wojewody był tu również tak surowy, jak w domu rodzicielskim. Wojewodzice wstawali, skoro świt, a ubrawszy się sami, szli naprzód do kościoła na mszę św., a potém do szkoły. Na ulicy towarzyszyli im wszyscy dworzanie, bo nigdy bez tego orszaku publicznie się nie pokazywali.

W akademii przykładali się przedewszystkiém do języka łacińskiego i wymowy, do czego wówczas wielką przywiązywano wagę; prócz tego uczyli się języków francuskiego, niemieckiego, włoskiego, tureckiego i innych przedmiotów. Szczególnie Jaś celował pamięcią, tudzież zamiłowaniem i łatwością w nauce. Jednał on sobie przychylność swych nauczycieli nie tylko wielką bystrością umysłu, ale téż uprzejmością.

Przy obiedzie zasiadał częstokroć który z zaproszonych profesorów akademii, aby wojewodzice przywykli prowadzić przy stole poważne rozmowy po łacinie. W wolnych od nauki chwilach robili dalsze wycieczki w okolice Krakowa, pieszo lub konno, uczyli się szermierki, przyjmowali u siebie lub odwiedzali kolegów, a wszystko pod bacznem okiem pana Orchowskiego. Wychowywani oni byli przez niego w wielkiéj karności, bo ojciec pozwolił zacnemu opiekunowi używać nawet „pręta“ na poskromienie młodzieńczych wybryków. Sami przytém winni byli zdawać rodzicom sprawę w listach ze swoich postępów; pisywali tedy każdego miesiąca jeden list polski do matki, a jeden łaciński do ojca własnym konceptem i bez czyjéjkolwiek pomocy, gdyż pan wojewoda pragnął w tych listach śledzić postęp synów w językach i w piśmie.

Pięć lat spędzili wojewodzice na takiéj nauce w Krakowie, poczém powrócili z całym orszakiem do Żółkwi.

23. Spotkanie z królem.

(Opowiadanie pana Mroczka.)

Już mrok padał, gdym do domu powrócił. Patrzę... w dziedzińcu konie jeszcze wodzą. Domyśliłem się gości. Czekali na mnie w ganku, a skoro mnie zobaczyli zdaleka, podnieśli czapki do góry i wołają: „Winszujemy, winszujemy!“

— Mówcie — rzekłem — co jest, bo nic nie rozumiem.

— Słuchaj — ozwał się jeden z nich — pójdziesz na wyprawę pod Wiedeń, i to w orszaku samego króla. Oto wezwanie dla waszmości, w którém stoi, ażebyś niezwłocznie wprost do Warszawy i Wilanowa się udał.

Uradowany uścisnąłem towarzyszy, tak szczerze cieszących się mojém powodzeniem, i krzyknąłem do Grzesia:

— Dawaj miód, tylko stary!

Ucztowaliśmy i gawędzili wesoło do wieczora. Nazajutrz zaś bardzo rano, bom téż i spać z wielkiéj radości nie mógł, przygotowałem wszystko, com z sobą zabrać musiał, poczém, zdawszy całe gospodarstwo, wyruszyłem w drogę, odmawiając: „Pod Twoję obronę.“

Droga szła mimo kościoła i plebanii. Niechby Pan Bóg uchował, bym poczciwego księdza nie miał nawiedzić, pożegnać i prosić o błogosławieństwo. Zsiedliśmy tedy z koni. Widzę, ksiądz z brewiarzem idzie właśnie do kościoła, a ujrzawszy mnie w zbroiczce i po podróżnemu (może téż co i wiedział o wyjeździe), witając zawołał: „Zajedźże, synku, przed ołtarz Pański; nigdy ci to nie zaszkodzi, że z Bogiem poczniesz; ojcowie tak czynili, a było im z tém niezgorzéj“.

— „Szedłem do was po błogosławieństwo — odpowiedziałem; — westchnijcie za mną.“ Ten już nic nie rzekł, ino mi ręką wskazał kościół; więc wszedłszy, poklęknąłem, a dusza się sama modliła. Odśpiewał ksiądz nieszpory; potém skinął na mnie, abym do ołtarza przystąpił. Poszedłem ja i Grześ po błogosławieństwo. Pomodliwszy się, wyszedłem z kościoła; proboszcz na drodze czekał i dodał: „Na koń, synu mój! w drogę, a z Bogiem!“ więc już nie było co zwlekać. Dosiadłem siwego i ruszyłem z kopyta, na wóz i Grzesia się nie oglądając, którzy mnie aż pod lasem dopiero dogonili.

Warszawę mało co znałem, a Wilanowa wcałem nie widział. Ścisk, tłok, wrzawa, że mi się ledwie lichą gospodę

wyszukać udało; a dobrzem musiał Grzesia wyuczyć, aby się wciągnąć w pole nie dał, bo w takiém zbiegowisku różnego ludu pewnie i złego dosyć. Poszedłem na zwiady, jak mi się tam do tego dworu dostać, meldować, z kim gadać; ale, jakby na złość, żywéj duszy znajoméj nie spotkałem.

Ano wiedzieć jeszcze trzeba, żem króla żywego téż nigdy jeszcze nie oglądał, ino tylko na pieniądzach i na wizerunkach. Przebiegłszy miasto całe, dobrze niecierpliwy już, puściłem się pod wieczór ku temu Wilanowu za wskazówką ludzi, aby choć wiedzieć, którędy nazajutrz z moim taborem jechać. Wieczór, jak dziś pamiętam, był pogodny, a po gorącym dniu powietrze tak miłe i chłodnawe, jak rzadko podczas upałów w lecie. Już em był drogą uszedł kawał spory i nie było po co iść daléj; ale w polu czułem się jakiś rzeźwiejszy i szło się już tak, aby sobie iść. A mijało mnie ludzi konnych, pieszych, na wozach bardzo dosyć.

Żem szedł prędko, dopędziłem szlachcica w poważnych latach, tuszy okazałéj. Ten sobie idzie samopas, ręce w tył założywszy, w letnéj czapce białéj, bez szabli, jakoby koło domu; kitel na nim jasny, jakiego na wsi używają, laska za plecyma w rękach, a para psów przed nim. Myślę sobie: „Nie chybi, ktoś ze dworu; dobrze dostać języka“. Przyśpieszywszy więc kroku, równam się z nim, a że człek w latach i bardzo słusznie wyglądał, skłoniłem się mu, przystanąwszy. Ten téż mi czapki uchyla i przystaje, a patrzy mi w oczy. — „Czołem, czołem! Coś mi tu waszmość obco wyglądasz“ — mówi. — „Tak wyglądam, jakem jest, mój mości dobrodzieju“ — odpowiedziałem. „Prawdę rzekłszy, pierwszy raz jestem w téj tu stronie“. Przypatrzyłem się twarzy: piękna była, wąs sumiasty, czoło wysokie, oczy jasne i coś dobrego a smutnego miał w obliczu. Idziemy daléj. — „Cóż tu waszmości sprowadza?“ pyta znowu. A ja mu opowiadam całą moję historyą, począwszy od wojska. Słucha, rozpytuje. Doszedłem do tego, jakem wezwanie dostał i tknąłem téj mojéj biedy, że nowicyusz ani wiem, jak się tu dostać, z kim mówić i komu się kłaniać. — „Boć wiem, powiadam, że do króla jegomości niżeli się człek doprosi, przez wiele alembików przejść potrzeba; a straszniejsi ci ludzie, co majestat otaczają, od samego onego majestatu, który ojcowską słynie dobrocią.“ — Ten mi się w oczy popatrzywszy, rzecze: „A to może i słuszność waszmość masz. Ale kiedy się to już sądziło nam spotkać, ja waszeci pomogę.

Mam tam znajomych u dworu". — „Byłbym panu memu stokrotnie i póki życia mojego wdzięczen — odpowiedziałem — boćbyś mi ojcowską łaskę uczynił". — „Słuchajżeno" — powiada mi, przystanąwszy — „już dziś nie pora, ale jutro rano przybywaj do Wilanowa i melduj się wprost do Dulęby. Powiesz tylko, że cię pan Orondat Tarcza przysłał, bo ja się zowię Tarcza, a ja go dziś uprzedzę".

Chciałem, ażeby mu nie przeszkadzać, zaraz go pożegnać i wracać, ale mnie wstrzymał. „Nie bądźże waszeć tak gorąco kąpany, rzekł. Ja lubię pogawędzić, a jegomość mi się podobasz z tego, co słyszę. Siądźmyno tu na kłodzie, to sobie pogadamy". Leżało drzewo, od wiatru obalone, nieopodal drogi; szedł mój towarzysz ku niemu, ja też za nim; siedliśmy, a ten mnie dopiero na egzamin. Od kiedy żyję, tak ciekawego a bystro umiejącego z człowieka wyciągnąć, co ma na dnie duszy, nie spotkałem. Tak mnie rozochocił, żem mu całe me życie opowiedział od deski do deski, a możem mu i za wiele nawet wygadał. Ale na duszy mi przybrało tęsknoty tyle, iż rada była, że ucho względne znalazła.

„Mój jegomościuniu" — rzekł w końcu pan Orondat Tarcza — „ze wszystkiego widzę, żeś kawaler zacny, i winszuję królowi jegomości, iż go dostanie na tę porę. Nie zmieniaj uczuć, a w Bogu ufaj. I jam też, dodał, dworu się dotykał, patrzałem na wiele przygód w życiu, widziałem, jak to się tam ludzie psują; zachowaj waćpan tę duszę i serce proste, szczere i prawe, nie naśladuj fałszu, choćbyś widział, że nim ludzie dochodzą do czegoś. Bo to szatańskie mamidło ta pomyślność, która się kupuje ofiarą sumienia". A wstając dodał: „Teraz waści do miasta czas. Nie zapomnijcież jutro rano się stawić i do Dulęby się meldować; ten już na wszystko poradzi, bo to mój dobry przyjaciel. Ino mi też swe nazwisko daj, żebym go nie przepomniał".

Dobył tedy z kieszeni maleńkiej książeczki i ołówka, zanotował, potem się skłonił i, gdyśmy do gościńca doszli, jam do miasta musiał pośpieszać, a on, widziało mi się o mroku, iż tak o staje może, gdzie stały kolasy, do wozu jakiegoś siadł i pojechał.

Wróciłem raźniejszy do gospody. „Istna, myślę sobie, Opatrzność Boża nademną, żem tego Orondata Tarczę napotkał".

Nazajutrz, że się po owéj nocy chłodnéj na wielki skwar zbierało, myślałem rano z końmi się dostać choćby do jakiéj gospody w tym Wilanowie, aby ich nie pozamęczać; pośpieszyliśmy tedy uczciwie.

Droga z Warszawy nie była długa. Przybyliśmy, ale o żadnéj tam gospodzie i myśleć nie było można. Pańskie dwory i ludzie taborem pod namiotami stali; a ciżba a tłum, jak w saméj stolicy, jeśli nie gorzéj. — Postawiwszy tedy wóz z Grzesiem wedle jakiegoś płota, gdy godzina stosowna przyszła, nabrałem otuchy i wszedłem w dziedziniec paradny. Myślę sobie: „Do tego Dulęby ja tu nie łacno trafię, ale na końcu języka musi być". Na lewo w skrzydle, u pierwszych drzwi, patrzę: stoi sobie człek w latach, figura dosyć okazała, chociaż nie tak, jak mój wczorajszy pan Orondat Tarcza; ręce w kieszenie włożył i pogląda. Idę do niego wprost, skłoniłem się, pytam, a ten mi zaraz: „Otóż to nos, kiedy nos, rzecze; trafiłeś waszmość od razu jak w dym na samego Dulębę. Czy kto ci go ukazał?" — Nie." — „To coś osobliwszego. Ja Dulęba jestem. A że mi dobrze waści mój przyjaciel jmć. pan Orondat Tarcza polecił, już tu będziesz, jak w domu. Wiadome nam wezwanie: przy boku jego królewskiéj mości i królewicza Jakóba zostawać będziesz; ale nim ruszyć przyjdzie, w Wilanowie waszmość tylko osobą swoją zostaniesz, konie i ludzie, jakich masz, odprawią na gospodę do Warszawy. Dla waści stancyą pokaże ten, którego mu dam; rzeczy waść znieść poleć, ubierz się przystojnie i przychodź do mnie, a ja sam królowi jegomości was przedstawię około południa".

Podziękowawszy, idę za dworzaninem, którego mi dano za przewodnika; poznaliśmy się prędko. Prawdę rzéc, stancyą dostałem na pierwszy raz nie wytworną, ale porządniejszéj dla natłoku w Wilanowie nie było. Ale żołnierzowi aby gdzie położyć głowę; Grześ przyniósł wody wiadro, omyłem się z pyłu, wziąłem na grzbiet, co było najlepszego, i przed południem stawię się do pana Dulęby. Nie powiem, żebym ja tam wśród tych przepychów królewskiego dworu bardzo wspaniale mógł wyglądać; ale też niepośledniom się prezentował, bo we mnie każdy poznał żołnierza, który o błyskotki i zalecanie się oczom niewiele dbał. Dulęba mnie od stóp do głowy obejrzał obszedł dokoła, to i owo poprawił wedle zbroi, bo był snadź sam dawniéj żołnierzem i koło żelaza chodził.

— „Idźże teraz za mną — rzekł; — bodaj czy król jegomość nie jest w ogrodzie; ale gdzie go natrafimy, tam się mu waszmość przedstawisz“.

Weszliśmy zatém na ogród, jakiegom nie widział nigdy. Woda biła do góry, posągi jakieś dziwne, drzewa osobliwe, altany różne, a kwiecia barwnego zagonami, aż się oczy napatrzeć nie mogły. Ulice szerokie, sypane piaskiem, żwirem; a dokoła chylą się drzewa najrozmaitsze. Już chyba w raju nie może być piękniéj.

Uszliśmy w milczeniu spory kawał, bom z admiracyi języka w gębie zapomniał. Ale patrzę, w ulicy idzie prosto na nas mój wczorajszy pan Tarcza, ubrany tak prawie, jak był, ino mu się twarz śmieje dziwnie. Dulęba téż przymusza się wyraźnie, aby nie parsknąć. Rzuciłem się prędzéj, by powitać. Ano, mój wczorajszy pan, com się tak przed nim spowiadał, był sam król jegomość, Jan III.

Dłużéj taić nie było można. Zaląkłem się i jąłem przepraszać go, że tak bez należnego uszanowania gębę wczoraj puściłem; ale mnie wstrzymał, śmiejąc się dobrodusznie.

— „Nic się złego nie stało, rzekł, nic złego. Lepiéj się waszeć zarekomendowałeś, niżeliś sądził. Jużeśmy teraz, jak starzy znajomi; tę tylko radę, którą waści Tarcza dawał, król powtarza“.

Wśród rozmowy nadszedł i królewicz. Więc sam ojciec polecił mię synowi, który, snadź wiedząc o wczorajszém, śmiejąc się, głową pokiwał. Poczém ucałowawszy rękę króla i uścisnąwszy kolano, jużem szedł nazad i był jak w domu.

Wczorajsze spotkanie, o którém sam król rozpowiadał wszystkim, rozeszło się było po dworze i ono mi téż bardzo wiele ułatwiło. A że król jakoś serce ku mnie łaskawe okazał, śmiały się téż wszystkie twarze. Musiałem mało razy dziesięć tego dnia powtarzać każdemu, jak się to stało, a wszyscy mi z tego prorokowali powodzenie wielkie. Rozgłosiła się przygoda po mieście i omal mnie na ręku nie noszono, wypytując; a jakem ja sam późniéj tę historyą słyszał z drugich ust, już jéj poznać nie było można, tak ślicznie wyhaftowana, bo nikt nie wytrzymał, żeby tam czego nie dodał.

Józef Ign. Kraszewski,
(Pamiętnik Mroczka.)

24. Przytomność umysłu.

Przy samym schyłku XVII. wieku, w roku 1699., Polska zakończyła była wojnę z Turkami. Traktatem zobowiązali się Turcy zwrócić jéj twierdzę Kamieniec z Podolem. Marcin Kątski, wówczas generał artyleryi, miał obowiązek odebrać urzędownie tę twierdzę i zbrojownię. Oddawał mu ją w imieniu Turków jeden z ich dowódców. Ten, wprowadziwszy Kątskiego w podziemia, prochami napełnione, wściekłością miotany z powodu utraty takiéj zdobyczy, rzucił między prochy zarzewie ognia, aby siebie, Kątskiego i cały Kamieniec w gruzach pogrzebać. Kątski niezmieszany porwał ten zarodek śmierci i zniszczenia i dał mu spokojnie dogorzeć na swéj dłoni. Osłupiał barbarzyniec na widok takiéj przytomności umysłu i dzielności Polaka, który jednêm skinieniem ocalił miasto i tysiące ludzi.

---

25. Kominiarczyk królewski.

Król Stanisław August Poniatowski zwykle po obiedzie godzinę sypiał, a miał po temu za szklanym parawanem sofkę wygodną, gdzie niewidziany od nikogo spoczywał. Kiedy się zabierał do téj drzemki, zdejmował pierścienie z palców, zegarki, których dwa nosił wedle ówczesnego zwyczaju, tabakierkę i inne drobiazgi i składał to wszystko na małym stoliczku, przy marmurowym kominie.

Pewnego dnia pochmurnego, jesienią, już się król po obiedzie położył i zaczął drzemać, kiedy usłyszał jakiś łoskot ponad sufitem, który się coraz więcéj zbliżał i stawał się coraz wyraźniejszym i głośniejszym. Król podniósł głowę. Słysząc łoskot ten w samym pokoju, zerwał się i usiadł na sofce, patrząc z za szklanego parawanu, coby to być mogło.

Nagle w marmurowym kominie coś zaszeleściało i z czeluści jego wyskoczył mały, osmolony kominiarczyk, mający może siedm lub ośm lat najwięcéj. Chłopczyk przetarł oczy z sadzy, ujrzawszy tak pięknie przystrojony pokój, i przeżegnał się, myśląc, że to kaplica jaka. Króla sen odbiegł i z uśmiechem spoglądał, co będzie daléj robił kominiarczyk. Ten, oswoiwszy się nieco z miejscem, obejrzał się śmieléj, a nie widząc nikogo, bo króla dobrze parawan zasłaniał, dojrzał nagle pierścienie, zegarki i łańcuch złoty na stole. Po-

wkładał pierścienie na palce, zawiesił łańcuch na szyi, a włożywszy zegarki za koszulę, zwiesił bogate i duże breloki i tak wystrojony stanął sobie przed wielkiém zwierciadłem. Gdy się w niém przejrzał, tak był rad, że się sam sobie ukłonił, poczém zaczął zlekka świstać i tańczyć. Król tłumił śmiech w sobie i patrzał z zajęciem na koniec tego widowiska. Niedługo potém chłopak zmęczony zdjął pierścienie, łańcuch i zegarki, wszystko na dawném miejscu ułożył, a gdy się opatrzył, że nic przy nim nie zostało, przeżegnał się i znikł w kominie.

Króla wielce ubawiła ta scena; kazał, żeby zaraz dowiedziano się o chłopcu i żeby go przyprowadzono. Wyszukano kominiarczyka, umyto i ubrano czysto. Z pod czarnéj sadzy wyjrzała twarzyczka czerstwa, wesoła, z rozumném spojrzeniem. Król go się spytał, czy to on, co przybierał się w pierścienie i złote łańcuchy, a gdy chłopczyna z trwogą przyznał się dobrowolnie do téj winy, Stanisław August pogłaskał go po zbladłéj ze strachu twarzy, dał mu piękny upominek i kazał go uczyć w szkołach, bo ośmielony łaską monarszą oświadczył chęć do nauki.

Przezwano go odtąd kominiarczykiem królewskim; w szkołach również nosił to przezwisko, z którego się nawet w wieku młodzieńczym chlubił. W kilkanaście lat wstąpił do wojska, służył w artyleryi i w 1792. roku, w oczach księcia Józefa Poniatowskiego, celując działem, od kuli armatniéj poległ.

Król, dowiedziawszy się o śmierci „kominiarczyka królewskiego“, wielce go żałował, bo z tego małego chłopczyny wyrósł żołnierz równie zdatny, jak waleczny.

---

26. Przemiana nazwiska.

Cesarzowa Marya Teresa, płynąc raz Dunajem z Lincu ku Wiedniowi, z przyjemnością przypatrywała się wesołéj pracy czeladzi okrętowéj. Znajdował się tam między innymi ładny chłopczyna, zdrów jak ryba, a zręczny i zwinny, jak nikt z całéj służby; zwrócił więc na się uwagę dostojnéj Pani. Toż przystąpiwszy doń, cesarzowa zapytała, jak się nazywa? „Thunichtgut“ — odpowiedział chłopiec, nawpół zakłopotany a nawpół uradowany, że cesarzowa doń przemówić raczyła. — „Czémże są twoi rodzice?“ — znów zapytała cesarzowa. — „Rodziców moich“ — odrzekł rzewnie chłopczyna — „wcale

nie znam. Jestem sierotą, poczciwy szyper przyjął mnie za syna, a służba statku przezwała żartobliwie „Thunichtgutem“.

Krótkie opowiadanie sieroty zajęło cesarzową, kazała więc przywołać szypera, czy się nie dowie czegoś więcéj o doli chłopczyny, a kiedy szyper, potwierdziwszy to, co chłopiec opowiedział, dodał, że wszelkie dopytywania się o jego rodziców do żadnego nie doprowadziły skutku, cesarzowa rzekła do biednego sieroty: „Słuchaj-no, chłopcze, nie chciałbyś z Thunichtguta zostać Thugutem?“ — Chłopcu radością zabłysły oczy, podniósł je na cesarzową i rzekł: — „O najchętniéj, chciałbym nim być przez całe życie! — „Dobrze“ rzekła uprzejmie monarchini — „dotrzymaj słowa; biorę cię w opiekę. Od dnia dzisiejszego zwać się będziesz Thugut, a ja będę twą matką.“

Cesarzowa spełniła swe przyrzeczenie, a i chłopiec dotrzymał słowa. Szlachetna opiekunka kazała sierotę uczyć i troskliwie wychowywać, a jéj wychowanek stał się wkrótce pociechą i chlubą swych nauczycieli. Ubogi posługacz na statku stał się późniéj sławnym uczonym i znakomitym mężem, znanym w swym czasie pod nazwiskiem Thuguta.

27. Troskliwość arcyksięcia Karola o rannych wojowników.

Arcyksiążę Karol, brat cesarza Franciszka, nasławniejszy swojego czasu wódz austryacki, zjechał był w r. 1800. do Czech, aby objąć naczelne dowództwo nad armią, która walczyła tam przeciwko Francuzom.

Przejeżdżając pewnego razu przez kurzące się jeszcze świeżą krwią pobojowisko, zobaczył arcyksiążę wielu ranionych, którzy, nie mogąc się pomieścić na przepełnionych już i tak furgonach, jęcząc, wlekli się z ostatecznem wysileniem krwawą drogą. Dla braku koni zaprzęgli się żołnierze do wozów i ciągnęli swoich nieszczęśliwych towarzyszów broni, aby ich ratować od niewoli nieprzyjacielskiéj.

Właśnie wtenczas zbliżało się kilka dział austryackich do tegosamego miejsca. Pędziły one w pośpiesznym odwrocie, gdyż oddział francuski ścigał je zawzięcie. Ale szlachetny arcyksiążę, przejęty do głębi serca widokiem nieszczęśliwych

ranionych, pozbawionych pomocy w obliczu nieprzyjaciela, kazał stanąć działom, wyprzęgnąć ich konie i zaprzęgnąć do furgonów z rannymi, wołając z zapałem: „Mniejsza o tych parę dział! Ci nieszczęśliwi żołnierze, którzy przelewali mężnie krew swoję za ojczyznę i cesarza, zasługują więcéj na to, żebyśmy ich ratowali, niż działa!“

Ranionych uprowadzono, a działa dostały się łupem w ręce Francuzów.

Ale francuski głównodowodzący generał Moreau, dowiedziawszy się, dlaczego arcyksiążę Karol działa te na pobojowisku zostawił, kazał je odesłać Austryakom, mówiąc: „Byłoby to nikczemnością zabierać łup, który odstąpiono z takich powodów. Arcyksiążę Karol do swych zwycięstw orężem dodaje dziś równie świetne zwycięstwo sercem: pobija nas niezrównaną wzniosłością uczuć, prawdziwie rycersko-chrześcijańskich, i odbija nam swoje działa“.

---

28. Z młodocianych lat Franciszka Karpińskiego.

Któż nie zna pieśni tego poety, któż nie słyszał lub nawet sam nie uczył się na pamięć jego pełnych prostoty hymnów, jak: „Kiedy ranne wstają zorze“ — albo „Wszystkie nasze dzienne sprawy?“ Cały nasz naród, od najbiedniejszego do bogatego, młodzi i starzy, znają te pieśni i po dziś dzień je śpiewają, chociaż to już blisko sto lat upływa, jak zostały napisane.

Twórca ich, Franciszek Karpiński, urodził się dnia 4. października 1741. r. we wsi Hołoskowie, niedaleko Stanisławowa. Skoro skończył ósmy rok życia, odwiózł go ojciec do szkół w Stanisławowie. Smutno było Franciszkowi opuszczać dom rodzicielski, chociaż w nim ani ojciec ani matka zbytnio go nie pieścili; więc téż ułożył sobie pewien plan, który wnet do skutku przyprowadził. Było to w zimie. Skoro ojciec, zostawiwszy chłopca, nawrócił do domu, nasz Franio po cichu przyczepił się do sanek; że jednak mróz był porządny, więc w połowie drogi zaczął płakać i rzecz cała wyszła na jaw. Ojciec rad nie rad musiał nawrócić i powtórnie odwieść syna do szkoły; Franciszek zaś tyle miał korzyści z téj wycieczki, że zmarzł i został przykładnie ukarany.

W początkowych tygodniach pobytu w szkołach przykrzyło mu się ślęczenie nad książką w smutnych murach kolegium jezuickiego, zdala od domu i rodziców. Wkrótce jednak tak polubił naukę, że oddał się jéj zupełnie. Z pilnością wykonywał zadania i gorliwie uczył się każdéj lekcyi; nieraz w nocy nawet przez sen powtarzał łacińskie słówka, których się w czasie dnia uczył. Był zresztą bardzo łagodny, potulny, a dusza i serce jego były skłonne do uniesień i zachwytu; kochał to, co było piękném, szlachetném i wzniosłém. Dlatego niektóre miejsca z Pisma świętego, które w szkołach czytał, tak działały na wrażliwy umysł chłopczyny, iż marzył o męczeństwie za wiarę lub przynajmniéj o chatce pustelniczéj.

Razu pewnego, przejęty opowiadaniami o żywotach Świętych, wziął jakąś torbę i dwa chleby i w nocy uciekł do pobliskiego lasu, zwanego „Dąbrową“; chciał bowiem na wzór pustelników żyć zdala od ludzi, karmiąc się korzonkami i żołędzią, do których miał pobożny zamiar przywykać powoli. Rodzice, w wielkim o syna kłopocie, szukali go przez trzy dni nadaremnie; aż tu czwartego dnia zjawia się sam Franciszek, zbiedzony i zgłodniały, ale téż i przekonany, że nie tak łatwo żyć na pustyni i że człowiek tylko między ludźmi może być bliźnim pożyteczny, a na puszczy lub w odosobnieniu przebywać jest tosamo, co myśleć o obowiązkach, ale ich nie wykonywać. Wedł. *S. Tomkowicza.*

---

29. Mickiewicz w Weimarze.

Było to w roku 1829., gdy Mickiewicz, przejeżdzając przez Niemcy, ze swym przyjacielem Odyńcem w Weimarze przebywał. Jednego dnia przyszedł Odyniec do hotelu, w którym zwykle z Mickiewiczem jadał, już po obiedzie. Przed wejściem do sali jadalnéj usłyszał jednak żywą rozmowę, prowadzoną w języku francuskim — otworzył tedy drzwi i ujrzał swego przyjaciela, rozmawiającego z dwoma Francuzami. Jeden z nich, starszy, mający lat około 40, niskiego był wzrostu; drugi brunet wyższego był wzrostu, z dużymi pałającymi oczyma i z długimi włosami, spadającymi mu aż na szyję. Tento właśnie gadał tak głośno, a pierwsze słowa, które Odyniec wyraźnie posłyszał, były: „Nie, nie, to nie jest jego nazwisko! Mik... Mis... Mik... ach! jakże się zowie wasz wielki

poeta?" Mickiewicz spojrzał na Odyńca i z lekka potrząsnął głową, dając mu tém znak, żeby milczał. Odyniec, usłyszawszy odpowiedź przyjaciela, pojął dopiero, o co rzecz idzie. Francuz, chcąc się widać pochwalić, że zna polską literaturę, mówił o świeżém wydaniu dzieł wielkiego poety, którego nazwiska zapomniał. Ponieważ jednak mówił o wielkim poecie, odpowiedział mu przeto skromny Mickiewicz, że zapewne ma na myśli Krasickiego, którego zasługi w polskiéj literaturze są wielkie. Francuz niecierpliwił się i nie mógł bynajmniéj ukryć oburzenia, że Polak nie zna nazwiska swego wielkiego poety. Mickiewicz tymczasem wypił kawę i wyszedł. Wtedy zwrócił się ów młody Francuz do Odyńca z zapytaniem, jakiéj jest narodowości? Gdy mu na to Odyniec odpowiedział, że jest Polakiem, zapytał go, czy i on nie zna nazwiska największego swego poety. „Pan chcesz mówić zapewne o Adamie Mickiewiczu?" — odrzekł Odyniec. „Tak jest, tak się nazywa!" — wykrzyknął uradowany Francuz. Na to odpowiedział mu spokojnie Odyniec: „To jest właśnie tensam, który opuścił tę salę."

Francuz zaczerwienił się cały jak burak i prosił, aby go natychmiast do Mickiewicza zaprowadził, co też Odyniec chętnie uczynił. Wedł. *A. E. Odyńca.*

---

30. Arcyksiążę Franciszek Karol,[1]) opiekun ubogich.

Było to w zimie roku 1876. Korzystając z pogodnego, choć mroźnego dnia, przechadzało się raz po południu dwóch męszczyzn w zwykłém cywilném ubraniu po alejach Prateru [2]). Jeden z nich był już podeszłym staruszkiem, z siwym włosem i białą brodą, drugi znacznie młodszy. Niespodziewanie podbiegła ku nim mała, może dziesięcioletnia dziewczynka i, żebrząc, wyciągnęła skostniałą od zimna rączkę. Młodszy wiekiem sięgnął czémprędzéj do kieszeni i podał dziecku jałmużnę, dziewczynka zaś, podziękowawszy, pośpieszyła do ubogo odzianego ojca, który pokornie stał na uboczu, i wszystko mu oddała. Wtém zbliżył się do żebraka lokaj w dworskiéj liberyi i zaczął wyrzucać dziewczynce, jak śmie w publicznem miejscu naprzykrzać się dostojnéj osobie, należącéj do cesarskiéj rodziny. Zmieszana dziewczynka, która nie wie-

[1]) Arc. Franciszek Karol, ojciec ces. Franciszka Józefa I., um. r. 1878.
[2]) Prater — ogród publiczny w Wiedniu.

działa, coby to byli za panowie, nie zdołała jeszcze słowa przemówić na swe usprawiedliwienie, kiedy nadszedł policyant i chciał żebraków odprowadzić do więzienia. Lecz w tejże chwili znany z miłosierdzia arcyksiążę, oglądnąwszy się przypadkiem i zobaczywszy powyższą scenę, odezwał się: „Dajcie pokój tym biednym ludziom, wszak nic złego nie uczynili; ja sobie tak życzę.“ Dostojny staruszek, powiedziawszy to, zwrócił się następnie do ubogiego i rzekł: „Idźże teraz spokojnie swoją drogą, a jutro po południu przyjdź do mnie; jestem arcyksiążę Franciszek Karol“.

Stary żebrak oddalił się ze łzami wdzięczności w oczach.

---

31. Przyjaciele dzieci.

Przeszło sto lat temu umarł w Warszawie jeden z największych dobroczyńców dzieci, Francuz rodem, Piotr Gabryel Bodouin. Był początkowo żołnierzem, później jednak porzucił wojaczkę i został księdzem. Przybywszy do Warszawy, wyuczył się dobrze po polsku i najczęściej przestawał z ludnością ubogą, żeby wszystkie jéj troski poznać dokładnie. A znalazł śród téj ludności nieszczęść nie mało; więc, jak mógł, biednym pomagał; najtroskliwszą jednak opiekę rozciągnął nad sierotami, a zwłaszcza nad osieroconymi niemowlętami, i postanowił dla nich stały urządzić przytułek. Trudno wyobrazić sobie, ile upokorzeń znieść musiał, nim potrzebną na zakupno domu dla dzieci zgromadził sumę. Zaszedłszy naprzykład razu pewnego do jednego z zamożniejszych domów, zastał towarzystwo, zajęte grą w karty, a na stole stosy pieniędzy. Do tego, przed którym leżało złota najwięcéj, zbliżył się ksiądz Bodouin nieśmiało i przemówił pokornie:

— Wielkie tu bogactwo! — czy nie uzyskam cząstki dla biednych?

Gracz udawał, że prośby nie słyszy.

— Małą cząstkę dla sierót! — powtórzył ksiądz głośniéj.

Zniecierpliwiony bogacz, zamiast datku, znieważył księdza policzkiem, na co ten odpowiedział spokojnie:

— To jest dla mnie, a cóż będzie dla sierót?

Zdumiony wielkością duszy księdza, krzywdziciel rzucił się w jego objęcia, przepraszał i znaczną część pieniędzy ofiarował na dzieci.

Przy takiéj wytrwałości zebrał ksiądz Bodouin sumę, za którą zakupił naprzód kamienicę, a późniéj wystawił wspaniały gmach dla opuszczonych niemowląt, istniejący dotychczas pod nazwą szpitala „Dzieciątka Jezus". Ocalił w ten sposób ks. Bodouin mnóstwo dzieci od śmierci i znakomitą całemu krajowi oddał przysługę: iluż bowiem w przeciągu lat stu wyrosło ludzi poczciwych i zdatnych do pracy z tych, kto wie czy nie na oczywistą zagładę skazanych, niemowląt!

Podobnym do Bodouina był zmarły w Warszawie przed laty trzydziestu pisarz, Stanisław Jachowicz. Wychowywał on sieroty i zebrał dużą sumę pieniędzy na urządzenie dla nich przytułku i szkółki.

Ochronek dla sierót nie brak także w naszym kraju; dbają o to większe miasta i dobroczynne stowarzyszenia. Największym jednak zakładem tego rodzaju, w którym około 600 sierót znajduje opiekę i naukę, jest zakład sierót w Drohowyżu, ufundowany przez śp. hr. Stanisława Skarbka. Zakład drohowyski, otwarty w r. 1885., utrzymuje obok czteroklasowéj szkoły pospolitéj także warsztaty, w których przyjęci chłopcy uczą się z obowiązku rozmaitych rzemiosł, kształcąc się na zdolnych rękodzielników. Dziewczęta uczą się rozmaitych robót ręcznych i zajęć kobiecych, aby kiedyś mogły tém łatwiéj zarobić na uczciwy kawałek chleba. Hrabia Stanisław Skarbek, obracając swój ogromny majątek na ufundowanie tak pięknego zakładu, stał się jednym z największych dobroczyńców naszego kraju.

Najnieszczęśliwszym dzieciom, bo dotkniętym strasznem kalectwem, utratą słuchu i mowy czyli głuchoniemym, poświęcił się znów ksiądz Jan Falkowski w Warszawie. Poznawszy pewnego siedmioletniego głuchoniemego chłopczyka, usiłował go naprzód wyleczyć; wszystko jednak okazało się daremném. Żal mu było chłopczyny, który się niczego nie mógł nauczyć ani się porozumieć z nikim nie umiał; kiedy przeto nie pomogło leczenie, jął się innych sposobów. Wiedział, że dla wymówienia czegokolwiek musi człowiek stosownie ułożyć usta i wprawić je w ruch. Stawał tedy ksiądz Falkowski przed zwierciadłem i uważał, jak trzeba ułożyć usta i jak nimi poruszać dla wymówienia na przykład: *a*, *b*, *c*. Nabrawszy wprawy, układał usta wobec głuchoniemego i nakłaniał go przez znaki, żeby tak robił, jak on, i żeby głos wydał. Próba się udała. Od wymawiania głosek przeszedł

ksiądz Falkowski do zgłosek, od zgłosek do całych wyrazów. Patrząc na usta, mógł już nieszczęśliwy chłopczyk rozumieć mówiących; wyuczywszy się sporo wyrazów, mógł i własne okazać myśli. Jeżeli mu zabrakło wyrazów, używał umówionych znaków, robionych palcami. Oddany przez opiekuna do szkoły, nabrał biegłości w rysunkach, kaligrafii, geografii i rachunkach; okazało się na nim, że i tak straszne nieszczęście, jak brak słuchu i mowy, można znacznie złagodzić. Ucieszony postępami swojego ucznia, założył ksiądz Falkowski w Szczuczynie, niedaleko Łomży, dla głuchoniemych szkołę, którą następnie przeniósł do Warszawy. Powstał w ten sposób przed siedmdziesięciu laty staraniem zacnego księdza zakład dla głuchoniemych, do którego późniéj zaczęto i dzieci ociemniałe przyjmować. Głuchoniemi wychodzą z tego zakładu na ludzi pożytecznych, nabierają bowiem biegłości w rozmaitych rzemiosłach; ociemniali uczą się czytać na książkach z literami wypukłymi, które rozpoznają palcami, potrafią grać na rozmaitych instrumentach i również pożytecznymi stają się ludźmi. Zakłady dla ciemnych i głuchoniemych dzieci mamy także we Lwowie.

Dzięki Bodouinowi, Jachowiczowi i ich naśladowcom, niemowlęta i ubogie sieroty mają dzisiaj przytułki. Zacny ksiądz Falkowski przyszedł z pomocą kalekom. Hr. Stanisław Skarbek zapewnił ubogim sierotom bezpłatną naukę pożytecznych rzemiosł, a inni dobroczynni ludzie rozciągnęli swą opiekę nad biedną, zaniedbaną dziatwą, zakładając ochrony. Wszyscy ci ludzie pracowali i pracują z wielkiéj miłości dla nieszczęśliwych, których zawsze na świecie jest dużo. Oby takich zacnych przyjaciół dzieci nie brakło nigdy!

Wedł. *W. Smoleńskiego.*

---

32. Cesarz Franciszek Józef i wieśniak tyrolski.

Powszechnie znaną jest rzeczą, jak dobrym i łaskawym jest cesarz Franciszek Józef. Przez cały ciąg czterdziestoletnich rządów swoich tyle razy dał tego dowody, że niepodobieństwem byłoby wyliczyć wszystkie jego dobrodziejstwa i łaski, wyświadczone tym, którzy kiedykolwiek o pomoc jego błagali. Jeden tylko, ale bardzo wymowny, przytoczymy tutaj przykład, jak czułe jest serce jego dla ludzkiéj nędzy i niedoli.

Było to w r. 1872. Cała rodzina cesarska bawiła w uroczym zamku Trautmannsdorf, w okolicy Meranu, ażeby wypocząć nieco i odetchnąć świeżém powietrzem alpejskiém. Codziennie rano wychodził cesarz na przechadzkę i bez żadnego towarzysza, w skromném ubraniu myśliwskiém, wspinał się po okolicznych pagórkach lub zapuszczał się daleko w zaciszne doliny.

Pewnego dnia, samotną krocząc ścieżką, znalazł się koło jakiéjś ubogiéj, na ustroniu stojącéj chaty, z któréj słychać było głośny płacz i narzekanie. Chcąc się dowiedzieć, coby było powodem tych skarg żałosnych i jęków, wstąpił cesarz w drzwi owéj chaty. W nędznéj izdebce ujrzał na ziemi leżącą nieżywą krowę, a nad nią dwoje staruszków, załamujących ręce i co chwila nowym wybuchających żalem.

— Już po nas! — jęczała sędziwa kobiecina; — teraz już po nas!

— Ach! to nieszczęście! to nieszczęście! powtarzał wieśniak.

Widząc taką rozpacz staruszków, ulitował się cesarz nad nimi i starał się ich uspokoić i pocieszyć; zapytał tedy, ile też wartą była krowa, któréj stratę tak opłakują.

— Ach! Panie! — zawołał niepocieszony wieśniak, który wcale nie znał cesarza; — warta ona była ze 100 złr.

— No, to ja wam dam sto złr., abyście sobie drugą taką krowę mogli kupić — rzekł cesarz łaskawie.

Na te słowa wieśniak i żona jego podnieśli zdumione oczy na nieznajomego pana, nie wiedząc, czy to żart tylko, czy też wierzyć mają w szczerość téj obietnicy. Uśmiechnął się cesarz, widząc zdumienie staruszków, przystąpił do wieśniaka i rzekł doń uprzejmie:

— Przyjdźcie tylko, ojcze, do zamku w Trautmannsdorf, a właściciel jego wypłaci wam tę sumę.

Nie podobały się te słowa wieśniakowi; więc, skrobiąc się poza ucho, rzekł:

— Ej, wolałbym ja, mój panie, zaraz tutaj otrzymać te pieniądze.

— Ale ja nie mam tyle pieniędzy ze sobą — rzekł cesarz.

— No, to ja pójdę zaraz z panem — zawołał wieśniak, nie dowierzający danéj mu obietnicy.

Zaśmiał się cesarz i zgodził się na to. Dopiero w zamku, otrzymawszy obiecane pieniądze, dowiedział się wieśniak, kto był tym dobrym i łaskawym panem, który mu dał pieniądze na krowę. Wedł. *Dr. L. Smollego.*

---

33. Cesarz Franciszek Józef w szkole wojskowéj.

Nieraz odwiedza cesarz Franciszek Józef akademią wojskową w Wiener-Neustadt, chcąc się osobiście przekonać o postępach kształcącéj się tamże młodzieży. Godzinami całymi bawi czasem w zakładzie, przysłuchując się wykładom, a nawet sam niekiedy uczniom zadaje pytania.

Razu pewnego zupełnie niespodzianie przyszedł cesarz do akademii — tak opowiada naoczny świadek, jeden z ówczesnych uczniów — i wszedł wprost do naszéj klasy. Właśnie profesor nasz, pułkownik Ebersberg, wykładał historyą, kiedy się nagle drzwi klasy otwarły i wszedł cesarz Franciszek Józef w towarzystwie adjutanta. Powstaliśmy wszyscy, oddając cześć tak dostojnemu gościowi, a cesarz, pozdrowiwszy nas ze zwykłą swą uprzejmością, zwrócił się ku stołowi i rzekł do pułkownika Ebersberga:

— Panie pułkowniku, proszę daléj wykładać; ja nie przeszkadzam.

Po tych słowach położył cesarz kapelusz swój generalski na pierwszéj ławce, tuż przed kolegą moim Juliuszem B., a oparłszy się ręką o ławkę, uważnie przysłuchiwał się wykładowi. Ja tymczasem patrzałem ciągle na wspaniałą postać monarchy, podziwiając łagodność i dobroć, która się malowała na jego twarzy.

Naraz zadrżałem ze strachu. Wzrok mój padł na kolegę mego Juliusza B. i spostrzegłem, jak on nieznacznie jedną ręką chwycił pióro u kapelusza cesarskiego, a drugą przytrzymał sam kapelusz, poczém rzuciwszy okiem na cesarza i jego adjutanta, ażeby się przekonać, czy nań nie patrzą, w jednéj chwili szarpnął ręką i, zdobywając dla siebie drogą pamiątkę, pozbawił kapelusz jednego pięknego pióra.

Czyn ten zuchwały spostrzegli i inni koledzy. Atoli na nich on odmienne wywarł wrażenie, niż na mnie. Oni zazdroszcząc Juliuszowi tak drogiéj pamiątki, zapragnęli wszyscy mieć po jednèm takièm piórku. Ze wszech więc stron dawano

mu znaki, zachęcając go do powtórzenia zamachu na kapelusz dostojnego gościa. Juliusz zrazu się opierał, lecz potém, czyniąc zadość natarczywym prośbom kolegów, wyrywał jedno pióro po drugiém i natychmiast rozsyłał je po całéj klasie.

Lecz zuchwalstwo wydało się prędzéj, niżby się tego można było spodziewać. Kiedy Juliusz wyrywał, nie pomnę już które, pióro, wymknął mu się kapelusz i uderzył cesarza w rękę. Cesarz odwrócił się i spostrzegł winowajcę, który jeszcze ostatni dowód swéj winy trzymał w ręce. Zbladły i drżący ze strachu, stanął Juliusz przed cesarzem, czując dopiero teraz cały ogrom swéj winy. Pewny był, że go nie minie surowa kara, nawet wykluczenie z zakładu przyszło mu na myśl: drżąc więc oczekiwał wyroku z ust gniewnego monarchy. Tymczasem stało się inaczéj. Cesarz ze zwykłą dobrocią zapytał chłopca:

— Na co ci było tych piór potrzeba?

— Na pamiątkę, Najjaśnieszy Panie! — odrzekł Juliusz, łaskawością monarchy ośmielony.

— A jedno nie byłoby ci wystarczyło?

— Nie, Najjaśniejszy Panie! — odpowiedział Juliusz, śmiało już patrząc w oczy dobrotliwego Pana; — koledzy moi także po jedném mieć chcieli.

— Ha! to nie pozostaje mi nic innego, jak zostawić wam cały pióropusz — rzekł śmiejąc się cesarz i, własną ręką oddzieliwszy pióra od kapelusza, oddał je uszczęśliwionemu Juliuszowi.

— Panie pułkowniku — rzekł następnie cesarz do profesora Eb.; — pozwól mi Pan łaskawie swojéj czapki, ażebym mógł powrócić do domu.

To rzekłszy, wyszedł uśmiechnięty ze sali, a z piersi wszystkich uczniów zabrzmiało głośne: „Niech żyje!"

Wedł. *Dr. L. Smollego.*

---

34. Austryacki hymn ludu.

Było to w r. 1805. Pomimo świetnych zwycięstw nie mógł oręż austryacki sprostać orężowi francuskiemu. Pokonawszy wojsko niemieckie pod Ulmem, miał Napoleon już otwartą drogę na Wiedeń; stolica otworzyła mu swe bramy. Zdawało

się, iż wielkie niebezpieczeństwo grozi monarchii Habsburgów. Wtedyto wśród gorących modłów, przez wszystkich obywateli do Boga zanoszonych, zabrzmiał téż po raz pierwszy prześliczny hymn, ułożony przez znakomitego naonczas muzyka, Józefa Haydna.

Wkrótce potém odwiedzili znakomitego mistrza dwaj jego wielbiciele, poeta Iffland i dyrektor teatru Schmid. Sędziwy starzec wielce rad był swoim gościom, a nawet, kiedy już mieli go pożegnać, zatrzymał ich mówiąc:

— Możebym ja wam co zagrał? Czy chcecie słuchać?

— Panie! — rzekł uradowany poeta — prawdziwą to dla nas będzie przyjemnością, tém większą, iż sami nie śmielibyśmy o to cię prosić, ażeby ciebie nie trudzić.

— Dobrze więc. Posłuchajcie: zagram wam rzecz niewielką, ale nową — rzekł Haydn i oglądnął się za swoim instrumentem.

Przy pomocy służącego powstał staruszek, zbliżył się zwolna do fortepianu i rzekł, siadając:

— Niestety! Niewiele ja już grać mogę; ale utwór to niewielki. Ułożyłem go w chwili, kiedy wojska francuskie szły już na Wiedeń. Jest to hymn do Boga, a myślą jego główną jest: Boże! zachowaj cesarza!

I zagrał mistrz prześliczny swój hymn, uwydatniając po mistrzowsku wszystkie jego piękności. Już skończył, a goście zachwyceni jeszcze słuchali. Mistrz obie ręce położył na klawiszach i uroczystym rzekł głosem:

— Codziennie rano hymn ten grywam; on mi w dniach smutku i niepokoju pociechę przynosił i ducha dodawał. Jakieś błogie uczucie przejmuje mi serce, kiedy go gram, a nawet i potém, kiedy już grać przestanę!

Wkrótce potém umarł mistrz Haydn, a piękny jego utwór stał się ulubionym hymnem wszystkich ludów, wchodzących w skład monarchii austryackiéj.

Według *Albina Teuffenbacha:*
Vaterländisches Ehrenbuch.

B.

35. Święty Seweryn, apostoł austryacki.

W połowie wieku piątego po Chr. pojawił się w okolicy dzisiejszego Osterburga koło Melk nieznany człowiek, przybywający ze wschodu. Nikt nie wiedział, kimby był ten przychodzień z dalekich stron. On sam nazywał się Seweryneni i powiadał, że jest kapłanem rzymskim, a pomiędzy ludem krążyła wieść, że spędził wiele lat w Afryce na modlitwie i rozmyślaniach pobożnych, udał się zaś z natchnienia Bożego w te strony, aby tam utwierdzić i rozszerzyć wiarę Chrystusową.

Małego wzrostu, szczupły, wyniszczony postami, z długą do pasa brodą, ubrany w najprostszą odzież, chodził Seweryn zawsze boso, w najtęższe nawet mrozy, i sypiał na gołéj ziemi, kamień tylko podłożywszy sobie pod głowę. Ale w têm nędznêm ciele żebraka kryła się dusza wielka i podniosła. Skromny był i cichy, gdy się korzył przed Panem w gorącéj modlitwie; aniołem był dobroci i miłosierdzia, gdy pielęgnował chorych albo gdy tulił do serca opuszczone sieroty i ubogim rozdawał chleb, który dla nich wyżebrał. Ale gdy gromił występki lub gdy z krzyżem w ręku szedł zasłaniać własnymi piersiami wiernych osadników italskich przeciwko germańskim poganom, wówczas lwem się stawał odważnym. W takim razie oblicze jego przybierało wyraz takiéj świętéj grozy, oko jego takie ciskało pioruny, głos tak potężniał, że i najzuchwalszych śmiałków przejmowała trwoga i mimo woli z pokorą i skruchą twarde przed nim uginali karki. Pogański jeden książę, spotkawszy po raz pierwszy tego świętego męża, zawołał upokorzony: „Nigdy nikogo i niczego się nie uląkłem; to pierwszy człowiek, przed którym drżałem, gdy mówił!“

Sława jego świętości, jego miłosierdzia i poświęcenia rozniosła się szybko po całym kraju naddunajskim i zewsząd

zbiegali się ubodzy i prześladowani szukać u niego pomocy i pocieszenia, a jasność jego rozumu, cudowny dar przewidywania nieszczęść i obmyślania sposobów ich odwrócenia zniewalały nawet królów nieprzyjacielskich ludów do zasięgania jego rady i przyjmowania posłusznie jego napomnień. Tłumy go otaczały, kiedy nauczał. Wkrótce też zgromadził się około niego wybrany zastęp uczniów, którzy, wstępując w ślady swojego mistrza, wyrzekli się wszystkiego dla siebie, aby służyć tylko Bogu i bliźnim swoim.

Upodobawszy sobie szczególnie Windobonę i jéj piękne okolice, założył tam Seweryn dla swoich uczniów klasztor, około którego późniéj pobudowała się osada. Uczniowie Seweryna nazwali ją na cześć swojego mistrza „osadą świętego“ i z niéjto urosło dzisiejsze Heiligenstadt.

Z dniem każdym mnożyła się liczba utwierdzonych w wierze i nowonawróconych, ale święty apostoł i jego uczniowie pozostali zawsze biednymi i utrzymywali się jedynie z ciężkiéj pracy własnych rąk, rozdając wszystko, co pobożni im w ofierze składali, pomiędzy ubogich i chorych, którzy kołatali do furty klasztoru.

Chcąc uczcić świętego męża i nagrodzić jego zasługi, ofiarowano mu biskupstwo, ale on się z pokorą wyprosił od téj wysokiéj godności, mówiąc: „Nie dla mnie zaszczyty i dostojeństwa tego świata! — Pozwólcie mi zostać żebrakiem, abym mógł bliźnich moich dźwigać z nędzy doczesnéj i wydzierać ich dusze błędom i wiecznemu potępieniu. Nagroda moja, większa stokroć nad wszystkie nagrody ziemskie, tu w sercu i w sumieniu mojém, a kiedyś, z nieskończonéj łaski i miłosierdzia Bożego, tam w niebie!“

Jakoż, wierny swojemu posłannictwu, przebiegał on kraj cały, rozsiewając wszędzie słowa ewangelii, krzepiąc ducha zwątpiałych, nawracając niewiernych, zakładając kościoły i urządzając gminy chrześcijańskie. Gdzie największe groziło niebezpieczeństwo, gdzie najsroższe przygniatało nieszczęście jego współwyznawców, tam zawsze jawił się ten zesłaniec Boży i zawsze jego zjawienie się przynosiło błogosławieństwo.

Nawiedził głód jaką okolicę, Seweryn śpieszył zaraz, ażeby rozdać wszystko, co miał, pomiędzy nieszczęśliwych; zachęcał ich do pracy, do wzajemnego ratowania się, i własnym przykładem rozniecał ufność w miłosierdzie Boże, uczył szukania pociechy w gorącéj modlitwie i w chrześcijańskiém

poddaniu się niezgłębionym wyrokom Opatrzności. Kiedy nieprzyjaciele na kraj napadali, grożąc mu zniszczeniem, on stawał w obronie wiernéj swéj trzody i albo, udawszy się do obozu nieprzyjaciół, potęgą swéj wymowy nakłaniał ich do odwrotu, albo swoich zagrzewał do obrony i tak ich zapalał, iż, dzielnie walcząc, stanowcze odnosili zwycięstwo.

A kiedy już kraj cały błogiego używał pokoju, on, ukryty w leśnéj ustroni, dziękował Panu, że wysłuchał jego próśb i pobłogosławił jego pracy.

Aby mu w chwilach, wolnych od zajęć około dobra jego bliźnich, gwar ziemski nie mącił niebiańskiéj ciszy i nie przeszkadzał zatapiać serca i myśli w modlitwach, zbudował sobie Seweryn w ustronnéj zaciszy, wśród gajów i winnic, chatkę pustelniczą, w któréj przepędzał nieraz samotny całe tygodnie. Na témto miejscu założono późniéj kościółek, stojący jeszcze do dzisiaj; tutaj téż powstała osada, któréj nazwa Sievering przypomina imię świętego. Pokazują téż tam jeszcze teraz grotę w skale, w któréj miała się niegdyś mieścić skromna kapliczka św. Seweryna. Ale im bardziéj przygniatał go wiek i im bardziéj opuszczały go siły, stargane pracą, tém głuchszéj pragnął ciszy i tém większéj samotności; dlatego usunął się u schyłku żywota w niedostępniejsze jeszcze ostępy leśne, aby tam oczekiwać chwili, kiedy go Pan powoła do siebie.

Do téjto pustelni, jak niesie podanie, przybyła drużyna Herulów, ciągnących na awanturniczą wyprawę do Italii. Prosili oni świętego męża o błogosławieństwo na drogę. Pomiędzy wojownikami, skórami okrytymi, odznaczał się wyniosłą postawą młodzieniec, Odoaker. Temu przepowiedział Seweryn, że podkopany tron rzymskich cesarzów do reszty obali, ale niedługo potém zostanie zwyciężonym i zginie z ręki zwycięzcy swojego. Jakoż istotnie w kilka lat późniéj (486) zadał Odoaker śmiertelny cios dogorywającemu cesarstwu zachodnio-rzymskiemu i założył pierwsze królestwo germańskie w Italii, ale już po siedmnastu latach panowania, pobity przez króla Gotów wschodnich, Teoderyka, utracił królestwo i życie.

Nim się spełniła ta druga część przepowiedni, nie było już Seweryna na téj ziemi. Dnia 8. stycznia 482. r. połączył on się z Bogiem na żywot wieczny, schodząc ze świata, jak

żołnierz, który walczył nieustraszony i niezmordowany w przedniéj straży, aż pokąd nie dano hasła do odwrotu.

Opłakiwali uczniowie świętego mistrza, płakał po stracie jego lud cały, jak po stracie ojca osierocone dzieci, i nie było już odtąd końca smutkom i płaczom.

Napróżnobyś w dzisiejszym Wiedniu, jaśniejącym całym blaskiem nowoczesnych stolic europejskich, szukał zabytków dawnéj rzymskiéj Windobony; wszystkie jéj ślady zatarte na zawsze. Tylko pamięć świętego Apostoła téj ziemi przetrwała wszystkie burze i zmiany i żyje dotąd w sercu i podaniach ludu, który czcią otacza miejsca, związane tradycyą z żywotem świętego, i po dziś dzień, jak niegdyś przed 1.400 laty, wzywa w chwilach nieszczęścia jego pomocy, jako niebieskiego obrońcy i opiekuna kraju.

Ł. Tatomir.

36. Z życia Karola Wielkiego.

Wsławiwszy oręż swój w 54 wyprawach wojennych, poskromiwszy Awarów i Maurów, wcieliwszy do państwa frankońskiego Saksonów i Bawarów, panował Karol Wielki nad rozległymi krajami od Edery po Ebro, od oceanu Atlantyckiego po Łabę i dolny Dunaj. Gdy nadto w sam dzień Bożego Narodzenia z rąk papieża Leona III. cesarską otrzymał koronę, stanął u szczytu swéj potęgi.

Oprócz wojennych wawrzynów nabył Karol wielką sławę jako prawodawca, jako krzewiciel oświaty i jako człowiek prywatny.

Obszerne państwo Franków, złożone z rozmaitych jeszcze barbarzyńskich ludów, przedstawiało wielki zamęt we wszystkich gałęziach publicznego i prywatnego życia. Chcąc nadać swojéj monarchii porządną a silną organizacyą, ogłosił Karol mnóstwo p r a w, zwanych kapitularzami. Corocznie rozważały sejmy Franków projekta, wnoszone na rozkaz króla przez jego urzędników; wypowiadały o nich swoje zdanie, a Karol potém zatwierdzał je ostatecznie i ogłaszał. Tymi kapitularzami określił warunki posiadania ziemi przez ludzi wolnych, służbę wojskową, postępowanie w sądach i kary za przestępstwa, władzę biskupów i duchowieństwa, podawał nawet przepisy moralności i dobrych obyczajów.

Dla nadzoru nad rządcami prowincyj czyli grafami ustanowił osobnych urzędników: Sendgrafen. Było ich zawsze po dwóch: jeden świecki, drugi duchowny. Mieli oni obowiązek objeżdżać podwładne kraje, dowiadywać się o wszelkich nadużyciach zarządu i donosić o nich królowi.

Równie troskliwie starał się król o rozkrzewienie nauk i sztuk w kraju.

Barbarzyństwo Franków stłumiło dawną rzymską oświatę w Gallii. Wieki VII. i VIII. są czasami największéj ciemnoty. Sam Karol w młodości ledwie umiał czytać, lecz wielki umysł jego spragniony był wiedzy; zewsząd więc sprowadzał ludzi uczonych, którzy składali najulubieńsze towarzystwo Karola. W poufałych rozmowach kazał Karol siebie, nazywać Dawidem, jednego z owych uczonych Horacym drugiego Homerem i t. p.

Rozczytywał się Karol ciągle w Biblii, wyuczył się dobrze mówić po łacinie i rozumiał po grecku; przykładał się także do matematyki i do sztuki obliczania biegu ciał niebieskich; nosił zwykle przy sobie, a na noc kładł pod poduszkę tabliczki do pisania, ale ręki swojéj, od miecza stwardniałéj, nie mógł już ułożyć do dobrego pisania.

Wiele król ponosił usiłowań, ażeby rozszerzyć oświatę w narodzie. Nakazywał biskupom zakładać szkoły w miastach i klasztorach; przy swoim zaś dworze miał szkołę, która mu we wszystkich podróżach towarzyszyła. Potężny cesarz sam często siadywał z uczniami na ławie, kazał im lekcye powtarzać i sam się z nimi uczył. Wracając z jednéj wyprawy, kazał sobie przedstawić uczniów; przeglądał ich pismo i wiersze. Biedni, niskiego pochodzenia uczniowie przedstawili dobre wypracowania, dzieci zaś wielkich panów wystąpiły z bardzo miernymi. Karol postawił pierwszych po prawéj stronie i rzekł do nich: „Pochwalam, kochane dzieci, waszę gorliwość w pełnieniu moich rozkazów i w staraniu się o własne dobro. Uczcie się, a ja was obdarzę bogatymi biskupstwami, wspaniałymi opactwami i zawsze będę was szanował jako ludzi znakomitych.“ Potém, zwracając gniewne spojrzenie ku leniwcom, zawołał: „Co do was, synowie najpierwszych mężów w narodzie! przysięgam na Boga, że nie będę zwracał uwagi na wasze pochodzenie i urodę. Wiedźcie i zapamiętaj-

cie sobie to dobrze, że jeśli się nie poprawicie, żaden z was od Karola nic nie otrzyma.“

Chciał on także wprowadzić do nabożeństwa śpiew podług metody Grzegorza Wielkiego, papieża. W tym celu przywiózł z Rzymu dwóch nauczycieli i urządził dwie szkoły śpiewu. Często kazał robić próby w pałacu swoim i sam wybijał takt laską. Jednakże potężne, ale dziki głosy Franków z trudnością naginały się do nut. Jeden z ówczesnych pisarzy porównywa śpiew ich z rykiem drapieżnych zwierząt.

Kazał także Karol zebrać bohaterskie pieśni i podania ludów germańskich, a nawet — według podania — sam pracował nad ułożeniem pierwszéj niemieckiéj gramatyki.

W życiu prywatném mógł być Karol przykładem dla swoich poddanych. Umiarkowany w jedzeniu i piciu, lubił, żeby mu w czasie obiadu odczytywano dzieje dawnych królów lub śpiewano pieśni przy dźwiękach lutni. Ubranie jego było nader skromne: nosił zwykle płócienne suknie, utkane ręką córek, w zimie kaftan bawoli, na wierzchu płaszcz białego lub zielonego koloru i miecz u boku, z którym się nigdy nie rozstawał. W uroczystych tylko chwilach wkładał bogate szaty i złotą koronę, wysadzaną drogimi kamieniami. Bardzo starannie zarządzał dobrami, do niego osobiście należącymi. W kapitularzach przechowały się instrukcye jego, dawane rządcom, w których nie zapominano o najmniejszych szczegółach: o zbiorze siana, o żniwach, o chowie koni, nawet o liczbie kur i kaczek na folwarkach.

Ulubioném miejscem Karola było miasto Akwisgran. Tu wznosił się pałac jego, otoczony galeryą, z któréj mógł widzieć wszystko, co się działo w okolicy. Dokoła wznosiły się mieszkania jego dostojników: a pod nimi na dole mieszkali żołnierze. Tutaj téż ubodzy podróżni znajdowali przytułek i grzali się przy ogromnych piecach. Karol Wielki zbudował w tém mieście także wspaniałą katedrę, do któréj sprowadził kolumny z dawniejszego cesarskiego pałacu w Rawennie. Lubił brzegi Renu i zbudował koło Moguncyi piękny pałac Ingelheim.

Sława Karola była tak wielką, że kalif Bagdadu Harun-al-Raszyd, pan całego Wschodu, przysłał poselstwo z oświadczeniem swojéj przyjaźni. Posłowie jego złożyli mu w darze kosztowny namiot, zegar misternéj roboty, drogie kobierce,

kadzidła, szachy, jedwabie i słonia, który był dla Franków przedmiotem największego podziwu. Karol wyprawił także poselstwo do Bagdadu, ofiarując Harunowi konie hiszpańskie, psy i płótna flandryjskie.

W ostatnim roku życia ujrzał Karol z okna swojego pałacu w Ingelheimie łunę palących się wsi. Dowiedział się, że Normandowie, śmiali korsarze, którzy odtąd nawiedzali wszystkie kraje europejskie, grasowali w jego posiadłościach. Staremu cesarzowi łzy stanęły w oczach na myśl o losach państwa, którego rządy miały przejść w słabe ręce jedynego syna jego Ludwika. Wszakże chcąc mu zapewnić następstwo tronu, dokonał uroczystéj jego koronacyi w Akwisgranie 813. roku. Wobec wielu zgromadzonych Franków kazał Ludwikowi wziąć koronę z ołtarza i włożyć ją sobie na głowę. Zakończył sędziwy król życie 28. stycznia 814. roku, mając lat 72. Zwłoki jego umieszczono w podziemiach akwisgrańskiéj katedry.

Tadeusz Korzon,
(Kurs historyi wieków średnich.)

37. Apostołowie słowiańscy św. Cyryl i Metody.

W pierwszéj połowie IX. wieku zawiązało się na lewym brzegu Dunaju państwo Wielkomorawskie, którego granice sięgały na północy aż po Wartę i Pilicę. Państwo to obejmowało Morawią, Czechy, Szląsk, Łużyce i część Węgier. Duchowieństwo niemieckie zajmowało się gorliwie nawracaniem osiadłych tam ludów. Ale usiłowania te nie odniosły pożądanego skutku. Księża niemieccy, nie znając języka Słowian, nie umieli sobie pozyskać ich serca. Porozumiawszy się z Rzymem, udał się tedy książę wielkomorawski Raścisław do Bizancyum, z prośbą, aby mu przysłano dla jego Morawian apostołów, „którzyby im zrozumiale (tj. w języku słowiańskim) objawili prawdę i w wierze ich utwierdzili“.

Słynęli podówczas we wschodniém cesarstwie świątobliwością i głęboką nauką bracia Konstanty i Metody. Byli to potomkowie dostojnéj i znakomitéj rodziny słowiańskiéj z Tesaloniki, miasta leżącego w dzisiejszéj Turcyi nad morzem Egejskiém. Metody zarządzał niegdyś księstwem słowiańskiém, nadaném mu przez cesarza, ale po niejakim czasie zrzekł się dobrowolnie téj godności, wdział suknię zakonną i, udawszy się na Olimp, gdzie żyli świątobliwi ojcowie, przykładał się

pilnie do nauk. Konstanty zaś, już w 14. roku życia dostawszy się do Bizancyum, otrzymał święcenie kapłańskie i taką naukami zjednał sobie sławę, iż zwan był powszechnie filozofem. Gdy przybyło do Bizancyum poselstwo Raścisława z prośbą o apostołów, którzyby w języku krajowym nauczali Słowian wielkomorawskich, cesarz Michał powołał Konstantyna i rzekł mu: „Nikt inny zdziałać tego nie potrafi, prócz ciebie. Owoż dam ci dary mnogie, weź z sobą brata swego i idź. Jesteście bowiem Tesalończykami, a wszyscy Tesalończycy czysto po słowiańsku mówią“. Poczém wybrali się obaj bracia w drogę do miejsca przeznaczenia, do Welehradu, nadmorawskiéj stolicy Raścisława.

Przybyli oni do Moraw w r. 863., przynosząc ze sobą dwa niepospolitéj wartości skarby: relikwie św. Klemensa i przekład ewangelii na język słowiański. Przygotowując się bowiem do téj nowéj pielgrzymki apostolskiéj, wynalazł Konstanty osobne znaki pisarskie dla języka słowiańskiego i, zaraz przełożywszy większą część najpotrzebniejszych ewangelij, tymiż znakami spisał.

Stolica papieska udzieliła przybyłym apostołom potrzebnéj opieki, a świętobliwi bracia zajęli się z właściwą sobie gorliwością utwierdzaniem Morawian w wierze i wytępianiem starych błędów. Wybierali oni z ludu młodzieńców, których przyuczali do służby kościelnéj, a każąc po słowiańsku, zyskiwali powszechną cześć i miłość. Ucieszony tak szczęśliwym początkiem, udał się Raścisław listownie do papieża z prośbą o zamianowanie Konstantyna i Metodego biskupami morawskimi. W odpowiedzi na to pismo książęce powołał ich papież do Rzymu. Obaj bracia przyjęli z radością wezwanie papieskie i, wziąwszy ze sobą św. relikwie, pośpieszyli w r. 867. do Rzymu w towarzystwie kilku uczniów. Relikwie św. Klemensa i obu pobożnych kapłanów przyjął papież Hadryn II. z wielką czcią, potwierdził ich naukę, położywszy ewangelią słowiańską na ołtarzu św. Piotra, ich zaś samych wyświęcił na biskupów, a ich uczniów na dyakonów i presbiterów.

Konstanty, który przy wyświęceniu na biskupa przyjął imię Cyryla, nie miał jednak korzystać ze swéj godności. Wkrótce bowiem, rozchorowawszy się, zakończył życie w Rzymie. Zwłoki jego złożone zostały w kościele św. Klemensa. Wyniesiony od papieża do godności arcybiskupa i polecony listem apostolskim, jako „mąż rozumem doskonały i prawo-

wierny", powrócił sam już Metody do Moraw, ażeby prowadzić daléj rozpoczęte dzieło.

Biskupi niemieccy, oburzeni na Metodego za to, iż w słowiańskim nauczał języku, powołali go w r. 870., przed zgromadzenie duchowne czyli synod, aby się usprawiedliwił, dlaczego to czyni. Metody oświadczył, że działał tak, jak mu sumienie działać nakazywało, i że taksamo i nadal postępować będzie. Po takiéj odpowiedzi pojmano i uwięziono świętego męża, a chociaż opieka papieża uwolniła go z więzienia, nie zasłoniła go przecież od dalszych prześladowań.

Pomimo tego wszystkiego nie ustawał Metody w pracy, nie zrażając się żadnymi przeciwnościami. Przetłómaczywszy z greckiego na język słowiański jeszcze wspólnie z bratem księgi kościelne, przełożył teraz z pomocą dwóch księży całe pismo święte i począł z wyświęconymi na księży uczniami prawić mszę w języku słowiańskim. Zyskiwał téż arcybiskup coraz nowych wyznawców, nie tylko we własnéj dyecezyi panońsko-morawskiéj, lecz i poza jéj granicami. Zwiedził sam Kroacyą, Istryą, Serbią, Dalmacyą i Bułgaryą, wszędzie apostołując, a uczniów swoich wysyłał do Polan i do Chrobatów nadwiślańskich. W r. 879. przyjął z rąk jego chrzest książę czeski Borzywoj i odtąd dopiero prawdziwie zaczęła się wiara chrześcijańska krzewić i ustalać w Czechach.

Ale właśnie ten szybki wzrost wpływu arcybiskupa na Słowian budził tém większą zawiść w jego nieprzyjaciołach. Nie mogąc mu w inny sposób szkodzić, skarżyli go kilkakrotnie przed stolicą apostolską, że mszę w barbarzyńskim języku słowiańskim prawi, wprowadzając przez to niesłychaną w kościele rzymskim nowość; czernili go i potwarzyli, jakoby szerzył błędy kacerskie i dążył do odszczepieństwa. Skutkiem tych niecnych intryg musiał się Metody ponownie udać do Rzymu w r. 880.; ale papież Jan VIII., wysłuchawszy jego usprawiedliwienia, uznał go niewinnym, potwierdził go w godności arcypasterskiéj i polecił listownie jak najlepiéj wielkiemu księciu Świętopełkowi. Nadto pozwolił Jan VIII. śpiewać mszę i sprawować wszystkie obrządki kościelne w języku słowiańskim, „który przestał być barbarzyńskim, odkąd Cyryl i Metody księgi święte nań wytłómaczyli i odkąd brzmią hymny na cześć Boga, tym językiem śpiewane"; nakazał jednakże ten zwyczaj, aby przy mszy pierwéj czytano ewangelią po łacinie, potém po słowiańsku.

Dnia 6. kwietnia 885. r. zakończył święty Metody życie, w siedemnastym roku piastowania arcybiskupiéj godności. Umierając, naznaczył następcą po sobie Gorazda, mówiąc: „Oto wasz ziomek, mąż swobodny, w piśmie łacińskiém dobrze wyćwiczony, prawowierny, niech więc z nim będzie wola Boża i wasza miłość, tak, jak jest moja“. Przy zwłokach apostoła odprawili uczniowie jego nabożeństwo cerkiewne po łacinie, po grecku i po słowiańsku i położyli go w cerkwi zbornéj. Ludu zaś niezliczona moc odprowadziła go do grobu, płacząc za dobrym nauczycielem swoim i pasterzem.

Pamięć świętego apostoła żyje zawsze świeża u wszystkich ludów słowiańskich, a kiedy przed kilku laty obchodzono uroczyście tysiącletnią pamiątkę jego śmierci w Welehradzie, niezliczone zgromadziły się zewsząd tłumy ludu, ażeby oddać cześć świętemu mężowi.

W niespełna lat trzydzieści po zgonie świętego arcybiskupa rozpadło się państwo Wielkomorawskie, rozbite przez Madyarów; wytępiono téż zasiew św. Metodego ze szczętem. Prześladowani uczniowie słowiańskiego apostoła szukali przytułku w sąsiednich państwach, unosząc ze sobą liturgiczne księgi, w słowiańskim języku pisane. Tam téż, na południu i wschodzie Słowiańszczyzny, utrzymała się ta liturgia stale aż do naszych czasów. *Ł. Tatomir.*

---

38. Olga, wielka księżna ruska.

Po śmierci Olega objął rządy Rusi Igor, krewny jego. Gdy zaś ten na wyprawie wojennéj zginął, oddali Rusini władzę wielkoksiążęcą w ręce mądréj żony jego Olgi, ażeby panowała dopóty, dopókiby syn jéj Świętosław nie doszedł męskiego wieku; ten bowiem w czasie śmierci ojca był chłopięciem.

Panowała Olga na Kijowie bardzo mądrze i sławnie.

Przychodziło wtedy wielu kupców greckich z towarami swymi do Kijowa; ruscy zaś wojownicy często zachodzili do Carogrodu, stolicy cesarzów greckich. A kiedy powracali, rozpowiadali ludziom wiele o świetném mieście Carogrodzie i o kościołach wspaniałych miasta tego i o cesarskich pałacach złocistych i o przedziwnéj wierze chrześcijańskiéj.

Olga to słyszała i chciała to wszystko na własne oczy widzieć, albowiem była niewiastą bardzo rozumną i chciwą wiedzy. Zebrawszy więc dwór, złożony z bojarów ruskich, popłynęła do Carogrodu.

Gdy ją ujrzał cesarz grecki i rozmawiał z nią, podziwiał jéj rozum i roztropność i chciał ją pojąć za żonę i rzekł do niéj: „Godną jesteś panować ze mną w tym grodzie moim.“ Ale Olga nie chciała zostać w obcém mieście, pragnęła bowiem powrócić do ojczyzny swojéj i do syna swego. Rzekła więc cesarzowi: „Jam poganka; patrz naprzód, żebyś mię ochrzcił!“ I ochrzcił ją patryacha carogrodzki, a cesarz był jéj ojcem chrzestnym. I dano jéj na chrzcie imię Heleny. Po ochrzczeniu wezwał ją cesarz i rzekł jéj: „Chcę cię pojąć za małżonkę.“ A ona na to: „Jak to? chcesz się ze mną żenić?— a wszakże jesteś moim ojcem chrzestnym, a u chrześcijan jest to przeciw prawu, jak to sam wiesz najlepiéj.“ Wtedy cesarz dał jéj dary mnogie, złoto i srebro, kobierce i naczynia rozliczne, i odprawił ją do domu.

Powróciwszy do Kijowa, mieszkała Olga z synem swoim Świętosławem i namawiała go do chrztu; lecz on nie zważał na to i słyszeć o tém nie chciał; ale kto z jego poddanych dobrowolnie chciał się ochrzcić, nie wzbraniał mu tego. Mimo to Olga kochała syna swego Świętosława i mówiła: „Niech się dzieje wola Boża! Jeśli Bóg zmiłuje się nad rodem moim i ludem ruskim, natchnie ich serca i nawrócą się do Boga.“ I modliła się za syna i za lud po wszystkie czasy. Nie doczekała się jednak téj pociechy, gdyż syn jéj Świętosław trwał nadal w pogaństwie i dopiero wnuk jéj, a syn Świętosława, Włodzimierz Wielki, przyjąwszy chrzest, dokonał nawrócenia Rusi na łono kościoła chrześcijańskiego, co nastąpiło w roku 988. Wedł. kroniki *Nestora*,

(tłóm. Jan Wagilewicz.)

---

39. Chrzest Mieczysława.

Słowa Chrystusa: „We mnie jest żywot“ zawierały mianowicie dla Polski pod Mieczysławem prawdę, w którą albo wierzyć albo zginąć musiała. Zachodnie ludy słowiańskie, które téj prawdy nie chciały przyjąć do serca, popadły w niewolę, w któréj po długiém pasowaniu się ze śmiercią do szczętu nakoniec wyginęły.

Niemcy dotarli już byli w podbojach swoich aż do granicy siedzib lechickich, a osadzony w marchii, najbardziéj ku wschodowi wysuniętéj, margrabia Gero, posłał był do Słowian hrabiego niemieckiego, Wichmana, który ich do wojny przeciw ludom lechickim podburzył i dwa razy króla Mieszka poraził. Równocześnie margrabia Gero uderzył z drugiéj strony na tenże zakątek Słowiańszczyzny i tak nareszcie samego Mieszka niemieckiemu podbił zwierzchnictwu.

Wspomnianém powyżéj niepomyślném zetknięciem się z margrabią wschodnim Geronem nastąpił już Mieszko na tego węża niewoli, którego czémprędzéj odeprzéć należało od progów Polski. Rozmyślał nad tém upokorzony książę Polan przez dwa lata, a roku trzeciego (965) wyprawił poselstwo po córkę czeskiego księcia Bolesława, Dąbrówkę, żądając jéj w małżeństwo. Książęta czescy byli już od stu lat chrześcijanami: zamierzone więc spokrewnienie się z nimi znaczyło tylko chęć zbliżenia się ku chrześcijaństwu. Poślubienie zaś spółplemienniczki, Słowianki, wystawiało wprowadzoną przez nią zmianę mniéj cudzoziemską w oczach narodu.

„Księżniczka — tak czytamy w starodawnéj kronice — z okazałym dworem świeckich i duchownych dostojników weszła do Polski, ale nie pierwéj skłonić się chciała do zawarcia małżeństwa, ażby małżonek, obyczajowi chrześcijańskiemu i obrzędom stanu duchownego pilnie się przypatrzywszy, pogańskich błędów się wyrzekł.“

„Wymógłszy tedy na mężu takie przyrzeczenie, napominała go tak często do przyjęcia wiary Chrystusa, aż on wrodzonego niedowiarstwa się wyrzekł i chrztem świętym pierworodny grzech ze siebie obmył (966). A za głową i ukochanym swym panem poszły téż niedołężne potąd członki narodu i, weselną szatą odziane, w poczet reszty zwolenników Zbawcy wstąpiły. Jordan, pierwszy ich biskup, wielce się z nimi napocił, nim ich gorliwém słowem i czynem przywiódł do uprawy winnicy niebieskiéj.“

Wraz z tém przyjęciem nowéj religii nastąpiło powszechne zburzenie dawnych świątyń i bożków. W miejscu obalonych świątyń pogańskich stanęły chrześcijańskie kościoły, a głową nowego duchowieństwa ustanowiono owego Jordana, którego zamianowano biskupem poznańskim, zawisłym od arcybiskupstwa magdeburskiego, świeżo dla Słowian założonego przez cesarza Ottona.

Przyjęciem religii chrześcijańskiéj państwo Mieszkowe wstąpiło w duchowe pokrewieństwo z resztą europejskiéj ludzkości, od dawna już chrześcijańskiéj. Oprócz tego wydał Mieszko siostrę swoję, Białoknieginią czyli Adelajdę, za węgierskiego książęcia Gejzę. Był on, jak i Mieczysław, neofitą i „zarazem Panu Bogu wszechmogącemu, jako téż różnym bałwanom ofiarę czynił“. A gdy go biskup o to zagadnął — „Jestem dość bogatym i możnym — odpowie Gejza — abym jednemu i drugiemu Bogu zadość mógł czynić.“ Drugą córkę wydał Mieczysław naprzód za króla szwedzkiego Eryka, a po jego śmierci za króla Danii Swenona. Syn jéj z tego małżeństwa, a więc Mieczysława wnuk, król duński i angielski, Kanut Wielki, był jednym z najmędrszych i najpotężniejszych monarchów owego czasu.

Spowinowacone tak kraje wchodziły w wielorakie z Polską stosunki, a narodowe życie Polaków coraz szerzéj, coraz pełniéj się rozwijało. *Karol Szajnocha,*

(Bolesław Chrobry).

---

40. Chrzest Włodzimierza Wielkiego.

Włodzimierz, syn Świętosława, był księciem całéj Rusi i panował w Kijowie. Był zaś poganinem, jak cały naród jego, i składał ofiary Perunowi i innym bogom pogańskim.

Pewnego razu przyszedł doń uczony grecki z Carogrodu i nakłaniał go, aby się przestał kłaniać bałwanom, a uwierzył w prawdziwego Boga. I podobała się ta mowa księciu i wszystkim ludziom; wybrano mężów mądrych i roztropnych, w liczbie dziesięciu, i kazano im pójść w podróż po rozmaitych krajach i badać ich wiarę i nabożeństwo. Ci, gdy powrócili, radzili księciu, aby przyjął zakon chrześcijański. A bojarowie dodali: „Jeśliby zakon chrześcijański był zły, toby go nie była przyjęła babka twoja Olga, która była mędrsza od wszystkich ludzi“. Odpowiadając zaś Włodzimierz, rzekł: „Gdzie więc przyjmiemy chrzest?“ — Oni zaś rzekli: „Gdzie ci się podoba.“

Gdy rok minął, wyruszył Włodzimierz z wojskiem na Cherson, gród grecki, a zdobywszy go, posłał do cesarzów greckich, Bazylego i Konstantyna, mówiąc tak: „Oto gród wasz sławny zdobyłem; słyszę zaś, że macie siostrę, dziewoję; jeśli mi jéj nie dacie, zdobędę Carogród, stolicę waszę, tak,

jak Cherson zdobyłem“. A usłyszawszy to cesarzowie, zasmucili się i przysłali mu taką odpowiedź: „Jeśli się ochrzcisz, to wydamy za ciebie siostrę i zrobimy zgodę z tobą; jeśli zaś tego uczynić nie zechcesz, nie możemy wydać siostry swojéj za ciebie“. Usłyszawszy to Włodzimierz, rzekł posłom cesarskim: „Powiedźcie cesarzom, że przyjmę chrzest; dowiadywałem się już pierwéj o zakonie waszym i podobał mi się; podobała mi się i wiara wasza i służba, którą mi opisywali wysłani od nas mężowie“.

I usłyszawszy to cesarze, radowali się, a uprosiwszy siostrę swoję, imieniem Annę, posłali do Włodzimierza, mówiąc: „Ochrzcij się, a wtedy siostrę swoję poślemy ci.“ A Włodzimierz na to: „Niech przyjdą tu z siostrą waszą i ochrzczą mię.“ I usłuchawszy cesarzowie, posłali siostrę, kilku dostojników i kapłanów.

Ona zaś nie chciała iść. „Jak w niewolę pogańską — mówiła — idę; lżéjby mi było tu umrzéć.“ I rzekli jéj bracia: „Owo Bóg skłoni naród ruski do pokuty, a greckie państwo wybawi od srogiéj wojny. Widzisz oto, ile złego wyrządziła Ruś Grekom; i teraz tosamo wyrządzi, jeśli nie pójdziesz“. I ledwie ją przymusili. Ona zaś, na okręt wsiadając, całowała braci swoich i synowców i z płaczem puściła się przez morze.

Gdy przybyła do Chersonu, wyszli Chersońcy z pokłonem i wprowadzili ją do grodu i posadzili w pałacu. Z Bożego zaś dopuszczenia, zachorował pod on czas Włodzimierz na oczy i, nie widząc nic, tęsknił bardzo i nie wiedział, co czynić. I posłała do niego cesarzówna, mówiąc: „Jeśli chcesz pozbyć się bolu tego, to ochrzcij się natychmiast“. Słysząc to Włodzimierz, rzekł: „Gdy to się sprawdzi, to zaiste wielki jest Bóg chrześcijański“. I kazał się ochrzcić. Biskup więc chersoński z kapłanami cesarzówny, nauczywszy, ochrzcił Włodzimierza. Jak tylko położył nań rękę, natychmiast przejrzał. Widząc Włodzimierz tak nagłe uzdrowienie, sławił Boga, mówiąc: „Dopiero poznałem Boga prawdziwego“. Gdy zaś to widziała jego drużyna, ochrzciło się wielu.

Po chrzcie poprowadził Włodzimierz cesarzównę do ślubu, poczém wraz z nią powrócił do Kijowa, zabrawszy ze sobą kapłanów chersońskich. Przyszedłszy do stolicy swojéj, kazał bałwany bogów pogańskich wywracać i jedne z nich porąbać,

a drugie w ogień wrzucić; były one bowiem drewniane. A posąg najstarszego boga, Peruna, kazał przywiązać koniowi do ogona i wlec z góry, na któréj Kijów stoi, do rzeki; dwunastu zaś chłopów przystawił, aby go bili kijami, a to nie jakoby drzewo czucie miało, lecz dla pokazania ludowi, jak jest bezsilném bożyszcze, któremu się dotychczas kłaniał. Gdy go zaś wlekli, płakał za nim lud kijowski, albowiem chrztu świętego jeszcze nie był przyjął.

Potém Włodzimierz posłał po całym grodzie, mówiąc: „Ktokolwiek jutro nie przyjdzie nad rzekę, czy bogaty czy ubogi, czy pan czy wyrobnik, popadnie u mnie w niełaskę.“ Słysząc to ludzie, szli z radością, ciesząc się i mówiąc: „Gdyby to dobra sprawa nie była, tedyby książę i bojarowie nie byli jéj przyjęli“. Nazajutrz tedy wyszedł Włodzimierz z kapłanami cesarzówny i chersońskimi nad Dniepr. I zeszło się ludzi bez liku. Wleźli w wodę i stali, jedni po szyję, a drudzy po piersi, młodsi z brzegu, dorośli zaś brnęli; a kapłani, stojąc na brzegu, odprawiali modlitwy. I była radość na niebie i na ziemi, widzieć tyle dusz nawróconych.

Gdy się ludzie ochrzcili, rozeszli się każdy do domu swego. Włodzimierz zaś, uradowany, że i sam poznał Boga i ludzie jego, spojrzał ku niebu i rzekł: „Boże, stworzycielu nieba i ziemi, spojrzyj na ten lud i daj mu, Panie, poznać Ciebie, prawdziwego Boga, jak Cię poznały kraje chrześcijańskie: utwierdź w nim wiarę prawą, a mnie pomóż w jéj krzewieniu“. To rzekłszy, kazał budować cerkwie w tych miejscach, gdzie stały bałwany. I zbudował cerkiew św. Bazylego na wzgórzu, gdzie stał bałwan Peruna i gdzie ofiary zwykł był dawniéj czynić lud i książę. Odtąd począł stawiać cerkwie po grodach i kapłanów stanowić, a ludzi skłaniał do chrztu po wszystkich grodach i wioskach.

Tak Ruś nawróciła się do kościoła Bożego: stare rzeczy minęły, a oto nastały nowe; noc minęła, a zbliżył się dzień. Zginęła pamięć Peruna w szumie dnieprowych porohów, a Pan na wieki przebywa, sławiony przez swych wiernych ruskich synów. Tak więc z łaski Bożéj oświecony został Włodzimierz sam i lud jego i synowie, których miał dwunastu.

Wedł. kroniki *Nestora*,
(tłóm. Jan Wagilewicz).

41. Cesarz Otto III. gościem u Bolesława.

Otto III., król niemiecki, był uczniem i przyjacielem św. Wojciecha. W szesnastym roku życia cesarzem rzymskim koronowany, marzył o zjednaniu sobie sławy większéj, niż wszyscy cesarze rzymscy. Bawiąc w Rzymie, przypomniał sobie mistrza swego, Słowianina Wojciecha, który niedawno jako apostoł poniósł był śmierć męczeńską od pogańskich Prusów i spoczął za staraniem Bolesława w katedrze gnieźnieńskiéj w Polsce. A że w tym czasie Bolesław polski wyprawił poselstwo do Rzymu, z prośbą o nadesłanie mu duchownych, głośne przeto o św. Wojciechu przybyły wieści do stolicy świata.

Młody cesarz postanowił wybrać się do Polski. Wiodły go tam mnogie pobudki, przed innymi cześć religijna dla zgasłego nauczyciela a męczennika pańskiego i chęć sprzymierzenia się z dzielnym władcą rozległéj Polski. Przyjazne sąsiedztwo chciał sobie cesarz zapewnić, dlatego, iż pragnął stale zamieszkać we Włoszech, a do tego potrzebował spokoju w Niemczech. Zresztą pochlebiała dumnemu młodzieńcowi pyszna wyprawa cesarska do tak dalekiéj ziemi, w jakiéj, jak sam Otto późniéj wyraził się w mowie do Rzymian, „nie postała nigdy stopa żadnego Rzymianina“. Wybrano się w drogę z nadzwyczajnym przepychem, „z jakim jeszcze żaden cesarz nie wybierał się z Rzymu ani tamże nie wracał“. Towarzyszyło cesarzowi umyślnie wielu Rzymian, a w Niemczech, którędy w pierwszych zimowych tygodniach r. 1000. przeciągano bez zatrzymania się, po wszystkich miastach pierwsi ówcześni dostojnicy, t. j. biskupi, z największą wystawnością przyjmowali cesarza.

A gdy mijano granice, zabiegł cesarzowi drogę Bolesław, bardzo radosne zgotowawszy mu przyjęcie. — Przyjmował go bowiem tak zaszczytnie i wspaniale, jak należało przyjmować w gościnę króla i cesarza rzymskiego. Dziwne też cuda wyprawił Bolesław na cześć jego przybycia. Naprzód uszykował na rozległéj dolinie różnorakie zastępy rycerstwa, a daléj drużyny pańskie, jakgdyby chóry niebieskie. Wszystkie zaś te zastępy urozmaicała gra szat różnobarwistych. A nie była tam lada jaka rozmaitość stroju, lecz co w jakimkolwiek narodzie znajduje się najkosztowniejszego, mogłeś tam widzieć. Gdyż za czasów Bolesława każdy rycerz i każda z pań dwor-

skich używali bławatów zamiast płótna lub wełny; ani też futer, jakkolwiek kosztownych i choćby nowych, nie noszono na Bolesławowskim dworze bez bławatów i złotogłowów. Złoto bowiem było za owych czasów w tak powszedniéj u wszystkich cenie, jak dziś srebro, a srebro miano za lichą plewę.

Owoż środkiem tak bogatych szeregów postępując, zbliżył się Otto z Bolesławem i całym swym rzymskim dworem w wielkim poście do Gniezna. Obaczywszy miasto zdaleka, zdjął cesarz obuwie i szedł bosą nogą, a od tamecznego biskupa Ungera ze czcią przyjęty, wszedł do kościoła i rzęsistymi łzami wstawienia się męczennika Chrystusowego za sobą do Boga błagał.

Kościół ten poświęcony był Bogarodzicy, na któréj cześć św. Wojciech, według powszechnego mniemania, złożył w języku gminnym pieśń, śpiewaną przez długie wieki w Polsce i w Czechach, przy różnych kościelnych uroczystościach i w czasie bitwy. Przechowując zaś cudowny skarb świętości, błyszczał ten kościół także ziemskimi skarby złota i klejnotów. Główny ołtarz, w którym święte zwłoki spoczęły, założył na pamiątkę swéj pobożnéj wędrówki sam cesarz Otto, a obok tego ołtarza jaśniały olbrzymie wota Bolesławowskie: naprzód ogromny posąg Zbawiciela na krzyżu, cały ze złota, ważący trzy razy tyle, co sam „wielki i ciężki" Bolesław, który sam tymże sposobem wagę złota temu posągowi odmierzył; wreszcie niezmierna złota płyta, mająca pięć łokci wzdłuż, a dziesięć piędzi w szerz, rzęsisto kamieniami i ozdobami kryształowymi wysadzona, zawierająca napis u brzegu: „Trzykroć sto funtów złota na dzieło odważono".

Wszystek ten przepych i potęgę i bogactwa widząc, zawołał cesarz rzymski w podziwie: „„Na koronę cesarską, daleko więcéj widzę, niż mi sława doniosła!"" — A potém, naradziwszy się ze swymi magnatami, dodał w obliczu wszystkich: „„Nie godzi się tak wielkiego męża, księciem tylko albo hrabią nazywać, ale owszem słuszna jest na tron królewski go wynieść i koroną ozdobić."" I zdjąwszy koronę cesarską ze skroni, włożył ją Bolesławowi na głowę w sojusz przyjaźni. I dał mu także w darze gwóźdź z krzyża Pańskiego i włócznię św. Maurycego; za co Bolesław nawzajem ręką św. Wojciecha go obdarzył. I tak wielką połączyli się onego dnia miłością, że cesarz Bolesława ustanowił bratem i współrządcą cesarstwa i ludu rzymskiego przyjacielem

i sprzymierzeńcem mianował. Nadto, co tylko w dostojeństwach kościelnych — t. j. w ustanowieniu arcybiskupstw i biskupstw — należało do cesarstwa, to wszystko w całém państwie polskiém, jakotéż w innych krainach barbarzyńskich, które już zawojował albo w przyszłości jeszcze mógł zdobyć, Bolesławowi i jego następcom w moc oddał. Ugodę tę papież Sylwester świętego rzymskiego kościoła przywilejem zatwierdził. Jakoż niezwłocznie ustanowił cesarz w Gnieźnie arcybiskupstwo i poruczył je bratu świętego Wojciecha, Radzymowi.

Zaczém tak świetnie od cesarza królem ogłoszon, Bolesław okazał swą przyrodzoną hojność i przez trzy dni swéj koronacyi królewskie, owszem cesarskie gody wyprawiał. A każdego dnia zmieniano wszystkie naczynia i cały przyrząd stołowy, stawiając natomiast inny, daleko kosztowniejszy. Po skończonéj zaś biesiadzie Bolesław kazał podczaszym i stolnikom wszelkie złote i srebrne naczynia — bo drewnianych wcale tam nie widziałeś — jakoto: misy i czary, rożenki i noże, rogi do picia i t. p., zebrać ze wszystkich stołów, jakie przez trzy dni zastawiano, i oddał to wszystko cesarzowi, nie jako dań książęcą, lecz jedynie dla okazania mu czci. Toż i komornikom kazał podobnież zebrać wszystkie sukna porozścielane i „kortyny“ i „tapicerye“ i kobierce, przyodziewki, ręczniki, i czego tylko na usługi cesarskie dostarczono, i znieść do komory cesarskiéj. Prócz tego mnogie jeszcze inne naczynia, złote i srebrne, rozmaitéj roboty, bławaty rozmaitéj barwy, przybory rozmaitego rodzaju, kamienie drogie i tym podobne rzeczy w tak wielkiéj złożył obfitości, że cesarzowi dziwem się zdały tak hojne dary. Ale któż zdoła wyliczyć, jak mnogie i jakie dary ci panowie od Bolesława otrzymali, gdy z tak licznego tłumu ani jeden ciura bez daru nie wyszedł z Polski.

Sami téż Niemcy ówcześni opowiadają, „iż niepodobna wyrazić ani uwierzyć, jak Bolesław cesarza wówczas przyjmował i przez swój kraj aż do Gniezna prowadził; wielkimi następnie czcił go darami, z których cesarzowi najwięcéj rota trzechset kiryśników się podobała“.

Gdy nakoniec Otto nazad do Rzymu w drogę się wybrał Bolesław Chrobry towarzyszył mu ze świetnym dworem aż do Magdeburga, gdzie wspólnie święta wielkanocne spędzono.

Poczém, nawzajem przez cesarza obdarzony, wrócił Bolesław do swojéj Polski, dokąd mu jeszcze Otto z drogi do Rzymu, nadesłał w darze krzesło cesarskie, wyjęte z grobu Karola Wielkiego w Akwisgranie. *Karol Szajnocha*,

(Bolesław Chrobry).

42. Święty Stefan, król węgierski.

W zaraniu dziejów każdego prawie narodu powstają wielcy królowie, którzy czy to wysokim rozumem, czy téż nadzwyczajném męstwem zakładają podwaliny przyszłéj wielkości i sławy swojego narodu i państwa. Takim wielkim w dziejach Węgier władcą był król Stefan I., którego pamięć żyje dotąd w sercach całego narodu. Kiedy po śmierci ojca swojego Gejzy (r. 995.) wstąpił na tron węgierski, był on jeszcze poganinem, a nazywał się Wajk. Atoli Gizela, córka księcia bawarskiego, o któréj rękę młody król prosił, zażądała od niego, ażeby z całym swym narodem przyjął wiarę chrześcijańską. Wajk chętnie spełnił to żądanie, zwłaszcza, że już przedtém nie brakło usiłowań zaszczepienia wiary chrześcijańskiéj na ziemi węgierskiéj, a nawet król Gejza przyjął był chrzest św. Młody król przy chrzcie św. otrzymał imię Stefan, ojcem zaś chrzestnym był mu cesarz Otto III, który mu na pamiątkę téj uroczystości podarował włócznię z relikwiami świętymi. Za przykładem władcy poszedł i naród cały, a Stefan, dopełniwszy podanego mu warunku, poślubił Gizelę, która odtąd dzielnie wspierała go we wszystkich jego pracach i usiłowaniach, dla dobra narodu i państwa podejmowanych.

Pracę swą rozpoczął Stefan od ustalenia wiary chrześcijańskiéj w kraju. W tym celu zakładał biskupstwa, a ponad wszystkimi przełożył arcybiskupa Granu, na którą to godność powołał towarzysza św. Wojciecha, Anastazyusa. Zaraz potém wysłał tegoż dostojnika do papieża Sylwestra II. z prośbą o zatwierdzenie założonych biskupstw, jakotéż o pozwolenie zakładania nowych jeszcze stolic na pożytek poddanych i na chwałę kościoła Chrystusowego. Papież, uradowany otrzymanymi z Węgier wieściami, zawołał: „Ja jestem ojcem apostolskim, ale zaprawdę! apostołem zwać się godzien ten, który tak wielki naród nawrócił". Poczém nie tylko zatwierdził wszystkie zarządzenia Stefana, ale nadto przysłał

mu swe apostolskie błogosławieństwo i koronę królewską. Było to w r. 1000.

Chwila to w dziejach narodu węgierskiego bardzo ważna. Korona, z rąk papieża otrzymana, zawsze najwyższą u narodu czcią była otoczona: widziano w niéj symbol wszelkich praw i apostolskiego majestatu. Odtąd téż koroną tą zdobiono tylko skronie królów; królowe nosiły inną, przy koronacyi zaś koroną św. Stefana dotykano jedynie prawego ramienia królowéj. Wyjątek stanowiły tylko Marya, córka Ludwika I, i cesarzowa Marya Teresa, które się koronowały koroną św. Stefana; ale téż każda z nich w stylu urzędowym nazywała się nie królową, lecz królem.

Zawsze był Stefan równie troskliwym o wzrost i powodzenie kościoła chrześcijańskiego. Chwała Boża pierwszym i najwyższym była celem jego usiłowań. Dla pomnożenia téj chwały liczne zakładał kościoły nie tylko w kraju własnym, lecz także daleko poza jego granicami. Z kościołów, w kraju zbudowanych, nad podziw wspaniałym miał być kościół Naśw. Panny Maryi w Białogrodzie (Stuhlweissenburg), w którym chór i posadzka były marmurowe, ołtarze złotem i srebrem jaśniejące, obrazy drogimi kamieniami wysadzane, szaty kościelne i naczynia bardzo kosztowne i wspaniałe. Poza granicami swego państwa zbudował król w Rzymie kościół św. Szczepana, a przy nim ustanowił gospodę dla pielgrzymów węgierskich; w Jerozolimie zbudował klasztor i wyposażył go bogato w winnice i pola; okazały téż kościół wzniósł w Konstantynopolu, stolicy wschodniego cesarstwa rzymskiego; nadto wiele innych kościołów po różnych krajach obdarzał Stefan kosztownymi sprzętami lub przyborami.

Sława imienia tak pobożnego króla po całym rozchodziła się świecie. Niedawno jeszcze pobożni pielgrzymi, do ziemi św. zdążający, drżeli na samo imię Madyarów i omijali niegościnną ich ziemię; teraz w kraju tym znajdowali bezpieczny przytułek i szczerą gościnę. To téż powróciwszy z pielgrzymki w rodzinne swe strony, wielbili imię dobrotliwego i pobożnego króla węgierskiego.

Jeszcze większą gościnność znajdowali owi cudzoziemcy, którzy jako pracowici osadnicy osiedlali się w rozległych, a w wielkiéj części pustych ziemiach węgierskich. Król Stefan zapewniał im opiekę i pomoc, twierdził bowiem, że z cudzoziemcami nowe do kraju przybywają żywioły, nowa oświata,

nowe siły. Z tego téż powodu, w pokoju i zgodzie żyjąc ze sąsiadami, starał się król Stefan w ścisłe wchodzić stosunki ze wszystkimi ościennymi narodami, szczególnie z Niemcami.

Raz tylko zamąciły się dobre z Niemcami stosunki. Po śmierci króla polskiego, Bolesława Chrobrego, odebrał Stefan wszystkie swe dawniejsze posiadłości; a gdy nadto zagarnął i część Moraw, które za lenno cesarstwa niemieckiego uważano, oburzył przeciw sobie cesarza Konrada II. i króla czeskiego Brzetysława. Z dwóch tedy stron wkroczyły wojska nieprzyjacielskie w granice państwa węgierskiego, grożąc mu zniszczeniem i rozbiciem. Atoli Stefan nie upadł na duchu: oddał kraj cały w opiekę Najśw. Panny i zarządził w całém państwie posty i modły, a tymczasem gromadził siły, do obrony potrzebne.

Wojska cesarskie posuwały się coraz daléj w głąb państwa węgierskiego, aż dotarły do ujścia rzeki Raby. Trzeba było nieprzebyte przechodzić lasy, przeprawiać się przez bagna i rzeki, a brak żywności coraz bardziéj wojsku dokuczał. Głodem i trudami złamani, nie chcieli już Niemcy posuwać się daléj: musiano się cofnąć. Cały tedy lud węgierski zasyłał dzięki Najśw. Pannie za jéj świętą opiekę i ocalenie kraju od niechybnéj zguby.

Król Stefan nie przeceniał jednak swego zwycięstwa; chcąc państwu swojemu zapewnić pokój, sam podał cesarzowi bardzo przystępne warunki pokoju, który téż wkrótce przyszedł do skutku.

Odtąd czasu pokoju używał Stefan, ażeby w młodém swém państwie ład zaprowadzić i porządek. W tym względzie za wzór służyły mu Niemce. Pomiędzy ustawami, przez niego narodowi danymi, znajdujemy postanowienia (kapitularze) frankońskie, jakotéż uchwały synodów niemieckich. Król miał mieć przy swoim boku radę, złożoną z duchownych i świeckich panów. Kraj cały podzielono na powiaty, na których czele stali dostojnicy, mający biskupom pomagać w szerzeniu wiary chrześcijańskiéj, a w imieniu króla sprawować sądy. Zdrajcy ojczyzny śmiercią mieli być karani bez żadnych względów, a wdowy i sieroty stać miały pod bezpośrednią opieką króla. Co dziesięć wiosek miała powstać jedna świątynia, kosztem samych mieszkańców wzniesiona, przez nich téż w grunta i dobytek wyposażona; biskupi mieli do-

starczać kapłanów i ksiąg liturgicznych, a król szat i przyborów kościelnych.

Oto najgłówniejsze środki, których użył król Stefan, chcąc spełnić zadanie, jakie sobie zakreślił. Wielkie to zaiste było zadanie! Chciał on lud swój, do koczowniczego życia przywykły, przywiązać do ziemi, na któréj osiadł; chciał go oświecić i uszlachetnić; chciał wiarę chrześcijańską, świeżo zaprowadzoną, zaszczepić głęboko w sercach swych współziomków, ażeby przez to naród swój wprowadzić w wielką rodzinę ludów europejskich i uczynić go uczestnikiem wyższéj oświaty.

Zadanie swoje spełnił w zupełności. Schodząc ze świata, z zadowoleniem mógł patrzeć na błogie owoce długoletnich swych usiłowań, z ufnością spoglądać w przyszłość swojego narodu.

Umarł Stefan dnia 15. sierpnia r. 1038. w sam dzień Wniebowzięcia Najśw. Panny, królowéj nieba i ziemi, któréj opiece siebie i lud swój polecił. Ciało świętego króla pochowano w świątyni, którą sam z takim przepychem wzniósł niegdyś w Białogrodzie. Pamięć jego święcili dawniéj Węgrzy dnia 20. sierpnia, lecz w r. 1687. papież Innocenty XI. przeniósł tę uroczystość na dzień 2. września na pamiątkę, że tego dnia odebrano Budę Turkom.

Wspaniały kościół w Białogrodzie już nie istnieje. Turcy wysadzili go w powietrze; zaledwie dwie pozostały granitowe kolumny, o których głosi podanie, że pochodzą z owego kościoła. Atoli trwalszy pomnik wzniósł sobie Stefan w ustawach, które państwu swojemu nadał; trwalszą sobie zdobył pamięć w sercach swoich ziomków, położywszy niezachwiany fundament przyszłéj wielkości narodu węgierskiego.

Według *Dr. Henryka Zeissberga*,
(Oester. Gesch. für das Volk. t. III).

---

43. Początek wojen krzyżowych.

Od pierwszych wieków po Chrystusie weszło było w zwyczaj pomiędzy wyznawcami ewangelii odbywanie pielgrzymki do Ziemi Świętéj. Judea, bogata we wspomienia religijne, była zawsze dla wiernych ziemią obiecaną; błogosławieństwo niebios zdawało się oczekiwać tych, którzy nawie-

dzą Kalwaryą. Liczba pielgrzymów rosła téż z każdym rokiem. Atoli niedługo cieszyli się wierni.

W początkach siódmego wieku powstała w nieznanym zakątku Azyi nowa wiara, nieprzyjazna wszystkim innym, głosząca panowanie i wojnę. Mahomet obiecał uczniom swoim podbicie świata. Umiał zapalić wyobraźnię Arabów, a na polu bitew natchnął ich swojém męstwem. Pierwsze powodzenia, przewyższające nawet jego nadzieje, uważane jako cuda, pomnożyły zaufanie zwolenników Mahometa. Zbrojna jego nauka zagarnęła w krótkim czasie Arabią, część Syryi i Persyi.

Po śmierci Mahometa jego namiestnicy i towarzysze pierwszych czynów prowadzili daléj dzieło, przez niego rozpoczęte. Hufce Omara opanowały Palestynę, a po czteromiesięcznèm oblężeniu i zaciętéj obronie stolica niegdyś królestwa Judzkiego poddać się musiała Omarowi. Dopóki żył ten kalif, los chrześcijan nie był zbyt opłakany; dopiero po śmierci Omara wyznawcy Jezusa Chrystusa doświadczać mieli krzywd i obelg wszelkiego rodzaju. Obrzędy religijne zostały tam zakazane, większą część kościołów zamieniono na stajnie; nawet kościół grobu Chrystusowego nie mógł ochronić się od zniszczenia. Chrześcijan wyrugowano precz z Jerozolimy. Wieść o zburzeniu miejsc świętych nie zastała Europy obojętną. Grzegorz VII., papież wielkiego charakteru i śmiałego umysłu, wzywał wiernych do broni przeciwko Muzułmanom, a następca jego Wiktor III. obiecał odpuszczenie wszystkich grzechów tym, którzy pójdą walczyć z Saracenami.

Atoli hasło do wielkiéj wojny pomiędzy Zachodem a Wschodem dał dopiero ubogi zakonnik, przenikniony myślą swojego wieku. Pustelnik Piotr, rodem z Pikardyi, jak tylu innych, udał się był w pielgrzymkę do Jerozolimy. Widok Kalwaryi i grobu świętego zapalił chrześcijańską jego wyobraźnię; widok cierpień, jakich doświadczali wierni, obudził jego gniew ku prześladowcom. Opuściwszy więc Palestynę, zwrócił się ku Włochom, rzucił się do nóg Urbanowi II., błagał i otrzymał jego współdziałanie ku oswobodzeniu Jerozolimy. Pustelnik, wsiadłszy na muła, z krzyżem w ręku, boso, z głową odkrytą, w grubym habicie przejeżdżał z miasta do miasta, z prowincyi do prowincyi, miewając kazania po drogach i placach publicznych. Tak przebiegł Francyą i większą część Europy. Wymowa jego wzruszała, ogień zapalał

umysły wszystkich; serca wszystkich współczucie do głębi przeniknęło.

Tymczasem zebrał się sobór w Clermont (1095), gdzie zgromadziły się ogromne tłumy. Piotr pustelnik pierwszy przemówił; głos jego, płaczem przerywany, wszystkich obecnych rozrzewnił. Odezwał się potém papież Urban, wskazując dziedzictwo Jezusa Chrystusa, wydane na haniebną niewolę, synów Bożych prześladowanych, Europę chrześcijańską zagrożoną przez zwycięskich barbarzyńców; papież wzywał narody i monarchów ku obronie Boga żyjącego. Mowa papieża w nagrodę wskazywała niebo pobożnym, a skarby i królestwa dumnym. Nieprzeliczone tłumy odpowiedziały na słowa Urbana wielkim okrzykiem: „Bóg tak chce! Bóg tak chce!“ który zagrzmiał jak piorun na placach miasta Clermontu.

Biskupi, baronowie, rycerze i wszyscy wierni, na soborze obecni, przysięgli iść na oswobodzenie Jerozolimy; zawiesili oni na swéj odzieży krzyż czerwony z sukna lub materyi jedwabnéj i stąd poszło nazwisko *Krzyżowców*. Sobór, na którym uchwalono wojnę krzyżową czyli krucyatę, odbył się w miesiącu listopadzie 1095. roku; na miesiąc sierpień roku przyszłego naznaczono wyprawę zbrojnéj pielgrzymki. Zimę przepędzono na przygotowaniach do drogi.

W pierwszych dniach wiosny 1096. r. nic już nie zdołało pohamować dłużéj pobożnego zapału pielgrzymów. Wszystkie stany, wszystkie powołania, ludzie wszelkiego wieku zgromadzili się pod chorągiew krzyża. Drogi zalegały tłumy, z pośrodka których podnosiły się kolejno okrzyki: „Bóg tak chce!“, odgłos trąb, pienia hymnów i psalmów. Całe rodziny, zabrawszy z sobą zapasy, naczynia, sprzęty, szły do Palestyny, spuszczając się na opatrzność Tego, który żywi ptaszęta powietrzne. Tłumy te jednak niesforne i bez zdolnego wodza na czele nie zdołały wiele dokazać. Straciwszy ufność, skutkiem klęsk poniesionych w drodze, zaczęli się krzyżowcy rozchodzić, jedni z powrotem do ojczyzny, inni samotnie dążąc do Jerozolimy. Sam Piotr, który najwięcéj przyczynił się do tego poruszenia, złamany na duchu, powrócił także do domu i zakończył cichy żywot w celi klasztornéj.

Atoli hasło, przez niego rzucone, nie pozostało bez skutku, gdyż pierwsze niepowodzenia nie zraziły bynajmniéj rycerstwa. Owszem, należycie do wyprawy przysposobione wojska pod wodzą Gotfryda z Bouillonu wyruszyły ponownie

15. sierpnia 1096. r., a zatém nieomal w pół roku po wyjściu Piotra, w pochód do Ziemi Świętéj i po wielu trudach zdobyły wreszcie dnia 15. lipca 1099. r. Jerozolimę. Krwawe zapasy z Muzułmanami wymagały jednak coraz to nowych ofiar i dawały ustawicznie powód do nowych wypraw krzyżowych, które ze zmiennem szczęściem trwały blisko 200 lat. Mimo tych wszystkich wysiłków nie zdołali się atoli chrześcijanie utrzymać w Palestynie i wkońcu Ziemia Święta znów wpadła w ręce niewiernych. *Leon Rogalski.*

---

44. Młodość Bolesława Krzywoustego.

I.

Królewicz Bolko.

Noc już była prawie, gdy na osobny podwórzec królewicz Bolko w kilkanaście koni z drużyną swą zajechał, z łowów wracając. On i mało co od niego starsi towarzysze przeganiając się, wpadli we wrota jak burza i wichry i popędzili przez podsienia, u których służba czekała. Bolko konia swego osadził w miejscu żelazną ręką, aż się spiął do góry i o mało w znak nie przewalił — skoczył lekko i puścił; dwu towarzyszów ze swoich szkap zleciało.

Wojsław, ochmistrz królewicza, mający nadzór nad nim, wolniéj przybył za nimi, gdy już Bolko, otrząsnąwszy się z kurzu i śmiejąc się, stał, ująwszy się w boki.

Ci, co pospadali, śmiali się także; dwór cały był dobréj myśli. Zwierzyna, nabita oszczepami i strzałami, wisiała na siodłach, wlokła się poprzywiązywana do nich.

Dzień nie był stracony, powiodły się łowy; rżały do stajen i otrząsały się zmęczone konie, psy ujadały wesoło, trzepotały się sokoły, rozprawiali głośno ludzie, a młode chłopię, co tym oddziałem dowodziło, po królewsku spoglądało na swe otoczenie, rzucając ku niemu słowy wesołymi. Ochmistrz tylko Wojsław znużony burczał ponuro, z konia zsiadając powoli.

Śliczniejszego pana nad to chłopię, które Bóg z niebios na ziemię zesłał, widzieć było trudno.

Lat dziewięć mając, Bolko już w puszczy bił niedźwiedzie, a gdy z Sieciechem pierwszy raz na wojnę się wyprawił,

trudno było powściągnąć i utrzymać dzieciaka, który się rwał, gdzie największe było niebezpieczeństwo.

Natura to była gorąca, niepohamowana, szybka, nierozważna, zuchwała i prędka jak piorun.

Gdzie się tylko ukazał, był jak ogień, co wszystko grzeje; zapał ogarniał tych, do których przystąpił; pobłyskiwały oczy, śmiały się ku niemu ich usta.

Chociaż jedenaście lat ledwie miał skończonych, rycerzem już się mógł nazwać; szanowano go jak dorosłego męża. Nad wiek się rozwinął, zmężniał, zolbrzymiał; tylko nieporosła twarz i policzki niewieście o latach świadczyły. Gniewało go to, że starszym nie był, ale mu chłopięcych lat niktby był zarzucić nie śmiał; obawiano go się. Bił już Pomorzan, krew przelewał, raną się chlubił, śmierci w oczy zaglądał, nie drgnąwszy.

Dość spojrzéć nań było, gdy stał otoczony drużyną; zdala każdy królewicza w nim poznał: kształtny był, krzepki, zwinny i giętki. Choć całego swego wzrostu nie miał jeszcze, już był duży, ramion szerokich, piersi wypukłéj, jakby puklerzem pokrytéj, rąk silnych, choć drobnych. Twarz téż była piękna, rycerskiego wyrazu; tylko około ust z jednéj strony wrzód, który był nabrał i rozpękł w dzieciństwie, ślad po sobie zostawił, piękne wargi skrzywiwszy nieco. Dziwny to wyraz dawało twarzy, nie szpecąc jéj bardzo. Królewicz mawiał, wskazując na szram ten, że broda i wąsy go pokryją, szkoda tylko, że blizna nie od włóczni jest, ale od wrzodu lichego. Twarz miał ciemną, ogorzałą, bo jéj nie szanował i nie krył: czoło tylko jak śnieg było białe, policzki rumiane jak jagody, oczy ciemne, w których płomień skryty nieustannie palił się i gorzał.

Gwiazda to była wszystkich, co się do niego zbliżali; kochali go wszyscy, choć srogim być umiał i popędliwym. Mówili téż nań niektórzy: „Bolesława to Chrobrego potomek prawy; odżyje w nim tamten, wdał się w niego“.

II.

Pasowanie na rycerza.

Po raz może pierwszy w Polsce pasowanie na rycerzy tak uroczyście odbywać się miało. Obrzęd ten na wpół

religijny, pod okiem i opieką duchowieństwa dopełnić się musiał.

W dniu oznaczonym Bolko z dwunastu towarzyszami swoimi szedł naprzód na nabożeństwo; odziani skromnie, jak pokutnicy, przy mszy św. wszyscy spowiedź odbywali. Nie godziło się dnia tego żadnéj używać rozrywki ni wspólnie z innymi biesiadować. Stół mieli osobny, jadło skromne i niewytworne. Dzień upłynął na skupieniu ducha i na nabożeństwie.

Wysłuchawszy nieszporów, wszyscy pozostali w kościele, gdzie przed wystawionym na ołtarzu Przenajśw. Sakramentem i przy płonącéj lampie noc całą przebyli na czuwaniu i modlitwach. Bolko i towarzysze jego, jednako odziani, suknie mieli z prostego sukna grubego, bez ozdób żadnych, nakształt sutanny, którą duchowni nosili. Jak tylko rozedniało, wyszedł biskup Filip ze mszą świętą, po któréj przystąpili wszyscy do stołu Pańskiego.

Szli potém do przygotowanéj łaźni, a zmieniwszy odzież, wzięli bogatszą, krojem świeckim zrobioną, krótką i bramowaną. Zwyczaj, którego ściśle pilnowano, wymagał, aby po łaźni położyć się do łóżka i w niém przyjmować odwiedziny przybywających z powinszowaniami. Oprzéć się chciał temu przymusowemu spoczynkowi Bolko, lecz wkońcu choć na chwilę léc musiał, aby się obyczajowi zadosyć stało. Wpuszczono ciekawych i przynoszących życzenia, na których nie zbywało.

Gdy się odwiedziny te skończyły, starsi trzéj wojownicy przystąpili do odziewania królewicza wedle obyczaju. Jeden podał mu koszulę, u szyi i piersi złotem wyszywaną, białą jak śnieg, bo szatę niewinności oznaczającą, przyozdobioną cnotami. Drugi przyniósł koszulę z drutu żelaznego, jak siatkę dzianą misternie i plecioną. Ta oznaczała jakby włosienicę rycerską, godło trudu, bolu i wstrzemięźliwości. Na onę drugą koszulę żelazną wdziewano kaftan łosiowy, który tamte okrywał, tak, jak człowiek cnotę swą i boleść winien przed oczyma bliźnich osłaniać skromnie. Po kaftanie poczęto opinać zbroję, całe ciało osłaniać mającą, aż do rękawic i nagolenników. Narzucono mu potém płaszcz rycerski na ramiona, szczęściem z lekkiéj tkaniny, gdyż w skwar sierpniowy, ledwie ciężar ten cały można było udźwignąć.

Taksamo przyodziani byli towarzysze Bolkowi wszyscy, dla których on koszule, zbroje i miecze jednakie zawczasu przysposobił.

Przybrani, wszyscy młodzi, pacholęta jeszcze, uroczyście szli do kościoła, gdyż król chciał, aby pasowanie ani w izbie ani w podwórcu, ale w katedrze się odbyło. Na wielkim ołtarzu złożone były miecze z pasami, które sędziwy arcybiskup pobłogosławił.

Gdy orszak ruszył z dworca, wszystkie podwórza, wały, okna, pełne były ciekawego ludu, okrzykującego młodego pana i klaskającego rodzinie. W uroczystym pochodzie szli wszyscy do kościoła, starszyzna za nimi.

Król zasiadł na wezgłowiu pod baldachimem. Duchowieństwo licznie było zgromadzone. Lud tłoczył się do kościoła. Szedł naprzód królewicz przed ołtarz wielki, a tu odprawiwszy modlitwę krótką, szedł do ojca, przed którym składać miał przysięgę. Jedna dla wszystkich rycerska klątwa brzmiała: jako krwią, życiem, mieniem, nie szczędząc ich, rycerz miał bronić wiary świętéj i kościoła, walczyć z pogany, osłaniać sieroty i wdowy, stawać w obronie wszelkiego uciśnionego. Po złożeniu przysięgi dopiero przystąpili do królewicza starsi rycerze, aby mu złocone przypiąć ostrogi. Z ołtarza klerycy, wziąwszy pobłogosławione miecze, z których każdy zawieszony był na bogato sadzonym pasie złocistym, a pochwę miał sianą w drobne krzyżyki złote, nieśli je przed króla.

Ukląkł Bolko u kolan ojcowskich, a Władysław, trzykroć mieczem uderzywszy go po ramieniu, drżącymi rękami przypasał mu rycerskie znamię. Uderzenia, jak przy bierzmowaniu, oznaczać miały, iż rycerz znosić był powinien cierpliwie ciosy i razy — za wiarę i za prawdę.

Wstał Bolko, cały radością promieniejący, dziękując ojcu; a że król sił dosyć nie miał, aby wszystkim towarzyszom jego pasy nakładać, wyręczyła go starszyzna, dopełniając obrzędu.

Na dany znak odezwały się przed kościołem rogi, trąby i co było gędźby. Uderzono we dzwony, ale okrzyki tłumów zagłuszyły wszystko. Lud cały, w podwórzach stojący, nowych rycerzy witał.

Józ. Ign. Kraszewski.

45. Pierwsze napady Tatarów na Ruś.

Stare przysłowie powiada: Kiedy dwóch się kłóci, korzysta z tego trzeci. Sprawdziło się to przysłowie na Rusi w wieku XIII. Kiedy książęta i sąsiedzi spierali się o kawałki ziemi, a bracia braciom, poddani książętom gotowali zgubę: Bóg zesłał na nich bicz taki, jakiego nie zaznał dotąd ród ludzki.

Po krajach europejskich snuli się już oddawna jacyś ludzie obcego pochodzenia, którzy dochodzili aż do Czech i do Renu. Dziwne były ich postacie, cudackie obyczaje; długie tułowie, krótkie nogi, szeroka twarz, małe, błyszczące oczy, wysokie kapelusze, krótka odzież, długi kij pielgrzymi, na nogach sandały; o chleb prosili jak żebracy, a dziękowali niezrozumiałym językiem. Byli to szpiegowie Tatarów, którzy, podbiwszy już Chiny, Chowarezmów i większą połowę Azyi, teraz w ślad za szpiegami ruszyli na zniszczenie Europy, chrześcijaństwa, cywilizacyi.

Był to lud dziki, niewielkiego wzrostu, ale barczysty i silny, brzydki aż do przeraźliwości. Na małych, chudych, lecz szybkich i wytrwałych koniach, uzbrojeni w piki, krzywe pałasze i strzały, które przeszywały europejską zbroję, pędząc przed sobą szyki zawojowanych ludów, którymi się zasłaniali, zalewali Tatarzy kraje straszną mnogością wojownika.

Tatar karmił się lada czém, cierpliwie w potrzebie pościł, a pijał tylko wodę; za zbytek służyła mu sztuka mięsa kobylego, uprażonego pod siodłem, za ubiór skóra barania, za łoże ziemia; sklepienie niebios był mu namiotem. Dla konia wystarczała pasza, którą miał pod nogami; każdy manowiec był dla niego drogą, rzeki największe wpław przebywał.

Przy tych korzyściach odznaczał się Tatar tém jeszcze, że każdy od dzieciństwa, nie wyłączając kobiety, sposobiony był do wojny, jeździł konno, strzelał z łuku; a kilkadziesiąt lat ciągłych zwycięstw napoiły go teraz najwyższą pogardą dla innych ludów. Prócz tego rabunek był dla niego żołdem, a karnością przechodził wszystkie przykłady. Tak bowiem był włożony do nieograniczonego posłuszeństwa dla chana, który był wodzem, prawodawcą i prorokiem, że, jak wyrażał to chan przy obejmowaniu władzy, „słowo jego mieczem było".

Podzielone na dziesiątki, sta, tysiące, tak odpowiadały szyki jeden za drugiego, że skoro w dziesiątku jeden nie do-

trzymał pola, przypłacał to śmiercią cały dziesiątek; jeśli uciekł dziesiątek, tracono całą setnię, do któréj należał. Podobnież ktokolwiek z dziesiątka zawołał: Naprzód! pociągał za sobą dziesiątek, a za dziesiątkiem iść musiała setnia, tysiące za setniami — zawsze pod karą nieochybnéj śmierci. Tak téż odpowiadali całymi szykami za każdego pojmanego w niewolę.

Nie było więc trudnego dla Tatarów przedsięwzięcia. Jedna noc wystarczała im do opasania się wysokim okopem. Niepotrzeba im było wiele czasu do odwrócenia biegu rzeki, na osuszenie lub zalanie miejsc obronnych; podkopywali się pod ziemią, jeśli od bramy stawiła im twierdza nieprzełamany opór; szybkością napadu uprzedzali najskorsze o swoim ruchu doniesienia. Każdy Tatar wiódł w tym celu za sobą drugiego konia, na którego przesiadał się w biegu. Walczyli zaś nie tylko męstwem, ale oraz zdradą i chytrością: truli, gdzie oręż ich nie przemógł. Nieznany także sposób walki mieszał wojownika chrześcijańskiego. Po zasypaniu go strzałami, uderzali całą siłą, a pędem pioruna. Jeśli od razu nie zwyciężyli, rozsypywali się z równą szybkością, aby wywieść do pogoni i podzielenia sił, które szybkim zwrotem łatwiéj pokonywali. Pokonanego nieprzyjaciela ścigali dniem i nocą, tak urządzając swoje szyki, aby jedne po drugich bez przerwy następowały.

Okropny był los zwyciężonych. Miasta i włości równali z ziemią; wedle przysłowia nie została trawa, gdzie przeszli. Padał pod ich mieczem, ktokolwiek był zdolny do broni. A żywi, mówią kroniki, zazdrościli umarłym grobowego spokoju. Niewiasty szły w wieczną niewolę. Zdaniem Dżengis-Chana, miłosierdzie było przymiotem słabych; surowość sama zapewniała posłuszeństwo, pokonanego nieprzyjaciela nienawiści ku zwycięzcy — mówił — łaskawość nigdy nie łagodzi.

Mówiono o nich, że ludzi pożerają; to pewna, że nie znali, co to litość, co wiara, co uczucie ludzkie, gdyż zabierali w jasyr, co piękne było i zdrowe; w pień wycinali, co niezdolne było na towar. Jest podanie, że przed wzrokiem bazyliszka ptak martwieje bez ruchu; tak krzepła krew ludziom przed Tatarami. Na wieść o ich zbliżaniu się padali na ziemię bez zmysłów lub biegali nieprzytomni, sami nie wiedząc, co czynią.

Już w r. 1224. ruszyły te dzikie hordy na zachód, na Europę. Jedni mówili, że chcą pójść aż do Rzymu i pojmać papieża; inni wymyślili opiewaną później legendę, że przyszli pomścić śmierć jakiejś księżniczki tatarskiej, którą podczas jej podróży po Europie zamordować mieli chrześcijanie. Strach padł na cały wschód Europy. Zebrali się przecież książęta ruscy na wspólną obronę i wyszli w ziemię połowiecką, aż nad rzekę Kałkę. Był tam ówczesny książę halicki Mścisław, byli obaj młodzi synowie Romana, byli ludzie z nad Dniestru, Prutu, Bugu i Sanu. Ale i tutaj nie było między nimi zgody, jeden drugiego z zawiści nie uwiadamiał o zamiarach swoich. Skończyła się tedy wyprawa straszną klęską, jakiéj „nigdy przedtém nie było“. Wielu książąt legło, Daniel był ranny, Wasylko spadł z konia. Na razie jednak znikli Tatarzy po tém zwycięstwie; jak nie wiedziano, skąd przyszli, tak nie umiano powiedzieć, gdzie się podzieli.

Ale po latach kilkunastu, r. 1237., wrócili, równie straszni, jak wprzódy; zdobyli po kolei Riazań, Suzdal, Włodzimierz nad Klazmą, Kozielsk, Moskwę, Perejasław, Czernigów inareszcie po strasznéj obronie Dymitra, podwładnego halickiego księcia, i macierz miast ruskich, Kijów. Wszystkie te miasta obrócono w perzynę. Gdzie nie mogli zdobyć grodu przemocą, tam wywabiali podstępnie mieszkańców do siebie i do nogi wycinali. Nie wzruszały ich błagalne procesye, z krzyżem przedsiębrane: ani żywa dusza nie wracała do domu. Tak zginął książę suzdalski Jerzy, zginęła jego żona z dziećmi. Młody książę Wasylko, jak mówiono, w strudze krwi utonął.

Daniel udał się do Węgier, aby tam z królem wejść w przymierze. Gdy wracał, w Synowódzku zastąpiły mu drogę tłumy ludu, uciekającego przed nowym najazdem tych barbarzyńców. Tatarzy — a było to już w r. 1241. — zalali ziemię halicką, zdobyli, spalili i wymordowali Kamieniec, Włodzimierz, Halicz i inne grody prócz jednego Krzemieńca. We Włodzimierzu ani jeden nie pozostał mieszkaniec żywy, wszystkie cerkwie napełnione były trupami.

Okropna to była klęska! A jednak z pewną dumą, z podniosłém uczuciem czytamy te karty dziejów ojców naszych. Tam ci ojcowie nasi z brudnych walk bratobójczych wznieśli się do walki za najświętszą sprawę — wiary i ojczyzny; tam krwią swoją dali świadectwo, iż są członkami téj

wielkiéj rodziny jedynego Ojca, któréj On własną naukę dał do przechowania.

Ale na tém nie koniec był nieszczęściu. Odtąd jeden książę po drugim szli do Seraju nad Achtubę całować „basmę", t. j. odcisk stopy chana, kłaniać się tatarskim bałwanom i z rąk chana przyjmować godność książęcą. Jeden z nich, Michał kijowski, miał odwagę odmówić czci bogom tatarskim; ale też chan Batu, jak dziki zwierz, w téj chwili kazał zakłuć Michała wraz z jego doradcą Teodorem. W r. 1250. przyszła koléj na Daniela.

Odtąd podupadła była Ruś tak bardzo, iż już o własnéj sile nie mogła się podźwignąć; dopiero Litwa i Polska wyswobodziły ją z pod jarzma tatarskiego.

Anatol Lewicki (Obrazki) i
Teodor Morawski (Dzieje narodu polskiego).

---

46. Bitwa pod Lignicą.

Podbiwszy i spustoszywszy bogate ziemie ruskie, wpadli Tatarzy do Polski, podzielonéj wówczas i bezsilnéj. Ludny Lublin i Zawichost pierwsze doznały okrucieństwa nowego wroga; zaraz potém uległ Sandomierz. Włodzimierz Gryff, wojewoda krakowski, zgromadziwszy liczne rycerstwo, uderzył śmiało na najezdnika pod Turskiem nad Czarną. Udało się zrazu natarcie; lecz gdy rycerz rzucił się na łup, który mu nieprzyjaciel podstępnie nastawił, wrócił tenże z większym zapędem. Całą korzyścią było wyswobodzenie wielu jeńców, którzy się po okolicznych lasach pokryli.

Niezwątlone klęską, zastąpiło Tatarom raz jeszcze drogę rycerstwo krakowskie ze sandomierskiém pod Chmielnikiem, niedaleko Szydłowa. Jak w bitwie poprzedniéj, zwycięskie przy rozpoczęciu walki, gdy się posunęło za uciekającym nieprzyjacielem, wnet otoczone, uległo znowu przewadze. Zginęli wszyscy wodzowie. Po Wiślicy poszła w perzynę stolica krakowska.

Było zwyczajem otaczać okopem i zbroić klasztory i kościoły. Ocalał tym sposobem obronny przy zamku krakowskim kościół św. Andrzeja, gdzie reszta ludności, gotowa na śmierć męczeńską, przetrwała mężnie oblężenie. Około Iłży jest

„droga Batego“, po któréj rozlali się Tatarzy za Pilicę, a przez Sieradź, Łęczycę, aż w głąb Kujaw.

Bolesław Wstydliwy, bogaty posag żony na roty nadworne oddawszy, ledwo dowiedział się o klęsce chmielnickiéj, naprzód we Węgrzech, potém w Morawii szukał przytułku wraz z matką i żoną. Krzyżacy nie dali téż znaku życia. Inni, z najbliższych Polski sąsiadów, Węgrzy, Czesi i Austryacy wojowali między sobą, a trwające między kościołem a cesarzami niezgody odejmowały Zachodowi wszelką nadzieję odporu. Straszne niebezpieczeństwo groziło całemu chrześcijaństwu; trwoga rozpostarła się aż za Alpy, aż za morze — do Anglii. Opowiadają, że śledzie podrożały w Londynie: trwoga wstrzymała ich połów.

Opisywano Tatarów jako ród piekielny, ludzkiemu niepodobny. Mówiono, że zajmują naraz przestrzeń, wynoszącą 20 dni wzdłuż, 15 w szerz. Przypominano jakieś przepowiednie, że przed końcem świata miał się zjawić lud z Azyi i świat zawojować. Ludność niemiecka i czeska tłumami uciekała zewsząd do miast obronnych. Bez względu na stan i płeć brano się do sypania okopów. Walono drzewa na przysieki w lasach; przekopy robiono w górach. Ale opadały ręce najpotężniejszym mocarzom świata. W samym Rzymie przewidywano już zatratę imienia chrześcijańskiego. Cesarz Fryderyk II. zwiastował ostatnią godzinę kościołowi i cesarstwu, a Ludwik św. król francuski pisał do matki, że Tatarzy idą powieść chrześcijan do niebios. Wszędzie nakazano posty; dzień i noc stały dla ludu otwarte kościoły ku przygotowaniu się do śmierci.

Aliżci nad Odrą stawili książęta polscy skuteczniejszy odpór. Mieczysław, książę raciborski, zniósł jeden oddział najezdników pod Chrapicami: zamek wrocławski oparł się; a pod Lignicą, na otwartém polu, zastąpił wrogowi drogę sam Henryk Pobożny. Podzielone w cztery szyki wojsko, stawiło w jednym garstkę ochotników chrześcijańskich, krzyżem odznaczonych, pod Bolesławem, margrabią morawskim; w drugim resztę rycerstwa krakowskiego i sandomierskiego pod Sulisławem Gryffem, bratem poległego pod Chmielnikiem wojewody; w trzecim rycerstwo raciborsko-opolskie ze swoim księciem; w czwartym stanął sam Henryk z Poznańczykami i Szlązakami.

Na cztery też szyki rozdzielili się Tatarzy, ale każdy potężniejszym był od wszystkich sił Henryka. Walczono mężnie. Trwał tak opór chrześcijański, aż podczas najgorętszéj walki podniosło się z pośrodku szyków tatarskich wołanie po polsku: Uciekajcie! Uciekajcie! Nastąpiło wielkie zamieszanie; Mieczysław, książę raciborski, pierwszy tył podał. „Źle się stało!“ zawołał Henryk; ale nieustraszony, nie rzucił oręża, dopóki nie legł „za chrześcijaństwo“. Wraz z nim padł margrabia Bolesław. Trzydzieści tysięcy rycerstwa straciło życie; obcinając poległym po jednem uchu, napełnili Tatarzy dziewięć potężnych miechów i posunęli się daléj. Nie wstrzymały ich postępu zasieki czeskie. Atoli, wysileni snadź walką, wrócili za Dniepr przez Raciborz, Ołomuniec i Węgry, zostawiwszy po sobie jak szarańcza okropny ślad spustoszenia, kraj w perzynie i szczątki ludności, błąkające się po lasach.

Naród polski, nie poddawszy się rozpaczy, uniknął przynajmniéj losu, który spotkał sąsiadów jego od wschodu. Europa odetchnęła. Matka Henryka, błogosławiona Jadwiga, która schroniła się była do Krosna, podziękowała Bogu, że jéj dał syna, co krwią, za wiarę przelaną, „sprawił jéj największą radość i chwałę“. Przypomina to obraz w ołtarzu świątyni lignickiéj, gdzie corocznie schodzą się pobożni dla uczczenia dnia pamiętnego. Ciało Henryka, złożono w kościele wrocławskim św. Wincentego, wybudowanym (1149.) i wyposażonym przez Bolesława Kędzierzawego.

T. Morawski,
(Dzieje narodu polskiego).

47. Daniel, król ruski.

Myśl połączenia Litwy, Rusi i Polski nie była nową za Władysława Jagiełły; była ona widoczną już przedtém, choć w innéj postaci. Od samego początku dziejów tych trzech narodów, we wzajemnych podbojach, w obopólném mieszaniu się w sprawy domowe, w związkach rodzin panujących, w stosunkach handlowych — przebija się zawsze tasama myśl połączenia rozległych obszarów z nad Wisły, Dniestru, Dniepru i Niemna w jednę wielką, żywotną całość. Najwyraźniéj wszakże w dziejach pierwotnych narodów myśl łączności wzajemnéj ujawnia się w unii religijnéj.

Pierwszy objaw téj dążności na Rusi okazuje się już wówczas, kiedy węgierski Koloman z polską Salomeą zasiedli na tronie halickim. Z większym naciskiem i z większą świadomością siebie ujawniła się myśl ta w Danielu ruskim i w Mendogu litewskim, kiedy do unii z kościołem katolickim prawie równocześnie przystąpili. Zdarzenie to samo przez się prowadziło Ruś i Litwę w objęcia najpotężniejszéj wśród Słowian przedstawicielki katolicyzmu, sąsiedniéj Polski.

Wszystko bowiem napierało w tym właśnie kierunku. Odparta od zachodu, Polska jedynie na wschód już zwrócić się mogła, tu jedynie szukać posłannictwa dla siebie. A posłannictwo to było wielkie i szczytne. Ten tylko naród żyje w dziejach, który się przyczynia do urzeczywistnienia w nich myśli Bożéj, cywilizacyi ludzkości. A cywilizacya szła od południa i zachodu ku północy i wschodowi. Polska więc, zrządzeniem Opatrzności, miała swoje zadanie w przejmowaniu cywilizacyi, z zachodu idącéj, i krzewieniu jéj daléj między wschodnimi ludami, naprzód tedy na Rusi i Litwie.

Ale i Ruś i Litwę ciągnęły stosunki naodwrót ku zachodowi. Odkąd w roku 1169. suzdalski książę, Andrzéj Bogolubski, wraz z innymi zadnieprskimi kniaziami, jedynie z zawiści zburzył i złupił starą, wspaniałą macierz ruskich grodów, Kijów, zdarł z niéj godność wielkoksiążęcą, a wnet i metropolitalną, i ozdobił nimi nowe swe grody nad Klazmą i Moskwą; odkąd niebawem Tatarzy dokonali na niéj dzieła zniszczenia i z pysznéj, złotéj stolicy ruskiéj kamień na kamieniu nie pozostał: odtąd nastąpił stanowczy rozbrat między wschodnią a zachodnią częścią starego państwa Warego-Rusów, a zarazem ustało znoszenie się krajów ruskich z drugiém ówczesném ogniskiem oświaty, z Carogrodem. Dokądże Ruś teraz za tą oświatą, która jest warunkiem życia każdego narodu, zwrócić się miała, jeśli nie ku zachodowi?...

Do tego przyczyniło się wiele także jarzmo tatarskie. Zaledwo Daniel, po niezliczonych trudach, dzięki jedynie swojéj podziwienia godnéj wytrwałości i niczém nie złamanéj energii, ustalił się na tronie swojego ojca, aliści przysłał chan żądanie: „Dawaj Halicz!“ Okupił wprawdzie Daniel na razie posiadanie Halicza, ale za jaką cenę? Możemy zaprawdę dać wiarę kronikarzowi, że gdy wrócił do swoich od chana, „był wielki płacz dla zniewagi jego“.

Zaledwie późniéj padł cień podejrzenia na niego, że myśli o wyswobodzeniu się od haniebnego jarzma, że pozawierał umowy przyjaźni z Polakami i Litwinami, aliści przysłał znów chan: „zburz wszystkie grody swoje!“ I musiał Daniel po raz wtóry uciekać z ojczystéj ziemi, a brat jego i synowie musieli zburzyć ulubione miasta i iść na przyjaciół, na Polskę i Litwę. Srozszego upokorzenia zaprawdę trudno wymyśleć; cięższych kajdan żaden nie dźwigał monarcha. Więc jedynie od zachodu mógł mu przybyć ratunek.

Również i Litwie zagrażali Tatarzy; ale bardziéj jeszcze groziła hydra krzyżacka, która już dławiła bratnich Prusaków i lada chwila przejść mogła Niemen, aby i Litwie podobną zgotować dolę. Dziki, okrutny, ale dzielny Mendog zwrócił się także ku zachodowi.

A tu na zachodzie, mimo wszelkich waśni, zawiści i wojen, istniała jedna wielka chrześcijańska rodzina, zjednoczona w najwyższéj podówczas dwoistéj władzy na ziemi, w rzymskim cesarzu i rzymskim biskupie. Niedawne to jeszcze były czasy, kiedy na słowo papieża ze wszystkich krajów Europy całe masy pielgrzymów śpieszyły aż za morza, aby ziemię świętą wydrzéć niewiernym. Teraz już ostygał pierwszy zapał, ale i w téj chwili bogobojny król francuski bawił w Palestynie; i w téj chwili jeszcze śpieszyły tłumy rycerstwa czy do Hiszpanii czy do Prus, skoro tylko sztandar chrześcijański podniesiono przeciw poganom. Czegoż się nie miał obawiać Mendog, gdy to rycerstwo wyjdzie nań z Krzyżakami, a czego spodziewać Daniel, gdyby ogłoszono krucyatę na najbezbożniejszych z pogan, Tatarów!

Szczególnie Daniel dążył stanowczo ku zachodowi; on był pierwszym z książąt ruskich, który pragnął być przyjętym w grono monarchów zachodnich. Skoro tylko nie potrzebował się już obawiać o dziedzictwo ojcowskie, zawarł bezzwłocznie przyjaźń z zachodnimi sąsiadami. Już o ojcu jego mówiono, że był jakoby wychowańcem Polski; matka była Polka, on sam już oddawna w najściślejszych żył stosunkach z mazowickimi książętami, a z krakowskim teraz zawarł stosunek przyjaźni. Ugodził się Daniel również z królem węgierskim i najstarszego syna swego Lwa ożenił z córką jego Konstancyą. Co więcéj, mieszał się już do spraw środkowéj Europy, młodszego syna Romana ożenił z dziedziczką Babenbergów i wojował z królem czeskim Wacławem, a kronikarz

ruski z dumą o nim powiada, że „nigdy przedtém kniaź ruski nie wojował czeskiéj ziemi, ani Świętosław Chrobry ani Włodzimierz Święty.“

Tak będąc usposobiony i z takimi nosząc się zamiarami, musiał Daniel także o unii religijnéj inaczéj już sądzić, niżli niegdyś jego ojciec, Roman. Dla niego unia była warunkiem życia i dalszych postępów.

Niemniéj przeto wahał się, a nawet zrazu odmówił, gdy w tym celu przybyło doń dwóch biskupów od papieża Innocentego IV., bo mu pomocy przeciw Tatarom nie obiecywano. Po raz wtóry przybył do niego poseł papieża, legat Opizo, niosąc mu: „wieniec, berło i koronę“. I teraz się namyślał; czuł znać, że wielkie dzieło spełnia. Lecz gdy Mendog, ochrzciwszy się, przystąpił do kościoła katolickiego i przyjął z rąk papieża koronę królewską; gdy go nakłaniali matka i Bolesław i Ziemowit i bojarowie polscy, obiecujący mu pomoc „przeciwko poganom“: i on przystał w końcu i przyjął unią z kościołem rzymskim i „wieniec przyjął od Boga i kościoła świętego“ i koronował się królem Rusi w Drohiczynie, podobno w roku 1255.

Było to najświetniejsze zdarzenie z dziejów halickiéj Rusi i, lubo dla nieprzyjaznych okoliczności na razie trwałości nie miało, myśl, na dnie jego będąca, przetrwała wieki i w końcu stała się ciałem. Tradycya, „ta arka przymierza między dawnymi a młodszymi laty“, osnuła swą mglistą tkanką to dzieło Danielowe i pamięć o nim doniosła téż do naszych czasów, mówiąc, (Bóg wie, z jakiego powodu, a pewnie bez podstawy), jakoby tą koroną, od papieża przysłaną Danielowi, była mitra, którą do dziś dnia nosi władyka przemyski.

Anatol Lewicki, (Obrazki).

---

48. Rudolf z Habsburga i Otokar II.

Kiedy w r. 1273. na opróżniony tron cesarski jednogłośnie wybrano Rudolfa z Habsburga, złożyli mu hołd wszyscy książęta Rzeszy, z wyjątkiem dwóch: księcia bawarskiego Henryka i króla czeskiego Otokara II. Ten oburzony był na to, że wyboru dokonano bez niego i że „ubogiemu hrabiemu“ dano pierwszeństwo nad nim, „złotym — jak go nazywano — królem“. Atoli Rudolf, czując się potężnym tak zgodném popar-

ciem wszystkich książąt niemieckich, jakotéż względami stolicy apostolskiéj, która bezzwłocznie wybór jego uznała, postanowił zmusić dumnego króla do uległości.

Zaraz tedy na pierwszym sejmie, odbytym w Norymberdze r. 1274., uchwalono, że wszystkie lenne posiadłości państwa niemieckiego, które od r. 1250. aż do wyboru Rudolfa w obce dostały się ręce, mają być zwrócone. Uchwała ta skierowana była głównie przeciw Otokarowi. Onto w owym właśnie czasie nadzwyczajnie powiększył był swoje posiadłości, zagarnąwszy Austryą, Styryą, Karyntyą i Krainę, tak, iż państwo jego sięgało aż do morza Adryatyckiego. Teraz, skutkiem zapadłéj na sejmie uchwały, miał zatrzymać Czechy i Morawy jako lenno cesarskie, resztę zaś miał zwrócić. Dumny król, ufny w swoję potęgę i siły, nie chciał tego uczynić i pomimo kilkakrotnego wezwania na dwór cesarza nie przybył. Nie pozostawało tedy Rudolfowi nic innego, jak z bronią w ręku upomnieć się o swoje prawa.

Już lato r. 1276. miało się ku końcowi, kiedy wojsko cesarskie wyruszyło przeciw Otokarowi. Pełen ufności szedł Rudolf do walki z dumnym królem; siły jego z każdym prawie dniem wzrastały, zwłaszcza, kiedy wreszcie po jego stronie stanął i książę bawarski, który tak długo ociągał się ze złożeniem hołdu. Zanim jeszcze Otokar zebrać zdołał potrzebne do obrony wojsko, już Rudolf zajął twierdzę klosterneuburską, zwaną puklerzem Wiednia; a ponieważ mieszkańcy stolicy, zawdzięczając wiele Otokarowi, nie chcieli się poddać nowemu cesarzowi, przystąpił Rudolf do oblężenia miasta.

Wieść o tém wszystkiém zasępiła czoło Otokara: widział on bowiem, że niełatwą dlań będzie rzeczą oprzéć się tak potężnemu władcy. Położenie króla jeszcze przykrzejszém się stało, kiedy nadeszła wiadomość, że i Węgrzy, na których pomoc liczył, stanęli po stronie cesarza. Atoli, jakkolwiek złamany, nie tracił jeszcze Otokar nadziei; gotów był do stanowczéj z Rudolfem rozprawy. Wtém doniesiono mu, że poza jego plecami magnaci czescy, niezadowoleni z surowych jego rządów, zuchwale bunt podnieśli. To dopiero odebrało mu otuchę i odwagę. Koniecznością zmuszony, zaniechał wojny i w pokoju wiedeńskim zwrócił wszystkie, niedawno nabyte kraje niemieckie, a Czechy i Morawy otrzymał od cesarza jako lenno. Odtąd przyjaźń miała panować pomiędzy oboma monarchami,

a nawet postanowione wówczas pomiędzy ich dziećmi małżeństwo miało związek ten uświęcić.

Ale niedługo trwał pokój. Upokorzony i złamany powrócił król do Pragi. Tyle pięknych krajów, które sam własnem nabył staraniem, musiał zwrócić, złożyć musiał hołd temu „ubogiemu hrabiemu“, z którego nieraz żartował i szydził; co więcéj, bezkarność przyrzec musiał dumnym swym poddanym, którzy tak niegodnie w stanowczéj chwili opuścili prawego swego pana — wszystko to tak głęboko raniło jego serce, tak drażniło jego dumę, iż przeboleć tego nie mógł. Własna jego żona niepokoiła go ciągle, szydząc zeń niemiłosiernie i naigrawając się z jego uległości. To téż wkrótce zmienił król swoje zamysły. Przytłumiony na chwilę płomień nienawiści nanowo ogarnął jego serce i podszepnął mu myśl odnowienia wojny. Z tego powodu jak najśpieszniéj zbroić się począł do stanowczéj walki.

Ale na wieść o tych przygotowaniach zaczął i cesarz ściągać wojska, aby móc czoło stawić najezdcy.

W sierpniu wreszcie r. 1278. wyruszyły wojska obu stron przeciwko sobie i spotkały się na polach Morawy. Obie strony z zapałem i męstwem czekały tylko hasła do boju. Otokar wiedział, że walczyć ma o tron swój i życie; na wszystko więc był przygotowany. Ale i cesarz Rudolf nie uląkł się niebezpieczeństwa, nie raz już bowiem śmierci zajrzał w oczy.

Stały wojska w szyku bojowym, oczekując hasła; żadne jednak nie chciało pierwsze nacierać. Wtém po niemieckiéj stronie spłoszył się koń jednego rycerza i wyskoczył przed czoło całéj armii. To dało początek do boju. Czesi sądzili, że nieprzyjaciele rozpoczynają walkę: z całą więc siłą rzucili się na nich z okrzykiem: „Praga!“ Równie gromkim okrzykiem;„ Jezus!“ odpowiedzieli im cesarscy. Zagrzmiały trąby, chmura strzał przeszyła powietrze, świsnęły pociski, rozległ się chrzęst kopij i szczęk mieczów. Bój z taką wrzał zawziętością, iż się zdawało, że nie wyjdzie cało, kto się dostał w ten wściekły wir walki. Dwa razy był cesarz Rudolf w niebezpieczeństwie utraty życia. Herbold Füllenstein, mąż dzielny i olbrzymiego wzrostu, poprzysiągł był Otokarowi, że zgładzi Rudolfa. Z mieczem w ręku przedarł się aż do cesarza i wyzwał go na rękę, lecz pokonany dostał się do niewoli. Innemu znowu rycerzowi z wojska Otokara udało się ubić konia pod cesarzem. Rycerze cesarscy zewsząd rzucili się

na pomoc. „Nazad! do boju!“ — zawołał Rudolf — „mniejsza o jednego człowieka!“ i dosiadłszy innego rumaka, uderzył znowu na nieprzyjaciela. Długo jeszcze nierozstrzygniętą była walka. Wtém rozległ się potężny głos hrabiego Hochberga: „Uciekają! uciekają!“ Całe wojsko z radością powtórzyło to słowo i ze zdwojoną siłą uderzyło na przeciwnika. Zachwiały się szeregi dzielnych Czechów. Spostrzegł to Otokar. Wysłał więc żołnierza do morawskiego magnata Miloty z Dziedycz, który z małym oddziałem wojska stał opodal w odwodzie, i kazał mu natychmiast uderzyć na nieprzyjaciela, aby odzyskać straconą równowagę. Atoli dumny magnat, żywiący w sercu głęboką ku królowi nienawiść za to — jak mówią — że król wydał wyrok śmierci na jego brata, nie usłuchał rozkazu króla, lecz cofnął się wraz z wojskiem na miejsce bezpieczne.

Zrozumiał Otokar, iż nie ma dla niego już ocalenia; postanowił więc umrzéć, jak na dzielnego rycerza przystało. Z garstką wiernych towarzyszy rzucił się między roty nieprzyjacielskie i walczył jak lew, pragnąc przynajmniéj jak najdrożéj sprzedać swe życie. W miejscu, gdzie walczył, wrzał bój najzaciętszy, cały wał trupów zewsząd otoczył go wiankiem; zdawało się, że nadludzką obdarzony siłą. Ale jeden po drugim padali wierni jego towarzysze, aż wreszcie i on poległ na stosie trupów nieprzyjacielskich. Zdarto zeń złotą jego zbroję, a ciało, mnóstwem ran okryte, w krwi i kurzu powalane, porzucono na pobojowisku.

Szlachetny zwycięzca nie chciał śmierci przeciwnika: kazał ogłosić, ażeby nie odbierano życia królowi; ale już było zapóźno. Pośpieszył Rudolf na miejsce, gdzie leżał trup Otokara, i łzy mu zabłysły w oczach na widok zimnych zwłok tego, tak niedawno jeszcze potężnego — „złotego“ króla.

Według *Fr. Kronesa.*

---

49. Wesele wnuczki Kazimierza.

I.

Wychowywała się u dworu Kazimierza w Krakowie jego wnuczka Elżbieta, córka szczecińskiego księcia Bogusława, od lat kilku osierocona po matce. Młodociane lata księżniczki miały się już ku zamęściu, a jéj pokrewieństwo z tylu

królami, jakoto z królem polskim, węgierskim, duńskim, przeznaczało ją chyba bardzo wysokiemu oblubieńcowi; celowała też księżniczka niepowszednią w swoim czasie urodą. Oblubieńcowi pięknéj wnuki Piastów uśmiechał się jeszcze posag bogaty, przyrzeczony od możnego dziadka, Kazimierza. Owoż tę wychowankę królewskiego dworu w Krakowie umyślili posłowie papiescy połączyć małżeńskimi śluby z cesarzem Karolem IV. Luksemburczykiem, od kilkunastu miesięcy wdowcem. I cesarz Karol ze swojéj strony tęsamę powziął myśl i zgłosił się o rękę młodéj księżniczki. Już w miesiącu następnym, w kwietniu r. 1363., miały się odbyć w Krakowie uroczystości wesela cesarskiego.

Śpieszyło tedy do Krakowa na miesiąc kwiecień tak liczne i tak dostojne towarzystwo weselne, jakie mało która stolica widziała kiedykolwiek w swych murach. Dążył tam mianowicie oblubieniec cesarski Karol, otoczony gronem panów czeskich i rzeskich. Po oblubieńcu potrzebną była przedewszystkiém obecność ojca oblubienicy, księcia pomorskiego Bogusława. Z książęciem szczecińskim jechał jego królewski bratanek Waldemar, głośny na północy monarcha duński. Zmierzał téż do Krakowa król Ludwik, sławny naonczas pan tylu koron, „ile zaledwie wszyscy inni królowie europejscy, razem wziąwszy, naliczyć mogą“. Każdy z monarchów średniowiecznych poczytywał sobie za obowiązek honoru mieć w swoim orszaku kilku książąt hołdownych. Przybywali tym sposobem z cesarzem Karolem IV. książęta bawarski i świdnicki, Otto i Bolko; z królem Ludwikiem przybył Władysław, książę opolski; przybył także mazowiecki hołdownik Kazimierzów, książę Ziemowit. A cóż za tłumy bezimiennych książąt pomniejszych, pośledniejszego znaczenia, tak zwanych wędrownych czyli błędnych ze wszystkiego świata rycerzy, płynęły w każdéj porze podobnéj na miejsce zgromadzenia, płynęły obecnie do Krakowa! Wszakże nad wszelką mieszaninę tak różnobarwnych drużyn gościnnych niższego rzędu, nawet poniekąd nad owe znajome głowy monarsze, świecił oczom ówczesnym i świeci wspomieniu dzisiejszemu pewien obcy, z daleka nadciągający przybysz królewski. Był to król Jerozolimy i Cypru, który mimo krótkości panowania swojego zasłynął w dziejach jako Piotr Wielki, a pełna przygód historya jego rodu i życia otoczyła go wszelkimi promieniami poezyi średniowiecznéj.

Już się wszyscy książęcy i królewscy goście zjechali byli; brakowało tylko cesarza, któremu godność pierwszego monarchy w chrześcijaństwie nakazywała przybywać wszędzie ostatnim. Gdy go wreszcie oznajmiono w Olkuszu, wsiedli na koń wszyscy czteréj królowie, Ludwik, Waldemar, Piotr i Kazimierz, i w towarzystwie nuncyusza papieskiego, poprzedzeni nieprzejrzanym tłumem panów każdego dworu, wyjechali drogą olkuską naprzeciw cesarza. O milę od Krakowa obaczyły się zdaleka oba nadciągające ku sobie dwory. Nastąpiła zwyczajna wówczas walka grzeczności i ceremonij. Uradowany okazaną sobie czcią, cesarz z siadł z konia i szedł pieszo na spotkanie monarchów. Królowie, usłyszawszy o tém od swoich dworzan, zeskoczyli czémprędzéj z siodeł i podobnież pieszo nieśli powitanie gościowi. Wtedy przy podaniu sobie rąk przez monarchów, przy wielokrotnych pomiędzy nimi uściskach, przy podobnémże witaniu się książąt i rycerstwa wszystkich dworów na małéj ziemi polskiéj kawałku — cóż za radość przyjęła wszystkich serca!

Po ulżeniu w ten sposób przepełnionym radością sercom wsiedli wszyscy znowu wesoło na koń i posunęli ku miastu. Tuż przed bramami miejskimi czekał ojciec oblubienicy cesarskiéj, książę Bogusław, wraz z panną młodą, otoczoną strojném gronem matron i dziewic. Zaczém nastąpiły ceremonie i przywitania, nowe daléj pokłony witającego w bramach stolicy duchowieństwa, mieszczaństwa, wszystkich stanów! Zeszedł na tém dzień cały i dopiero pod wieczór stanęli monarchowie w zamku królewskim.

Cesarz z królami i książętami otrzymali przepyszne mieszkania i komnaty na zamku, strojne w kosztowne opony i kobierce, w złotogłowia i klejnoty rozliczne. Mniéj znakomitym panom, niezliczonemu tłumowi zaproszonych i bez zaproszenia przybyłych rycerzy wyznaczono gospody w mieście. Każdemu z panów, każdéj gospodzie miejskiéj przydano osobnego komornika czyli przystawa, mającego pamiętać o wszystkich wygodach gości; wszystkim zaś przystawom zalecił król Kazimierz słuchać rozkazów najwyższego zawiadowcy, Mikołaja Wierzynka. Pod jego kluczem rozwarły się wszystkie skarbce, komory, piwnice i owe z dawno nagromadzonych zapasów słynne śpichrze Kazimierzowskie. Zajaśniały tedy weselne gody krakowskie obfitością wszelkich potrzeb, ży-

wności i napojów, przypominającą cudowne gody onego w Kanie Galilejskiéj wesela.

Właściwa pora uciech zaczynała się dopiero od chwili ślubu. Aby więc nie tracić czasu napróżno, odbył się ślub cesarski już trzeciego dnia po zjechaniu oblubieńca, Karola, odbył się zaś w katedrze zamkowéj, w obecności wszystkich zgromadzonych królów, nuncyusza papieskiego, książąt, panów i szlachty, cudzych i swoich. Celebrował go arcybiskup gnieźnieński Jarosław, jeden ze znamienitszych mężów tego bogatego w najciekawsze postaci czasu, starzec blisko dziewięćdziesięcioletni, już prawie zupełnie ociemniały, a czczony w narodzie jako „najmędrszy z żyjących wówczas Polaków“. Po ślubie nastąpiła wypłata posagu, oznaczonego przez Kazimierza W. w sumie stu tysięcy złotych florenckich.

Odtąd zaczęły się uczty kosztowne a wesołe, uczty blisko trzechtygodniowe. Miały one rozgłosić po świecie uroczystość wesela cesarskiego w Krakowie i chwałę gospodarza godów, Kazimierza. Codziennie przez dni 20 szły nieprzerwaną koleją turnieje, biesiady, tańce, krotochwile i uciechy wszelkiego rodzaju. Z turniejami łaczyły się ceremonie rozdawania przez Kazimierza bogatych nagród rycerskich, każdą biesiadę uświetniało uczczenie gości upominkami, „zdumiewającymi swoją częstością i kosztownością“, każda uciecha śmiała się głośném z całéj piersi weselem, nie zapamiętaném nigdy w takiéj pełni i gwałtowności.

II.

Nie samego tylko Kazimierza pobudzała wesołość tamtoczesna do zaspokojenia tym sposobem ambicyi swojéj. Zapragnął i możny jego zarządca dworu, pan stolnik sandomierski, milionowy bogacz, Mikołaj Wierzynek, uczynić sobie zadość ucztą bezprzykładnéj okazałości. Mógł monarcha krakowski przez dni tak wiele podejmować gości wspaniale, toć i jego sędziwemu mistrzowi dworu godziło się pożądać na chwilę tego zaszczytu. A prostota ówczesnych obyczajów, nie stawiająca żadnego prawie podziału ogłady edukacyjnéj między panem a sługą, równie rubasznymi jednym i drugim, nadto szanowność tego zacnego sługi, równie czcigodnego wiernością, jak mieniem i siwym włosem, bardzo wymownie za nim przemawiały. Za czyjém staraniem królowie i wszyscy goście mogli się tak długo oddawać wszelkim uciechom

w swobodzie i wygodzie, temu należała się wkońcu odwdzięka krótkiego pobiesiadowania pod jego własnym dachem. Pozwolili tedy królowie zaprosić się przezeń na ucztę i wspaniałym pochodem udali się z książętami i pany do jego domu, opodal od zamku krakowskiego.

Za przybyciem cesarza i królów w domowe progi pana stolnika sandomierskiego odniósł on nowy dowód ich łaski. Gdy już zasiadać miano do stołów, pokłonił się starzec monarchom z prośbą, aby według własnego zdania mógł oznaczyć miejsce każdemu z królów. Otrzymawszy zaś bez trudności to pozwolenie, obrócił się Wierzynek do króla Kazimierza i rzekł: „Tobie, najjaśniejszy panie, winien jestem wszystko, co mam. Ty swoimi dobrodziejstwami bez miary wzbogaciłeś mnie, przybysza; między najpierwszymi panami posadziłeś mię gościa w twojém królestwie: tobie téż pierwsze należy się miejsce u mojego stołu!“ — i posadził Kazimierza najwyżéj. Obok niego dał pan stolnik miejsce cesarzowi Karolowi IV., swojemu z dawnych lat znajomemu, a nawet dłużnikowi. Tuż przy cesarzu usiadł król węgierski Ludwik, przy Ludwiku Cypryjczyk Piotr, a ostatnie miejsce zajął Waldemar Duński. Reszta książąt i panów rozsadowiła się według zwyczajnego porządku.

I wszczęła się wielka uczta, głośniejsza w pamięci pospolitéj od wszystkich zdarzeń, które jéj dały początek. Kto na niéj nie był, trudno temu uobecnić sobie jéj rysy, tak różne od dzisiejszych, jéj wesołość rubaszną, jéj dziwną mieszaninę przesadnéj ceremonialności z prostoduszną poufałością, jéj śmiechy szczere i ochocze wiwaty.

Témci jaśniéj świeci wzrokom dzisiejszym wspaniałość zebranych w Wierzynkowym domu współbiesiadników, mianowicie jego gości królewskich. U tegosamego stołu, nie powtórzonym może przykładem w dziejach, siedziało czterech monarchów, uczczonych przez potomność przydomkiem Wielkich: Kazimierz „Wielki“, Karol IV., „wielki król Czech, „wielki“ w Węgrzech król Ludwik I. i Cypryjski Piotr Wielki. Ich piąty współtowarzysz Waldemar, jeśli nie mądrością i szlachetnością serca, tedy przynajmniéj potężnym dorównał im charakterem, acz nieco zbyt surowym i ponurym.

Gdy goście królewscy mieli przyjąć już pożegnanie gościnnego pana stolnika, uczcił on ich upominkami niezmiernéj ceny, stopniującéj się według stopnia dostojności każdego

z królów. „Różne zaś dary — opowiada kronikarz — które otrzymał w ten sposób król Kazimierz, dochodziły, jak słychać, wartości stu tysięcy złotych florenckich“. Jakżeby pamięć ludzka nie miała była przylgnąć chciwie do téj uczty wspaniałéj, zapominając o wszystkich innych zdarzeniach, kiedy jeden prywatny bogacz, Mikołaj Wierzynek, mógł biesiadnym podarunkiem złożyć królowi Kazimierzowi dar taki, który wartością dorównywał wysokości królewskiego posagu!

Wśród scen takiego przepychu zbliżył się wreszcie koniec wszelkim uroczystościom. Z połową maja, przed samymi świętami Zielonymi, upłynęła pora godów weselnych. Przez dni dwadzieścia weseliły królów nieprzerwaną koleją krotochwile wszelkiego rodzaju, gonitwy, pląsy, a osobliwie huczne bankiety w komnatach odbudowanego przez Kazimierza pałacu królewskiego, ustrojonych bogato w owe „kobierce i purpury, na których wytwornym haftem, perłami i drogimi kamieniami, wyobrażone były orły i inne herby królewskie“, w owe przybory stołowe i kredensowe, owe misy ze szczerego złota, naczynia z jaspisu i kryształu, niezliczone rogi do picia, wysadzane złotem i srebrem — o czém wszystkiém mowa jest w testamentowych króla Kazimierza rozporządzeniach. Cały ten wielodniowy przeciąg czasu wydał się jednym nieustającym bankietem i uchodzi też w kronikach rzeczywiście za jednę wielką ucztę, wyprawioną dla okazania zamożności korony. Na koniec w tymżesamym zamiarze, jak bogaty Wierzynek, tak i Kazimierz Wielki udarował gości królewskich różnymi gościńcami, przeznaczonymi roznieść po dalekich krajach sławę bogactw i gościnności gospodarza swadźby krakowskiéj.

Natomiast miały według kroniki pozostać w Krakowie dokumenta zawartéj między królami zgody i przyjaźni wieczystéj, z którymi jednakże późniéj niczyje nie spotkało się oko i które zapewne nie istniały nigdy w istocie. Całe wesele cesarskie w stolicy polskiéj było jednym głośnym na wszystek świat dokumentem, jako po dniach rozterki i waśni wróciła między monarchów jedność i przyjaźń.

Karol Szajnocha,
(Szkice historyczne).

50. Przybycie i koronacya Jadwigi.

I.

Już Polacy stracili byli wszelką prawie nadzieję ujrzenia Jadwigi na ziemi swojéj, gdy w pierwszych dniach października r. 1384. nadbiegły starożytnym traktem tatrzańskim, drogą świętéj królowéj Kingi, naprzód doniesienia o jadącéj królewnie, a wkrótce potém nadciągnął sam dwór podróżny. Złożony z długiego rzędu powozów dworskich i pańskich, otoczon strażą zbrojną i konnym orszakiem towarzyszącéj szlachty węgierskiéj, zajmował on szeroką przestrzeń gościńca. Zamykał go zaś nieprzejrzany szereg podwód i bryk pakownych, wiozących królewską wyprawę Jadwigi, bogatą w gotowe złoto i srebro, w drogie kamienie i klejnoty, w kosztowne naczynia, szaty, kobierce i złotogłowy.

Właściwym przewodnikiem całéj podróży był kardynał arcybiskup strygoński i najwyższy kanclerz królestwa węgierskiego z czasów Ludwika — Dymitr, sędziwy już starzec. Czcigodny wiek, długoletnia wszechwładza u dworu Ludwikowego, wreszcie wysoki, a tym wschodnim stronom Europy wcale jeszcze obcy stopień dostojeństwa kardynalskiego zniewalały wszystkich do głębokiéj dla niego czci. Piastował kardynał Dymitr nadto godność legata papieskiego w Polsce, którą znał już z lat dawniejszych. Przy jego boku jako drugi opiekun królewny znajdował się biskup czanadzki Jan, który był już raz w Polsce jako poseł królowéj Elżbiety w czasie zjazdu w Wiślicy.

Pod opiekę tych dwóch kapłanów, wśród świetnéj służby szlachetnych matron i panien, jużto konno na bogato przystrojonym rumaku, zwyczajnym wówczas środku podróżowania kobiet, jużto w dużéj kolebce o złocistych ozdobach, którą z boku kilku podtrzymywało pajuków, jechała czternastoletnia królowa polska.

W miarę, jak młodociana królowa zbliżała się do stolicy, zajeżdżali jéj drogę wszyscy znaczniejsi urzędnicy korony i łączyli się z dworem wędrownym. Otoczyli Jadwigę świetnym tłumem wojewodowie i kasztelani, szczególnie zaś urzędnicy duchowni, kanclerzowie, podkanclerzowie i notaryusze królestwa.

Kiedy wreszcie długi i wspaniały pochód zbliżył się już do Krakowa, przyjęła Jadwigę świąteczna procesya ducho

wieństwa, mieszczaństwa i krakowskiego ludu, w obliczu pięknie poza Wisłą rozścielonéj stolicy, na Krzemionkach czyli tak zwanéj górze Lasoty. Po chorągwiach kapituły i klasztorów ciągnęło pod swoją własną chorągwią dostojne grono panów rajców krakowskich, jaśniejących bogatym, jedwabnym strojem, srebrzystymi pasami czyli, jak wówczas mówiono, „obręczami,“ aksamitnymi kołpakami i przypiętym u pasa kordem. Za orszakiem „konsulów“ postępowały mniéj okazałe grona i proporce rozlicznych cechów. Na chorągwi radzieckiéj wyszyty był herb i złociste klucze stolicy; z proporca każdego cechu powiewało właściwe każdemu znamię, z podobnymże wizerunkiem kluczów miejskich.

Za zbliżeniem się królowéj wszystkie chorągwie głęboki oddały jéj pokłon, poczém złożono jéj zwyczajną ofiarę powitalnego podarku, składającego się z drobnostki i mającego jedynie wartość symboliczną jako znak hołdu i danniczości. Podarkowi temu, chorągwiom i oznakom radości ludu towarzyszył rozgłos wrzawnéj muzyki, nieodbicie potrzebny przy każdéj uroczystości ówczesnéj. Grzmiały różnego rodzaju trąby, surmy, fletnie, piszczałki; wtórzyły im równie głośne okrzyki tłumów, a umyślnie z kasy miejskiéj ku uczczeniu przyjazdu królowéj opłaceni trefnisie i kuglarze rubasznymi figlami i żartami rozweselali pochód ku miastu.

U bram stolicy oczekiwały Jadwigę nowe sceny przyjęcia. Tam przy odgłosie licznych dzwonów krakowskich witała przybywającą do miasta królową strojna procesya najnadobniejszych dziewic, ubranych w barwę radości, w biel, z zapalonymi świecami w ręku, z wesołym śpiewem na ustach. Nie brakowało w powszechném wylaniu się stanów także młodzieży szkolnéj, śpiewającéj głośno powitalne hymny. Nadewszystko jednak, jako godło uciechy, jaśniały niezmiernie gęste światła i świece, jarzące się w ręku duchowieństwa i ludu, w powywieszanych przed domami latarniach, co więcéj, w ogromnych stosach ognistych, nieconych swawolnie po ulicach i placach miejskich.

Śród takich oznak radości, tém zapewne weselszych, iż młodocianą, prawie jeszcze dziecinną powitać i zabawić miały królową, wjechała Jadwiga z całym swoim dworem na zamek. Ostatni krok każdéj dłuższéj podróży prowadził podówczas zwyczajnie do świątyni: tam też w progi katedry zamkowéj skierowała dziewica królewska swe pierwsze kroki. Wynie-

siono naprzeciw niéj najprzedniejsze relikwie, po których uczczeniu ręka królowéj bogatą na ołtarzu pozostawiła ofiarę.

Przyjazd Jadwigi całe miasto w głośną wprawił uciechę. Długo po zamknięciu bramy grodzkiéj za nowoprzybyłym dworem trwały w mieście rozrywki, pląsy i krotochwile.

II.

Zaledwie Jadwiga wypoczęła z podróży, przystąpiono do koronacyi. Odraczając na późniéj sprawę jéj zaślubienia, postanowiono przedewszystkiém ukoronować ją w Krakowie i podobnie, jak się stało z jéj siostrą w Węgrzech, ukoronować ją pod męskiém mianem „króla“ polskiego.

Brakowało wprawdzie męskiéj ku temu korony Bolesławów, którą król Ludwik po koronacyi uwiózł ze sobą do Węgier, a któréj nawet Jadwiga nie przywiozła do Polski, lecz gorąca chęć panów polskich uzupełniła wszelki niedostatek ceremonijny. Uznano koronę, służącą dawniéj do koronowania małżonek królewskich, a przeto bez obawy pozostawioną niegdyś przez Ludwika w skarbcu królewskim, za zupełnie dostateczną do ważności koronacyi króla polskiego.

Odbył się obrzęd koronacyjny już w kilka dni po przybyciu młodéj królowéj, w sam dzień św. Jadwigi, w niedzielę dnia 15. października. Zgromadzili się dnia tego zrana w zamku krakowskim wszyscy dostojnicy koronni, najprzedniejsi panowie świeccy i wszelkie obecne w Krakowie duchowieństwo. W niemałéj jego liczbie odznaczał się przybyły z Węgier przewodnik i doradca Jadwigi, arcybiskup strygoński i legat papieski w Polsce, Dymitr, mający w swojém towarzystwie czanadzkiego biskupa Jana. Duchowieństwu polskiemu przodowali: arcybiskup gnieźnieński Bodzanta i „mały biskup“ krakowski Jan Radlica.

Po zmówieniu modlitwy wstępnéj i pokropieniu Jadwigi wodą święconą, wyruszył dwór cały w uroczystym pochodzie ku pobliskiéj katedrze. Przodem ciągnęli panowie i szlachta świecka, za nimi panowie duchowni: opaci z pastorałami i w infułach, biskupi w szatach pontyfikalnych, arcybiskup polski z arcybiskupem kardynałem węgierskim. Po nich postępowali dygnitarze koronni z insygniami władzy królewskiéj. Koronę niósł, jak zwyczajnie, kasztelan krakowski, berło wojewoda krakowski, jabłko i szczerbiec inni wojewodowie.

Tuż za tymi godłami, pod baldachimem złocistym, przez resztę panów i urzędników trzymanym, szła czternastoletnia królowa w stroju koronacyjnym, w kapłańskiéj albie, tunice, dalmatyce, w sandałach złocistych, w kapie czyli płaszczu królewskim, z rozpuszczonymi włosami. Przy boku młodocianéj królowéj znajdowało się kilka niewiast dostojnych; towarzyszyły wreszcie orszakowi koronacyjnemu tłumy dworzan i szlachty z zapalonymi świecami, a zamykało go liczne grono trębaczy i fletnistów, przygrywających ochoczo pochodowi.

Za wnijściem do kościoła, gdzie w pośrodku na podniesieniu ustawiony był tron królewski, złożono insygnia królewskie na ołtarzu. Królowa, otoczona orszakiem dworskim, pozostała u stopni tronu. Rozpoczęła się msza święta. Przed odczytaniem ewangelii przystąpiła królowa do ołtarza. Arcybiskup zapytał jéj, czy chce zachowywać wszystkie prawa, swobody i przywileje narodu? Odpowiedź królowéj: „Chcę; tak mi, Boże, dopomóż!“ miała wagę przysięgi. Poczém uklękła Jadwiga, a arcybiskup w oleju św. umoczył palec wielki i namaścił krzyże i prawe ramię królowéj.

Skończywszy tę ceremonią, wziął arcybiskup koronę z ołtarza i włożył ją na skronie Jadwigi. Zagrzmiały wszystkie trąby i fletnie, wzniósł się stugłośny okrzyk na cześć nowéj królowéj. Po odczytaniu ewangelii odprowadzono ją nazad do tronu, uścielonego z kosztownych złotogłowiów, gdzie Jadwiga usiadła. Aby ciężka, dużymi kamieniami wysadzana korona nie gniotła zbyt długo skroni dziewiczych, podnieśli ją dwaj dostojnicy koronni nieco w powietrze i trzymali ją tak przez cały czas ponad głową królowéj.

W dalszym ciągu mszy św., przy *offertorium*, zstąpiła królowa z tronu i w szczerozłotém naczyniu złożyła chleb i wino w ofierze na ołtarzu. Za przykładem królowéj każdy z panów ofiarował co łaska. Poczém wróciwszy znowu na tron, pozostała tam Jadwiga aż do komunii kapłańskiéj. Wtedy udała się jeszcze raz do ołtarza i, uklęknąwszy w pokorze, przyjęła ciało i krew pańską. Był to ostatni akt ceremonii kościelnéj.

Ozwał się znowu gwarny chór trąb i fletni i przy ich ciągłym odgłosie wrócił cały orszak koronacyjny tymsamym porządkiem w bramy zamkowe. Czekała tam wszystkich świetna w obecności królowéj uczta. Jadwiga zasiadła przy niéj

na przygotowanym u stołu tronie. Goście chwalili sobie nadewszystko „obfitość wina i ryb".

Nazajutrz „starożytnym zwyczajem", w okazałym pochodzie, w stroju królewskim, objechawszy główny plac miasta, zasiadła młoda królowa na tronie przed ratuszem, gdzie uderzyli czołem przed nią: burmistrz, dwudziestu czterech rajców czyli konsulów, jedenastu sędziów-ławników z dwunastym wójtem na czele i wszystko wreszcie pospólstwo miejskie, wiedzione przez swoich „starszych", których bywało do czterdziestu. Pierwszą oznaką łaski królowéj otrzymali mieszczanie potwierdzenie dawnych praw i przywilejów.

Karol Szajnocha,
(Jadwiga i Jagiełło).

---

51. Turnieje.

Rycerz był to po prostu żołnierz, który się większą od innych walecznością i wyższém ukształceniem odznaczał; polem jego popisu była wojna, a zaletą nadzwyczajne czyny.

Rycerze są tak dawni, jak narody. W starożytnéj Grecyi, zaraz w samych początkach jéj dziejów, zjawiają się rycerze, których wyprawy i waleczne czyny sławią historycy: jak n. p. Herkulesa, Tezeusza, Jazona i innych. Byli oni i w Rzymie, choć pod inną postacią. Lecz nowszych czasów rycerze, zdaje się, w Hiszpanii, w Niemczech i we Francyi początek wzięli około czasów wojen krzyżowych, gdy się chrześcijanie przez kilka wieków z muzułmanami ścierali. Ściśle atoli biorąc, dopiero dwa wieki, trzynasty i czternasty po narodzeniu Chrystusa Pana, prawdziwie rycerskimi się zowią; przedtém bowiem rycerstwo nie było jeszcze wykształcone, a późniéj już upadło.

Każdy rycerz musiał być szlachcicem, ale nie każdy szlachcic rycerzem; do tego nie dość było mieć majątek i herb, trzeba się było w boju walecznością, a w pokoju szlachetném postępowaniem odznaczać, ażeby dostąpić honoru pasowania na rycerza. Pasowanie to odprawiał sam król wśród niesłychanie okazałych obrzędów. Pospolicie wyznaczano na ten obrzęd jakiś dzień uroczysty, najczęściéj Zielone Święta. Na placu publicznym wznoszono ozdobny tron, na którym zasiadał monarcha, dygnitarzami państwa otoczony; mnóstwo ry-

cerzów, jak wszędzie, tak i przy tej okoliczności towarzyszyło królowi. Za danym znakiem zbliżał się kandydat do tronu, przyklękał u jego stopni, a wtedy monarcha zlekka uderzał go na krzyż szablą i zdobił go łańcuchem złotym; wtedy otrzymywał młody rycerz szablę honorową i konia z całym rynsztunkiem, co wszystko pierwej kapłan według przepisanych obrzędów błogosławił. Tak pasowany rycerz ślubował, że w obronie wiary życie poświęcić gotów; nadto wierną usługę pasującemu go panu zaręczał.

Było wprawdzie rycerstwo dziedziczne, jednakże mimo to trzeba go się było dosługiwać. Młody syn rycerza bardzo wcześnie gotował się do rycerskiego zawodu. Już jako siedmioletnie pacholę udawał się do możniejszego pana i do czternastego roku życia swojego musiał być jego paziem; usługiwał mu przy stole, towarzyszył w podróżach, uczył się z sokołem polować na ptaki i zwolna zaprawiał się do rycerskiego rzemiosła. Po czternastym roku zostawał giermkiem i wszędzie w orszaku swojego rycerza znajdować się musiał, póki nie został pasowany.

W czasie bitwy rycerze stawali w pierwszym szeregu, a ich giermkowie za nimi; trzymali oni włócznie, podawali świeże konie, podnosili swoich panów, gdy ich wysadzano z siodła, i odnosili rannych. W dwudziestym pierwszym roku życia pasowany rycerzem, przyjmował na się wszelkie obowiązki tego stanu.

Śmierć za wiarę, obrona uciemiężonych, niezachwiana rzetelność, to były godła rycerzów wszystkich narodów. Mieszkali zwykle w obronnych zamkach, czeredą zbrojnych służalców otoczeni, liczny dwór mając nakształt udzielnych panów. I w istocie byli udzielnymi w swojej dziedzinie, bo prócz obowiązku towarzyszenia monarsze na wojnie z większym lub mniejszym pocztem ludzi, innych powinności ani względem króla ani względem narodu nie znali. Czas pokoju przepędzali na łowach, biesiadach lub turniejach, na które się nawzajem okoliczni rycerze spraszali.

Najpierwszym obowiązkiem każdego rycerza było: walczyć, gdziekolwiek sposobna do tego nastręczała się pora. Jeżeli monarcha, któremu rycerz podlegał, toczył wojnę, każdy natychmiast ze swoim oddziałem ludzi śpieszył do jego obozu i w walce na największe narażał się niebezpieczeństwa, mając sobie za szczęście potykać się z najsławniejszymi i najbitniej-

szymi strony przeciwnéj rycerzami. Jeżeli zaś monarcha żył w pokoju z ościennymi narodami, wtedy rycerze wzajemnie między sobą boje staczali, albo z powodu doznanéj urazy albo karząc ciemiężącego lud rycerza. W takim razie i wyzywający do wojny i wyzywany starał się o pomoc innych rycerzy. Stąd poszło, że wielu było takich, którzy, goniąc za sławą rycerską, po całym świecie rycerskich przygód szukali. W ostatnim już przypadku, ażeby nie odwykać od wojny, a razem potrzebnéj do walki nabierać zręczności, odbywali turnieje na dworach monarchów lub zamożnych rycerzy.

Ktokolwiek wydawał u siebie takowe turnieje, rozsyłał uroczyste poselstwa do okolicznych rycerzy, a nawet i do odleglejszych, którzy znakomitymi czynami głośną zdobyli sobie sławę. Ażeby zaś jeden drugiego w drodze nie napastował, co między zwaśnionymi rycerzami często się wydarzało, posłannicy doręczali każdemu list glejtowy. List glejtowy znaczył podówczas tosamo, co u nas paszport; nazywano go niekiedy listem żelaznym, a wydawali go tylko monarchowie lub tacy rycerze, których potęgi inni się obawiali. Listu takiego potrzebowali tylko ci, którzy lękali się zemsty innego rycerza lub sprawiedliwego gniewu monarchy. Te, które wydawali rycerze wyprawiający turnieje, były pod opieką praw rycerskich; przestąpić je było tożsamo, co wypowiedzieć wojnę wszystkim rycerzom, a témsamém na oczywistą zgubę się narazić.

Turnieje odbywano pospolicie w miastach znaczniejszych, jużto dla większéj okazałości, jużtéż dla łatwiejszego pomieszczenia rycerzy, o których wygody starać się musiał ten, który turnieje wydawał. W Niemczech placem turniejów bywał zwykle rynek, we Francyi otwarte pole za miastem. — Skoro się zebrali rycerze, z których każdy z mniéj więcéj licznym dworem przybywał, a w okazałości ubiorów i rynsztunków jeden drugiego przesadzał, wtedy w oznaczoném miejscu wznoszono pyszny tron dla monarchy, ozdobiony najbogatszymi materyami, złotem i srebrem suto haftowanymi; strusie pióra, w różne kolory farbowane, ponad tronem igrały z powiewem wiatru. Po obudwu stronach tronu były siedzenia dla kobiet, które główną część sądu składały. Daléj wznosiły się galerye, mniéj więcéj ozdobne, stosownie do widzów, dla których były przeznaczone; a przed nimi były szranki, rodzajowi turniejów odpowiednie, z obydwóch

stron mocnymi poręczami opatrzone, z dwiema przerwami do wejścia i oddalenia się.

Rycerze, pierwszy raz w szranki wstępujący, obowiązani byli przed wyznaczoną rycerską starszyzną wywieść pochodzenie swoje szlacheckie z dziadów i pradziadów, dowieść nieskażonego życia i przedstawić poprzednie znakomite czyny rycerskie.

Skoro czas oznaczony nadszedł, bogato ubrani heroldowie ogłaszali dzień uroczysty i wszystkich na plac zwoływali. Gdy monarcha i dostojniejsi obok niego goście, zajęli miejsce, ciż heroldowie wzywali rycerzy w szranki. Tu dopiero na dzielnych rumakach, bogatym jaśniejących rynsztunkiem, wjeżdzali rycerze w okazałéj zbroi, odznaczeni kolorem kobiety, na któréj się sąd zdawali lub dla któréj honoru do walki występowali; potém oddawszy pokłon monarsze i kobietom, rozpoczynali harce. Giermkowie ich i pazie zajmowali miejsca wskazane, trzymając tarcze z herbami swoich rycerzów i takież chorągwie. Trąby, surmy i kotły grzmiały wojenną muzyką, podwyższając zapał walczących. Niekiedy po kilku i kilkunastu rycerzów z każdéj strony do walki występowało, pospolicie jednak dwóch tylko walczyło.

Z początku używano tępych szabli i długich dzid bez ostrza, które się kopiami nazywały. Tryumf walki zależał na zwaleniu przeciwnika z konia, przyczém największym było zaszczytem ugodzić kopią w czoło i żelazny szyszak strącić z głowy przeciwnika; strzaskana dzida była także oznaką zaszczytu, tak dalece, iż większa lub mniejsza liczba skruszonych, jak mówiono, kopij, większą lub mniejszą stanowiła sławę rycerza. Ciężka szabla do pieszéj służyła walki, lecz i konni rycerze nieraz jéj używali. Nagrodą zwycięzcy bywał puhar misternéj roboty, a najczęściéj szarfa w kolorze stroju kobiety, na któréj cześć walczył rycerz; szarfę tę odbierał zwycięzca z własnych rąk owéj damy wśród odgłosu muzyki, wesołych okrzyków rycerzy i zgromadzonego ludu. Całą zabawę kończyła wesoła biesiada, podczas któréj minstrele czyli nadworni rycerzów poeci, w ułożonych na cześć tryumfującego rycerza wierszach, sławę jego i przodków przy odgłosie muzyki opiewali.

Z czasem pozwolono na takich turniejach dwom zwaśnionym rycerzom w pojedynkowéj walce mścić się wyrządzonéj urazy i wtedy ostréj już używali broni. Od tego

zwolna wchodził i zakorzeniał się zwyczaj gonienia na ostre, a wtedy rycerskich turniejów szranki, krwią zlane, postać rzeczywistéj bitwy przybierały. Kościół, którego pierwotne rycerstwo głównym było filarem, powstał przeciw temu nowemu zwyczajowi, monarchowie powagą go swoją zakazywali; lecz ani klątwy kościelne ani zakazy królów zapobiéc temu nie zdołały.

Odtąd turnieje stały się celem prześladowania i powoli upadać poczęły, a z nimi razem i duch rycerski zniknął. Ostatni cios zadał im proch, do boju zastosowany, wtenczas bowiem osobista siła na niewiele się przydała, a zręczności do broni palnéj wcale innéj trzeba było, niż do kopii. W końcu więc piętnastego wieku rzadko już odbywano turnieje, a w szesnastym prawie zupełnie już o nich zapomniano i chyba tylko wyjątkowo, dla szczególnego uświetnienia nadzwyczajnych jakichś uroczystości, uciekano się do tego rodzaju igrzysk rycerskich. *T. Dziekoński.*

---

52. Bitwa pod Warną.

W drugiéj połowie XIV. stulecia (r. 1357.) usadowili się Turcy na półwyspie Bałkańskim, zdobywszy państwo bizantyńskie, prócz saméj stolicy Konstantynopola; wkrótce potém w bitwie na Kosowém Polu (r. 1389.) rozgromili i ujarzmili Słowian południowych i zagrozili państwu węgierskiemu. Wśród takichto trudnych okoliczności powołali Węgrzy na tron swój, osierocony po cesarzu Albrechcie II., króla polskiego, Władysława III. Jagiellończyka (1440). Młodociany król, widzac, że z upadkiem Węgier grozi zagłada chrześcijaństwu i cywilizacyi europejskiéj, zapałał chęcią poświęcenia się za wielką sprawę i postawił sobie za pierwsze i główne zadanie życia obronę Węgier, a oraz złamanie potęgi tureckiéj. Pierwsza jego wyprawa (r. 1443.) została rzeczywiście uwieńczona szeregiem zwycięskich potyczek i obudziła najpiękniejsze nadzieje, atoli druga już, podjęta w rok później (r. 1444.), skończyła się straszną klęską chrześcijan. Wojsku króla Władysława, ciągnącemu wzdłuż Dunaju i morza Czarnego dla obejścia Bałkanów, zastąpił drogę sułtan Murad II. z czterdziestotysięczną armią, podczas kiedy chrześcijanie liczyli co najwięcéj 20.000 wojowników.

Dnia dziewiątego listopada, w wigilią św. Marcina, wszystkie siły, towarzyszące Władysławowi w wyprawie przeciwko Turkom, stanęły na równinie pod Warną. Pochód aż dotąd nazwać było można szczęśliwym i zwycięskim. Wieczór nadchodził powoli, chwilami od morza zrywał się wicher gwałtowny, przelatywał nagle po równinie nawpół wyschłéj, wpół błotnistéj, i biegł gdzieś skryć się w wąwozach gór. W prawo, na niebiosach jaśniejszych, czerniały baszty i nieforemne wieże zamku w Warnie. Horyzont daléj jeszcze opasywały sine góry, a na ich tle gorzały łuny, rozprószone od tureckich obozowisk, które się rozciągały tuż blisko. Wszystkich oczy ku tym światłom czerwonym zwracały się niespokojnie. Bliżéj, jak zajrzéć, widać było porozkładane ognie węgierskich, polskich i posiłkowych rot. Z tyłu, poza obozem królewskim i w prawo błyszczały limany i błota nadmorskie.

Dzień następny wstał piękny i pogodny. O brzasku odprawił przysłany przez papieża kardynał Cesarini mszę świętą. Powietrze było uspokojone, słońce wschodziło jasne. W téj chwili czeladź nadbiegła, wołając: „Turcy idą!“ i natychmiast na skinienie Hunyadego, hetmana węgierskiego, zaczęły się pułki ustawiać w półksiężyce. W lewo, ponad Dziewińskiém jeziorem, zabrało miejsce pięć chorągwi węgierskiego rycerstwa, którymi sam Hunyady miał dowodzić. W pośrodku zostawiono miejsce dla króla z jego orszakiem, który właśnie się zbierał, wdziawszy swe najpiękniejsze zbroje i najwspanialsze szaty.

W prawo, za chorągwią króla, uszykowały się posiłki wołoskie, za nimi czarna węgierska chorągiew i wojska biskupie z chorągwią św. Władysława. Czasu do uszykowania się dość było, bo ów zapowiedziany nieprzyjaciel ukazał się dopiero, gdy słońce już ku południowi się miało.

Dotąd cisza była w powietrzu wielka i niebo pogodne a czyste. Król już stał w miejscu swém, otoczony młodzieżą, gdy nagle z zachodu wicher uderzył na szyki i wszystkie chorągwie, które ponad nimi stały podniesione wysoko, poszarpał i przygniótł do ziemi.

W dolinie suchego krzewia i karłowatych drzewin dość było. Z poza nich naprzód Turcy ukazywać się zaczęli, a na ich czele z ogromnymi tarczami i kuszami najdzielniejszy hufiec pieszych janczarów. Na prawém skrzydle przy chorą-

gwi św. Władysława pierwszy bój się rozpoczął z wrzaskiem i piskiem dziczy, która nim sobie ducha dodawać zwykła. Były to właśnie najsłabsze pułki biskupie, a przy nich papieski żołnierz kardynała, który nie wytrzymał gwałtownego natarcia. Cudem prawie chorągiew św. Władysława utrzymała się z garścią mężniejszych. Część Turków ścigała uchodzących, inni gwałtownie na chorągiew napadli, ale tu znaleźli rozpaczliwy opór. Gdy się to działo, stał jeszcze król w pośrodku chwilę, w téj nadziei, że po pierwszém starciu bój może się odmiennèm szczęściem obrócić, lecz niecierpliwość jego i zapał zaledwie otaczający pohamować mogli. Starszyzna zaklinała, aby się zachował na chwilę stanowczą. Nie było jednak sposobu wstrzymać go już; gdy chorągiew św. Władysława osaczoną zobaczył, spiął konia i na oślep rzucił się w tę gąszcz walczących, a za nim wierni towarzysze.

Hufiec królewski z taką gwałtownością padł na karki Turków i taką w nich rzeź sprawił, że zastępy ich zachwiały się, ugięły i pierzchać poczęły. Króla widać było ścigającego ich daleko, wśród błyszczącéj młodzieży, która z podniesionymi mieczami za nim leciała.

Z tyłu pozostała chorągiew św. Władysława, któréj król w pomoc chciał śpieszyć, zawsze jeszcze przez gromadę Turków oblężona. Zwrócił się więc na jéj obronę. Ale z gór i krzaków coraz nowe płynęły tłumy pohańców, pole już nimi było usłane, nawała nowa cisnęła się na pobojowisku. Swoi i nieprzyjaciele zmieszali się w gąszcz wściekłą, wśród któréj stada wielbłądów, konie dzikie, ludzie i trupy zbijali się w tłum walczący. Wśród wrzasku, ryku i rżenia, chrzęstu broni, świstu strzał już ani głosu dowódców ani nawoływania swoich nikt nie mógł dosłyszeć. Król, który, zwycięsko dotąd walcząc, płoszył przed sobą i kładł trupem, co żyło, znalazł się nagle wśród zastępu pieszych janczarów, wielkimi tarczami jak murem osłonionych, wśród gradu strzał i bełtów, które nawet zbroje żelazne przebijały. Sypano nimi z pobliskich wzgórków, z za krzaków nieustannie. Złocone hełmy padały i znikały... Przez jednę krótką chwilę zdawało się, iż spodziewać się było można zwycięstwa. Wtém pułki, które króla popierać były powinny, zachwiały się w miejscu i rozsypały jak bicz paciorków, gdy nić trzymająca je pęknie. Za chwilę nie było już nic widać oprócz gęstego tłumu jan-

czarów i Turków, rozbiegających się w pogoń na wszystkie strony. W tém zamieszaniu padł też bohaterski król Władysław, nazwany stąd „Warneńczykiem“.

W Polsce długo nie chciano wierzyć w śmierć uwielbianego króla i robiono za nim daremne poszukiwania. Imię jego naród przechowuje dotąd w wdzięcznéj pamięci, jako jednego z pierwszych bohaterów, którzy położyli głowę w obronie chrześcijaństwa i cywilizacyi.

Według *J. I. Kraszewskiego.*

---

53. Upadek Konstantynopola.

Za panowania Konstantyna XII. postanowił sułtan Mahomet II. położyć kres dogorywającemu cesarstwu wschodniemu. W tym celu, pokończywszy wielkie przygotowania, zebrawszy 200.000 azyatyckiéj i europejskiéj dziczy, ścisnął Konstantynopol, który, z dwóch stron otoczony morzem, był niedostępny; trzecia strona obwarowana była podwójnym murem wysokim i fosą głęboką, wyłożoną kamieniami. Miasto miało jeszcze 100.000 ludności, ale zaledwo 5000 zdatnych do broni. Ci wzmocnili szczupłą załogę, składającą się po większéj części z najemnych, z góry zapłaconych Genueńczyków. Wejście do portu zamknięto grubym łańcuchem, za którym postawiono na straży kilka okrętów. Stolica, kilka mil obwodu mająca, ledwo 10.000 obrońców przeciw tak ogromnéj potędze stawiła.

W pierwszych dniach żołnierze greccy wychodzili w pole, a zmierzywszy się z Turkami, nabrali serca; lecz wszędzie Turcy liczbą przemagali. Dla Greków strata w ludziach była nienagrodzona; dawszy więc męstwa dowody, odtąd tylko z murów pociski rzucali. Wkrótce atoli Turcy, wkopawszy się w ziemię, do miasta zbliżać się poczęli. Od strzałów tureckich waliły się wszędzie mury i wieże, które w ciągu dziesięciu wieków różnym wrogom państwa się opierały. Po czterdziestu dniach oblężenia już ostateczna zbliżała się chwila; nieliczna załoga, broniąc miasta z dwóch stron równocześnie, opadała na siłach. W Konstantynopolu szerzył się ponury smutek i rozpacz.

Grecy opłakiwali głośno swe grzechy i oskarżali cesarza, że w czas nie poddał miasta. Sam nawet Konstantyn upadł wreszcie na sercu; ale mąż dzielnéj duszy, prędko się obaczywszy, wskoczył skwapliwie na koń, aby jeszcze raz wszystkie straże objechać i wywiedzieć się o poruszeniach Turków.

Działo się to wieczorem 28. maja. Już dniało, gdy cesarz skończył objażdżkę. Stojące na wieżach straże przez całą noc słyszały turkot zbliżających się armat i machin. Jakoż Turcy, z pierwszym zaraz brzaskiem, gdy się jeszcze wiele gwiazd na niebie iskrzyło, pamiętnego w dziejach 29. maja 1453. roku od lądu i morza bój rozpoczęli. Wkrótce oblężonych i oblęgających gęste kłęby dymu całunem objęły. Rozpoczęła się krwawa i piekielna scena: wśród wszystko porywającego odmętu, ciągłego ognia i huku przeraźliwego wieleż to czynów bohaterskich, wiele cierpień wieczna pochłonęła niepamięć! Wśród najgęściejszego zgiełku długo widziano cesarza, który w téj chwili ostatecznéj wodza i żołnierza obowiązki pełnił. Zniknął nakoniec. Wśród zgiełku i zamieszek poległ ostatni cesarz rzymski z ręki nieznanéj. Zaraz więc wszystko pierzchło i w różne rozbiegło się strony, a tymczasem Turcy walą się obławą do miasta, zrazu lękając się dzielnego tak w mieście, jak w murach oporu, ścielą trupem, co się tylko nawinie. W pierwszéj chwili zaciekłości 2000 chrześcijan legło od muzułmańskiego oręża. Rozpoczęty o pierwszéj z południa rabunek trwał do godziny ósméj. Kiedy wieczorem Mahomet w orszaku wezyrów, baszów i straży przybocznéj, z samych olbrzymiéj postaci ludzi złożonéj, bramą św. Romana do miasta wjeżdżał, zdumiewał się nad wspaniałością téj stolicy, nad jéj kopułami i pałaców architekturą. Zsiadłszy z konia, wszedł do kościoła św. Zofii, który już żołnierstwo ze wszelkich ozdób było obdarło. Natychmiast, kazawszy popsuć malowidła, mozajki i wszelkie pozostałe jeszcze ozdoby, świątynię chrześcijańską na meczet zamienił, a w następny piątek już z najwyższéj wieży kapłan turecki *muczyn* wzywał prawowiernych islamitów do modlitwy.

Tak więc w 1125 lat po założeniu Konstantynopola, w 977 po upadku cesarstwa zachodnio-rzymskiego, upadło cesarstwo wschodnie i jego stolica, która, mimo nieszczęść i poniżenia, jeszcze była głównem siedliskiem nauk, cywilizacyi starożytnéj i literatury greckiéj; w któréj się zachowało tyle drogich dla chrześcijan pamiątek, tyle świętych relikwij;

gdzie się odbywało tyle soborów, gdzie było tyle wspaniałych świątyń chrześcijańskich i w którój religia chrześcijańska pierwszy raz na tronie zasiadła.

Według *A. Poplińskiego.*

---

54. Krzysztof Kolumb.

Krzysztof Kolumb, urodzony w Genui, młodym jeszcze będąc, przerwał nauki, zaczęte w Pawii, dla ubóstwa i poświęcił się, równie jak ojciec, żegludze na okrętach kupieckich rzeczypospolitéj genueńskiéj. W ten sposób zwiedził morze Śródziemne, zachodnie brzegi Europy i morze Północne. W 25. roku życia, żeglując po oceanie Atlantyckim, rozbił się u brzegów portugalskich, lecz, umiejąc dobrze pływać, uszedł śmierci i dostał się do Lizbony. Tu znalazł wielu osiadłych współziomków, którzy mu dali przytułek; stąd też w interesach handlowych zwiedzał wybrzeża Afryki i wyspy, przez Portugalczyków odkryte. Te ciągłe podróże i coraz dalsze odkrycia Portugalczyków obudziły w nim żądzę odkrycia nowéj zupełnie drogi do Indyj wschodnich, będących podówczas jedynym celem wszystkich handlowych i bohaterskich wypraw. Kolumb znał dokładnie dawniejsze wiadomości geograficzne i był przekonany, że skoro ziemia jest okrągła, więc témsamém, płynąc ciągle na zachód przez ocean Atlantycki, można dopłynąć aż do Indyj wschodnich, nie potrzebując okrążać Afryki.

Myśl swoję otworzył Janowi II., królowi portugalskiemu, który kazał ją ocenić towarzystwu uczonych w Lizbonie. To, pochwaliwszy plan, radziło zatrzymać Kolumba, dopókiby tajemna wyprawa, przedsięwzięta przez nich, nie stwierdziła prawdy. Podstęp ten jednak nie udał się, albowiem gwałtowna burza zawiodła nadzieje tych intrygantów, a Kolumb z niczém został odprawiony. Zawiedziony w nadziejach, opuścił potajemnie Portugalią, wrócił do ojczyzny i napróżno ofiarował swoje usługi innym państwom morskim.

Nareszcie udał się do Hiszpanii i tu znalazł wstęp do arcybiskupa Mendozy, który polecił go saméj królowéj Izabelli. Zapał Kolumba i głębokie jego przekonanie udzieliły się monarchom hiszpańskim, tak, iż mimo różnych uprzedzeń Izabella skłoniła się ku wielkiemu przedsięwzięciu. Postanowiono uzbroić dwa okręty za 20.000 piastrów; królowa na

pokrycie tej sumy ofiarowała swoje klejnoty. Żeglarze z Palos dostarczyli Kolumbowi środków do uzbrojenia trzeciego okrętu. Tak więc Kolumb, wyspowiadawszy się i przyjąwszy komunią św., odpłynął z portu Palos w Andaluzyi na trzech statkach z osadą, ze 120. ludzi złożoną, 3. sierpnia 1492. r., wzbudzając szyderstwo w jednych, politowanie u drugich.

Ludzie, towarzyszący Kolumbowi, nie podzielali wcale jego zapału, owszem za najmniejszą przeciwnością upadali na sercu. Już 750 mil upłynęli. Kolumb z wytężoną źrenicą śledził bliskiego według swych domysłów lądu, ale napróżno. Osada okrętowa szemrała, buntowała się nawet. Nadeszła nakoniec noc ostatnia, po której Kolumb obiecał nawrócić, gdyby na ląd nie natrafiono. Wszyscy stali na pokładzie okrętu, mając zwrócone oczy w tę stronę, skąd spodziewali się ujrzeć ziemię, przez 35 dni z taką niecierpliwością wyglądaną. Około godziny 10 wieczorem 12. października Kolumb pierwszy spostrzegł migające się światełko, a o północy rozległ się okrzyk radosny na statku, przodem płynącym: ląd! ląd! Na to hasło cała osada padła na kolana i zanuciła hymn dziękczynny. Ze wschodem słońca ujrzeli żeglarze przed sobą rozkoszną wysepkę, gęstym lasem zarosłą, licznymi strumykami zroszoną, a Kolumb, w bogatej szacie, z mieczem w ręku, prowadząc za sobą współtowarzyszów podróży, wyszedł na ląd, ucałował ziemię, tak gorąco upragnioną, wzniósł na niej godło krzyża i nazwał ją San Salwador, wyspą Zbawiciela, na pamiątkę swego wybawienia z niebezpieczeństwa. Wyspa ta, należąca do archipelagu wysp Lukajskich (Bahama), zwała się w narzeczu krajowców Guanahani.

Jakże się zdziwili Europejczycy na widok tylu nowych, nieznanych roślin, zwierząt, a nadewszystko ludzi cery ciemnomiedzianej, w rozmaite wzory tatuowanej, bez włosów na brodzie. Kolumb, nie znalazłszy na tej wyspie tak upragnionego przez jego towarzyszy złota, udał się dalej na zachód, gdzie odkrył większe wyspy Kubę i Haiti, dzisiejszą San Domingo, które miał za Indye, i dlatego dotąd wyspy te Indyj zachodnich noszą nazwisko. Zostawiwszy na wyspie Haiti osadę z kilkunastu ludzi, wsiadł Kolumb na okręt i, zabrawszy ze sobą kilku krajowców, udał się napowrót do Hiszpanii. Ale wiatr był przeciwny; później zerwała się straszliwa burza, trwająca dwa tygodnie i grożąca co chwila zatopieniem okrętu. Kolumb, zwątpiwszy o ocaleniu, ułożył

krótki opis swego odkrycia, zawinął w ceratę i wrzucił do beczki, którą puścił na morze w nadziei, że wiatry zapędzą ją do jakiego brzegu i tym sposobem ocalą odkrycie. Burza jednak uciszyła się i nareszcie Kolumb po wielu przykrych przejściach zawinął do Palos, gdzie go cała ludność z wielkimi okrzykami witała. Uderzono we dzwony, pozamykano sklepy i wszyscy śpieszyli uściskać współziomków, a nadewszystko oddać cześć temu, który odkrył świat nowy, a z którego niedawno jak z obłąkanego szydzili.

Wedł. *A. Poplińskiego.*

---

55. Maksymilian I.

Po śmierci cesarza Fryderyka III. wstąpił na tron syn jego Maksymilian, który już na kilka lat przedtém był duszą poprzednich rządów. Wybór jego powitano wszędzie jak najprzychylniéj, gdyż Maksymilian swą uprzejmością i rycerskością nie tylko pozyskał sobie serca całego ludu, ale nadto, dzięki swemu wykształceniu, znajomości spraw państwa i sztuki wojennéj, dawał wszelką rękojmię, że podoła trudnemu zadaniu monarchy.

Maksymilian był ostatnim rycerzem w całém tego słowa znaczeniu; łączył on w sobie męstwo, grozę i wspaniałomyślność z dziecięcą prawie słodyczą, to téż wszystkie jego przedsięwzięcia cechowała iście średniowieczna rycerskość, awanturnicza, ale pełna polotu.

Usposobienie to malowało się w jego rysach. Był wysoki i barczysty, postaci prawdziwie królewskiéj. W młodszych latach płowy włos spływał mu na ramiona gęstymi kędziorami, w piwnych oczach łączył się zapał z dobrocią, a wyniosłe czoło i orli nos dodawały téj twarzy niepospolitego uroku. Był to umysł żywy i przedsiębiorczy; nie było prawie rzeczy, któréjby się nie imał. Spuściwszy się do swych kopalń, pracował, jak doświadczony górnik, w zbrojowni był wybornym płatnerzem, wziąwszy strzelbę do ręki, zawstydzał najlepszych strzelców, nikt mu nie dorównał w kierowaniu działem, swoim siedmiu rotmistrzom wydawał rozkazy w siedmiu ich rodowitych językach, sam sobie potrafił być kucharzem i sam téż przyrządzał sobie lekarstwa. Z takąsamą przyjemnością słuchał na skraju lasu śpiewu słowika, z jaką w kniei

potykał się z dzikiem albo ścigał po skałach dzikie kozły. Niczém było dla niego wspinać się po zawrotnych urwiskach, przesadzać bezdenne przepaści, narażać się na wszelkie możliwe niebezpieczeństwa. Cóż więc dziwnego, że między ludem różne o Maksymilianie krążyły podania, między innymi o cudownem sprowadzeniu jego przez anioła ze skały św. Marcina.

Niestety, czasy, w których Maksymilian na tron wstąpił nie były szczęśliwe. Powaga niemieckiego cesarza wobec książąt tak nisko była upadła, zwłaszcza za czasu rządów Fryderyka, że i synowi tegoż nie użyczono dostatecznego poparcia w pieniądzach i wojsku; dlatego téż Maksymilian opędzał koszta swych wypraw wojennych po większéj części przy pomocy dziedzicznych krajów austryackich, które złączył pod swém panowaniem w r. 1496.

Co do uporządkowania wewnętrznych stosunków Niemiec obfitowało jego panowanie w ważne wypadki. Najważniejszym był sejm w Wormacyi (1495.), na którym ogłoszono ogólny pokój w kraju: każdy, ktoby się poważył sam sobie wymierzać sprawiedliwość, miał być karany grzywną, 1.000 złotych wynoszącą; wszystkie skargi miały być odtąd zanoszone przed najwyższy sąd państwa niemieckiego, uroczyście otwarty w Frankfurcie (r. 1495.).

Jeżeli Maksymilian przez swój związek małżeński z Maryą, dziedziczką Niderlandów, znacznie wzmógł potęgę domu Habsburskiego, to udało mu się ten cel osiągnąć w jeszcze wyższym stopniu przez małżeństwo swego syna Filipa z Joanną, dziedziczką Hiszpanii. Podobnież doprowadził do skutku dwa związki małżeńskie między swymi wnukami, tj. dziećmi Filipa, Ferdynandem a Maryą z jednéj, a Anną i Ludwikiem, dziećmi Władysława Jagiellończyka, króla czeskiego i węgierskiego, z drugiéj strony, przez co utorował bezpośrednie połączenie obu tych krajów z posiadłościami austryackimi. W ten sposób wyniósł Maksymilian dom Habsburski do niebywałéj potęgi, Niemce zaś zawdzięczają mu przywrócenie wewnętrznego spokoju.

---

56. Ostatni z Habsburgów po mieczu.

W środę dnia 19. października 1740 r. w zamku cesarskim w Wiedniu wielka zapanowała trwoga. Cesarz Karol VI. ciężko zachorował, a lekarze oświadczyli, że nie ma ratunku.

Chory zachował spokój i przytomność, a poddając się woli Bożéj, przyjął z rąk nuncyusza święte Sakramenta. Przy łożu stał zatrwożony minister Bartenstein; cesarz w te do niego odezwał się słowa: „Kto sprawy swéj tak jest pewny, jak ja, ten spokojnie i bez trwogi puścić się może w tę drogę.“ Potém przytomnie wydawał rozkazy, a służbie za wierność dziękował. Ale mimo tego spokoju chorego, boleść wielka przejmowała rodzinę cesarską, albowiem na dworze wiedeńskim kwitło czyste i tkliwe życie rodzinne. Cesarzowa nie chciała opuścić komnaty chorego małżonka; najstarsza córka, Marya Teresa, z bolu i trwogi zachorowała. Gdy, wszedłszy do komnaty ukochanego ojca, spostrzegła na jego twarzy zbliżającéj się śmierci oznaki, zadrżała i zachwiała się z przestrachu, nogi odmówiły posłuszeństwa i tylko z wielką trudnością zdołała zbliżyć się do łoża jego. Ojciec i córka przeczuwali, że się już widzą po raz ostatni, chcieli więc w krótkim tym czasie wylać przed soba całą pełń miłości. Ale napróżno! Rozmowę przerywały głośne płaczu wybuchy; łzy wymowniéj, niż słowa wyrażały to, co się w głębi ich serca kryło. Pożegnali się na zawsze. W nocy z dnia 19. na 20. cesarz jeszcze raz zwrócił się wzrokiem ku pokojom ukochanéj córki i, wzniósłszy ręce, błogosławił, jéj bowiem, jako choréj, niedozwolono widzieć się już z ojcem. Zwolna tracił chory siły; dnia 20. października o 2. godzinie zrana uderzyło po raz ostatni to szlachetne serce.

Karol VI. nie zostawił syna; z nim przeto wygasł po mieczu ród Habsburski, którego koleje osobliwszym swym a niezwykłym rozwojem tak wydatnie występują w dziejach. Z małych, prawie nieznacznych początków ród ten wzrósł w zadziwiającą, olbrzymią potęgę. Posiadłości Rudolfa, hrabi na Habsburgu, zaledwie mil kilka zajmowały obszaru, a w państwie Karola V. nigdy nie zachodziło słońce. Jeden rys główny powtarza się ciągle w dziejach tego rodu: głęboka religijność i poczucie prawa. Takie usposobienie umysłu cechowało także ostatniego z Habsburgów. Karol VI. wierzył w świętość i nienaruszalność umów publicznych czyli tak zwanych traktatów, ponieważ sam ich wiernie dotrzymywał. Osobliwie chodziło mu o umowy, które zawarł był z innymi państwami dla zabezpieczenia ustawy zasadniczéj, zwanéj *pragmatyczną Sankcyą.* Tak zwano w owych czasach postanowienia monarsze, porządkujące na zawsze pewne ważne sto-

sunki. W r. 1713. wydał Karol VI. takie postanowienie jako ustawę zasadniczą, która, ogłaszając kraje austryackie za całość niepodzielną, zabezpieczała w braku potomków męskich następstwo i potomkom po kądzieli, wedle stopnia pokrewieństwa z Karolem VI. Rada stanu uznała w roku 1713. Sankcyą pragmatyczną za ustawę zasadniczą państwa. Dnia 13. kwietnia r. 1716. urodził się cesarstwu syn, arcyksiążę Leopold, ale już w listopadzie tegosamego roku umarł, a gdy cesarz drugiego syna nie miał, przeto nastąpił właśnie przypadek, w Sankcyi pragmatycznéj przewidziany. Najstarsza córka Karola VI., Marya Teresa, odziedziczyła posiadłości habsburskie jako całość niepodzielną.

Wedł. *J. B. Weissa.*

---

57. Marya Teresa wstępuje na tron Habsburgów.

Po śmierci Karola VI., ostatniego męskiego potomka domu Habsburgów, (r. 1740.) objęła w krajach dziedzicznych rządy córka jego najstarsza, Marya Teresa.

Urodzona dnia 13. maja 1717. młoda władczyni miała wówczas lat 23 i miesięcy sześć. O jéj młodości nie wiele mamy szczegółów; ale już te, który się przechowały, piękne jéj dają świadectwo. Marya Teresa odznaczała się już wcześnie wielką do nauk chęcią; historya była jéj ulubionym przedmiotem; języków uczyła się łatwo; prócz ojczystego posiadała łaciński, francuski, włoski i hiszpański i biegle nimi mówiła. Tańczyła z wdziękiem; w śpiewie i muzyce wyrównywała mistrzom w sztuce; strzelała celnie. Jako kobieta rozumu bystrego i jasnego, a rzadkiéj siły woli, posiadała umysł czysty, szlachetny i głęboki. Serce jéj gorąca przenikała wiara i bogobojność. Uprzejma, dla wszystkich przystępna, niewyczerpanego dla biednych i cierpiących współczucia, największéj doznawała rozkoszy, gdy zdołała u ojca uprosić łaskę dla nieszczęśliwych. Jakoż już cesarzową będąc, na szczycie znaczenia i potęgi, ujrzawszy raz schorzałą kobietę z dwojgiem wynędzniałych dzieci, zawołała: „Cóżem zawiniła, że widok taki oczy me smutkiem napełnia i tak przykry cień rzuca na moje panowanie?“

Maryą Teresę oddawna już uważano za przyszłą krajów austryackich dziedziczkę; zatém z różnych stron starano się o pozyskanie jéj ręki. Ale Karol VI. nie chciał sam rozporzą-

dzać ręką córki, pozostawiając wybór jéj sercu, a to wybrało **Franciszka Stefana**, księcia Lotaryńskiego. Sławny wódz i zwycięzca w armii cesarskiéj, Karol Lotaryński, był jego dziadem.

Książę Franciszek Stefan, urodzony w roku 1708., mając lat piętnaście, przybył do Wiednia i tu się kształcił, nim objął rządy swojego księstwa. Młodzieniec hoży, szczery, wesoły i uprzejmy, gdy cesarz nie miał syna, przebywał na dworze, jakby był członkiem rodziny cesarskiéj, i pozyskał tu nie tylko życzliwość cesarza, lecz i serce arcyksiężniczki. W roku 1732. cesarz powierzył mu namiestnictwo na Węgrzech; dnia 31. stycznia 1736. Franciszek oświadczył się uroczyście o rękę arcyksiężniczki, a 12. lutego nastąpiły zaślubiny w kościele Augustyanów w Wiedniu. W tymsamym roku książę zrzekł się dziedzicznéj Lotaryngii. Ustępując ojcowizny Stanisławowi Leszczyńskiemu, królowi polskiemu, za Lotaryngią otrzymał Franciszek wielkie księstwo Toskańskie, a gdy w rok późniéj umarł ostatni z Medyceuszów, książę Toskański, nowy dziedzic z małżonką odbył w styczniu 1738. uroczysty wjazd do Florencyi i do końca kwietnia 1739. z nią tam przebywał. Małżonkowie pozostawili pamięć tego krótkiego w Toskanii pobytu w dobroczynnych instytucyach i doskonałych ustawach. Franciszek nie był obdarzony nadzwyczajnymi zdolnościami; ale był to mąż jasnego rozumu i wielkiéj rzetelności; wodzem nie był, ale odznaczał się odwagą; lepiéj, niż na sztuce wojennéj, znał się na skarbowości.

Lubo jeszcze boleścią i smutkiem po stracie ojca przygnębiona, młoda władczyni, zapanowawszy nad sercem, o nowych myślała obowiązkach. Żywiąc najszlachetniejsze zamiary i najgorętszymi dla dobra swych ludów pałając chęciami, objęła rządy z mocném postanowieniem spełnienia tych zamiarów i chęci. Przez lat czterdzieści sprawowała rządy z taką godnością i wielkością duszy, że dzieje słusznie ją obok najznakomitszych postawiły władców. Odtąd wszystek czas poświęcała sprawom państwa i szczęściu swych ludów, każdéj straconéj chwili żałując. „Wyrzucam sobie“ — mówiła raz Marya Teresa — „stratę czasu, który na sen obracam; ujmuję go bowiem ludom moim“.

Już w dzień zgonu Karola VI. rozsełano gońców do wszystkich dworów z uwiadomieniem o śmierci cesarza i wstąpieniu na tron „królowéj węgierskiéj i czeskiéj“. Tegosamego

dnia złożyli hołd nowéj Pani ministrowie i władz najwyższych naczelnicy. Przemówiła do nich przy téj sposobności; dziękowała wszystkim za wierne ojcu usługi, uspakajała i zachęcała, ale mowę przerywały jéj łzy, a nawet płacz głośny. Młoda władczyni, wszystkich na dotychczasowych posadach pozostawiając, prosiła, aby i jéj z równą, jak ojcu, służyli wiernością. Do każdego w stosownych przemawiała słowach, a wszystkich obecnych rozrzewniła, gdy w przemowie do hr. Palfiego, siedmdziesięcioletniego marszałka, niegdyś towarzysza i przyjaciela księcia Eugeniusza Sabaudzkiego, ojcem nazwała.

W dzień po śmierci ojca Marya Teresa po raz pierwszy przewodniczyła radzie ministrów. Zastanawiano się nad stanem państwa. Skarb wyczerpnęła ostatnia wojna; podatki przynosiły dawniéj 40, teraz tylko 20 milionów, a kwota ta nie wystarczała na pokrycie wydatków. Armia prawie do połowy zmalała. Z dawniejszych 160.000 żołnierzy tylko 80.000 pozostało; a i ci rozrzuceni byli na obszarze od granicy tureckiéj po Niderlandy, od wielkiego księstwa Toskańskiego po północne Czech granice. Karność w wojsku była nadwątlona, gdyż klęski ostatnie ducha w niém osłabiły; twierdze były zaniedbane, a usposobienie ludności na Węgrzech i w krajach niemieckich niepewne. Zaiste, olbrzymie do rozwiązania zadanie przypadło młodéj władczyni! Ministrowie z trwogą myśleli o przyszłości; mało który z nich wierzył w dalsze utrzymanie państwa; widzieli oni już Turków na Węgrzech, Węgrów wzburzonych, Sasów w Czechach, Bawarczyków u bram Wiednia, a Francyą wszystkich podburzającą. W Wiedniu wielu mniemało, że niewiasta nie podoła rządom tak wielkiego państwa, że więc wkrótce elektor bawarski niém zawładnie.

Ale młoda władczyni nie zawahała się i nie zwątpiła. Ożywiająca ją wiara w pomoc Bożą a z nią i w przyszłość państwa natchnęła i pokrzepiła także tych, co ją otaczali. Wzięto się do dzieła. Pierwsze nowych rządów kroki dążyły do zjednania żywiołów niezadowolonych, a do usunięcia przyczyn zażaleń. Łaska monarchini na prawdziwą spływała zasługę. Ludności uboższéj dokuczał głód; Marya Teresa kazała otworzyć spichrze i po niskiéj cenie sprzedawać zboże. Na tensam cel z jéj rozkazu w znacznéj ilości strzelano zwierzynę. W wydatkach publicznych nastała oszczędność; wydatki na dwór, z którego za Karola VI. żyło około 40.000 osób

kosztem dziewięciu i pół miliona złotych, do stosownych sprowadzono rozmiarów. Małżonek królowéj objął zarząd skarbu, do czego niepospolite posiadał zdolności.

Dnia 21. listopada Marya Teresa mianowała małżonka swego współrządcą, a przy nastąpić mającym wyborze cesarza na niego oddała głos elektorski, przywiązany do korony czeskiéj. Pragnęła ona, aby mąż jéj co do stopnia dostojeństwa nie tylko stał z nią na równi, lecz dała przez to do poznania, że i godność cesarską chce utrzymać w swym rodzie, zdobiąc głowę męża pierwszą w świecie chrześcijańskim koroną.

Dnia 22. listopada stany dolno-austryackie złożyły hołd wierności nowéj władczyni; reszta krajów, prócz Węgier, przysięgła wierność przed namiestnikami. Tak więc pierwsze młodéj władczyni wystąpienie i kroki, przez nią poczynione, najlepsze w jéj państwie wywarły wrażenie i pomyślny odniosły skutek.

Tymczasem chciwi łupu nieprzyjaciele działali potajemnie; gotowała się straszna burza przeciw młodéj władczyni austryackiéj. W Paryżu, Madrycie i Berlinie knowano plany rozbicia Austryi i wyniesienia na tron cesarski elektora bawarskiego pod warunkiem, aby jako książę niemiecki wydał ojczyznę na łup obcym i z nimi podzielił się grabieżą. Dla Austryi zbliżała się chwila wielkiego niebezpieczeństwa.

Ale Bóg nie dał zginąć potężnemu państwu, lecz pozwolił, ażeby je wybawiła moc duszy władczyni i ludów jéj wierność. Wedł. *J. B. Weissa.*

---

58. Procesye OO. Trynitarzy.

Ze zmianą czasów zmienia się także charakter krajów i miast. Dawniéj słynął Lwów najbardziéj ze swojego położenia w sąsiedztwie pogan. Bliskość Tatarów w Krymie, Turków w Chocimie i Kamieńcu, częste najazdy tamtych, a wojny z tymi pozwalały temu miastu zasłużyć sobie na miano „przedmurza Polski, warowni chrześcijaństwa“.

Smutną tę sławę opłacał wszystek kraj przyległy mnogimi klęskami i ofiarami. Jedną z najpospolitszych była niewola w ręku Ordy lub Turka. Zasilana ciągłymi zagonami pogaństwa, sprawiała ona tyle straty ludności, co mór nieustający. Jak łatwo pojąć, gnębił jasyr osobliwie niższe klasy

narodu. Możni panowie siedzieli bezpiecznie w swoich zamkach lub dobrach odleglejszych, a popadłszy przypadkowo w niewolę, miewali okup nietrudny. Ubogi szłachcic, włościanin, rodzina kmieca — szły zwyczajnie na całe życie w kajdany.

Nastręczające się przeciw temu środki zaradcze, jak n. p. zbrojne odbicie niewolnika w pół drogi, wymiana za jeńców nieprzyjacielskich, zdarzały się nazbyt rzadko. Potrzeba było ciąglejszéj, codzienniejszéj pomocy. Napróżno przez długie lata oczekiwano jéj w postaci szeregu twierdz, zamykających raz na zawsze granicę napadom wschodnim. Doczekano się jéj nareszcie w osobie zakonników św. Trójcy, przeznaczonych swoją ustawą do wykupywania więźniów z niewoli pogan.

Chcąc przyjść w pomoc nadmienionym potrzebom prowincyj wschodnich, postanowił król Jan III. po zwycięstwie pod Wiedniem wezwać z Hiszpanii do Polski ten zakon, trudniący się wykupywaniem jeńców. OO. Trynitarze przyjęli z radością uwiadomienie o nowootwierającéj się im ojczyźnie i zaraz przybyło stamtąd dwóch braci duchownych, przeznaczonych do rozkrzewiania nowéj reguły w Polsce.

Już w niespełna pięć lat po oswobodzeniu Wiednia, na wiosnę r. 1688., odbyła się we Lwowie po raz pierwszy nieznana dotąd procesya, która całe miasto radosném przejęła zadziwieniem i wzruszeniem. Przy odgłosie pieśni pobożnych i wszystkich dzwonów kościelnych postępowali przez rynek od bramy halickiéj ku krakowskiéj dwoma rzędami OO. Karmelici i Trynitarze. Pomiędzy nimi naprzemian z zakonnikami szli jacyś ludzie ubodzy, w podartéj odzieży, o znękanych długiém cierpieniem licach — jeden staruszek szlacheckiego wejrzenia, dwóch mężów w dojrzałym wieku, dwóch młodzieńców i dwie kobiety, młodsza z dzieckiem na ręku.

Był to pochód ośmiu oswobodzonych z niewoli pogańskiéj jeńców, których OO. Trynitarze wykupili świeżo od baszy tureckiego w Kamieńcu i pierwszym tego rodzaju obrzędem wprowadzili do swego klasztoru przy ulicy Krakowskiéj.

Tak stało się zadość szlachetnemu życzeniu bohaterskiego króla i ośmnaście razy odtąd powtarzała się we Lwowie podobna procesya wykupionych przez OO. Trynitarzy jeńców.

Przy dalszych takich obrzędach występowało nierównie więcéj ofiar oswodzonych, niekiedy do pięćdziesięciu i sześćdziesięciu. Każdy z tych obrzędów był jedną nową kartą téj smutnéj powieści o niewoli pogańskiéj, która przez kilka ostatnich wieków naszéj historyi tak nierozerwanie splatała się z powieścią o wojnach tatarskich i tureckich. Ledwie téż niekiedy wprowadzenie nowowykupionych jeńców do stolicy ojczystéj miało charakter odmienny, oryginalny, wysoce zajmujący. I tak n. p. procesya w r. 1720. była przeważnie procesyą dzieci. Na czele 26 jeńców w podeszłym wieku, po większéj części szlachty, wykupionéj po kilkudziesięcioletniéj niewoli, postępowało ośmnaścioro dzieci obojéj płci po 4, 6, 10 i więcéj lat. Były to sieroty zmarłych w niewoli rodziców, wyrosłe w zupełném zaniedbaniu, bez chrztu i wiadomości o Bogu.

Najświetniejsza ze wszystkich była procesya wyzwoleńców z r. 1724.; za rządów łaskawego wezyra Ibrahima podjęta, składała się ona głównie ze starców, wykupionych z długoletniéj niewoli w odległych stronach wschodu, najczęściéj od wiosła na galerach. Stawali wówczas na ziemi ojczystéj starcy zgrzybiali, którzy ją opuścili w młodości; wracali ludzie w wieku podeszłym, którzy jéj wcale nie znali, gdyż, jeszcze w dziecięcych latach uprowadzeni w niewolę, mogli chyba jak najciemniejsze zachować wspomnienie o swoich stronach rodzinnych. Dokładne sprawozdania pamiętników trynitarskich podają nam nawet imiona tych nieszczęśliwych ofiar onego czasu.

Na czele téj procesyi starców postępował 90-letni staruszek, Stanisław Komorowski z Sieradzkiego, niegdyś przed 48 laty porucznik wojsk narodowych; dostał się do niewoli pod Kamieńcem wraz z żoną Jadwigą, która teraz równie zgrzybiałą staruszką wracała z mężem do kraju. Za nimi szedł 70-letni starzec, syn szlachecki z Podola, który, w 18. roku życia pojmany, przebył w niewoli aż 52 lat. Pod ich przewodnictwem ciągnęli niemniéj sędziwi towarzysze, z których dwaj, wyżsi niegdyś wojskowi w kraju, liczyli 76 lat życia, a po 44 lat niewoli. Za nimi szli 70-letni starcowie, którzy po 36 do 40 lat niewoli przybyli. Młodszy od nich, tylko 60-letni, wyzwoleniec Antoni, uprowadzony niegdyś dziecięciem, nie wiedział wcale, ani jak się nazywa, ani w któréj stronie dom miał rodzinny. Jego 50-letni druh Jan, ró-

wnież w chłopięcym wieku porwany w jasyr i do Carogrodu zaprzedany, wiedział, że się nazywa Zaleski, lecz jakże wśród tylu w Polsce Zaleskich znaleść swoich najbliższych? — Trzydziestu takich nawpół nieświadomych przeszłości swojéj starców wróciło w owéj procesyi do dawno zapomnianych stron rodzinnych.

Odbyło się wprawdzie po owym jeszcze roku kilka wypraw po jeńców, ale już wkrótce potém zmieniły się czasy i stosunki. W r. 1783. zdarzyła się ostatnia pielgrzymka trynitarska; w tym téż roku nastąpiło opanowanie Krymu przez Rosyą. Pod wojennym rządem nowych zdobywców przyszło Tatarom zapomnieć na zawsze o ponowieniu dawnych łupieży na ziemiach polskich. Prawie téż jednocześnie okazał się widoczny upadek potęgi ottomańskiéj i zamknęła się Turkom na wszystkie czasy droga przez Dniestr. W półszosta wieku po pierwszém pojawieniu się Mongołów u wschodnich granic Polski, w trzy wieki od pierwszych wypraw tureckich ku ziemiom naszym — ustała niewola pogańska dla Polaków.

Karol Szajnocha.
(Szkice historyczne.)

C.

I.

59. Wodospad w Tatrach.

Spuściwszy się z góry ku wodom Rostoka, mieliśmy drogę cokolwiek wygodniejszą, chociaż głazy i drzewa, postrącane od wichrów i deszczów, jako też głębokie łoża potoków, suche dzisiaj i zawalone niezmiernymi głazami, ale za pierwszą ulewą pełne i groźne jak potop, stawiały nam częste przeszkody. Zato kilkasetsążniowe ściany skaliste, liczne wody, snujące się przez całą ich wysokość, opoki, oblane wilgocią, błyszczące jak kryształ, i tysiąc innych obrazów co krok rozmaitych, porywających samą swoją dzikością i śladami zniszczenia, wynagradzały nam wszelkie trudy. Ujrzeliśmy nakoniec Siklawą wodę. Jest to wodospad, utworzony przez Rostok, zdumiewający swoją wysokością i gwałtownością.

Byliśmy od niego więcéj jeszcze, niż o godzinę drogi, a już nas głuchy jego szum doleciał i rwał oczy długi, kipiący bałwan, biały jak śnieg. Im więcéj zbliżaliśmy się, tém szybcéj chęci nasze leciały naprzód, ale nie nogi; bo przeprawa tém trudniejsza. Przeszliśmy po głazach huczącego i zapienionego Rostoku, aby odtąd iść prawym jego brzegiem. Przedarliśmy się przez gęstwy kosodrzewiny, odpoczywając po każdych kilkudziesięciu krokach, tak przykro wciąż droga szła pod górę. Już sądzimy być u kresu: — złudzenie! Do spodu Siklawéj wody niepodobna dostąpić, bo brzegi Rostoka utworzone tam ze szczerych, prostopadłych opok; musimy piąć się wyżéj. Krótka wprawdzie przeprawa, ale podobnie nużącéj nie mieliśmy dotąd, bo po uboczach to skalistych to omszonych, a zawsze mokrych i śliskich od wilgoci. Przebyliśmy wreszcie wszystko; dotarliśmy do skały, po któréj przewala się Siklawa woda. Zgrzani, wpółomdleni padliśmy na kamień, aby wypocząć.

O sto może kroków od nas przewalał się, grzmiał wodospad i rosił nas swoimi mgłami. Przekrojony od sterczącéj na wierzchu opoki, rzuca się on prostopadle dwoma pasmami kilkunastołokciowéj szerokości; jedno z nich w połowie spadu trafia na skałę wystającą, uderza w jéj wyżłobienie i, wytryskując z niego fontanną, z tymże pędem leci daléj; a rzut wody tak jest gwałtowny, że spadający z nią w to wyżłobienie kamień wylatuje z niego jak piłka na kilkanaście łokci w górę. Od spodu do wierzchu wodospadu można liczyć przynajmniéj 50 sążni. Lecąca woda, połamana, pokłębiona, wrąca, zdaje się być tylko pianą i brylantami. Rodzi się z niéj wieczny deszczyk i zlewa w pobliższe miejsca. W niektórych położeniach słońca zachwycający widok mają tu tworzyć liczne tęcze; nam, będącym około godziny drugiéj z południa, nie zdarzyło się coś podobnego widzieć. Dziwniejsze, wspanialsze jeszcze zjawisko ma wydawać zima. Niepodobna, jak mi mówili przewodnicy, wyobrazić sobie ogromu téj budowy, śmiałości tych kolumn i sklepień, piękności ozdób z lodu, pod tysiącznymi rozsianych kształtami.

Seweryn Goszczyński,
(Dziennik podróży do Tatr).

60. Lud galicyjski.

Lud galicyjski, polski i ruski, jest wogóle dobrze zbudowany i czerstwy, po największéj części dorodny i ujmujących rysów twarzy, a niespożytéj siły i wytrzymałości. Nie ma téż bynajmniéj tępego pojęcia; owszem, odznacza się często zdrowym, samorodnym rozumem i roztropną rozwagą. Jeżeli złe wpływy nie spaczyły jego charakteru, z natury więcéj dobrych, niż złych posiada skłonności; jest religijny, wierny, usłużny i gościnny; przywiązuje się szczerze do tych, którzy mu dobrze robią, umie być wdzięcznym, rzadko zaś okazuje się mściwym.

Cnoty te przyćmiewa jednak gnuśność, opieszałość, brak zamiłowania i wytrwałości w pracy, jakotéż brak oświaty. Skutkiem tych stron ujemnych jest, iż lud nasz pomimo korzystnych obecnie pod każdym innym względem warunków nie dorównywa porządkami gospodarskimi, zamożnością i oświatą ludowi wiejskiemu sąsiednich krajów zachodnich.

Pominąwszy nieliczne wyjątki, pracuje nasz wieśniak zwyczajnie tylko tyle, ile musi, aby zaspokoić najkonieczniejsze, a bardzo nieliczne potrzeby; mało dba o podniesienie i ulepszenie gospodarstwa, o porządniejsze, wygodniejsze i zdrowsze pomieszkanie, o uzbieranie sobie zapasowego grosza, a nawet o przysporzenie na nieprzewidziany wypadek zapasów w ziarnie. To téż gdy spodziewany zbiór którego roku chybi lub klęska elementarna okolicę nawiedzi, lud nasz staje się pastwą nędzy, chorób i głodu; a jeżeli nadzwyczajna nie poratuje go pomoc, popada w długi i często dochodzi do téj ostateczności, że zostaje wywłaszczony z gruntu i chaty.

Trzymając się z nieugiętą zatwardziałością starych zwyczajów i nawyczek, przeciwny jest wszelkim zmianom, czyto w trybie życia czy w prowadzeniu gospodarstwa, i najczęściéj z niedowierzaniem odrzuca najzbawienniejsze rady, dając się z drugiéj strony z dziecinną łatwowiernością wyzyskiwać szalbierzom.

Zachodzą jednak pewne różnice pomiędzy ludem polskim a ruskim w Galicyi. Kmieć polski jest powszechnie wzrostu miernego, krępy, a karku grubego i krótkiego. Zapala się szybko, ale téż szybko w zapale ostyga. Wesoły i lekkomyślny, grzeszy często brakiem wytrwałości i rozwagi, a nawet w najsmutniejszéj doli rozpędza troski skoczną piosenką. Od wieków w pomyślniejszém znajdując się położeniu, bliższy oświacie zachodniéj Europy, przyszedł kmieć polski wcześniéj do poczucia godności swojéj, stał się przystępniejszym postępowi, ruchliwszym i zapobiegliwszym.

Kmieć ruski przeciwnie jest zwyczajnie wyższy, smuklejszy, a szczupły. Z natury powolniejszy i łagodniejszy, odznacza się większą rozwagą w działaniu, większą wytrwałością i nawet w najtrudniejszém położeniu zachowuje chłodny spokój. Pomimo wrodzonéj dobroduszności, a nawet serdeczności, staje się zapamiętałym, jeżeli go kto rozdraźni. Smutne dzieje przeszłości nacechowały lud ruski pewną rzewnością i smutną zadumą, która przelała się i w pieśni jego; zrobiły go ociężałym, niedbałym o jutro, zamkniętym w sobie, podejrzliwym i zabobonnym; przytępiły w nim nawet poczucie własnéj niedoli i możność polepszenia swego bytu pracą i zapobiegliwością, a natomiast wszczepiły weń zgubną wiarę w nieuni-

knione przeznaczenie. Stąd pozostał kmieć ruski pod wielu względami wtyle za kmieciem polskim, pomimo że nie posiada z natury mniéj od tamtego zdolności i w jednakowych z nim od lat już wielu znajduje się warunkach.

Wedł. *Łucyana Tatomira.*

---

61. O Hucułach i Bojkach.

I.

W Beskidzie wysokim, pomiędzy Łomnicą a Czeremoszami i Prutem, osiadł ród Hucułów. Punktem środkowym ich osad jest Mikuliczyn, wieś w powiecie nadwórniańskim. Bory, okrywające obszar stoków górskich pomiędzy Bystrzycą sołotwińską a Oporem, dzielą Hucułów od Bojków, którzy znów zamieszkali część Beskidu od źródłowisk Dniestru aż po Świcę.

Hucuł różni się od Bojka tak zewnętrzymi rysami, jak i usposobieniem. Pierwszy jest pospolicie wzrostu słusznego, ma cerę smagłą, oczy i włos czarny, nos orli; nosi długie włosy i wąsy zakręcone. Bojko jest wzrostu miernego, chociaż zwyczajnie smukły, cery bielszéj, oczu najczęściéj siwych, włosów rudawych, które zwyczajnie podgala; wąsów albo wcale nie zapuszcza albo je postrzyga.

Od skromnego ubioru Bojka odbija wykwitniejszy, a u bogatych nawet wytworny strój Huculа. Ubiór świąteczny Hucuła jest kusy, wolny, nie opięty. Wierzchnią suknię świąteczną stanowi serdak z grubego sukna, koloru ciemnoczerwonego. Pod serdak wdziewa Hucuł kożuszek bez rękawów, t. z. „kieptar“, dokoła obszyty drobnym czarnym barankiem, a na zewnątrz ozdobiony wyszywaniami z włóczki i ozdobami z czerwonego safianu. Spodnie nosi zwykle szerokie, koloru również czerwonego; są one u dołu albo wciśnięte w buty wysokie albo włożone w postoły, t. j. chodaki czyli opinki, ze skóry wołowéj niewyprawionéj, na brunatno zafarbowanéj; powyżéj kostek zaś są albo obciśnione wąskimi rzemykami z białéj skóry albo białym sznurkiem rzemiennym. Nosząc postoły, obwija Hucuł nogę w „kapciory“, t. j. szkarpetkę wełnianą, zabarwioną również pąsowo. Pod kieptarem koszula świąteczna z cienkiego płótna domowéj roboty spada prawie po kolana; na dole jest trochę dziergana. Męska koszula nie ma rękawów wyszywanych, a jest zwykle na piersiach otwartą i tylko pod szyją lekko sznurkiem spięta.

Na głowie nosi Hucuł „kresanię“, t. j. okrągły kapelusz, ozdobiony galonem z cienkiéj blachy, używanym wyłącznie przy kapeluszach. Kapelusz nosi tylko letnią porą, w zimie zaś używa czapki baraniéj kształtu okrągłego. Każdy Hucuł opięty jest pasem rzemiennym, szerokim, o trzech lub czterech sprzążkach.

Hucułki noszą w święto, podobnie jak męszczyźni, serdaczek pąsowy, kożuszek bez rękawów, ale wyszywany bardziéj jaskrawo.

Stroją one przedewszystkiém głowy, splatając włosy w rozmaity sposób; noszą naczółki, kólczyki, naszyjniki z łańcuszków metalowych z krzyżami i metalami, tudzież z paciorek różnokolorowych, wreszcie pierścienie, przepaski i. t. p.

Dziewczęta noszą na szyi i piersiach paciorki, krzyże, również naszyjniki z łańcuszków, na których zawieszają wiele krzyżyków, często monety srebrne, tudzież medale srebrne, mosiężne, nawet i cynowe. W uszach noszą kólczyki, a od święta bogate naczółki z blachy mosiężnéj. Używane są również naszyjniki z paciorek szklanych lub bursztynowych z krzyżykami. Prócz tego widać jeszcze kilka sznurków paciorek szklanych, najczęściéj weneckich; bezpośrednio zaś na szyi znajduje się przepaska, „gierdan“, z drobnych kolorowych paciorek szklanych, we wzory na włosieni pleciona i na czerwoną harasówkę naszyta. Naszyjniki i paciorki spięte są zwykle klamrami mosiężnymi.

Ubiór Bojków jest o wiele prościejszy i uboższy, a tak, jak u wszystkich górali, krótki i obcisły. Na koszulę wdziewa Bojko hunię z bitego sukna własnego wyrobu, a zimową porą kożuch, na głowę zaś czapkę z podwijanymi klapami na uszy. Spodnie miewa obcisłe, a na nogach miękkie chodaki. Góralki, zamiast spodnic, używają także szerokich zapasek wełnianych o jaskrawych pasach, którymi się dokoła obwijają. Dla braku dróg wozowych jeżdżą często, jak męszczyźni, konno i nawykają do palenia tytoniu w krótkich fajeczkach. Wielu Bojków zajmuje się handlem i rozchodzi się daleko po kraju. Główną ich siedzibą są wielkie dwie osady w Stryjskiém: Synowódzko wyżne i niżne.

II.

Wsi huculskie, powszechnie bardzo rozległe, ciągną się w długich a wąskich dolinach popod ściany gór lub na mniéj

stromych ich pochyłościach. We wsiach Bojków chaty są rozrzucone najczęściéj gromadkami i stoją dosyć blisko jedna drugiéj; przeciwnie u Huculów chaty są zawsze od siebie oddalone, zwykle sadami, łąkami, a czasem nawet lasem porozdzielane. W środku lub na jednym końcu wsi wznosi się, zazwyczaj na wynioślejszém miejscu, drewniana cerkiew o trzech, a czasem pięciu kopułach, otoczona dokoła poddaszem, wspartém na słupach drewnianych, łukami z sobą połączonych. Obok cerkwi stoi osobna dzwonnica. w któréj zwykle bywa pięć dzwonów, chociażby małych.

Chaty huculskie mają pospolicie po dwa okna małe, zwrócone na wschód, czasem opatrzone kratami, i po dwie izby, świetlicę i piekarnię z komorą, przedzielone sienią. Drzwi zamykają się na klamki i zamki żelazne; wejście główne zasuwa się nadto jeszcze czworograniastym drążkiem. Przed oknami jest ganek niski, który najczęściéj złączony jest z komorą, będącą składem wszelkiego rodzaju zapasów i narzędzi. Podwórze dzieli chatę mieszkalną od szopy dla bydła, gdyż stodoły, wozu ani pługa nie ujrzysz w obejściu huculskiém. — Bojko, mimo nieurodzajnéj gleby swojéj, sięga pługiem i rydlem wszędy, gdzie tylko kawał ziemi z pod lasu wydostać może, nie daje się zrazić żadnymi zawodami i zasiewa swe pólko owsem, lnem lub żytem; — przeciwnie Hucuł nie ma zmysłu do rolnictwa i uprawia ziemię tylko sposobem ogrodowym. Natomiast hoduje Hucuł z zamiłowaniem pasieki i pielęgnuje sady, w których znajdziesz nawet szlachetniejsze owoce, jakich znowu napróżno szukałbyś u Bojków. Bojko chowa zwykle tylko bydło rogate, Hucuł zaś nadewszystko przekłada konie. Koń jest nieodstępnym towarzyszem Hucuła; konno jeżdżą także kobiety huculskie. Hucułki siedzą z taką pewnością na koniu, że jazda nie przeszkadza im prząść kądzieli z wełną, którą na koniu mają za pasem. Głównem jednak źródłem dochodu Huculów są owce i bydło, a głównem zajęciem pasterstwo na połoninach. To też jak góral tatrzański, tak i Hucuł wyglada z tęsknotą pory wypasów i obchodzi uroczyście dzień, w którym trzody swe na połoniny wypędza, zabawiając się muzyką i tańcami.

W życiu twardém a swobodném na łonie natury wyrobił sobie Hucuł niespożytą siłę, nabył zdumiewajacéj bystrości wzroku i śmiałości, lekceważącéj największe niebezpieczeństwa. Po zgiętéj roślince, po trawie, zdeptanéj racicą,

wyśledza on owcę, która się oddaliła od stada. Toporkiem rzuca z niesłychaną siłą i zręcznością i nigdy nie chybia celu. Sternik z niego zawołany, myśliwy doskonały. Gdy mu przepaść zagrodzi drogę, zmierzy jednym rzutem oka jéj szerokość, a potém przesadza ją zuchwałym skokiem.

Ale pasterstwo niezawsze wystarcza na opędzenie koniecznych potrzeb życia, chociaż bywają gospodarze, którzy po 200 sztuk owiec i po 50 sztuk bydła miewają. Gdy kartofle zawiodą, grad wytłucze ogrodowizny i Hucuł chleba, t. j. kukurudzy, za gotowy pieniądz kupić musi: następuje nędza i ludzie zaspakajają głód młodymi liśćmi bukowymi, chlebem, wypiekanym z brukwi, kapusty i otręb. — Bojko w niedostatku rozwija nadzwyczajną czynność handlową, rzuca się na różne przedsiębiorstwa, kupczy śliwkami węgierskimi, orzechami włoskimi, bryndzą i winogronami, przebywa ogromne przestrzenie kraju, utrzymuje bezustanny związek pomiędzy Węgrami a Galicyą; — Hucuł pomaga sobie przemysłem, a mianowicie: sporządzaniem wyrobów wełnianych i metalowych, bryndzy, toczonych misek, z którymi podróżuje konno tylko do miast bliższych: Kosowa, Delatyna, Kut lub najdaléj do Kołomyi, Zaleszczyk i Horodenki. Ostatnia dopiero nędza, która niestety często nawiedza jego chatę, wygania go w dalsze okolice za zarobkiem.

Wedł. *Ł. Tatomira.*

---

62. Wieś w Krakowskiém.

Wsi Krakowiaków nie są zazwyczaj zbyt rozległe i ludne, ale zato leżą gęsto jedna obok drugiéj. Pośród bujnéj zieleni topoli, dębów, wiązów, brzóz i drzew owocowych, wyglądają one z daleka jakoby gaje, ponad ktorymi połyskują tylko wieżyczki kościołów z krzyżami.

Boża męka (krzyż) lub inna święta figura stoi najczęściéj u wstępu do wsi, których chaty dosyć gęsto skupione, zwrócone są zwykle frontem ku południowi, garnąc się ze spadzistych stoków wzgórz, gdzieniegdzie najeżonych skałami, jużto do brzegu strumyka i rzeki, jużteż do drogi, wijącéj się przez środek po kamieniach i mostkach, a obfitującéj zwykle w błotne kałuże. Często środkiem wsi ciągnie się obok drogi wielki,

pusty grunt, pastwisko gęsi i nierogacizny, a od niego rozchodzą się drogi, przeznaczone dla wygonu bydła.

Kościoły czasem bardzo stare, murowane albo modrzewiowe, plebanie i dwory wznoszą się zazwyczaj po wzgórkach, ocienione lipami. Przy karczmie widać studnię z żórawiem i żłób do pojenia bydła. Niedaleko karczmy bywa też zwyczajnie kuźnia z szerokim okapem, wspartym na kilku słupach murowanych. Obejścia ogradzają płoty z wierzbiny, wikliny i ciernia na wzniesionym przykopie. Wrótka, przeplecione chróstem, otwierają wstęp na podwórko, a wykładany kamieniami chodnik prowadzi od nich do chaty, w któréj zwyczajnie pod jedną strzechą mieści się gospodarz z całym swoim dobytkiem, mając tylko stodółkę osobno pobudowaną. Chaty budowane są z drzewa, na podmurowaniu kamiennem, a kryte słomą. Nad każdą wznosi się komin, a szpary pomiędzy belkami wylepione są gliną.

Sień rozdziela na przełaj całą chatę. Z jednéj, zwykle prawéj, strony wchodzi się zwykle do izby mieszkalnéj, zwanéj piekarnią, za którą u bogatych kmieci bywa jeszcze porządna i widna świetlica. Po przeciwnéj stronie sieni jest komora, w któréj zsypują lepsze ziarno w sąsieki, wieszają połcie słoniny na żerdziach i chowają inne zapasy żywności w beczkach i faskach. Do komory przypiera od pola stajnia na bydło i konie. Czworograniasta stodółka, chlewek, piwniczka na przechowanie ziemniaków, buda na psa, przed oknami ogródek kwiatowy, z boku sadek, w którym zwyczajnie rosną tylko śliwy i jabłonie, a rzadko grusze i wiśnie, za stajnią okopana gnojówka, zwana oborą, i śmiecisko, w którém grzebie drób — oto całe obejście tamtejszych wieśniaków.

Ubożsi stawiają sobie oczywiście mniéj przestronne a porządne chałupy, bogatsi miewają zato po dwie izby, letnią i zimową, i murują chałupy z cegły, którą sami wypalają.

Wedł. *Ł. Tatomira.*

---

63. Mazury.

Za dawnych czasów spierano się nieraz, która prowincya stanowi najlepszą część Rzeczypospolitéj Polskiéj, a każdy za najlepszą uznawał tę, w któréj się urodził lub w któréj zamieszkał. Były to spory niewinne i nigdy nie rozstrzygnione, boć oczywista rzecz, że wszystkie prowincye były zarówno

dobre. Jednakże ze wszystkich plemion, składających Polskę, najwięcéj zawsze słynęli Mazurzy, którzy zamieszkiwali szeroki pas ziemi, od ich imienia nazwany Mazowszem.

Cenieni byli zawsze w Polsce jako ludzie pracowici, zapobiegliwi, a w służbie wojskowéj nieporównani żołnierze. Jak jednak dawniéj wysoko ceniono charakter Mazurów, najlepiéj pokazuje przysłowie polskie, wyliczające cztery rzeczy najlepsze na świecie: Czapka magierka, szabla węgierka, koń turek, chłop mazurek. Nazywano ich jeszcze prawowiernymi Mazurami, gdyż byli do wiary katolickiéj dawniéj tak, jak i teraz, żarliwie przywiązani. Mówiono téż jeszcze o Mazurach, zwłaszcza tych, co w dawnéj ziemi Wyszogrodzkiéj mieszkali: ślepy Mazur, a ten przydomek powstał im stąd, że w bitwie zacięcie walczyli, choćby przeciw nie wiem jak licznemu nieprzyjacielowi. Dla téjto ich odwagi wielkiéj było od dawnych czasów najwięcéj w całéj Polsce szlachty mazurskiego pochodzenia; bo wiele ludu, z téj prowincyi pochodzącego, obdarzono tym przywilejem i ponadawano mu ziemi po różnych stronach kraju.

Na Mazowszu nie było nigdy wielkich magnackich majątków; miał kto dwie wioski albo jednę, to już był i bogatym. Po największéj jednak części wioski były dawniéj porozdzielane na części i cząstki. Tu sobie mieszkała drobna szlachta, tu znowu kmiecie; albo téż razem w jednéj wiosce i jedni i drudzy obok siebie żyli: bo to różnie bywało, jak Bóg dał. A że gruntu nie mieli wiele, więc rozchodzili się Mazurzy po świecie za szczęściem i osiadali po różnych stronach Polski, gdzie często nadawano im jeszcze ziemie obszerne za zasługi na wojnie. Stądto spotykamy Mazurów i na Podlasiu i na Litwie i na Ukrainie i w Kurlandyi i w wielu jeszcze innych miejscach, gdzie zamieszkiwali jużto pojedyńczo jużto całymi osadami, jak n. p. na Litwie. Byli téż między nimi i tacy, co nawet w daleki świat, aż za morze, wędrowali, gdzie niejeden z nich odznaczył się późniéj znakomitymi czynami.

Żadne może plemię polskie nie było tak związkami familijnymi połączone ze sobą, jak Mazurzy. Drobna bowiem szlachta, spokrewniona z bogatszymi, wchodziła znowu w związki z kmieciami, tak, że dziś wszyscy tu są spokrewnieni i wszyscy swojacy.

Mazurzy nie ustępują nikomu i w niczém. Lud to wesoły, hoży, odważny i bitny. Dawniéj na odpusty i jarmarki każdy strzelbę ze sobą nosił, skąd wiele zdarzało się kalectw i zabójstw. Teraz strzelby już się nie nosi, ale często przy zwadzie koły z płota w wielkiém są użyciu. Zresztą jest to lud pod każdym względem wyborny, zdatny do wszelakiéj roboty i ochoczy do niéj. Umie się téż i wesoło zabawić i lubi śpiewać, tak przy pracy, jak i przy odpoczynku. Więcéj ma tańców swoich własnych, niż wszelkie inne polskie plemię. Ma bowiem aż dwa tańce narodowe: mazura i obertasa. Mazur, owa świetna melodya, co to kiedy ją usłyszysz, to aż krew jakoś raźniéj płynie ci w żyłach, jest huczny i wesoły, ale ma w sobie jakąś odrobinę i smutku, niby przypomnienie czegoś. Jako taniec jest mazur nieporównanego wdzięku marszem, niby pochód wspaniały, trochę wojenny albo tryumfalny. Patrzmy: oto ruszyły już pary mazura. Jak zgodnie mknie długi ich szereg, para tuż za parą! Wszyscy tak robią, jak przodkujący prowadzi. Stanęli i przytupnęli, jakby im coś na przeszkodzie stanęło; więc razem się biorą do dzieła i już znowu naprzód biegną. O! w tym mazurze jest cała przeszłość wyrażona!

Z czasem z Mazura, niby z idei prowincyonalnéj, wyrobiono inną, która już dla całego kraju służy i nosi nazwę poloneza (Polonusa); ten, z melodyi podobny do mazura, okazuje jeszcze większe do niego podobieństwo w akcyi czyli w wykonaniu całego tańca. To już nie pochód młodości, to marsz ludzi dojrzałych, pełen powagi i taktu.

Obertas wreszcie, przeciwny niemieckiemu walcowi, tak czczemu w myśl, a zawsze kołującemu w jedném miejscu, aż do znudzenia, tańczy się u nas na lewo, a więc w przeciwną stronę, niż walce, a z wielką zawsze zręcznością i życiem.

Ale Mazurzy dali całéj Polsce nie tylko tańce tak piękne; obdarzyli ją jeszcze wybornym gatunkiém placków, które się od ich imienia mazurkami zowią.

Ubiór włościan mazurskich składa się z siwo-białéj kapoty sukiennéj, która u bogatszych jest koloru granatowego, a w każdym razie ma pętle czyli szamerowanie na piersiach, co nawet i przy ubiorze wszelkiego ludu polskiego zawsze jest używane. Sukmana takowa jest przepasana czerwonym włóczkowym pasem, co przy kolorze granatowym wcale pięknie odbija. Przytém noszą buty długie, co jest również

wszędzie w Polsce ulubionym zwyczajem, a czapka Mazura, wielka i wysoka, z siwego baranka, z dnem aksamitném i z kokardami ze wstążek z boku, kończy ubranie. Kobiety na Mazowszu ubierają się pięknie, a nawet porządniéj, niż w innych stronach kraju. Noszą granatowy kaftanik z guziczkami, spodnicę różnowzorzystą i fartuch. Na głowie noszą niby zawój, z chustki zrobiony, pod który mężatki kładą jeszcze czepek. Do ubioru należy jeszcze noszenie na szyi paciorków wielkich z bursztynu.

Pięknie i o ziemi i o ludzie mazurskim śpiewa Win. Pol w „Pieśniach Janusza“.

Piękna nasza Polska cała,
Piękna, żyzna i niemała!
Wiele krain, wiele ludów,
Wiele stolic, wiele cudów;
Lecz najmilsze i najzdrowsze
Przecież człeku jest Mazowsze!

Bo gdzież takie cudne stroje
I śpiewanki i dziewoje?
Kto w podkówki tak wykrzesze?
Komu miłe tak pielesze,
Jak ojczyste Mazurowi?
Niechaj cała Polska powie!

Mówią, że tam na Podolu
Rośnie żyto bez kąkolu;
Ale u nas dary Boże
Płyną Wisłą aż za morze,
Przyśpiewują jéj flisaki,
A grosz człek ma jaki taki.

Poza Niemnem puszcza sroga
A na Rusi błotna droga,
Góral zbytnie podkasały,
A Odraki lud zniemczały;
A więc nasza — nasza góra,
Nie masz w świecie nad Mazura!

Zygm. Gloger.

64. Wieś poleska.

Jeśli jaki kraj cichy, jeśli jaki spokojny, to Polesie. Kiedy przez którą wieś gościniec pocztowy nie idzie albo trakt kupiecki, to prócz pospolitego odgłosu wsi, który jest jakby jéj

oddechem, nic nie słychać obcego, nic nie widać cudzego. — Wszystkie świty jednakowo siwe, wszystkie chustki jednakowo białe i sosny jednakowo zielone i chaty jednakowo niskie i nieforemne i tensam zawsze dym czarny ponad ich dymnikami się wzbija.

Spojrzyj na to jeziorko, co ciche i spokojne położyło się u stóp wzgórza, zajętego przez dwór pański; jest to jedna z najpiękniejszych wiosek wołyńskiego Polesia. Gdy zjedziesz z pagórka, po którym droga się wije, widzisz przed sobą wieś, rozsypaną nad brzegiem jeziora; za niém dwór bieleje, a po drugiéj stronie trzykopulna cerkiew stara, na wzgórku stojąc, pogląda na okolicę. Droga idzie spadzisto ponad jeziorkiem aż do karczmy, która wieś rozpoczyna. W oddaleniu naokoło jednaki las sosnowy, mniéj więcéj zniszczony, niższy lub wyższy, ogradzający każdy widok na Polesiu; daléj piasek, błoto kępiaste, przez które sączy się rzeczułka, okryta trzcinami; a nad tém wszystkiém niebo pochmurne. Przez wieś ciągnie się błotnista ulica, gdzieniegdzie przedzielona dróżką od chaty do chłopskiego gumna, paździerzem lub wiorami i trzaskami wysłaną. Otaczają ulicę naprzemian chaty, chlewy i gumna, całe i pozawalane, zwieszone, w węgłach rozparte, z słupami pochylonymi, z dachami zapadłymi, lub zaczynające się dopiero klecić; między nimi kawałki tynu (płotu z dębowych szczepów) i starego ogrodzenia z kołków i chróstu. Tu i ówdzie z zagrody blada jarzębina wychyla się na ulicę, stara grusza wygląda lub długi żóraw od studni kołysze się powolnie nad głową przechodnia.

Z przodu chat niskich, pokrytych czarnymi już od dymu dranicami, widzisz tylko niewygodną przyzbę, składającą się często z położonéj pod ścianą kłody; niskie drzwi od dziedzińca zniżone jeszcze wysokim progiem, nie dopuszczającym wejścia do sieni blisko stojącéj kałuży; małe okienka złożone z umyślnych szyb okrągłych, zielonych, do dna butelek podobnych. Rzadko nieforemne szybki bielsze, z cienkiego szkła pospolitego, kupione z gotowém oknem na jarmarku, zastępują pospolite o szybach krągłych okna. Nad okopconym dachem wysokim wznosi się dymnik drewniany, czarny od dymu, w kształcie trąby lub czworograniastego słupa. W zimie, a często i w innych porach roku niedość dymnika na wypuszczenie dymu, zebranego pod dachem chaty; ciśnie on się wszystkimi szczelinami, oknami, drzwiami, ścianami i dachem tak, że się

zdaje, jakby chata wewnątrz płonęła i za chwilę płomień się miał ukazać. W takiéjto atmosferze smolnego, gęstego dymu sosnowych drewek, pary, swądu żyje Poleszuk zwyczajnie.

Środek chaty tegosamego ubóstwa czy niedbalstwa dowodzi. Sień błotnista, po któréj świnie się przechadzają, zarzucona zwyczajnie grabiami, przygotowaném na zimę łuczywem, drwami olchowymi, drabinami i ułamkami soch i bron popsutych. Z niéj wejście do jedynéj izby, z piecem i ławami naokoło, ciemnéj, małéj, dymnéj, bez podłogi. W środku stół jeden, w rogu izby dzieża, czasem jeszcze kołyska dziecięcia i krosna tkackie. Nic zbytkownego, nic nad najpierwsze potrzeby życia; żadnéj pamiątki, żadnego droższego sercu przedmiotu nie znajdziesz. Jest to jeszcze stan wpółdzikiego ludu, nie myślącego o niczém nad zaspokojenie swych potrzeb zwierzęcych. Zaledwie dziecinne młynki na rowach i ogródki przed chatami, w których złoci się nogietek, kwitnie czasem malwa i mak czerwony jaśnieje, dowodzą, że i tu dzieciom wolno się czasem pobawić. Niedługo jednak i dziecię, zaczynając od pastuszkowania, rzuca już swoje zabawki na zawsze; dziewczyna, poszedłszy za mąż, nie sadzi kwiatków, nie stroi się w kwiatki.

O ileż lżéj i swobodniéj nad jeziorkiem, niż w téj chacie smutnéj i brudnéj! Na wzgórzu masz dom dziedzica, który wiankiem otoczyły topole, przeglądające się w wodzie; ostawiony śpichlerzami, gumnami, stertami i stogami siana. Wśród drzew widać tam i gołębnik i żóraw studni i próżnujący wiatrak na pagórku, któremu wiatr lasy kradną; odpoczywa też większą część roku. Daléj na drugim wyniosłym brzegu jeziora cerkiew mała, czarna, stara: krzyż koło niéj i dzwonnica; milcząca cerkiew, któréj jeszcze życie wraca, kiedy się pieśnią jéj ściany rozlegą, dzwony uderzą, lud ją przepełni. Od niedzieli do niedzieli milcząca, głucha, patrzy na wioskę, jak staruszka na dzieci, co się grzebią w piasku. W oddaleniu na żółtém polu, wśród zagonów chłopskich jest cmentarz wiejski, pogarbiony mogiłami, nad którymi stoją czarne krzyże, podwójne, potrójne, od drobnych, które nastąpisz nogą, do wysokich jak sosny, proste i malowane, z męką i bez męki.

Teraz pytaj, jak ci ludzie żyją, którzy w tych chatach mieszkają, w téj cerkwi się modlą, na tym leżą cmentarzu.

Pięknie na to pytanie odpowiada Władysław Syrokomla:

Tu, zasłonięci lasem i oblani wodą,
Z pokoleń w pokolenia ludzie wiek swój wiodą.
Żaden nowy obyczaj, żaden wymysł świeży
Nie przemienił ich mowy i kształtów odzieży;
Żaden nowy duch wieku nie przyłożył ręki,
By zmienić bicie serca albo takt piosenki.
Jak przed wieki nosiły słowiańskie narody,
Takie noszą sukmany, takiesame brody,
Takiesame siekiery, którymi dąb walą;
Takiesame ich cerkwie, w których Boga chwalą;
Taksamo ich posila miód, jagła i ryba:
Nic tutaj nie przybyło — trochę nędzy chyba!

Wedł. *J. I. Kraszewskiego.*

---

65. Lodowce i lawiny w Alpach.

Na wysokich Alpach nie pada śnieg prawie nigdy w płatkach, lecz zawsze w cieniutkich, zaledwie widzialnych igiełkach, a w czasie odwilży prószy pył śniegowy, podobny do mgły na dołach. Śnieg ten nie roztapia się już tutaj nigdy zupełnie, ale pod wpływem odmiennéj temperatury w dzień i w nocy, szczególnie w miesiącach letnich, przeistacza się w drobne ziarnka, które nie dają się zbić w bryłę i, ujęte w rękę, rozsypują się jak gruby piasek. Takito suchy, ziarnisty, sypki śnieg tworzy pola śniegowe najwyższych szczytów Alp. Ziarnka te śnieżne usuwają się własną ciężkością z wyższych stoków na niższe, gdzie promienie słońca silniéj działają. Tu obtapiają się wprawdzie więcéj w dni ciepłe, ale mrozy nocne ścinają je znowu, otaczają grubszą powłoką lodu i spajają w większe bryłki, wielkości śrótu, orzecha, jaja. Spadając coraz niżéj i ulegając coraz większym zmianom temperatury, rosną one ciągle, twardnieją, lodowacieją, stają się coraz trudniejsze do zupełnego stopienia, tracą białość śniegu, a przybierają niebieskawą barwę lodu, aż wkońcu urastają w ogromne bryły, złożone z warstw czystego lodu i na pół zlodowaciałego śniegu. Bryły te zawalają swém brzemieniem przepaściste doliny pomiędzy szczytami i zbijają się w lodowce, zesuwające się wydłużonymi smugami przez wąwozy i parowy aż w dzielnicę hal i lasów. Taki jest sposób tworzenia się lodowców.

Z właściwym sobie przygłuszonym hukiem w gorące dni letnie pęka skorupa lodowców i tworzą się w niéj szczeliny,

które z czasem rozszerzają się do 20 *m* i 40 *m* głębokości, a do 30 *m* szerokości. W te przepaści, których ściany mienią się w różne odcienie najczystszego lazuru, spadają zwyczajnie w kaskadach wody stopionych śniegów, a czasem łączą przeciwne ich brzegi łuki lodowe, ułatwiające niebezpieczną przez nie przeprawę.

U końca każdego lodowca otwierają się szerokie, czasem 15 *m* do 30 *m* czeluści, zwane wrotami lub bramami lodowcowymi, a dozwalające nie tylko zajrzéć, lecz owszem nawet zapuszczać się głęboko w ich tajemnicze wnętrze. Jeden z badaczów przyrody tego alpejskiego świata śniegów i lodów dotarł ćwierć mili we wnętrze lodowca, idąc chodnikami, których zwierciadlane, lazurowe sklepienia wspierały się na takichże kolumnach. Pewien berneński góral, wpadłszy przypadkiem w głęboką szczelinę lodowca, wędrował trzy mile podlodnymi kanałami, nim się nakoniec wydobył na światło dzienne, z życiem wprawdzie, ale z połamanymi rękami. Mniéj szczęśliwie powiodło się pewnemu Tyrolczykowi, który wpadł w lejek lodowca, gdyż dopiero po 14 latach wyrzuciła jego skielet paszcza lodowca.

Zdaleka widziane lodowce mają barwę niebieską lub zielonawą, nigdy białą. Jaśniejsze, lazurowe, połyskujące szczeliny i lejki i ciemniejsze iglice i bloki wywołują grę kolorów, odbijającą cudnie od czarnych skał i martwych, białych pól śniegowych. Gdy promienie słońca nad zachodem, przebijając się przez napełnione wilgocią powietrze, padają na szczyty Alp, nawodzą się ich pola śniegowe i lodowce światłem promienistém, złocistoróżowém, któreto zjawisko, jedno z najwspanialszych w przyrodzie alpejskiéj, nazywają płonieniem Alp.

Gdy się jest na lodowcu, doznaje się wrażenia grobowego spokoju. A jednakże liczne doświadczenia przekonywują, że lodowce alpejskie nie stoją, nie są bez ruchu, lecz przeciwnie płyną nieustannie jak rzeki, posuwają się naprzód i naprzemian to rosną to maleją.

Zdarza się często, że lodowiec, przekraczając zwyczajne granice swoje, ryjąc przed sobą ziemię, usypując wysokie wały gruzu i niszcząc wszystko, co mu staje w drodze, podsuwa się aż pod progi mieszkań górali alpejskich, głęboko w doliny, i sprowadza wśród lata na kwitnące łąki i pola zawieje zimowe. Górale powiadają wtedy, że lodowiec rośnie.

Zesunąwszy się tak nisko w strefę ciepłą, nie może on się oczywiście oprzéć działaniu promieni słonecznych, topi się i spływa strumieniami białawéj, jakby z mlekiem zmieszanéj wody. Ale ile go tu w dole ubywa, tyle dorabiają ciągle w górze śniegi i mrozy i nieproszony ten i niepożądany gość wędruje powoli, nieznacznie coraz niżéj. Bywają nieraz wypadki, że zagrożony rosnącym lodowcem góral musi opuścić swoję zagrodę i oddać mu ją na pastwę; że obrywając owoce z drzew swego sadu, staje na lodowcu, aby wyżéj dosięgnąć. Ale téż zdarza się często, że kiedy stroskany właściciel oczekuje już tylko chwili, w któréj ten straszny przybysz zmiecie jego zagrodę, lodowiec nagle wstrzymuje się w swoim niszczącym pochodzi, staje, owszem nawet cofa się wstecz. Pamiątką po jego pochodzie pozostaje przez długi czas w miejscu pól i ogrodów straszna pustynia, zryta ziemia i zniesione na jego grzbiecie aż kędyś ze skalnych szczytów smugi gruzów i głazy.

Ale więcéj nierównie szkody zrządzają mieszkańcom dolin alpejskich lawiny, których ojczyzną jest także kraina wysokich Alp.

Lawiny są dwojakie: śniegowe i lodowe. Pierwsze powstają, gdy po świeżo spadłym śniegu nastąpi nagła odwilż, a więc najczęściéj na wiosnę. Drugie strącają nagłe pękania i zsuwania się lodowców. Górale alpejscy, zżyci z przyrodą swych gór, znają miejsca, z których najczęściéj zrywają się lawiny, i przewidują naprzód grożące niebezpieczeństwo. Z miejsc takich wynoszą się ludzie, jak mogą, najdaléj; wiodące w pobliżu nich drogi i ścieżki prowadzą popod zwisającymi skałami albo nawet kutymi umyślnie galeryami; zmuszeni przechodzić przez nie, strzegą się, żeby najmniejszéj bryłki lodu lub śniegu nie strącić, żeby nawet powietrza niczém nie wstrząsnąć silniéj, gdyż czasem jeden wystrzał wystarcza, aby się zerwały ze szczytu przygotowane już do spadnięcia lawiny.

Ale pomimo tych wszystkich środków ostrożności, zrządzają lawiny w dolinach alpejskich ogromne spustoszenia. Spadająca lawina, tocząc się przez pola śniegowe, rośnie, porywa ze sobą wszystko, co spotka po drodze, przyśpiesza ciągle swój pęd, aż w końcu z ogłuszającym grzmotem spada jak piorun w dolinę, gdzie zasypuje czasem całe wsi. Poprzedza ją wściekły, jéj szalonym pędem wywołany, wicher,

który toruje jéj drogę, unosi jak źdźbła trawy całe szałasy i chaty, ścieli pomostem pod jéj stopy całe szmaty borów.

A jednakże groźna ta ojczyzna lodowców i lawin, zsyłająca takie straszne spustoszenia w doliny alpejskie, nie jest bynajmniéj bezużytecznym, a tém mniéj wyłącznie szkodliwym czynnikiem w wielkiém gospodarstwie przyrody. Każdy lodowiec jest źródłem jakiéjś rzeki; owe wrota lodowców i odpływające z nich mleczne potoki, to rodziciele Renu i Rodanu i górnych źródłowych dopływów Padu i Dunaju. Gdyby nie było lodowców alpejskich, nie byłoby ani Renu ani Rodanu ani Dunaju ani Padu, a kwitnące doliny alpejskie i pod Alpami byłyby bezwodną pustynią. Tak, choć sama martwa, rozlewa kraina lodowców wysokich Alp życie dokoła.

Ale nawet i ona sama nie jest zupełnie pozbawioną życia. Gdzie tylko na stromym stoku śnieg utrzymać się nie może i odkryje spłacheć wilgotnéj ziemi, zaruniają ją zielenice i mchy, z pomiędzy których podnoszą gdzieniegdzie skromne główki nawet rośliny jawnokwiatowe. Małe te oazy zielone, rozrzucone po pustyni lodów i skał, nazywają górale alpejscy ogródkami lodowcowymi. Życie zwierzęce także tu nie zaumiera jeszcze ze szczętem. Pardwy halne i wrony śnieżne zalatują aż na najwyższe szczyty téj krainy. Nad onymi ogródkami polatują tu i ówdzie motyle, z górnych hal zachodzi na nie często zuchwała kozica. Po omszonych kamieniach biega długonogi pająk korsarz, polując na drobne muszki i chrząszczyki.

Człowiek rzadko tylko dociera do krainy wysokich Alp, gdyż leży ona już zupełnie poza obrębem jego materyalnych potrzeb. Zapędza się tam chyba zapalony myśliwy, ścigając kozicę, albo chciwy niezwykłych wrażeń turysta albo nakoniec gnany żądzą nauki badacz przyrody. Bo téż to rzecz niełatwa zmierzyć się oko w oko z tą przyrodą, pełną grozy! Do szałasów na halach może się jeszcze podróżnik dostać na koniu góralskim lub na mule, wprawionym do drapania się po górach, którego ostrożności i pewności kroku powierzyć się może bezpiecznie. Ale daléj musi już iść pieszo z długim kijem, okutym ostrém żelazem, w ciżmach, podkutych ostrymi gwoździami, aby mu się gdzie noga nie pośliznęła; musi sobie nieraz siekierą torować drogę przez zawały lodów, wdrapywać się po drabinach na prostopadłe ściany skał, spuszczać się na linwach w parowy, przechodzić brzegami bezdennych

przepaści, gdzie jeden krok chybiony może przepłacić życiem; musi prócz tego walczyć z zimnem, ze znużeniem, które podwaja rzadsze o wiele na tych niebotycznych wyżynach powietrze, z zawrotem głowy, czasem nawet z zapaleniem ócz, które sprowadzają ostre wiatry i odbijanie się promieni słonecznych od śniegu, a nakoniec jeszcze często z lawinami, z kurzawą śnieżną i mgłami, tymi najstraszniejszymi i niezwyciężonymi wrogami podróżników alpejskich. Zdarza się nieraz, że strzelec lub turysta, zaskoczony mgłami, przesiedzi załą dobę i więcéj na jakiéjś skale, nie ważąc się ani wracać ani iść daléj, szczęśliwy, jeżeli mgła opadnie, nim mu wyjdzie żywność. Czasem znów lawiny zagrzebią całą karawanę, jak to się raz stało z wyprawą angielską na Mont Blanc, o któréj dziesięciu członków jeden tylko ocalał.

Łucyan Tatomir.

---

66. Rybacka wieś w Holandyi.

W krajach, okalających morze Niemieckie, to jest w Norwegii, Danii, dolnych Niemczech, Holandyi, Anglii i Szkocyi, utrzymuje się znaczna część ludności nadbrzeżnéj z połowu ryb i innych zwierząt morskich. W każdym z tych krajów są całe osady, których mieszkańcy wyprawiają się co tygodnia mniejszymi łodziami na połów zwyczajny, a w pewnych porach roku całymi flotami, t. j. gromadami dużych okrętów, na połów śledzi, sztokfiszów, fok czyli psów morskich, niekiedy i wielorybów, zapuszczając się w tym razie daleko na północ, aż na wody morza Lodowatego. Życie tych rybaków jest twarde i pełne niewygód: muszą nawykać do głodu i chłodu. Pokonują oni jednakże wszelkie trudności, gdyż są odważni, spokojni, cierpliwi i wytrwali, a ciągła walka z wodą, lodami pływającymi, wichrami i morskimi zwierzętami wyrobiła w nich wielką siłę ciała i przytomność umysłu.

Przyglądnijmy się takiéj osadzie rybackiéj w Holandyi.

Wśród szarych, burzliwych wód zatoki Zuiderzee (wymawia się „Zajder-ze“) leży wysepka Marken. Morze, dokoła płytkie, ma głębokości od $^1/_2$ do 2 *m*, a żegluga po niém bardzo niebezpieczna. Przy spokojnym wietrze trwa przeprawa z lądu pół godziny, a jeśli morze niespokojne, kilka godzin.

Cała wysepka jest tak płaska i niska, że mieszkańcy musieli zaopatrzyć brzegi jéj wysoką i szeroką tamą; tę zaś

tamę podparli potrójnym szeregiem drewnianych pali, wbitych w dno morskie, ażeby nie uległa uderzeniu rozhukanych bałwanów. Daléj wysypali własnymi rękoma ośm wyniosłych pagórków; na siedmiu z nich są domostwa, po kilka lub kilkanaście razem, na ósmym zaś jest cmentarz. W całości liczy wyspa niespełna 100 chat, zamieszkanych przez 1.100 ludzi. Na jednym z pagórków wznosi się téż kościół, zbudowany z trwałéj, ciemnéj cegły, spajanéj lśniąco-białém, silném wapnem, a obok murowane pomieszkanie proboszcza, drewniany ratusz i szkoła, do któréj chodzi około 200 dzieci.

Domy wszystkie są drewniane, a dla ochrony przed wilgocią powleczone z wierzchu ciemną mazią lub zieloną farbą olejną. Dachy są sporządzone z trzciny lub z dachówek. Podwaliny każdego domu spoczywają na palach. Od domu do domu wiodą obok silnych zielonych sztakietów podwyższone kładki. Często bowiem rozszalałe wody morskie przerzucają się bałwanami ponad tamy i groble i zalewają nie tylko niskie łąki wyspy, ale i pagórki.

Dzieje się to niemal regularnie dwa razy do roku. Niekiedy zaś wezbrane fale dochodzą aż do wnętrza domostw, których mieszkańcy muszą się wtedy chronić na poddasza. Zmarłych w czasie takiego zalewu nieboszczyków odprowadzają wszyscy sąsiedzi czółnami do kostnicy na cmentarzu.

Wnętrze domu zajmuje jedna izba, przedzielona tylko u zamożniejszych ściankami na kilka przedziałek. Powały zazwyczaj nie ma, gdyż drzewo, sprowadzane z dalekich krajów, jest bardzo drogie. Nad częścią izby bywa niekiedy stryszek, służący za skład materyału opałowego, to jest torfu, sprowadzonego, również łodziami, ze stałego lądu. Zresztą nakryta jest izba wprost dachem, pod którym wiszą sieci, zapasy powrozów, lin i innych przyborów okrętowych i żywność wszelakiego rodzaju. Duży piec blaszany służy do gotowania, a dym, prowadzony na stryszek, przyczynia się do wysychania sieci, porozpinanych tam na drewnianych kratach. Dym torfowy nadaje większą trwałość sieciom, które poczernione łatwiéj mogą ujść baczności ryb.

Mimo tak skromnego urządzenia, panuje w izbie przedziwna czystość, a sprzęty czynią wrażenie dostatku i zamożności. W zagłębieniu ściany ustawione jest łóżko, zasłonięte firankami, na którém do wysokości dwóch metrów są ułożone pięknie haftowane poduszki, kołdry i pokrywy, przetykane

niekiedy nawet złotymi nićmi. Stół otoczony jest niskimi stołeczkami; na nim mosiężne lichtarze, błyszczące jak złoto. W kącie stoją wiadra i kubły z miedzianymi, połyskującymi się obręczami. Na ścianie wisi zegar z kukawką i łyżnik, a dokoła ciągną się półki i podstawki, w których obok zwykłego naczynia kuchennego nie brak nawet w najuboższéj chacie prześlicznych porcelanowych talerzy, mis i półmisków, kubków ze szkła kryształowego i tym podobnych rzeczy. Naczynia te to pamiątki rodzinne. Niejeden z przodków pełnił służbę marynarza na holenderskich okrętach kupieckich lub wojennych w dalekich stronach świata, a przywiązany całą duszą do rodzinnego gniazda, pamiętał o tém, ażeby za powrotem przywieść do domu pięknego i cenionego gościńca. Oszczędni wyspiarze lubią, podobnie jak wszyscy Holendrzy, ozdabiać swe mieszkania pięknem naczyniem, szanują je i przekazują sprzęty nabyte dzieciom, wnukom i prawnukom w spuściźnie razem z całym domem, który z pokolenia na pokolenie pozostaje zawsze w posiadaniu téjsaméj rodziny.

Ludność żyje niemal z połowu ryb. Na całéj wyspie jest zaledwie kilkanaście krów, będących własnością kilku najzamożniejszych włościan. Siana dostarczają łąki wyspy; koszą je najmowani z lądu kosarze, a suszą, zgartują i zwożą na łodziach dla domowego użytku i wywozu na sprzedaż kobiety, gdyż męszczyźni nie mają na to czasu. Sprzęty, odzienie, chléb, kartofle i inne jarzyny, jedném słowem wszystko potrzeba sprowadzać z bliższych i dalszych miast stałego lądu. Środków zaś pieniężnych dostarcza rybołostwo. Wszyscy męszczyźni, młodzieńcy i starcy, są prawie ciągle na morzu. Chłopcy kończą z ubiegającym dwunastym rokiem życia szkołę i muszą od tego czasu już towarzyszyć starszym. Tak przywykają od dzieciństwa do tego uciążliwego i niebezpiecznego zajęcia: hartują się i nabywają niezwykłéj nawet u innych rybaków zręczności; a żyjąc przytém skromnie, zarabiają tyle, że prócz zaopatrzenia wszystkich potrzeb mają potém z zarobku jeszcze niemało oszczędzonego grosza na pomnożenie odziedziczonego po rodzicach majątku. Około 80 rybaków puszcza się większymi statkami w porze letniéj daleko na północ w otwarte morze na tak zwany wielki połów, trwający około 25 tygodni. Reszta, około 150 mniejszych łodzi, wyprawia się co poniedziałku na morze i powraca dopiero w sobotę do domu z połowem. *Bolesław Baranowski.*

---

67. Wielki gejzer islandzki.

Islandya, któréj północne przylądki dotykają koła biegunowego, a środkowe, w większéj części nieznane wyżyny zalegają wieczne śniegi i lodowce, jest jakoby tylko skrzepłą skorupą, okrywającą olbrzymie ognisko wulkaniczne. W ciągu dziesięciu wieków, to jest od czasu, jak ją zamieszkują Europejczycy, spusztoszyło Islandyą 27 rozmaitych wulkanów, o ile wiadomo, 85 straszliwymi wybuchami, wylewając tak olbrzymie strumienie lawy, że możnaby wyspę całą nazwać krainą law. Jakoż istotnie obok lodowców, z którymi tylko lodowce krajów podbiegunowych równać się mogą, znajdują się na Islandyi największe na kuli ziemskiéj lawy. Oba te wrogi wszelkiego życia przeistoczyły środkową Islandyą w istną krainę śmierci, w dziką i głuchą pustynię, w któréj nagich skałach mieszka chyba tylko stugębne echo.

Po krańcach téj pustyni środkowéj rozpościerają się trawne doliny nad rwącymi rzekami, które, wypływając ze śnieżnych gór w głębi kraju, to szumią wodospadami po stromych ścianach skał, to rozlewając się szeroko, zatapiają milowe obszary i tworzą bagna i bagniste jeziora, dopełniające posępności islandzkich krajobrazów. Pośród tych dolin, ocienionych z rzadka rozprószonymi kępami brzóz i wierzb, zarośniętych gdzieniegdzie wikliną i rokiciną, leżą biedne osady Islandczyków, złożone po największéj części z chat, budowanych z lawy, krytych darnią, a otoczonych wałami z ziemi lub kamienia; bo drzewo, sprowadzane aż z zamorza, jest budulcem bardzo kosztownym, na który stać tylko zamożniejszych, a który w gminach biedniejszych używany bywa tylko do budowy kościołów.

W tychto dolinach znajdują się sławne wary islandzkie, biją wodotryski wrzące, gotują się błotne kałuże. Są one połączone w cztery wielkie grupy, a najwspanialszą z nich jest grupa Wielkiego gejzera, tego cudu Islandyi, któremu ona głównie zawdzięcza częste odwiedziny miłośników i badaczy przyrody. Grupa warów Wielkiego gejzera składa się z dwóch wielkich wodotrysków czyli gejzerów, dokoła których znajduje się jeszcze 40 do 50 mniejszych krynic wrzących i wodotrysków, leży zaś w południowéj stronie wyspy.

Już zdaleka widać snujące się ponad ziemią lekkie, białe pary, z pomiędzy których wiją się gdzieniegdzie gę-

ściejsze kłęby i słupy. Wznoszą się one z całego szeregu gotujących się studzien i źródeł parowych, które wydobywają się z licznych równoległych szczelin.

Wielki gejzer wytryska z krzemionkowego stożka, którego wysokość wynosi około 9 *m*, a średnica liczy przeszło 63 *m*. Ścięty jego wierzchołek jest zaklęśnięty i tworzy basen, około 2*m* głęboki. W środku dna tego basenu otwiera się okrągła studnia, przeszło 23 *m* głęboka, która rozgałęzia się daléj w głąb ziemi ukrytymi kanałami. Prostopadłe ściany studni i dno całego basenu zbudowane są z przedziwnie gładkiego osadu krzemionkowego, tak twardego, że go nawet młotkiem odłupać nie można.

W zwyczajnym stanie jest basen gejzera napełniony wodą niebiesko-zieloną, jak woda morska, a tak czystą, że można przez nią dokładnie oglądnąć całe wnętrze studni. Przelewa się ona przez wyszczerbione brzegi basenu i spływa trzema rynnami ku południowo-wschodniéj stronie, szemrząc po nierównym stoku stożka. Temperatura jéj na powierzchni dochodzi od 76^0 do 85^0, ale powoli gorąco wzmaga się od spodu, tworzą się na dnie pęcherzyki, które podchodzą do góry i pękają na powietrzu. Następnie pokazują się w przejrzystéj głębi obłoczki pary, które wzniósłszy się wyżéj, w zimniejsze warstwy wody, znikają; ale po nich następują inne, coraz większe i gęściejsze kłęby, podchodzą coraz wyżéj i wyżéj, aż wkońcu dosięgają basenu i napełniająca go woda poczyna wrzéć, wzdymać się, kłębić i ciskać parę, która osłania gęstymi chmurami stożek, jeżeli jéj wiatr nie rozpędzi. Równocześnie daje się uczuć drżenie ziemi pod nogami i słychać podziemne grzmoty, które, o wiele mniéj donośne, podobne są jednak zupełnie do tych, jakie poprzedzają wybuchy wulkanów. Po kilku sekundach uspokaja się wszystko, aby po niejakim czasie tém silniéj zakipieć. Woda znowu wzdyma się w basenie, na jéj powierzchni występują bańki, które pękają i pryskają wrzątkiem na kilka metrów wysoko, a dokoła przewalają się coraz gęściejsze białe chmury pary i pędzone wiatrem ścielą się daleko po równinie.

W przestankach, trwających z początku godzinę, potém coraz krótszych, powtarzają się takie wzburzenia z coraz większą gwałtownością przez 24 do 30 godzin, aż wkońcu następuje wielki wybuch. Zapowiada go głośniejszy grzmot i silniejsze drżenie ziemi. Z kłębiącéj się i wirującéj wody ba-

senu strzela nagle z szybkością błyskawicy promień wody 20 do 30 *m* wysoko w górę i rozpryska się w powietrzu na olśniewający pył brylantowy. Nim jeszcze ten deszcz brylantów spadnie na ziemię, wzbija się już drugi i trzeci, jeszcze wyższy pęk promieni wody, z których jedne tryskają na boki w mniejszych łukach, inne strzelają prosto w górę roztrzęsionymi snopami i sypią dokoła gradem pereł wodnych, sycząc i szumiąc, jak rakiety w ogniach sztucznych. Chmury pary przewalają się jedne przez drugie i zasłaniają w części tę cudną grę wód. Jeszcze jedno uderzenie, jeszcze jeden przygłuszony grzmot z głębi ziemi i jeszcze jeden promień wody, wszystkie inne przewyższający, wznoszący się często nad 63 *m* wysoko, a lśniący, mieniący się, jak lity słup z kryształu, z którym wylatują czasem nawet kamienie, jak kule z armaty, i całe zjawisko, po kilku minutach trwania, zapada się w ziemię, jak urocze widzenie senne.

Nim jeszcze wiatr rozpędzi osłaniające stożek tumany pary i nim spłynie woda wrząca po jego bokach, już jest basen gejzera zupełnie próżny i suchy i dno jego zamiast wody zasypują tylko ziarnka nacieku krzemionkowego, a w prowadzącéj w głąb studni, która przed chwilą brzmiała taką burzą, połyskuje na 2 *m* głęboko od brzegu zwierciadło wody, tak spokojne i gładkie, jak w każdéj zwykłéj studni. Dopiero po upływie doby lub późniéj powtarzają się znowu w przestankach takiesame wzburzenia, poprzedzające nowy wybuch.

Łucyan Tatomir,
(Obrazki geograficzne.)

---

68. Morze.

Temu, co nigdy nie widział morza, przedstawia ono widok uderzający. I nie dziw; bo ilużto ludzie, udawszy się po raz pierwszy ze swojéj rodzinnéj wioski do miasta, podziwia rzeczy nieznane, niewidziane w swojéj okolicy. Dla nich i niezwykłéj wielkości staw i rzeka większa już są uderzającém zjawiskiem. Cóż dopiero, kiedy ujrzą bezmiar morza z jego ogromnymi bałwanami!

Stoimy tedy nad przestrzenią nieobjętych okiem toni wodnych, których ogrom uderza szczególniéj patrzącego na nie z wysoka. Szare, modre, zielone lub jeszcze lśniące się ich przezrocza, obok których każda woda słodka wydaje się

mętną, ciągną się aż do końca widnokręgu tak, iż niebo zdaje się na nich opierać. Gładkie jak zwierciadło lub téż zwijające się w pieniste fale ciągną się wody w odległość bez końca i żadna góra, żaden pagórek, żadna wyniosłość nie przerywa jednostajnéj ich powierzchni. Choć w zupełnym spokoju, podnoszą one z głuchym szumem, jakby z przytłumionym rykiem, swoje ogromne fale, z którymi nie dadzą się porównać fale żadnéj, choćby nawet wielkiéj rzeki, żadnego jeziora. Falami tymi rozbijają brzegi wysokie, a zaleawją na daleką przestrzeń niskie.

Lecz oto zawiał silny wiatr i ożywiły się te niezmierne przestrzenie. Coraz wyżéj podnoszą się wzbijane od wiatru bałwany, coraz głębiéj rozwierają się pomiędzy nimi rozdoły. Góry wodne wznoszą się tak wielkie, jak miejskie kamienice, i dopadłszy lądu, rozbijają się z wściekłością o jego brzegi. Gwałtowny szum wydają wzruszone aż do głębi wody, aż nareszcie uciszają się wiatry, morze uspokaja się powoli i powraca dawna cisza.

Teraz wstępujemy na pokład okrętu, kruchym deskom powierzając życie. Pragniemy dojść tam, gdzie sie kończy ta niezmierna przestrzeń wód. Już rozpięto żagle i podniesiono kotwicę. Sterujemy tam, gdzie nasze oczy widzą tylko nieskończoność. Coraz daléj unosi on nas od ojczystych brzegów. Już widać tylko szczyty wielkich gmachów i wież; już zaledwo krzyże kościołów słabo zarysowują się na widnokręgu. I one rozpłynęły się już w powietrzu. Jeszcze szarzeje ciemna masa lądu i już tylko sinawy pasek mgły pozostał. Wytężamy wzrok. Tam gdzieś daleko tkwi jakiś punkcik, coraz bardziéj maleje, aż wreszcie wszystko znikło. Gdzie spojrzéć, nie widać nic, tylko wody i wody.

Więc patrzmy, czy może w jakiéj innéj stronie nie zarysuje się przed nami ląd nowy. Nie widać nic: wszędzie woda i woda! Gdzie się obejrzysz, wszędzie szklista powierzchnia styka się ze sklepieniem niebios. Okręt, woda i niebo — oto wszystko, co się przedstawia naszym oczom.

Nieznane uczucie trwogi przenika nas do głębi.

Rankiem opuściliśmy ląd stały; teraz już dzień ma się ku końcowi, a nigdzie nie widać żadnego punktu oparcia. Już i noc. Gwiazdy zasiały niebo, odbijając się w zwierciadlanéj powierzchni morza. Zdaje się nam, że płyniemy w pośród dwojga niebios, mając jedno nad sobą, a drugie pod

sobą. Ogromny potwór morski okrąża pod wodą nasz okręt. Uciekają przed nim drobne rybki, wyskakując ponad wodę na swoich pletwach, do skrzydeł podobnych. Wtém nowe, niespodziane przedstawia się nam widowisko. Cała powierzchnia wód pokryła się błyszczącymi punkcikami. Przed okrętem i poza okrętem widać jaskrawe smugi ognia: to znane żeglarzom zjawisko świecenia morza.

Nadchodzi czas odpoczynku. Kładziemy się, ale myśl o niebezpieczeństwie spania nad taką niezgłębioną otchłanią nie pozwala nam zmrużyć oka. Nareszcie usypiamy. Budzi nas ciągłe kołysanie się okrętu. Jeszcze zmrok panuje na całéj wód przestrzeni; wybiegamy jednak szybko na pokład, aby powitać ów ląd, do którego musiał wreszcie zanieść nas okręt, idąc szybko całą noc. Lecz niestety! I dziś widzimy tylko niebo i wodę. Zdaje się, że mgła ranna zakrywa przed nami szare zarysy ziemi. Lecz oto wraz się rozjaśnia, a nie widać nic! Na wschodzie, zwolna i majestatycznie z łona wód powstaje słońce, a kiedy wychyliło całą swoję tarczę, promienie jego, wytknąwszy sobie na przejrzystéj powierzchni ognistą drogę, biegną aż ku naszemu okrętowi. Mgły podnoszą się z wody i zakrywają widok. Zdaje się w tedy, że wypłynęliśmy na jakiś strumień i że wkrótce przybijemy do brzegu. Mgła coraz ustępuje, widnokrąg się rozjaśnia; ani śladu wymarzonego lądu: woda i tylko woda!

Tak przechodzi dzień jeden i drugi i trzeci. Oswajamy się powoli. Po nocach marzymy, że jesteśmy na lądzie, tam — w ojczyźnie. Rano z przebudzeniem się kołysanie okrętu przypomina nam zawsze jednostajną rzeczywistość. Płyniemy cały tydzień, potém drugi i dowiadujemy się wreszcie, że jesteśmy na połowie drogi do Ameryki przez ocean Atlantycki.

Wyobraźcież sobie, co to jest za ogrom ów ocean powszechny, który oblewa całą ziemię! *Antoni Rehman.*

---

69. Burza morska.

Już od rana morze dość było niespokojne. Ku wieczorowi wiatr wzmógł się znacznie. Żagle zwinięto, marynarze w swych gumowych kurtkach biegają po pokładzie, oficerowie markotni, kapitan milczący; — źle to wszystko wróży. Spać w kajutach

niepodobna, bo wszystko szczelnie zamknięte — duszno — gorąco machiny i zapach kakao, z dna okrętu dochodzący, wszystkich podróżnych na górę wypędziły. W saloniku nad schodami mieścimy się jako tako, lecz spać niepodobna; statek rzuca nami jak piłką na wszystkie strony.

Około 11. w nocy zaczęła się burza i to nie na żarty. Nie zapomnę nigdy tej nocy: żałosny świst wichru, ryk bydła na pokładzie, łoskot fal, zalewających pokład co chwila i wpadających do wnętrza statku, brzęk szkła i porcelany, tłukącej się w bufecie, nieustanne błyskawice, wreszcie zagłuszający wszystko ryk huraganu — składały się na całość więcej, niż poetyczną — straszną. O północy wyszedłem na pokład zobaczyć, co się dzieje. Chwyciwszy się oburącz jakiejś liny, napotkanej omackiem — patrzę wokoło. Na tle błyskawic rysują się czarne kontury masztów i komina; morza nie widać. Całe otoczenie zlało się w jakiś chaos nieopisany, a fosforyczny blask wzburzonego oceanu zlewa się z nieustającem światłem błyskawic. Czuję gwałtowne, konwulsyjne wstrząśnienia statku.

Trzymając się liny, posuwam się z wielkim trudem parę kroków do okna saloniku, zobaczyć, co się tam dzieje. Ujrzałem obraz najczarniejszej rozpaczy. Kobiety, dzieci we łzach; jedne leżą, uchwyciwszy się oburącz poręczy schodów, drugie na klęczkach polecają duszę Bogu, inne w rozpaczy rwą sobie włosy, inne wreszcie, bezsilne, osłabione chorobą, wodzą dokoła przerażonym, błędnym wzrokiem, jakby szukały pomocy i opieki, której im nikt z żyjących dać nie zdoła. Dwie tylko twarze spokojne widzę wśród tego zrozpaczonego tłumu: jedna matka dwojga jasnowłosych dzieciaków tuli je do łona, usiłując uspokoić przerażone maleństwo; druga, siostra miłosierdzia, z wyrazem spokojnej rezygnacyi odmawia różaniec... A okręt się kołysze, jak nigdy jeszcze; pioruny biją i ryczy rozszalały ocean. Powróciłem do reszty towarzyszy, których zastałem zaalarmowanych: woda, wybiwszy jedno z okien, zalała podłogę — mamy jej na pół decymetra, lampa zgasła i nikt nie ma zapałek. Zostajemy w ciemności. Około 2giej po północy uciszyła się burza, choć kołysanie wciąż jeszcze silne było.

Po przebytem niebezpieczeństwie, o którego doniosłości słabe bardzo mieliśmy pojęcie, przyszła wesołość; żartowaliśmy sobie z morza, że nam kąpiel bezpłatną sprawiło

w kajucie. Na gawędzie zeszedł nam czas do rana. Słońce weszło, horyzont był jasny, morze spokojne, majtkowie myli i czyścili pokład, zmęczony kapitan spać poszedł. Statek wyszedł bez szwanku: jedno wybite okno, dwie złamane ławy żelazne, trochę potłuczonego szkła i jeden wół zmieciony z pokładu — to i wszystko. Odtąd mieliśmy już morze spokojne przez cały ciąg podróży aż do brzegów Hiszpanii.

Wedł. *Józefa Siemiradzkiego*,
(Z Warszawy do równika.)

70. Jezioro Aralskie.

Słone jeziora stepów kirgiskich, zaopatrujące nie tylko okolicznych mieszkańców, lecz nawet dalsze okolice w sól, zachwycają wędrowca niezwykłą grą barw; inne wody tych stepów rozweselają oko bodaj spłachciami uprawnéj ziemi. Jezioro Aral, po Kaspiku jedno z największych na świecie, które Rosyanie Siném morzem nazwali, przedewszystkiém uderza smutną pustynnością i martwotą wybrzeży. Tylko u ujść Amu (Oxus) i Syr-Daryi (Jaxartes) więcéj tu cokolwiek ruchu i życia; ale poza obrębem wielkich delt obu tych strumieni ścielą się już tylko szare równiny słone, spływające nieznacznie z zielonawą powierzchnią wody. Również posępnie wyglądają i rozsiane gdzieniegdzie wysepki piaszczyste, odarte z wszelkiéj roślinności, zasiane połyskującymi czerepkami muszel. Zachodnie wybrzeże faluje rzędami pagórków, usypanych z piasku; na północném, w pobliżu półwyspu Czubar, wznosi się widna już zdaleka, wysoka, czarna grupa skał, Karatasz.

Gorzkawo-słona woda jeziora, sącząc się popod ziemią, zanieczyszcza nawet sąsiednie studnie i tylko wody z ujściowych ramion Amu i Syr-Daryi można od biedy używać do picia.

O południu najlżejszy oddech nie marszczy powierzchni jeziora, która gładka jak szyba szklana łączy się w mglistém oddaleniu z również martwém, bezchmurném niebem. Im bliżéj do wody, tém gorętszym staje się piasek: zawarta w nim sól szklni się i olśniewa oczy, tworząc rażące przeciwieństwo z czarno-brunatnymi smugami słonego namułu, który za każdym krokiem załamuje się i zalewa brudną wodą. Daléj ciągną się zeschłe w skwarze słonecznym zarośla trzciny i morszczyn, namuł staje się coraz rzadszy i płynniejszy, aż

w końcu przechodzi w wodę. Dokoła grobowa panuje cisza. Nawet ryby uciekają ze zbyt rozgrzanych wierzchnich warstw wody i kryją się w chłodniejszéj głębi.

Ale wieczorem, gdy na wszystkich jeziorach stepowych największa panuje wrzawa, ożywia się i Aral. Gdy słońce skłoni się ku zachodowi, a ukośne jego promienie ozłocą rozpalone w dzień powietrze, nawodzi się niebo krwawą barwą i wydaje się jakoby oświecone łuną pożaru. Od jeziora poczyna wiać lekki wiatr i szerzy wilgotny chłód dokoła. Ze wszystkich stron ściąga się wówczas długimi łańcuchami ptastwo na wodę: niżéj bezładną kupą lecą kaczki, górą szybują w trójkąt uszykowane żórawie, przerywając żałosnym krzykiem głuchą ciszę, a przodem przed innymi sterują pelikany, odznaczające się mimo ciężkiego ciała lotem ciągłym, wysokim, lekkim. Nadlatuje tak stado za stadem, jedno liczniejsze, niż drugie, machając z wysileniem znużonymi skrzydłami, gdyż przebyły setki wiorstw przez bezwodne pustynie, gdzie nie znalazły nic, tylko suchy, gorący piasek. Instynktowo czują one wodę w pobliżu i śledzą bystrem okiem, aby dopatrzeć kędyś na horyzoncie jéj połyskującego zwierciadła.

Coraz niżéj zapada słońce, już połowa jego wielkiéj tarczy zanurzyła się w ciemno-fioletowym widnokręgu; wszystko płonie w czerwoném świetle wieczorném, a gładka powierzchnia wód żarzy się jak szyba rubinowa. Po rozżarzonéj toni pływają, pluskają się, trzepocą i nurzają niezliczone masy ptastwa i już zdaleka słychać świst, hukanie, kwakanie, gęgotanie, kłapanie i gruchanie tysięcy gardzieli i dziobów i pluchotanie skrzydeł po wodzie. Po ławicach piaszczystych przechadzają się długonogie czaple, pelikany gromadnie łowią ryby; na płytkich odnogach jak żołnierze w czerwonych mundurach stoją flamingi rzędami, wszystkie razem jakby na komendę zanurzają w namuł grube swe dzioby, a potém wyginają w tył wężowate szyje, aby przełknąć pochwyconą zdobycz. Nagle cała chmura tych pływających i brodzących ptaków zrywa się z ogłuszającym krzykiem i ulatuje na odleglejsze wysepki, spłoszona przybyciem dwugarbnego wielbłąda, który zbiegł kędyś z pastwiska, aby ugasić w jeziorze pragnienie, znoszone cierpliwie już od dni kilku może.

Ł. Tatomir,
(Obrazki geograficzne.)

71. Zima w Jakucku.

Kiedy ogromna ziemia jakucka zamrze w żelaznym uścisku najsurowszéj na świecie zimy, mrozy wielkie, niezmierzone urągają światu i światłu, człowiekowi i słońcu. Zimno, dla oznaczenia którego nasz język wyrazu nie ma, owiewa ziemię takiém tchnieniem lodowatém, takim mrozem przejmującym, że zdaje się, iż życie wszelakie zamrze na ziemi téj nieszczęśliwéj.

Zima jakucka, gdy się rozwinie należycie, nie szaleje już, jak to u nas nieraz bywa, ale z majestatyczną powagą siły, nie znającéj oporu, mrozi i zabija spokojnie. Nie stawi jéj oporu ni słońce, pokazujące się zaledwie na kilka godzin nad horyzontem, ni ziemia, na setki stóp zamarzła i nawet latem nie rozmarzająca głębiéj nad 2 stopy. Stopniowo i bezustannie wzrastające mrozy zgęszczają coraz bardziéj powietrze, które nareszcie słupem nieruchomym staje nad krainą nadleńską, zdaje się, gniecie i dusi ją swym ciężarem. Zgęszczonéj masy powietrznéj nie poruszają już chociażby najsilniejsze, zawsze jednak lżejsze prądy powietrzne ani z morza Lodowatego ani z oceanu Spokojnego ani z wielkich przestworów kontynentalnych, na zachodzie i południu leżących. Nieruchomy, groźny ciężar odbija od swego, miryadami iglic śnieżnych błyszczącego cielska najwścieklejsze zapędy wichrów morskich i lądowych, ujarzmia je, ostudza i włącza do wielkiego zbiornika chłodu, który starczyć ma późniéj na całoroczne oziębianie Syberyi.

I mijają dni i nocy, mijają tygodnie i miesiące, a mróz nigdy nie słabnie, nigdy się nie zmniejsza. Człowiek, przyzwyczajony do zmiennéj i pobłażliwéj zimy zachodu, męczyć się zaczyna tą ciągłą, nieskończoną walką z nigdy nie słabnącym, zawsze czujnym wrogiem. Siły, ciągle naprężone, wyczerpują się powoli. Człowiek widzi, że, pozostawiony sam sobie, nie wytrwa w zapasach nierównych. I słońca i ciepła i dnia i światła pragnie wtedy dusza stęskniona, jak tylko pragnąć może konający... Nie państwa, nie mienia, życiabyś oddał połowę, krwibyś utoczył za to słońce; ale słońce daleko i coraz daléj, coraz to prędzéj ucieka na zachód, a mróz coraz większy...

Mrozy te wyciskają z powietrza wszelką wilgoć, która w postaci delikatnego pyłu śnieżnego tworzy gęste, śnieżne

mgławice, tumanami zwane. Księżyc zjawia się okolony wielkim srebrnym pierścieniem. Słońce, jakgdyby do pomocy w borykaniu się z wrogiem potężnym, wyprowadza ze sobą jakieś nowe światła niebieskie, a mieszkańcy powtarzają: „Wszystko to na mróz, na mróz jeszcze większy!“

A gdy jeszcze wystrzelą z lodów biegunowych to mleczne i srebrzyste, a nikłe, jak słabe promienie fosforyczne, to krwawo-czerwone i straszne, jakgdyby ręką Boga niewidzialnego z bezdennéj niebios przepaści miotane, ogniste słupy zorzy północnéj: — mrozy dochodzą zenitu. Wytrwałe psy jakuckie, czyto czując instynktowo zbliżające się zimna jeszcze większe, czyto przerażone wielkiém zjawiskiem przyrody, wyją wtedy przeraźliwie. Z ostatnimi blaskami słupów ognistych, zwalających się w poczerniałą otchłań niebieską, milkną i te jedyne, a tak posępne głosy żywe i noc czarna, cisza grobowa zalegają nad obumarłą ziemią.

Cisza to jednak pozorna.

Czułe na najlżejsze drgnienia powietrze rozbrzmiewa powoli szczególnymi dźwięki. Śnieg nie chrzęści i nie skrzypi już, lecz dźwięczy jakoś przeraźliwie; wydychane powietrze z sykiem wydziela z siebie wilgoć, krzepnącą w mikroskopijne, śnieżne kryształy. Wśród ciszy powszechnéj rozlega się coraz głośniéj okropna muzyka mrozu. Ucho ludzkie, przywykłe do dziękczynnego gwaru stworzenia, z osłupieniem przysłuchuje się suchym i ostrym dźwiękom śmierci i zniszczenia, zwycięskiéj i ponuréj pieśni nocy i zimna. I człowiek wtedy, od życia i ruchu odcięty, pragnie życia, ruchu i głosu żywego; i wsłuchuje się ucho w tę ciszę grobową i w pozgrzyty mrozu nielitościwe, ale nic oprócz téj ciszy, nic oprócz tych pozgrzytów nie słyszy...

I zwierzęta i człowiek przyzwyczajają się jednak powoli do wielkiego zimna: zwierzęta porastają długą i gęstą sierścią, człowiek w zimnie samém szuka ratunku i obrony. Jakutka swe dziecię nowonarodzone pociera śniegiem; domy i jurty obrzucają śniegiem suchym, obmazują mokrym; w okna stawiają wielkie tafle lodu: i życie, choć wyparte z przestworów szerokich, choć zamknięte jak w więzieniach, tętni jeszcze uparcie pod zaspami śniegu, poza oknami z lodu.

Biada jednak człowiekowi, biada wszelkiemu stworzeniu Bożemu, gdy się poruszy groźna, bo okropnie oziębiona masa powietrza, przesuwając się najczęściéj ku południowi.

(Wszelki taki ruch wysoce oziębionego powietrza, choćby nawet tak lekki, że i wiatrem go nazwać nie można, zowie się po jakucku „chijus“). Ciepło zwierzęce, ciepło sztucznie podtrzymywane promieniuje wtedy z niesłychaną szybkością przez najgęstszą sierść, przez najgrubsze bierwiona, śniegiem i lodem opancerzone. W najcieplejszych mieszkaniach zimno wtedy. Mróz smali i piecze, opalając jak ogniem wysunięte z ukrycia ciało. Zahartowany koń jakucki, odszukujący sobie i w zimie pod śniegiem nędzne pożywienie, ucieka pod opiekę człowieka; pies już nie wyje, lecz skomli żałośnie, zagrzebując się w siano zupełnie. Myśl ludzka już nie pracuje swobodnie, lecz zwraca się ku jednemu wyłącznie: ku ciepłu, ku ogniowi. Hardy pan stworzenia dzwoni zębami i jak ów pies łańcuchowy, uciekający haniebnie ze swego posterunku do budy, napełnionéj sianem, tak i on tuli się do ognia, okrywa skórą i sierścią zwierzęcą. Myśl, spędzana z wyżyn nadziemskich coraz niżéj i niżéj, schodzi na ziemskie niziny i widzi przerażona, że jest niczém w porównaniu z potęgą przyrody; czuje, że jeden, dwa podmuchy — i rzekomy władca świata zamarznie, jak stoi, jak zamarzły na ziemi téjże świadki życia prastarego — olbrzymie mamuty.

Gdy w czasie mrozów silnych wionie „chijus“ zabójczy. w mieście i okolicy znajdują zawsze kilka zamarzłych trupów,

Adam Szymański, (Szkice).

---

72. Mieszkańcy lodów podbiegunowych.

W rozprószonych koczowiskach, po rozległych pustkowiach od atlantyckich wybrzeży Norwegii aż do Grenlandyi, żyje liczna rzesza różnoimiennych ludów: Lapończyków, Samojedów, Jakutów, Czukczów, Eskimosów i t. p. Wszystkie te ludy, zaliczane przez etnografów do rasy mongolskiéj, zamieszkiwały pierwotnie okolice, niżéj ku południowi położone, lecz późniéj, wyparte przez inne ludy, wywędrowały na północ.

Wszystkie te ludy posiadają wspólne znamiona, wskazujące na ich pokrewieństwo rasowe: mają oczy osadzone ukośnie, w wąsko rozciętéj oprawie, wystające kości policzkowe, usta szerokie, nos spłaszczony, czaszkę szeroką a niską, włos na głowie wałkowaty, prosty i czarny, twarz bez zarostu albo tylko z bardzo rzadkim zarostem i żółtawą barwę skóry.

Ale bardziéj jeszcze, niż wspólne znamiona rasowe i szczepowe, równa te ludy pomiędzy sobą surowy klimat ich ziemi, skazując wszystkie na równie twarde życie. Wszystkie są koczownikami i były nimi, jak ich współplemieńcy mongolscy w stepach środkowéj Azyi, od najdawniejszych czasów. Te, które zamieszkują stary świat, oswoiły od wieków rena i zostały pasterzami; wędrują na zimę w lasy, gdzie ren łatwiejsze znajduje pożywienie, na lato zaś wracają na tundry i na wybrzeża morza. Trzody renów są miarą ich bogactwa, ren bowiem zastępuje im wszystkie inne zwierzęta domowe: daje mleko, mięso, odzież; służy do zaprzęgu i pod wierzch; resztę potrzeb zaspokaja ptastwo morskie, foki i ryby. Trudnią się więc obok pasterstwa także łowiectwem i rybołowstwem. W arktycznych krajach nowego świata ren żyje dziko; mieszkańcy tamtejsi są tylko rybakami i łowcami, a jedyném ich zwierzęciem domowém jest pies. Gdzie osadnicy i misyonarze chrześcijańscy, jak w Laponii, nie przyczynili się do polepszenia pierwotnego ich bytu, żyją w lecie pod namiotami skórzanymi, a w zimie w jurtach napół podziemnych albo w jaskiniach, wygrzebanych w śniegu, murowanych z lodu, wobec których chaty Lapończyków, zbudowane z berwion lub kamieni, a kryte darnią, są ideałem przestronności i wygody; odziewają się w skóry renów, fok i ptaków, palą i świecą tranem, który jest zarazem najulubieńszym ich przysmakiem; sporządzają sobie broń i narzędzia gospodarskie z kości zwierzęcych, składają nawet sanie i czółna z kości wielkich ssaków morskich, wiążąc je żyłami zwierzęcymi i powlekając skórą fok.

Nie mają ludy te karty w historyi rozwoju cywilizacyi rodu ludzkiego — walka ze srogą naturą zużywa wszystkie ich siły; ostatecznym celem życia jest u nich uratować się od śmierci z głodu i zimna, ideałem napełnić żołądek i ogrzać ciało.

Południowi sąsiedzi tych zmarzniętych biedaków spoglądają na nich z pogardą. Dumny Skandynawczyk, wypierając Lapończyków w coraz dziksze pustkowia arktyczne, uważał ich do niedawna jeszcze za wyrzutki rodu ludzkiego, a Indyanie północnéj Ameryki mają Eskimosów za nierównie niższe od siebie stworzenia i, pałając ku nim zapamiętałą nienawiścią, krwawe z nimi staczają walki. Nie zasługują oni jednakże ani na pogardę ani na nienawiść.

Nieuprzedzeni podróżnicy nie tylko nie stawiają tych ludów niżéj od innych, tak zwanych dzikich ludów, które wśród nierównie szczęśliwszych znajdują się warunków bytu, lecz owszem przyznają im nawet w wielu względach wyższość. Przyroda nie pozwoliła wprawdzie tym biedakom, wygnanym na krańce ziemi, upamiętnić się ani żadnym głośnym czynem w dziejach ani żadném ważném odkryciem, ale pomimo tego zasługują oni na podziwienie. Utorowali sobie drogę i utrzymują się własną siłą i przemysłem w tych pustkowiach, gdzie wszystko martwieje w dziewięciomiesięcznéj zimie; udowodnili, że człowiek może żyć tam, gdzie już drzewa nie rosną, że może w ciemnościach kilkomiesięcznéj nocy krzepić się wiarą w istnienie opiekuńczego bóstwa i nadzieją szczęśliwości zagrobowéj, co więcéj, że może nawet zróść się z tą ziemią tak, że wywiezieni w piękniejsze i szczęśliwsze kraje, przecież zawsze tęsknią za swoją ojczyzną i powracają z radością w swe rodzinne lody.

Doszli téż oni do zdumiewającéj nieczułości na wpływy klimatu, doprowadzili odwagę, zręczność i wytrwałość do najwyższéj doskonałości. Widywano ich zabawiających się wesołą pogadanką na mrozie 40° lub śpiących pod gołém niebem dokoła dawno wygasłego ogniska, pomimo że mróz dochodził 25°, a wierzchnia suknia usunęła się z ramion i szron okrywał całe ciało. Nie boją się sam na sam z oszczepem w ręku potykać z białym niedźwiedziem, a pewni siebie na morzu, jak ziemnowodne zwierzęta, wzbudzają mistrzowstwem żeglarskiém zazdrość nawet najbieglejszych w téj sztuce angielskich i amerykańskich marynarzy; wspinają się po skałach za gniazdami ptasimi ze zręcznością kotów, szukają po lodach szczelin i czatują na foki z przebiegłością, wytrwałością i cierpliwością białych niedźwiedzi. Jeżeli nadto uwzględnimy, że wznoszą swoje chaty równie zręcznie ze śniegu i kamieni, jak Polinezyjczycy z gałęzi i liści; że Eskimosi umieli od niepamiętnych czasów budować kamienne sklepienia, któréjto sztuki nie znali pierwotni, cywilizowani mieszkańcy Mexyku; że Jakuci już na wiele lat przed zawojowaniem ich przez Rosyan umieli wytapiać żelazo i przerabiać je na noże; że wreszcie u wszystkich tych ludów węzły rodzinne o wiele są ściślejsze, niż u innych barbarzyńców — musimy przyznać, że zrobili wszystko, co własnymi siłami w tak trudnych warunkach bytu zrobić mogli i że stoją niezaprzeczenie wyżéj

od niepoprawnych włóczęgów Indyan, tępiących się wzajemnie ze zwierzęcą zaciekłością.

Ale co im szczególniejsze u nas jedna współczucie, to rzadka łagodność charakteru, poczciwość serca, uczynność i gościnność, posuwająca się często aż do poświęcenia; znajdowano ich bowiem zawsze gotowych do wszelkiéj usługi, do podzielenia się z białymi gośćmi nawet zapasami żywności, choćby z narażeniem samych siebie na głód. Możemy więc wzdłuż i wszerz wędrować po tych pustkowiach, nierównie bezpieczniejsi od zwierząt i ludzi, niż w bujnych zaroślach środkowéj Afryki lub Nowéj Gwinei, gdzie dotąd jeszcze utrzymuje się ludożerstwo; możemy nawet zupełnie bez trwogi wstąpić do każdéj, którą spotkamy po drodze, osady tych koczowników północnych. *Łucyan Tatomir,*

(Obrazki geograficzne).

---

73. Wielka pustynia afrykańska.

Od Atlantyku po Morze Czerwone rozciąga się przez całą Afrykę północną olbrzymia pustynia bezwodna. W jedném tylko miejscu przerzyna ją w całéj jéj szerokości zielona wstęga uprawnéj ziemi. Ta ziemia uprawna, to Egipt, dar Nilu. Jak daleko ożywcze wylewy wody Nilowéj sięgają, tak daleko wydaje urodzajna kraina obfite plony. Wszelkie zaś życie roślinne ustaje, skoro tylko oddalimy się o parę mil na wschód lub na zachód od przedziwnéj rzeki. Pustynia na zachód od Egiptu nosi nazwę wielkiéj pustyni afrykańskiéj czyli Sahary. Aby dać wyobrażenie o jéj wielkości, dość powiedzieć, że obszar jéj przewyższa dziesięć razy powierzchnię monarchii austryacko-węgierskiéj. Europejczycy do niedawna wyobrażali sobie Saharę jako jednostajną płaszczyznę, pokrytą piaskiem, jako nieskończone suche morze bez wody, po którém tu i ówdzie rozsiane są, jakby wyspy, urodzajne miejsca, zwane oazami.

Otóż nie da się zaprzeczyć, że są w Saharze rozległe obszary, pokryte żwirem kamienistym albo sfalowane jednostajnie wydmami piaszczystymi i podobne tym sposobem do bezwodnego morza. Obszary takie są szczególnie gęste i znaczne w zachodniéj połowie pustyni. Myliłby się jednak, ktoby mniemał, że cała przestrzeń od Egiptu po Atlantyk jest krajem płaskim i równym. Przeciwnie: cała Sahara składa

się z mniéj i więcéj wyniosłych wyżyn; gdzieniegdzie są one poprzerywane głębszymi zaklęsłościami, a miejscami piętrzą się na nich wzgórza, a nawet całe łańcuchy górskie.

Szczególnie środkowa część Sahary, między zatoką morza Śródziemnego, noszącą nazwę Syrt, a wielkiém jeziorem Tsad, odznacza się szeregiem łańcuchów, a nawet krain górskich. Niektóre pasma górskie i szczyty dochodzą do téj wysokości, jaką ma Beskid. Na południu zaś są wyżyny tak urozmaicone widokami górskimi, że podróżnym europejskim przypominają Szwajcaryą. Brak tylko tych zielonych lasów i hal pasznistych, brak tych lodowców, jezior, rzek i wodospadów, jakie ma Szwajcarya.

Zaklęsłości, znajdujące się w Saharze, rozmaite mają wejrzenie. Gdzieniegdzie są to kotliny, niekiedy bardzo nawet obszerne, o stromych, skalistych ścianach. Zazwyczaj na dnie takich zagłębień pokazują się źródła, około których zaraz rozwija się bujna roślinność. To są oazy, przytuliska nielicznych plemion, zaludniających zrzadka te obszary. Nazwę *oasis* utworzyli Grecy ze staroegipskiego wyrazu *uahe*, oznaczającego mieszkanie. Królową oazy jest zielona palma daktylowa, co podróżnego „z cieniem i owocem czeka“. O przedziwném tém drzewie mówią mieszkańcy Sahary, że musi trzymać nogi w wodzie, a głowę w ogniu, to znaczy: że wymaga wilgotnego gruntu i gorącego powietrza.

Palma daktylowa jest główną żywicielką mieszkańców oazy. Ilość pni w gaju daktylowym stanowi o bogactwie właściciela. Są niektóre większe oazy, pełne daktylowych lasów; są osady, których majątek liczy się na tysiące palm daktylowych. Urodzajniejsze miejsca oazy zasadzają także jarzynami lub obsiewają je rozmaitymi gatunkami prosa. Uprawa roli jest jednakże bardzo żmudna; deszcz w Saharze bardzo rzadko, a miejscami prawie nigdy nie pada; muszą przeto mieszkańcy ciężko pracować nad nawodnieniem pól swoich. Ze źródeł i z głębokich studzien czerpią tedy wodę do korytek i rozprowadzają lub roznoszą ją po polach i ogrodach. Osobni sędziowie czuwają nad tém, aby przytém nie krzywdził jeden drugiego. Takimto cennym skarbem jest w Saharze woda! Gdzieniegdzie ciągną się całymi milami głębokie jary, niby łożyska wyschłych rzek i potoków. Czasami są one zupełnie bezwodne i zasute kamieniami czasami zaś zdradza skąpa roślinność pustynna, że pod wierzchnią war-

stwą żwiru i piasku sączą się nieznaczne strumienie podziemne. Takichto jarów szukają karawany podróżnych, co są zmuszeni przebywać pustynię. Jary te czynią nadzieję dojścia do źródełka lub dokopania się wody, jeżeli zapas, wzięty w poprzedniéj oazie, nie wystarczy.

Są śród Sahary i jeziora, ale jakie? Są to mniejsze i większe bagna namuliste i słone. Wskutek skwaru, panującego w pustyni, paruje woda bardzo prędko, a powierzchnia jeziora okrywa się grubą solną skorupą, popękaną i pokruszoną.

Pustynia robi dziwne wrażenie wiecznego spokoju i ciszy. Brak roślinności sprawia, że i zwierząt bardzo mało się widzi. Tylko niektóre trwożliwe stworzenia chronią się tu przed swoimi prześladowcami, inne znowu walczą ze sobą o swe życie w śmiertelnych zapasach. Panujące suche wiatry utrzymują prawie nieprzerwaną pogodę. W południowéj części Sahary bywają jednakże w letnich miesiącach ulewne deszcze; wtedy wzbierają źródła, a roślinność ożywia się miejscami.

Gdy żar słoneczny rozpali powierzchnię ziemi, a od niéj rozgrzeją się dolne warstwy powietrza, wtedy odbijają się w nich niekiedy, jak w zwierciedle, widoki okolic, o kilkanaście lub kilkadziesiąt mil oddalonych. Podróżny spostrzega niespodziewanie piękne gaje, o których mówi poeta:

Pamiętasz skwarów stepowych igrzysko?
Te cudne, błędne pustyni obrazy,
Których cień miły podróżnego nęci,
A gdy się zbliży, we mgłach się rozpływa.
Spragnione oko widzi, jak...
Wśród kwiatów źródła z sennym szmerem płyną,
Jaśmin srebrnymi kwiatami powiewa;
Jak eter czyste wody kryształowe,
Czarne cyprysy i drzewa palmowe;
Wiatr — zda się — liśćmi wonnych kwiatów wieje.

Są to jednakże zjawiska bardzo rzadkie. Nazywamy je włoską nazwą *Fata Morgana.*

Kiedyindziéj zawieruszają pustynię straszne wichry. Słońce świeci krwawym blaskiem; po chwili czarna chmura zbliża się, zakrywa niebo i pogrąża świat cały w ciemności. Wiatr obala namioty podróżnych, ciska dużymi kamieniami i sypie drobnym żwirem i piaskiem. Ludzie i zwierzęta z przestrachem odwracają się, tuląc się ku ziemi, i czekają w trwodze, póki burza nie minie.

Podróże przez Saharę są — jak z tego widać — dość niebezpieczne. Mimo tego przebywają ją liczne karawany kupców, dążących z północy, od wybrzeży morza Śródziemnego, do krajów murzyńskich w środku Afryki i napowrót. Niezbędnym towarzyszem podróży jest wielbłąd, zwany „okrętem pustyni.“

Karawany dla własnego bezpieczeństwa muszą opłacać się plemionom, osiadłym po drodze. Na całym obszarze Sahary jest zaledwie tyle ludzi, co w Galicyi. Podzieleni na szczepy, są ze sobą zazwyczaj w nieustannych zatargach. Wyznają wiarę muzułmańską, są zababonni, podejrzliwi, częstokroć okrutni. Ich ziemia skąpo może ich wyżywić. Trudnią się tedy rozbojem lub wymuszają haracz od podróżnych, przebywających puste obszary, które uważają za swą własność. Szczególnie drogo każą sobie opłacać przystęp do źródeł i studzien. Często porywają jeńców i zamieniają ich w niewolników. Smutno więc człowiekowi w pustyni! *Bol. Baranowski.*

74. Las dziewiczy w południowéj Ameryce.

Znając lasy dziewicze tylko z opisów, zupełnie falszywe miałem o nich pojęcie. Przedewszystkiém wielkie drzewa rosną bardzo daleko od siebie, tak, iż nie tylko Indyanie po wierzchołkach podróżować nie mogą, ale wiewiórka nawet zwykle na ziemię zbiegać musi, chcąc z jednego drzewa na drugie się dostać. Nieprzebyty gąszcz stanowi niskie podszycie, złożone w znacznéj części z jednorocznych traw i krzewów, mocno ze sobą splecionych. Grunt cały w lesie jest pokryty grubą warstwą próchna, mchu i liści, w którą się człowiek zapada co chwila. W takich warunkach, podróż po lesie bez wydeptanéj ścieżki należy do rzeczy najuciążliwszych; wobec niéj skazanie po kępach na trzęsawiskach Litwy lub Polesia nazwać można zabawką.

Wilgoć i gorąco przyczyniają się do nadzwyczaj szybkiego wzrostu drzewa, które, dzięki temu, posiada rdzeń bardzo miękki, gąbczasty, niezdolny opierać się długo wpływom powietrza. Niezmierna znowu obfitość pasożytów, okrywających częstokroć całe drzewo jednolitą powłoką od korzenia do szczytu, zabija je bardzo szybko, a wielkie mrówki dobijają je ostatecznie, tocząc w niém niezliczone galerye; stąd też drzewa grube są tu stosunkowo rzadkie. Co dzień niemal słychać w lesie przy najzupełniejszéj ciszy w powietrzu łomot

walącego się olbrzyma. Natura trzebi te lasy staranniéj, niż u nas zachłanni przedsiębiorcy, to téż w niejednéj puszczy naszéj więcéj znajduje się starodrzewia, niż tutaj pod równikiem.

Główném znamieniem lasów amerykańskich jest nadzwyczajna rozmaitość drzew, które je składają. Z wyjątkiem bowiem bambusów, tworzących większe jednolite zarosty, trudno znaleść miejscowość, w któréjby jakaś roślina wyłącznie panowała.

Pomimo całego uroku podzwrotnikowy las dziewiczy ma swoje „ale“, zdolne niejednego od włóczęgi po nim odstraszyć. Nie mówiąc już o mgle, prawdziwie londyńskiéj, przez którą się słońca nieraz po tygodniu i więcéj nie widuje, wiele innych przyjemności czeka tu podróżnika. Jedną z najdotkliwszych plag są drobniutkie, zaledwie gołém okiem dostrzegalne owady, które wciskają się pod skórę, najchętniéj na stopie lub pod paznokciami, i sprawiają, jeśli się ich wczas nie wyjmie, silne zapalenia i owrzodzenia. Inne jeszcze choroby skórne czekają tu przybysza: najrozmaitsze wysypki, wrzodzianki i rany. Dość jest przejść się po lesie, aby być opanowanym przez którego z licznych tu świerzbowców, które jednak na szczęście wcieraniem spirytusu z łatwością się niszczą. Dodajmy do chorób powyższych febry zwykłe i żółte, reumatyzmy i wiele innych rzeczy, nawet nieznanych europejskiéj medycynie, a będziemy mieli przybliżone pojęcie o wszystkich przyjemnościach, czekających podróżnika w dziewiczych lasach. Niepodobna pominąć jeszcze moskitów i mrówek. Pierwsze mają wielkie podobieństwo do poleskich komarów, z tą tylko różnicą, że jest ich kilka gatunków, zmieniających się kolejno tak, iż jedne latają we dnie, drugie o mroku, trzecie zaś w nocy. Spać bez namiotu niepodobna.

Obfitość mrówek jest niezmierna. Dostają się one wszędzie, niszcząc zapasy żywności i zbiory przyrodnicze z dziwną szybkością. Szczurów i myszy moc tu ogromna, chociaż dziwiłem się zawsze ich grzecznemu zachowaniu się; z wyjątkiem jednego ananasa, nic nam nigdy nie tknęły, nawet tak łakomych dla nich rzemieni od siodel i munsztuków.

Z pomiędzy ptaków główny charakter faunie nadają papugi. W niezliczonych stadach, z piekielną wrzawą unoszą się one nad lasem lub spadają na pola kukurudzy i drzewa, dojrzałym okryte owocem. Wieczorem z nad brzegu rzeki dola-

tuje przenikliwy wrzask „kubalan!“ „kubalan!“ — wydaje go ptaszek z rodziny chróścieli. W sąsiednim lesie gwiżdże przeciągle kuropatwa; drugi ptaszek jakiś udaje świst lokomotywy. Na pobliskiéj porębie, porosłéj gęsto kwitnącym heliotropem, unoszą się kolibry wraz z rojem barwistych motyli. W gąszczu odzywa się melodyjny śpiew drozda, złożony z kilku dziwnie czystych srebrzystych nutek. Drobny strzyżyk, ukryty w nieprzebytym gąszczu, daje znać o sobie głośnym śpiewem. Skoro tylko się ściemni, odzywa się w oddali przeciągły gwizd olbrzymiego lelaka lub sówka jakaś miauczy jak kot w pobliskiéj bananiarni, a na plantacye wychodzą z ukrycia czworonogie szkodniki, n. p. dziki i sarny. W około domu krąży czarny kot, czyhając na kury i indyki, a tak bywa zuchwały, że wobec ludzi, za światła jeszcze drób w domu dusi.

Jaguary, niegdyś bardzo w téj okolicy liczne, dziś rzadko się bardzo pokazują. Podczas naszego pobytu jeden z nich krążył w okolicy, lecz go nam spotkać się nie udało. Opowiadano nam o pewnéj okolicy, tak dalece przez jaguary zamieszkanéj, że się żaden parobek w pobliskiéj osadzie nie dawał nakłonić do pilnowania bydła, w niéj hodowanego; ostatniego odważnego myśliwca, murzyna, który się na tę dobrze płatną posadę zgodził i zabił cztery jaguary, znaleziono po kilku tygodniach nieżywego obok trupa olbrzymiego jaguara.

Dziki chodzą stadami po kilkadziesiąt lub kilkaset sztuk razem, wielkie szkody wyrządzając w plantacyach trzciny cukrowéj. Człowieka, niezaczepione, nie napastują, lecz mają zwyczaj po strzale krążyć czas jakiś w całym pędzie wokoło miejsca, gdzie do nich strzelano; jeżeli w téj wędrówce spotkają człowieka lub psa, w jednéj chwili potną go na szmaty; lecz dość jest, ukryć się za drzewem lub stać o parę kroków na uboczu, ażeby być zupełnie bezpiecznym.

Pewien strzelec był świadkiem, gdy jaguar na te dziki polował. Czuł, widać, respekt przed nimi wielki, gdyż podążał za nimi w pewnéj odległości, upatrując ofiarę; wreszcie spostrzegłszy małego warchlaka, który się odciął od stada, rzucił się nań i jednem uderzeniem potężnéj łapy położył trupem, lecz w téjże chwili wskoczył na drzewo, oczekując na niem dopóty, aż całe stado, zakreśliwszy parę kółek w pobliżu zabitego towarzysza, z głośnym kwikiem znikło w zaroślach.

Wedł. *J. Siemiradzkiego*,

(Z Warszawy do równika).

75. Trzęsienie ziemi w Karakas.

Nadzwyczaj gorący był dzień 26. marca r. 1812. w Karakas, bogatém i wielkiém mieście Ameryki południowéj: w powietrzu była zupełna cisza, nie było ani jednéj chmurki na niebie, Już od pięciu miesięcy w całéj prowincyi Wenezueli panowała bezprzykładna susza, a na 90 mil dokoła nie spadła ani jedna kropla dżdżu. Nic zgoła nie zapowiadało zbliżającéj się okropnéj katastrofy.

Był to Wielki Czwartek i wszystek lud zebrał się w kościołach. W 7 minut po czwartéj popołudniu dało się uczuć pierwsze uderzenie. Trwało ono od 5 do 6 sekund i było tak silne, iż wprawiło w ruch wszystkie dzwony na dzwonnicach. Wnet potém nastąpiło drugie uderzenie, trwające od 10 do 12 sekund, które wprawiło ziemię w ruch falisty, na kształt wody, przechodzącéj w stan drżenia. Już myślano, że niebezpieczeństwo przeszło, kiedy dał się słyszeć przerażający huk podziemny, podobny do uderzenia piorunu, ale nierównie dłuższy i głośniejszy, aniżeli bywa zwykle piorun. Po nim zaraz dało się czuć mocne wtrząśnienie pionowe, trwające od 3 do 4 sekund, które przeszło potém w falowanie cokolwiek dłuższe. Uderzenia jego szły w kierunkach przeciwnych i krzyżujących się z sobą i były tak gwałtowne, iż całe miasto runęło od nich w gruzy.

Większa część mieszkańców znalazła śmierć w zwaliskach swoich domów i kościołów. Właśnie miała z kościołów wyjść procesya, a natłok ludzi był tak wielki, że na 3—4 tysięcy podają liczbę tych, co zginęli pod padającymi świątyń sklepieniami. Po krótkiéj chwili dziewięć dziesiątych części tego wielkiego i wspaniałego miasta, jednego z najpiękniejszych w Ameryce południowéj, zostało zburzonych do szczętu. Mała ilość budynków, na pozór ocalałych, była tak uszkodzona, iż nie mogła nadal służyć za mieszkanie. Mniéj cokolwiek zniszczenia widać było w częściach miasta zachodniéj i południowéj, między wielkim placem miasta i leżącym za nim wąwozem. Tutaj pozostał ogromny kościoł katedralny, który ochroniły od wypadku jego olbrzymie kamienne podpory. Podają na 9—10 tysięcy liczbę zabitych od tego trzęsienia, a jak zwykle w takich razach, było i wtedy jeszcze więcéj pokaleczonych.

Po dniu pełnym grozy nastąpiła noc cicha i pogodna; trzęsienia ustały zupełnie, tuman kurzawy, podnoszący się

nad zwaliskami i zaciemiający widnokrąg na kształt grubéj mgły, opadał na ziemię i księżyc w pełni oświecił swojém bladém światłem obraz niewypowiedzianéj klęski. Resztki ludności z jękiem i płaczem błąkały się pomiędzy zwaliskami, z pośród których dawały się słyszeć jękliwe wołania o pomoc ranionych i pozostałych jeszcze przy życiu. Wszystkie okropności zniszczenia, które wskutek takiéj plagi dawały się widzieć przedtém gdzieindziéj, jak w Lizbonie, okazały się tu jakby zabrane razem.

Po przebyciu takiéj straszliwéj plagi wzięto się przedewszystkiém do ratowania pokaleczonych i zagrzebanych żywcem. Udało się wyciągnąć przeszło 2000 tych nieszczęśliwych z gruzów. W braku pomieszczenia złożono ich za miastem nad brzegami rzeczki Guayra, pod cieniem drzew; ale pośród tego ogólnego zniszczenia brakło wszystkiego: nie tylko narzędzi chirurgicznych, ale wszelkich naczyń i sprzętów, łóżek i bielizny i nareszcie zapasów żywności. Wszystko pogrzebane było w gruzach. W braku rydlów i motyk rozkopywano je rękoma. Nawet wody zabrakło, bo wszystkie źródła i studnie w części znikły, w części zostały zawalone ziemią; musiano tedy nosić wodę z płynącéj daleko za miastem rzeczki, przy wielkim braku naczyń.

Po takich ciężkich trudach dla zachowaniu przy życiu tych, którzy przeżyli ów dzień zniszczenia, wzięto się do ostatniéj posługi tym, którzy padli jego ofiarą. Niepodobna było grzebać, jak należy, tak niezmiernéj ilości trupów i lękano się szkodliwych wyziewów od ich zgnilizny, przeto na zwaliskach miasta ułożono stosy i palono je przez kilka dni.

Po takiéj straszliwéj klęsce wielka trwoga ogarnęła wszystkich pozostałych i, jak to zwykle bywa w wielkich nieszczęściach, nawróciła ich do Boga. Widziano wtedy wszystkich bez wyjątku korzących się w rzewnych modłach; widziano zaciętych wrogów po wielu latach nienawiści rzucających się w objęcia i z płaczem darowujących sobie wzajemne urazy. Zgoła wszyscy weszli w siebie na tak groźne widowisko, jakoby powszechnego sądu i kary, zanim rychło potém wszystko znowu i tam wróciło do swego zwyczajnego trybu. Nowe życie zaczęło kiełkować i rozwijać się na ogromnym, świeżym grobie, a świat znowu i tam, jak wszędzie, zaczął kręcić się po dawnemu swoim zwyczajnym kołowrotem.

Wedł. *Stroynowskiego.*

76. Podróż w świat gwiaździsty.

Nieraz stałeś w nocy na dworze i patrzyłeś z podziwem na niebo. Widziałeś gwiazdy, iskrzące się i mrugające, i mówiłeś sam do siebie: „Jakie to piękne światełka! Ile też ich jest na niebie? Kto je zdoła policzyć? Kto zapala je co wieczora? Co tam może być poza nimi?“ Widziałeś księżyc, świecący w pełni, i myślałeś sobie w duszy: „Czy gwiazdy pogasły, że ich tak mało świeci przy księżycu? Czy może tylko zbladły przy jego blasku? Czy księżyc w istocie jaśniejszy, niż gwiazdy, czy tylko wydaje się nam jaśniejszym, bo bliższy? Co też tam widać na księżycu? Czy on istotnie tylko tak duży, jak talerz lub krążek, czy też może jest większym w rzeczywistości?“ Nieraz zdawało ci się, że poleciałbyś tam ku księżycowi i ku gwiazdom, gdybyś miał skrzydła ptasie.

Ale niestety! Choćbyś miał skrzydła orła lub sokoła, nie mógłbyś ani do księżyca ani do żadnéj gwiazdy dolecieć. Uniósłbyś się wysoko w powietrzu, tak wysoko, jak długo mógłbyś oddychać. Spojrzałbyś na dół, aby zobaczyć znany ci kościółek, oblany światłem księżycowém, a on wydałby ci się tak maleńkim, jak guziczek biały. Spojrzałbyś w górę ku księżycowi i ku gwiazdom i zdziwiłbyś się, że one wyglądają taksamo, jak wyglądały z dołu, i że do nich zawsze jeszcze niesłychanie daleko. Ale w końcu zabrakłoby ci tchu: czułbyś, że powietrze coraz rzadsze, im daléj od ziemi odleciałeś. Bo też powietrze nie sięga aż do księżyca i do gwiazd, jak niektórzy myślą; przylega ono do ziemi tak, jak łupina do jabłka. Poza niém nie ma czém oddychać. Musiałbyś tedy wkrótce wrócić na dół. My ludzie ziemscy tylko duchem zdołamy unieść się w świat tak daleki.

Patrzysz tedy znowu w niebo i żal ci, żeś żadnéj gwiazdy nie widział zbliska. Wyobraź sobie, że w téj chwili zbliża się ku tobie anioł Boży i że tak mówi do ciebie: „Dam ci skrzydła zorzy porannéj, którymi w jednéj chwili dwadzieścia razy po tysiąc mil ulecisz. Poprowadzę cię przez cały świat gwiaździsty i pokażę ci cuda tego świata“. I przypiąłby ci anioł skrzydła zorzy i poleciałbyś z nim w górę.

Oglądasz się poza siebie, aby zobaczyć wioskę rodzinną; lecz daremnie wytężasz oko. Ziemia już tak daleko, że nic na niéj nie widzisz, jak tylko plamki ciemniejsze i jaśniejsze.

A anioł ci tłómaczy: „Te ciemno-zielone plamy — to morza; te jaśniejsze — to lądy; te białe, błyszczące — to lody na górach wysokich i na morzach lodowatych“.

Patrzysz znowu na księżyc i spostrzegasz, że on rośnie w twych oczach, im bardziéj się do niego zbliżasz. Za trzy krótkie chwile stoisz już z aniołem na księżycu. I widzisz ze zdziwieniem, że tam na księżycu takiesame góry i doliny, jak na ziemi. Tylko wody płynącéj nigdzie nie widać śród skał i kamieni; ni trawki, ni kwiatka, ni zwierzęcia jakiegokolwiek nie dostrzeżesz. Nie słychać ni śpiewu ptasząt ni brzęczenia choćby muszki drobnéj. Wszędzie tylko zimne, twarde głazy. Spoglądasz tęskno ku ziemi i widzisz ją zawieszoną jak latarnię śród nieba. Wydaje ci się ona teraz taką, jakim ci się wydawał księżyc, gdyś patrzał na niego z ziemi; tylko że powierzchnia jéj 14 razy większa i więcéj plamami upstrzona, niż powierzchnia księżyca. A poza nią widzisz słońce takiesame, jakiém je z ziemi widziałeś. Anioł odgadł twe myśli i mówi: „Chcesz słońce zbliska zobaczyć? Dobrze, lećmy ku słońcu“. Lecicie tedy nazad ponad ziemię, oglądając ją dokoła; lecicie daléj, a słońce rośnie w twych oczach coraz bardziéj, im bardziéj do niego się zbliżasz. Ledwie pół kwadransa minęło, a słońce unosi się przed tobą rozżarzone, duże, olbrzymie, potężne, że ci pół nieba sobą zasłania. Oglądasz się poza siebie i pytasz się: „Gdzie ziemia i księżyc?“ A anioł pokazuje ci na niebie dwie gwiazdeczki drobniutkie obok siebie i mówi: „To wasza ziemia, to wasz księżyc“. A potém pokazuje ci anioł jeszcze ze trzysta takich gwiazdeczek, mniejszych i większych, i mówi: „Te wszystkie gwiazdeczki tańcują, podobnie jak ziemia, dokoła słońca. Ono je ogrzewa i oświeca. Ludzie na ziemi nazywają je planetami. Ale to wszystko niczém wobec tego niezliczonego mnóstwa innych gwiazd dalszych, które chciałeś widzieć. Z tych każda jest dla siebie słońcem, a wiele między nimi jest takich, które są daleko większe od waszego słońca“.

„Lećmy więc ku tym dalszym gwiazdom!“ mówisz do anioła. A anioł na to: „Daleka droga! choć masz skrzydła zorzy, to do najbliższéj z tych gwiazd potrzeba od słońca całe trzy lata lecieć“.

I polecieliście daléj w świat nieskończony. Przed wami ciągle nieprzeliczone mnóstwo gwiazd iskrzących; a słońce za wami maleje coraz bardziéj w waszych oczach, im bardziéj

od niego się oddalacie. Aż po niejakim czasie to słońce okazałe wydaje ci się maleńką, maleńką gwiazdeczką niepokaźną, taką, jakich krocie widzisz obok niego. A ziemia? a księżyc? Ani ich dojrzéć, tak one drobniutkie i małe!

I tak lecicie daléj ku gwiaździe jasnéj, którą ci anioł pokazał, mówiąc, że ona najbliższa słońcu i ziemi. Nie wiesz, ile tymczasem na ziemi minęło dni, tygodni, miesięcy i lat, odkądeś udał się w podróż, gdyż już nie możesz poznać po słońcu, kiedy w twéj wiosce rodzinnéj dzień nastał lub kiedy się skończył. Wierzysz tylko aniołowi, że przy końcu trzeciego roku podróży przylecisz do téj ciekawéj gwiazdy. Przybliżasz się do niéj i znowu widzisz, że ona w oczach twoich rośnie potężnie, ogromnie, świecąc jak słońce jaskrawe. Aż w końcu tak urosła olbrzymio, że ci sobą pół nieba zasłania, a blaskiem żaru swego oślepia twe oczy.

Lecz tyś jeszcze niezadowolony; chcesz dalsze jeszcze gwiazdy odwiedzić. I znowu mija kilka lat wędrówki, choć lecisz skrzydłami zorzy porannéj. I ciągle widzisz w podróży nieskończone mnóstwo gwiazd przed sobą, za sobą, pod sobą, nad sobą: cały świat iskrzy się gwiazdami dokoła. I ciągle widzisz niebo ciemne, przepasane mleczną drogą jak wstęgą lub obręczem jasnym. I pytasz anioła: „Cóż to za droga tak piękna, którą i z ziemi widać, a która ciągle tak daleko?“ A anioł ci rzecze: „Nie jest to żadna droga ani gościniec. To tylko krocie gwiazd, co świecą na pozór obok siebie, a z których właściwie jedna daleko poza drugą. A że do nich bardzo daleko, więc wydają się drobne jak mak świecący. Ale każda z nich jest dla siebie słońcem ogromném. A do nich olbrzymia droga: choć lecisz skrzydłami zorzy, potrzeba dwa tysiące lat lecieć, aby poza nie się dostać“. „A cóż poza nimi?“ — pytasz. — „Leć ze mną, a zobaczysz!“

I lecisz znowu i mijasz krocie gwiazd po drodze: i każda zrazu wydaje ci się drobniutką, jak iskierka, a potém rośnie olbrzymio, gdy do niéj się zbliżasz; a potém znowu maleje, gdy się od niéj oddalasz. Nareszcie minąłeś najdalszą gwiazdę w mlecznéj drodze, ku któréj leciałeś. Spoglądasz poza siebie i wydaje ci się, jakgdybyś miał za sobą rój olbrzymi, w którym pełno nie pszczół brzęczących, lecz gwiazd iskrzących. A przed tobą daléj ciągle jeszcze niebo, ciemne, niezmierzone, a na niém mnóstwo takich rojów gwiaździstych, bez liczby i końca.

Cóż wtedy masz uczynić? Choćbyś leciał jeszcze dziesięć tysięcy lat, ciągle będziesz miał przed sobą nowe roje gwiazd, mlecznymi drogami opasanych. Więc chyba wrócisz nazad na ziemię. Ale tam nie masz czego wracać. Pomyśl sobie, jak dawno udałeś się w podróż. Przeszło dwa tysiące lat minęło, odkąd wyleciałeś; aby na ziemię powrócić, znowu dwóch tysięcy lat potrzeba. To czyni razem cztery tysiące lat. Co tam na ziemi tymczasem stać się mogło? Ile tysięcy ludzi umarło? Ile miast nowych wybudowano, a ile dawnych zawaliło się w gruzy? Ile wojen, ile bitew stoczono? Ile królestw nowych powstało i przeminęło? Bo na ziemi wszystko przemija.

Więc anioł rzecze do ciebie: „Tyle tysięcy lat już wędrujemy na skrzydłach zorzy, tyle tysięcy gwiazd minęliśmy, a przeszliśmy zaledwie jednę małą cząstkę świata. I widzisz, że jeszcze nieskończone obszary świata masz do zwiedzenia“. Więc pytasz: „A gdzież jest koniec tego świata?“ A na to anioł ci odpowie: „To chyba wie sam Bóg tylko! On jeden przeszedł i przeliczył te gwiazdy, jak pasterz owce liczy, albowiem u niego tysiąc lat, jakby jeden dzień u człowieka. A ten rój gwiazd, któryśmy przebyli, to w ręku Boga tyle, co dla ciebie garść piasku, który rzucisz przed siebie. Od wieków tyle gwiazd unosi się w wszechświecie, a każdą trzyma ręka Boża; każda jest na miejscu, które jéj Bóg wszechmocny wskazał“.

Tak powie ci twój anioł stróż, gdy powrócisz na ziemię po téj podróży. I doda potém: „Nie leciałeś ty po niebie skrzydłami zorzy porannéj, tylko uniosłeś się ku gwiazdom myślą swoją. Patrz, jak dziwnie cię Bóg stworzył i ozdobił: dał ci duszę, podobną do aniołów. Gdzie promień zorzy potrzebuje tysiące lat lecieć, tam myśl twoja zaszła w krótkiéj chwili. Prócz człowieka żadne inne stworzenie na ziemi nie zdoła wznieść się myślami w świat gwiaździsty; żadne inne stworzenie nie może sobie wyobrazić tego cudownego porządku, jaki w świecie Bożym panuje. Wznośże się nieraz duchem ku Bogu, uwielbiaj Stwórcę wszechświata i dziękuj Mu za to, że cię wywyższył ponad wszystkie stworzenia! Dziękuj Mu za to, że ci dał zdolność poznania tylu wielkich i pięknych rzeczy. A żyj tak, aby w twojéj duszy był taki piękny spokój i porządek, jaki jest tam, śród gwiazd na niebie“.

Bol. Baranowski.

II.

77. Okrężne.

W polu stoją rzędami kopice na świeżém ściernisku, a drogą do wsi toczą się wozy ze snopami do stodół kmiecych i dworskich. Rolnik uwija się żwawo, bo służy mu pogoda do zbioru plonów całorocznéj pracy. Oj, miał on pracy nie mało; nieraz pot z jego czoła zrosił twardą skibę, zanim doczekał się téj chwili, kiedy dojrzał łan srebrzystego żytka i pszenicy złocistéj. Pracowici ludzie podążyli na pole w upał letni, niosąc sierpy i kosy, zboże ścięli i w snopy powiązali i kłosy zgrabili na ściernisku porządnie, a dziś właśnie żniwo będzie dokończone, więc wielka stąd radość rolników i uroczysta dla nich godzina. Nie wybił im grad zboża, nie wypaliła susza, nie zniszczyły plonów ulewy, więc jest się czém weselić, jest téż za co ziemi rodzinnéj błogosławić.

Żniwiarze zwijają się dzielnie, łan zboża co chwila maleje, wietrzyk chłodzi uznojone skronie i w dal unosi dźwięczny głos pieśni dożynkowéj.

Gdy zboża było już na polu niewiele, zostawiono ostatnią garść nieżżętą dla przepiórki, a dziewczęta zaczęły wić wieniec dożynkowy. Przyniesie go dziś gospodarzowi z pola najdzielniejsza ze wszystkich żniwiarek, zwana przodownicą lub postatnicą. Ten wieniec wyobraża cały tegoroczny plon czyli urodzaj, więc powinny być użyte do niego różne rodzaje zboża: pszenica, żyto, jęczmień i owies. Wplatają także kwiaty, kalinę i gałązki laskowych orzechów, czyli wszystko to, czém się zdobią niwy i czém bogate są lasy. Wieniec powinien być ogromny i wspaniały, bo ma on wyobrażać obfity plon rolnika.

Gdy tak przy odgłosie pieśni uwito wieniec i włożono go na skronie hożéj dziewoi, żniwiarze, otoczywszy ją kołem, ruszyli drogą ku wiosce. Słońce ostatnim promieniem ozłociło bujne kłosy pszenicy nad czołem żniwiarki, gdy gromada pracowitéj czeladzi uroczyście postępowała ze śpiewem:

Od zielonego gaju,
Od bystrego Dunaju
Niosą wianek ze złota,
Żniwiareczek robota:
Plon niesiem, plon!

Wyżęliśmy już wszytko,
I pszeniczkę i żytko,
A od granic do granic
Już na polu nie ma nic:
Plon niesiem, plon!

Dzisiaj do jegomości
Przybędzie dużo gości,
Zasiędziem stoły potężne,
Bo dzisiaj mamy okrężne!
Plon niesiem, plon!

Tymczasem we dworze panował ruch niezwykły. Przynoszono ze śpiżarni przed ganek kosze z owocami, mięsiwem, serem i chlebem. Beczka piwa zajęła miejsce pod starą lipą, gdzie ustawiono długie ławy i szerokie stoły. Pani wydawała różne polecenia domownikom, a dwie podrastające córki pilnowały, ażeby rozkazy matki spełniano, jak należy. Sam gospodarz, pokręcając radośnie sumiastego wąsa, witał najbliższych sąsiadów, którzy, zaproszeni na okrężne, przyjechali z licznem gronem dziatwy, bawiącéj na wakacyach.

Wieśniacy szli wolno, a zbliżając się do bramy, która umyślnie była zamknięta na to, żeby ją sam dziedzic otworzył, zanucili:

Nie żałuj, panie, siwego źrebca,
Ślij po muzykę, choćby do Królewca:
Plon niesiem, plon!

Zaścielaj, panie, stoły i ławy:
Jedzie do ciebie gość niebywały,
Plon niesiem, plon!

Wypraw nam, panie, sute okrężne,
Bo ci niesiemy dary potężne,
Plon niesiem, plon!

Otwieraj, panie, szerokie wrota:
Niesiem wianeczek z szczerego złota,
Plon niesiem, plon!

Otwieraj, panie, nowy swój dwór,
Bo ci niesiemy cały twój zbiór,
Plon niesiem, plon!

Wynijdźże, panie, z całą drużyną,
Przyjm od dziewczyny wianek z kaliną:
Plon niesiem, plon!

Na odgłos tego śpiewu dziedzic wyszedł naprzeciw czeladki i sam otworzył gościnnie szeroką bramę, zapraszając żniwiarzy do dworu. Gdy wchodzili, dwóch zaczajonych parobczaków nagle oblało wodą wieniec i zarazem niosącą go przodownicę, gwoli figlarnemu zwyczajowi, żeby, jak mawiano, nie było suszy na przyszłoroczny urodzaj.

Dziedzic z żoną stał w ganku, otoczony gronem rodziny i gości. Żniwiarze ze śpiewem przystąpili przed dwór, a gdy umilkli, przodownica oddała wieniec gospodarzowi, a druga dziewoja, najlepsza po niéj żniwiarka, wręczyła gospodyni równiankę czyli pęczek kłosów pszennych, mających wyobrażać niby snop nowego zboża. Oboje państwo, uprzejmie podziękowawszy za wieniec, dali obu dzielnym żniwiarkom podarki w nagrodę ich wzorowéj pracy. Wieniec po wyjęciu z niego orzechów, zawieszono na wydatném miejscu w sieni dworu, podług starego polskiego zwyczaju.

Pan i pani zapraszali czeladź i kmieci na posiłek, zachęcając do niego wszystkich serdecznie i przestrzegając, ażeby o nikim nie zapomniano. Tymczasem, ponieważ zrobiło się ciemno, zapalono na dziedzińcu latarnie i wiejska kapela, złożona ze skrzypka, basisty i bębenicy, zaczęła grać od ucha staroświecki taniec, zwany powolnym lub polonezem. Dziedzic podług pięknego i odwiecznego zwyczaju naszego jako gospodarz, wziąwszy do tańca przodownicę, sunął z nią w pierwszą parę, a najpoważniejszy gospodarz z wioski, przystąpiwszy do pani, poszedł z nią w drugą parę. Za nimi cała gromada wiejska, pomieszana z gośćmi, ruszyła parami w krąg wielki.

Gdy wszystkie pary trzykrotnie przetańczyły powolnego, zabrzmiał ochoczy oberek, a późniéj dziarski mazur. Na błękitném niebie pogodnéj nocy zaświecił srebrzysty księżyc z gwiazdami i przyćmił światło latarni, a tak przy wesołéj muzyce trwały tańce i ochota, dopokąd na wschodzie nie ukazała się rumiana jutrzenka. *Zygmunt Gloger.*

78. Wigilia Bożego Narodzenia.

Nadeszły święta. Zajechał mój wuj z bawiącymi przy nim siostrami, a tak zwiększyło się kółko nasze familijne. Oprócz rodziny naszéj zaprosił ojciec miejscowego plebana,

rachmistrza i ekonoma, nieżonatych, a témsamém domu własnego nie utrzymujących.

Gdy już podano wieczerzę, ojciec, wziąwszy talerzyk z opłatkami, podszedł z nim do swéj matki. Powstała staruszka, przeżegnawszy się, wzięła opłatek i postąpiła z nim do plebana; następnie błogosławiąc syna, synowę i nas wnuki, łamała z wszystkimi ten chleb uroczysty; potém zwróciła się do moich ciotek i wuja, dla których zawsze macierzyńskie miała uczucia, szła daléj do zaproszonych oficyalistów, a nakoniec nie pominęła i sług domowych. Rodzice moi tążsamą koleją za matką postępowali. Uroczysty to obrzęd to łamanie się opłatkiem! Wynurzają się najżyczliwsze uczucia, jednają poróżnieni i równają się wszelkie stany; dzieci u nóg rodziców składają serdeczne życzenia. Tak było i u nas: oboje rodzice i nas troje dzieci, pokłoniliśmy się do nóg sędziwéj naszéj babuni i z opłatkiem błogosławieństwo jéj odbierali. Było nas osób dwanaście: na pierwszém miejscu siedziała nasza babka i ksiądz pleban, my dzieci na szarym końcu. Stół sześciu jarzącymi świecami był oświecony. Długo ciągnęła się wesoła wieczerza, bo starodawnym zwyczajem mniéj dwunastu potraw na wieczerzę wigilijną być nie mogło; ubodzy nawet na sześć się zdobywali. Już podawano kutję, kiedy pod oknami odezwały się skrzypce i gęśle i kilka głosów zakolędowało: „A n i o ł p a s t e r z o m m ó w i ł“.

Noc była śliczna zimowa, czysty i jasny księżyc lał swe srebrzyste światło po ubielonych śniegiem polach, droga sanna była wyborna, mróz niewielki, powietrze ciche. Łaskawi sąsiedzi, uwinąwszy się wcześnie u siebie z wieczerzą, najechali nas po cichu i kolędą pozdrowili.

Wyszedł ojciec na spotkanie miłych gości i z całą naszą narodową uprzejmością do pokoju zaprosił. Goście nasi była to zacna rodzina Lubienieckich, trzech braci i trzy siostry, i dwóch Trzebuchowskich, których siostra była za średnim Lubienieckim. Nastąpiły przy opłatku życzenia i przyjacielskie uściski. Wszedł kielich ze starym maliniakiem, a za nim i butelka niedzisiejszego węgrzyna. Matka moja kawą i gruszkami zimowymi przyjmowała panie, panny Lubienieckie nas dzieci wybornymi pierniczkami i domowymi suchymi konfiturami zasypały. Podochoceni muzykanci uderzyli w skrzypce i gęśle, wdzięcznie brzmiały pod palcami Kamińskiego żelazne struny, w ręku ociemniałego Lewandowskiego miło śpiewały skrzypce

czternastoletni syn mu wtórował. Obaj ci muzykanci pochodzili z rodu szlacheckiego, znajomi byli w okolicy i od wszystkich lubiani.

Kolęda szła za kolędą, nakoniec wesoły ozwał się mazurek. Panien było cztery; młodzi Lubieniecki i Trzebuchowski, mój wuj i rachmistrz Wojakowski ochoczo stanęli do koła. — „Za pozwoleniem! przepraszam ww. państwa!“ — ozwie się, powstawszy ze swego krzesła, babka nasza. — Nie tak bywało za moich czasów na Litwie u ś. p. ciotki mojéj, pani pułkownikowéj Kościowéj, panie świeć nad jéj duszą. Mości Wojski, proszę ze sobą“ — mówiła do starszego Lubienieckiego — „nie dlatego, żebyś nas laty przewyższał, ale żeś najdostojniejsza między nami osoba. Służę W. panu Dobr. Panie Lewandowski! „W żłobie leży!“

Zabrzmiały struny tą poważną kolędą; wszyscy patrzą, co to będzie.... Staruszka, zacząwszy śpiew drżącym głosem, posuwa kilka kroków; wszyscy podziwiają, że kolęda w taniec się zmienia, poglądają po sobie; ale babka posuwa się daléj i, stanąwszy przed obrazem Narodzenia Pańskiego, który pośród innych główną ścianę przystrajał, zatrzymała się i, z rękoma wzniesionymi do obrazu prześpiewawszy parę strof, w czém już i cała kompania dopomagała — „Teraz, panie Lewandowski! narodowego“ — rzeknie, a obracając się do mojéj matki: „Kasiu kochana, pani synowo, wyręcz mię do tańca! a Wiel. pana Dobrodzieja — mówiła daléj — przepraszam za moję śmiałość; ale przypomnijcie sobie, że żłobek nowonarodzonego Zbawiciela i króle i pasterze zarówno śpiewem i pokłonem witali. Nie od tegoż i nam zacząć należało?“ — Ucałował wojski ręce staruszki i — „Panie Łukaszu!“ — zawołał — „szafuj wina, wypijemy zdrowie mamy Dobrodziejki, a my tymczasem z namiestnikową Dobrodziejką jaki raz i drugi wywiniemy się narodowego. Panie Lewandowski! Kościuszkowskiego!“ Musnął wąsa, poprawił wyloty i posunął w pierwszą parę z moją matką; za nimi ruszyli i drudzy.

Po skończonym „Polskim“ młodzi stanęli do mazura w cztery pary, starsi pociągali węgrzyna, to za zdrowie naszéj dobréj babuni, to za gospodarstwo, to za resztę kompanii, przyczém miła, przyjacielska toczyła się pogadanka. Tymczasem w kościółku odezwały się dzwony i muzyka umilkła. — „Na pasterkę, kto łaskaw!“ rzekł mój ojciec; i całe towarzystwo udało się do kościoła. Po mszy, na któréj wszyscy jednogło-

śnie śpiewaną kolędą Boga chwalili, goście, wymógłszy przyrzeczenie, że babka moja, rodzice i cała nasza rodzina zjadą jutro do pana wojskiego na przyjacielski obiadek, odjechali do domu, a nasi udali się na spoczynek.

Ze słodkiém uczuciem ja to wspominam, bo zdaje mi się, że dziś jeszcze widzę te zacne, polskie, posuwiste pary, słyszę miły dźwięk strun gęśli pod biegłymi palcami Kamińskiego, że jeszcze patrzę na piękne rysy Piotrusia Lewandowskiego, bolejącego nad kalectwem ojca. Zdaje mi się, jakbym jeszcze był obecny poważnéj wesołości szanownéj matrony, ukochanéj babki mojéj. Chwile dzieciństwa są to chwile szczęścia, których trudno zapomnieć.

Antoni Andrzejowski,
(Ramoty starego Detiuka).

---

79. Pochód na Połoniny.

Wielkie to święto w górach, powszechna u Huculów radość, gdy z brzaskiem wiosny zazielenią się pasze na połoninach i przyjdzie pora wyruszenia z owcami i bydłem na całe lato w połoniny.

Z początkiem czerwca ożywiły się wszystkie gór wierzchołki. Już Czarny las zaczął się okrywać zielonym liściem, „Czeremosz szumi po skale“. Huculi wyruszają ze swych chat z owcami i bydłem i spędzają je gromadnie, ażeby potém uroczyście wyruszyć w pochód na połoniny. Przez cały tydzień ściągają się zewsząd trzody, brzmi zewsząd huculska muzyka, odbijając się rozgłośném echem po gór załomach.

Dnia 13. czerwca odbywa się uroczystość, zwana mieszaniem. Wówczas spędzają wszystkie owce razem i dzielą je na hurmy, po kilkaset, a czasem po kilka tysięcy sztuk liczące, a to stosownie do rozległości połonin, na które udać się mają. Następnie obierają b a c ę czyli w a t a ż k ę, t. j. najstarszego pasterza dla każdéj hurmy, który przez całe lato na połoninie najwyższą posiada władzę nad wszystkimi b u t e j a m i, t. j. dodanymi mu do pomocy owczarzami. Na tę uroczystość wyruszają Huculi z całymi rodzinami. Bogaci pędzą po kilkaset sztuk owiec, po kilkanaście bydła rogatego, ubożsi po kilka, a biedacy, nie mający własnego dobytku, ciągną pomimo tego także za innymi, aby być świadkami powszechnéj radości i powszechnego święta.

Jakiż to ruch, jakie wesele, gdy się zbliżają ze wszech stron ku sobie! Bieleją się góry i ścieżki owiec stadami, grzmią ze wszech stron powitalne wystrzały, gdyż Huculi, zbliżając się ku sobie, palą ze strzelb i pistoletów na wiwat; gra muzyka, wesoło parskają żwawe koniki i przyśpieszają kroku, czując radość powszechną. Zbliżywszy się ku sobie, witają się z koni dawni znajomi, ściskają się i całują, starzy i młodzi, bliscy i dalsi, częstując się wzajem winem albo wódką z przewieszonych u koni baryłek. Kobiety szykują się na uboczu i przypatrują zdala powszechnemu weselu.

Nowo wybrany wataha przystępuje teraz do głównéj roboty, mianowicie do rozgatunkowania owiec, do wydoju i wymiaru, ile mleka wydają owce każdego z właścicieli, aby według tego wiedzieć, ile któremu wypadnie następnie wydzielić bundzów i bryndzy z ogólnego podoju. Czynność to bardzo ważna, wymagająca znawstwa i sprawiedliwości ze strony watahy.

Doświadczony baca rozpozna natychmiast, która owca lub jagnię, schorzałe i słabe, nie wytrzyma wędrówki na połoniny. Takie wydzielają i rozdają ubogim wdowom lub sierotom. Ileż radości bywa z tego ubożuchnego daru! Mała sierotka, która dotąd nic swego na Bożym świecie nie posiadała, jakże się cieszy z tego swojego skarbu! jak zapobiegliwie pielęgnuje owo jagniątko, aby się z niego owcy, a z owcą spełnienia najbujniejszych nadziei doczekać! Błogosławi dzień ów i owę dobroczynność starszych, którzy, posiadając wiele, i o uboższych od siebie nie zapominają.

Gdy się to dzieje, gdy starsi zajęci są tak ważną dla nich czynnością, tymczasem młodzież, otaczająca wokoło całą równinę, zabawia się wesoło strzelaniem o zakład do celu i rzucaniem toporkami. Ile tam śmiechu, wrzawy i wesela! Gdy ponad rzeszą wesołą orzeł przeleci, to dobra wróżba; ale kiedy zawiśnie w powietrzu i długo ponad głowami w jednym punkcie krąży, niedobrze to o przyszłém lecie wróży; smutni wzdychają buteje, powtarzając sobie złowieszczo, że przyjdzie jakieś „licho“, nieszczęście.

Po ukończonéj czynności wymiaru mleka i podziału trzód następuje uczta, któréj ofiarą pada najtłuściejszy baran. Oprócz tego gotują na śmietanie z mąki kukurudzianéj „mamałygę“, która jest najulubieńszym przysmakiem Hucuła. Po uczcie rozpoczyna się uroczysty pochód na połoniny. Rozcho-

dzą się wszystkimi ścieżkami ku połoninom białe stada owiec, jakby rozlewające się wokoło potoki. Przodem idą buteje, w czarnych, wymoczonych w tłuszczu koszulach, brzmią nawoływania pasterzy, ryk bydła, naszczekiwanie psów owczarskich, wrzawa i pożegnania. Kobiety i starcy wracają do domów, młodzi przez całe lato pozostają na połoninach.

Każda połonina ma mniéj więcéj około 500 morgów; roślinność na nich bujna, jest więc gdzie paść trzody, a zdrowie i myśl wesoła służą Hucułowi przez cały ten ciąg pasterskiéj wędrówki po górach. Gdy jednę połoninę wypasą, ruszają daléj i tak przez całe lato wiodą życie koczownicze. Przybywszy na połoninę, zabierają się naprzód do ogrodzenia koszary na bydło i do postawienia szałasu na mieszkanie dla siebie i na skład nabiału. Tam nieustanny płonie ogień, głównie dla odstraszenia wilków i niedźwiedzi od napaści na trzodę. Całe lato przyrządzają tam bundze i żętycę, biją bryndzę; żętyca z bryndzą i mamałygą kukurudzianą jest téż zwykłém ich pożywieniem.

Do tego obozowiska przyjeżdzają właściciele owiec na swych konikach, obwieszonych podłużnymi beczułkami, po swe bundze i bryndzę, a napełniwszy beczułki, wracają z tym plonem do domu, przywożąc do wsi wieści o tém, co się dzieje na połoninach, czy bujne pasze i obfity podój i czy nie było jakowéj szkody.

O szkodnika nie trudno na połoninie. Wilk i niedźwiedź to nieprzyjaciele, przed którymi się nieustannie trzeba mieć na baczności i odpłaszać ich czujnie ogniem, strzelbą i krzykiem. Przemyślny niedźwiedź stara się podejść czujność pasterzy i psów. Dlatego skrada się cichaczem do koszary, zazwyczaj pod wiatr, aby go psy węchem nie poczuły zdaleka; a jeżeli mu się uda zbliżyć niepostrzeżonym do koszary, chwyta barana, przerzuca go przez grzbiet i ucieka, co sił, ze zdobyczą. Na konie, trzymające się razem tabunem, nie napada, chyba jeżeli się koń odłączy od innych i jeżeli uda się go zajść z tyłu. Podobnież poluje na bydło. Dognawszy, rzuca się z wielką zwinnością na grzbiet wołu, ujmuje go lewą łapą za szyję, a prawą popędza to w tę, to w owę stronę, tłukąc nielitościwie swą ofiarę, dopóki jéj nie zapędzi w nieprzystępne skały i tam jéj nie udusi. Bydło za zbliżeniem się niedźwiedzia wydaje ryk przeraźliwy. Ognia i strzałów boi się on i umyka, gdy je posłyszy, porzuciwszy łup za

sobą; ale przed pogonią broni się odważnie, pieniąc się i rycząc ze złości, albo przysiadłszy na tylne łapy, rzuca zdaleka bryłami kamieni na nieprzyjaciela.

Mniéj może strasznym, ale równie niebezpiecznym nieprzyjacielem pasterzy w górach jest wilk. Wpadłszy niepostrzeżenie do koszary, mogą wilki w kilku minutach sprawić ogromną szkodę między owcami. Jakoż buteje ze swymi psami czuwają bacznie, aby niedopuścić szkodników.

Władysław Zawadzki,
(Huculi).

---

80. Pożar w Rumianéj.

W domu pana Graby licznie zebrani goście bawili się swobodną gawędką. Nagle syn pana domu wstał i wyjrzał od niechcenia przez okno; zastanowił się w niém przez chwilę i zbliżył się ku ojcu ze źle pokrywaną niespokojnością, lecz widząc, że ojciec na niego nie uważa, powrócił do okna raz jeszcze, począł coraz pilniéj wpatrywać się, zakręcił się, udając obojętnego, przeszedł po pokoju i, nic nie mówiąc, wymknął się. Graba zwrócił się magnetycznym jakimś ruchem do okna, spojrzał w nie, wstrząsnął się, zerwał i podbiegł bliżéj. Za nim się wszyscy z miejsc swoich ruszyli, nie wiedząc, o co chodzi, ale wnosząc z poruszenia, że żywe ruszenie się do okna nie było bez powodu.

— Cóż to jest? — spytano. Graba poglądał w milczeniu, blady, i w myśli zdawał coś rachować. Słup gęstego dymu, krwawe od spodu przybierając barwy, wznosił się na północnéj widnokręgu stronie ponad lasy, otaczające zewsząd okolicę.

— Gore! pożar! — Pożar! powtórzył Graba — i zdaje mi się, że u mnie. Ale gdyby i nie tak było, zarówno obowiązkiem jest każdego, co ma zdrowe ręce, śpieszyć na pomoc nieszczęśliwym.

Po tych słowach chwycił za czapkę i rzucił się ku drzwiom.

— Pozwól pan — rzekł ktoś — i mnie towarzyszyć; mam ręce zdrowe, choć dotąd do pracy nieprzywykłe; nie pogardzaj nimi. Dadzą mi konia, pojadę z wami; sam nie trafiłbym może, nie znając okolicy.

— Chodźmy, śpieszmy! — rzekł, poglądając to ku stajni, to na pożar, coraz się rozszerzający. Nareszcie rozległ się ten-

tent koni, które kłusem prowadzono ze stajni. Graba stary i młody wskoczyli na najdzielniejsze z całéj stajni rumaki, a wszyscy dworscy ludzie, wedle wprowadzonego obyczaju, dosiedli każdy, jakiego kto pochwycił, konia i gotowi byli towarzyszyć.

Ze wsi téż widać było w polu mnóstwo konnych, na wyścigi biegnących w stronę pożaru; każdy rzucał robotę, dosiadał konia i gnał ku łunie.

W orszaku dworskich Grabowie puścili się cwałem ulicą. Wszyscy milczeli, konie gnały zasapane. Po drodze coraz się zwiększał orszak łączącymi się ludźmi, śpieszącymi od wsi do pożaru.

Oczy wszystkich wlepione były w ogromną łunę. Ogień, rozdęty jesiennym wiatrem, który, jak zwykle nad wieczorem, nie wiedzieć, skąd się zerwał, szerzył się widocznie. Słup czarnego dymu, wśród którego wyskakujące iskry świeciły gwiazdkami, leniwo posuwał się w górę, rozsiadając się szeroko na prawo i lewo. Niekiedy przypadł nieco, lecz jakby tylko dlatego, żeby po chwili buchnął potężniéj jeszcze i roztoczył się po widnokręgu.

Wioska pana Graby leżała za lasem, a droga do przebycia kręta i wyboista, dla śpieszących a niepewnych nóg koni, których dosiedli, była prawie niebezpieczna. Wielu téż zmuszonych było zwolnić biegu. Grabowie tylko śpieszyli po manowcach pędem, dowodzącym odwagi i zapału, z jakim lecieli na ratunek. Niekiedy wśród mroku mignęła tylko kałuża, rozprysło się błoto z pod stóp koni, zachrzęszczała gałąź, zaszeleściały liście i który z wierzchowców parsknął ustraszony.

Gdy się las rozrzedzać począł, a mrok padał coraz gęściejszy, przez poplątane gałęzie krwawo przeświecającą ujrzeli łunę pożaru. Wioska za łąką i groblą leżała jeszcze o małe pół mili, a już ogień oświecał kraj cały i drogę, którą przebywać mieli śpieszący na ratunek. Wyjechawszy z lasu, spostrzegł stary Graba, że to, czego się dotąd domyślał, było na nieszczęście prawdą: wioska jego paliła się, a wicher gnał płomienie ze stodół na stodoły i rząd gumien włościańskich, napełnionych zbiorem jesiennym, cały prawie wystawiony był na pastwę ognia.

— O wolałbym sto razy, żeby moje stodoły i toki spłonęły! — zawołał z uczuciem Graba. — Biedni ludzie! biedni ludzie! — I wyprzedzając drugich, zaciął silnie konia, który,

sił ostatnich dobywszy, poskoczył naprzód i posunął się parskając znajomą sobie groblą.

Straszny, lecz majestatycznéj piękności widok pożaru! Czarne już niebo rozświecało się kłębami krwawego dymu, lasy pobliskie, wieżyczka cerkwi, biały front kapliczki jaśniały oblane jaskrawym blaskiem. Gumna, jak stosy pogrzebowe, pałały to żółtym, to czerwonym, to sinym płomieniem i dymem. Czerwone jego kłęby, jak wielka zasłona, wahały się nad wioską, rozdzierane wiatrami i posuwane na różne strony. Trzask upadających budowli, po którym płomień z nową gwałtownością wybuchał, krzyk ludzi, żałobny dźwięk odzywających się dzwonów i głuchy szum wichru jesiennego towarzyszyły chórem téj klęsce. Im bardziéj zbliżali się jadący, tém jaskrawiéj oblewało ich złowrogie światło, tém wyraźniéj dochodziły uszu krzyki, na które serce poruszało się w piersi. Te zdaleka dochodzące jęki, których przyczynę każdy zgadywał, a może od rzeczywistéj wystawiał ją sobie straszniejszą, przejmowały niepojętém uczuciem trwogi i boleści.

Już byli pod wsią, ciepły wyziew ognia obejmował ich dokoła, dym duszący zalewał piersi, wszystkie głosy wielkiéj sceny zjednoczyły się i zlały w jeden wtór żałobny, którego dźwięków czyjeż nie słyszało ucho, czyje nie zapamiętało serce? Dla pośpiechu ojciec i syn, ostatkiem sił koni swych goniąc, przesadzali niskie płoty i puścili się wpoprzek ogrodowych zagonów.

Wiatr pędził im w oczy dym i iskry, a konie rzucały się przerażone ognistymi pociski, które leciały jak zapalone żagwie, roznosząc daleko zniszczenie. Ziemia posypana była dogorywającymi snopkami i skwarzącym się węglem. Doścignęli już stodół, a że z téj strony pożar jeszcze ich był nie objął, właśnie tu żwawy ratunek stawał się najpotrzebniejszym. Koń pana Graby puszczony wolno, bo jeździec stanął u celu, pędził parskając znajomą sobie drożyną ku dworowi i stajniom.

— Pan! pan! — ozwały się głosy prawie radosne.

— Dzieci! na dachy! — zakrzyczał Graba, podnosząc rękę. — Rozrzucić stodołę Wasyla! przerwiemy ogień. — I w mgnieniu oka lud miejscowy i przybyły drapał się już na budowlę; ale w téjże chwili dał się słyszeć jęk bolesny:

— Chaty się palą! chaty goreją!

Graba wyrwał się, przelatując ciasnym zaułkiem między dwiema palącymi się stodołami, i przesunął szybko w ulicę ku domostwom. W istocie rząd chat, stojących wedle zwyczaju naprzeciw stodół, w szerokiéj budowany ulicy, chociaż nie tak niewolniczym sznurem, jak gdzieindziéj, poczynał płonąć już także.

Tu kupa największa zgromadziła się ludzi, bo każdy ratował, co mógł, albo płakał z załamanymi rękoma nad tém, co już stracił, albo truchlał, obawiając się straty

Jedna chata, cała objęta płomieniem, paliła się nad inne silniéj i prędzéj. Ludzie w podwórku zrzucali uratowane sprzęty; wtém dał się słyszeć przeraźliwy, wszelki głos tłumiący krzyk kobiety która leciała ku domostwu, trzymając nad głową wzniesione i załamane ręce.

— Dziecię moje! moje dziecko! gdzie dziecko?

Mąż ze spuszczoną głową stał milczący, ona wiła się rozpaczająca. Płomień przez sień rozpaloną już sięgał do wnętrza, pełnego dymu.

Posłyszeć krzyk ten, obejrzéć się i w mgnieniu oka poskoczyć do drzwi chaty, nie kosztowało chwili namysłu staremu Grabie. Syn, który za nim śpieszył, ujrzawszy to, osłupiał na moment, zastanowił się i zdrętwiał na miejscu. Ale gdy ojca powracającego nie widział, pędem rzucił się we drzwi domostwa, które coraz rozpalało się bardziéj, i zniknął w kłębach dymu.

Ludzie, kochający pana jak ojca, z krzykiem przerażenia otaczać poczęli chatę, rzucając ratunek budowli. Wtém syn i ojciec z dziecięciem na ręku ukazali się we drzwiach i wyskoczyli z nich osmaleni, okopceni, ale zdrowi. Ogromny odgłos radości jakby z jednych ust razem się wyrwał.

A matka? — Matka padła przed zbawcą dziecięcia na kolana, załamała dłonie i, chwytając jedynaka, a tuląc go do piersi, omdlała.

Graba już był daleko i biegł na drugie podwórko, ustawiając ludzi rzędem od studni do ogniska, sam podając wiadra, zachęcając, prosząc, rozkazując.

Jak wszędzie na Polesiu, potrzeba było całéj powagi ulubionego pana, aby do ratowania zmusić. Skutkiem zapewne dawnéj pogańskiéj jeszcze czci ognia w tych stronach, lud niechętnie zalewa pożar, a z niedotkniętych jeszcze płomie-

niem chat wystawiają stoły, zasłane obrusami, witając ogień-boga chlebem i solą, jak gościa.

Przykład Graby ożywił ludzi i odwagi im dodał przeciwko przesądowi, który zastrasza, że ogień mścić się będzie na tych, co go zalewają. Młodzi i starzy z zapałem rzucili się rozrywać zagrożone domostwa, aby przeciąć drogę dalszym klęski postępom. Ojciec i syn przodkowali wszędzie.

Pożar, któremu teraz silna wola i rozum a przytomność kilku przewodników ratunku postawiła silne zapory na drodze, osiadać poczynał widocznie. Na dachach, obmokłych od zlewania wodą, siedzieli parobcy dworscy i ludzie, łańcuchem zaś podającym wiadra w dwóch kierunkach rozrządzał sam młody Graba, pracując zarówno z innymi. Zmniejszał się blask krwawy, dym przerzedzać poczynał i te tylko budowle, które wprzódy rozgorzały, dojadał jeszcze płomień. Rozstawiwszy straże u ognia, rozporządziwszy wszystkiém, Graba, przeprowadzony przez błogosławiących mu ludzi, okryty popiołem, sadzą, osmalony, czarny od dymu, ale nie znużony, widząc, że nie ma niebezpieczeństwa, pośpieszył do swoich gości, których dla spoczynku i pokrzepienia się zapraszał do dworu. *Józef Ignacy Kraszewski.*

---

81. Lirnik.

Znałem w młodości mojéj lirnika; chodził on od wsi do wsi i był od wszystkich znany i lubiony, bo pamiętał stare czasy i śpiewał pieśni stare, nabożne i światowe: miał głos bardzo wyrobiony i przegrywał po mistrzowsku na lirze. Głęboka czułość i dobór pieśni, które do każdéj chwili dnia i nocy stosować umiał, skupiały koło niego gromady ludzi wszędzie, gdzie się tylko przysiadł — wszędzie, gdzie się ozwało granie jego liry. Dziwnie téż umiał obierać miejsca spoczynku i chwilę, w któréj przybywał do dworu lub do wsi. Tu przysiadł się na okopie cmentarza, tam koło bramy koło cerkwi lub kościoła, pod krzyżem u wielkiéj drogi lub na mogile; a kiedy się lira jego ozwała w krótkich, żałosnych przygrywkach, biegły niewiasty i dzieci ku niemu, a ze dworu wychodziła cała drużyna, by się przysłuchać dźwiękom liry i pieśniom starego P a ń k a.

Wszyscy znali go i witali, jak znajomego. Wiekowym ludziom przypominał on ich dzieciństwo, a kilka pokoleń

przeszło za jego pamięci. Nie żebrał też Pańko nigdy, nie zachodził do chat i dworków po jałmużnie; dość było, gdy się jego lira ozwała, a już wszyscy pośpieszali z datkiem, pokarmili i odziali starca, przytrzymali go we wsi, poczém znowu daléj odchodził, żegnając starych przyjaciół.

W okolicach Szczerca i Komarna przebywał zwykle przez zimę, ale już z wiosną wyprawiał się w drogę na Podole i Pokucie, zwiedzając miejsca odpustów, a powracał dopiero zazwyczaj jesienią w okolice Komarna napowrót, gdzie w małym przysiołku, w domu pewnéj gospodyni zimował. Pazia (tak się ona nazywała) dbała o lirnika, jakgdyby był jéj bliskim krewnym i najbliższym sercu; miała to sobie polecone od matki, aby dbać o Pańka i zimować go w chacie, „bo się błogosławieństwo będzie trzymało chaty“. Tu tedy miał Pańko zimową izdebkę dla siebie i staranie Pazi. Chociaż każdy radby go przezimował, ściągał się jesienią do Pazi i przynosił gościńce dla wszystkich domowników i dzieci, a nieraz się zdarzało, że go dobrzy ludzie na wózku przywieźli, jeżeli go już w drodze jesienna zapadła słota. Po wsiach mówili sobie ludzie, że Pańko miał wielkie pieniądze i że je składał u Pazi; rzeczywiście trzymał się dostatek chaty, a Pańko był zawsze stosownie do pory roku ubrany, ubogo, ale czysto. Pazia dbała o niego, a wiedząc o tém, gdzie i kiedy na odpuście będzie, odszukała go zawsze po lirze i przyniosła mu z sobą odzież i bieliznę, domowego pieczywa i owoców.

Pańko był ślepy; przewodnikiem w pielgrzymkach jego była koza; trzymając się jéj jedną ręką, szedł od wsi do wsi, znając drogę tak dobrze, że przy pomocy kozy nie potrzebował przewodnika innego.

Była to mądra koza. Kiedy Pańko sobie usiadł, ona kładła się pod bokiem jego; nieraz się zdrzymał, oparłszy na niéj głowę; kiedy szedł, szła powoli przy nodze jego i lubo powolna jego ręce, ostrzegała go o wszystkiém, zatrzymując się przed każdym mostkiem, przed każdym kołowrotem wioski; nie dopuściła, aby zszedł ze szlaku albo wpadł do rowu lub wody. Obrawszy sobie miejsce stosowne, oznajmiał Pańko krótką przygrywką na lirze, że przybywa do wsi, a na głos ten wybiegały z chat dzieci, a za nimi i starsi, aby pieśni jego posłuchać.

Odkąd ludzie zapamiętali w okolicy całéj, trzecia to już z kolei koza Pańka prowadziła. Czasami miewał i chłopaczka sierotę; ale gdy chłopca podchował, oddawał go do Pazi lub do innych dobrych ludzi w służbę i póty tylko trzymał go przy sobie, dopóki mu był potrzebny, bo dla niego samego wystarczała koza. Pańko żył głównie jéj mlekiem, a koza żywiła się sama, kiedy ludzie jego pieśni słuchali.

Przybywszy późniéj w tamte strony, w których niegdyś ślepy lirnik przebywał, pytałem starszych ludzi o niego; ale trzeba było aż przysiołek Pazi odszukać, aby z ust jéj łzawe wieści otrzymać o znanym niegdyś śpiewaku.

Pazia, niegdyś młoda, pochyliła się, dochowawszy się wnucząt, i mieszkała sama w téj izdebce, w któréj przez lat wiele Pańko zimował. Na ścianie wisiała lira i duży różaniec lirnika, przy którym były zawieszone medale i mały, mosiężny, składany ołtarzyk.

Rzewnie płakała Pazia, gdym ją wypytywał o losy i ostatnie lata żywota lirnika.

Ostatnich trzech lat nie chodził już po świecie. Siadał tylko na okopie cmentarza, przegrywał na lirze i śpiewał, prosząc Boga o śmierć szczęśliwą. Ale za to w dzień odpustu wioski, gromadziła się wielka rzesza ludzi, ponawiając z nim przyjaźń i prowadząc dzieci do jego błogosławieństwa. Gdy raz na „Anioł Pański“ dzwonili, siedział właśnie na okopie cmentarza. Złożywszy głowę na kozie, która pod bokiem jego leżała, usnął w Panu spokojnie. Pochowano go uczciwie.

— Cóż się z kozą stało? — zapytałem.

— Nie chciała już wrócić do zagrody — odpowiedziała Pazia — lecz pasła się na cmentarzu w lecie, a zimą chodziła od chaty do chaty i każdy jéj podał to kawałek chleba z solą, to garstkę siana, a dzieci bawiły się z Pańkową kozą, jak za życia Pańka. W trzy lata może po śmierci jego przejeżdżał jakiś młody pan drogą koło cmentarza i poznał Pańka kozę, pasącą się na okopie, to i odszukał naszę chatę i pytał się bardzo po ludzku, co się z Pańkiem stało; a gdy się dowiedział, że już nie żyje, kazał mi się na grób Pańka zaprowadzić, zadumał się bardzo nad jego mogiłą i odmawiał pacierz. Myśmy Pańkowi krzyż postawili, ale pan mówił: Krzyż upadnie, gdy was nie stanie, a Pańkowi niech będzie pamięć wieczysta — i kazał mu na grobie kamień położyć.“

Zwiedziłem z Pazią grób Pańka i znalazłem na nim dużą płytę kamienną, która była tak postawiona, jak na okopiskach stawiają grobowe kamienie. Na tej płycie wyryty był niewprawną ręką jakiegoś wiejskiego kamieniarza u góry krzyż, pod nim wyobrażenie liry, niżej nieco niekształtnymi literami napis: „Pańko lirnik spoczywa tu w Bogu", a jeszcze niżej leżąca koza. Wszystko to, raczej tylko w głąb kamienia znaczone, niż ryte, tłómaczyła mi Pazia ze łzami.

Wincenty Pol,

(Obrazy z życia i natury).

82. Polowanie na dzika.

Dzień grudniowy mija szybko, zegarek już znaczył pierwszą po południu: więc śpiesznie gońcy i psy ruszyli w jednę stronę, my zaś podążyliśmy na stanowiska krętą drożynką w staropiennym lesie jodłowym w okolicy Skolego. Mnie postawiono pod odwieczną jodłą, mogącą bronić od napaści kilkunastu rozjuszonych odyńców. Przede mną pięły się ku niebu zuchwałe drzewa, cisza zapanowała grobowa, a umysł liczył godziny i minuty oczekiwania. Mija jedna godzina, mija druga; powietrze poczyna się oziębiać, słońce blednąć, a ręce kostnieć; knieja głucha jedynie szumem i tajemniczym szmerem jodeł śle modlitwę ku niebiosom.

Naraz nakształt niespodziewanego grzmotu wstrząsnął nami głos przeciągły, żałosny, istny lament dusz pokutujących; niebawem pies zaszczekał, inne zawtórowały, ujadanie się rozpoczęło, a z niém gon, szybko ku nam dążący.

Dzień począł szarzeć, słońce ustępować; powiew zimny przemienił się w lodowaty wiatr, ścinający krew w żyłach. Wtém widzę: przedemną jakby rój dzików, ruszający się i wirujący, fuka, huczy, rechta i świszcze, a żadnego na cel wziąć nie można, bo niestety! muszki na lufie nie można już widzieć. Widzę dwie olbrzymie postaci, ku psom zwrócone; naszczekujące sobaki, widocznie spłoszone i poturbowane, najmniejszego warchlaka uchwycić nie mają odwagi, a matki po kilku bezowocnych zapędach spędzają do kupy dzieci i strzegą ich walecznie, gotowe do ostatecznego boju.

Odległość dzików odemnie była nie do obliczenia przy zapadającym zmroku. Wtém padł strzał do niesfornego warchlaka, który się wysunął na mego sąsiada. Warchlak kwiknął

i runął na ziemię. Samura w susach skoczyła do niego, a przekonawszy się o śmierci widocznie ukochanego Benjaminka, podniosła szczeć, podwoiła swe rozmiary, fuknęła kilkakrotnie i rozwścieklona popędziła na miejsce zadymione, poczęła kłapać zębami, wietrzyć i rozglądać się wszędzie; potém daléj ruszyła, a nie upatrzywszy mordercy, wolnym krokiem, jakby w ciężkiéj żałobie, powróciła do stada. Druga samura, niemniéj potwornych rozmiarów, już obojętna na napady psów, bacznie słuchała, wietrzyła głośno, stado w kupie trzymała. Nareszcie wolno i rozważnie, nie wietrząc strzelca, pod nogi mu przyprowadziła stado; on już w nocy na odległość kilka metrów strzelił i cała czereda cwałem znikła w cieniach zapadającéj nocy.

Tak wielkich i tak rozwścieklonych dzików już po raz drugi nie widziałem w mém życiu. Obraz ten do tego stopnia mnie wzburzył i takie na mnie sprawił wrażenie, że pomimo mego, nawet zbytecznego, bezpieczeństwa dech mi zaparło, zimno i gorąco naprzemian mię ogarnęło, trząść mi się poczęły nogi i ręce, a przez głowę przesunęła mi się myśl o żyjących jeszcze u nas potworach. Zgromadziwszy się, ujrzeliśmy strugę ciemnéj farby, za którą kroczyć nie można było w nocy, tém mniéj, że gon psów na drugiéj górze przekonał nas o pochodzie całego stada. Noc była ciemna, a do obozu cztery były godziny chodu; wiatr doskwierał, mróz się potęgował, a tu próżne były nasze torby i manierki. Powoli więc, plątając nogami, a dzwoniąc zębami, podążyliśmy do tego raju, jak go nam wyobraźnia nasza przedstawiała, i nareszcie po wielu trudach dobiliśmy się do obozu. Tutaj wódka, wino i herbata obudziły w nas życie, opowiadanie wypadków dnia ostatniego wnet nas ożywiło, a pewna nadzieja, że waleczną samurę jutro dojdziemy, mile nam kołysała umysły. Nareszcie jeden po drugim, otuliwszy się jak najciepléj, poczęliśmy drzemać.

Nazajutrz, zaledwie słońce wychyliło się z poza mgły i jasnymi, choć zimnymi strzeliło promieniami, wyruszyliśmy z obozu i poczęli brnąć po śniegu za krwawym śladem samury. Kiedyśmy, przeszedłszy jednę górę, wydrapali się na szczyt drugiéj, szepnął mi jeden z górali, że leżeć musi samura. Spojrzałem za wskazującą górala ręką i w znacznem oddaleniu, na białéj ścianie, ozdobionéj odłamami skał i skąpym, skarłowaciałym porostem, zobaczyłem ku méj najwię-

kszéj, nie objętéj myślą, radości smugę ciemnéj farby, jakby wylanéj z olbrzymiego węża, znikającą w małéj gąszczy z tajemniczém wnętrzem. Przybliżywszy się do tego grobu dziczego, nikt z nas nie zamierzał iść do środka, gdzie żywa lub bez życia spoczywała samura, lecz rozstawiwszy się wkoło, puściliśmy na trop jednego z rycerskich psów. Szybko pomknął, lecz zatrzymał się przed gąszczą i począł ujadać przez chwilę dość długą; potém jęknął żałośnie, nie mając śmiałości rzucenia się w krzaki. Nareszcie i umierającéj sprzykrzył się ten hałaśliwy napad; powstała i wolnym krokiem posunęła się ku psu z ryjem czerwoną pianą napełnionym; kłapiąc zębami, starała się psa pochwycić i rzucić pod siebie. Zdawało się, że ten potwór kości zdruzgoce; i niezawodnie byłby to uczynił, gdyby mu siły dozwoliły były powtórzyć natarczywy atak, lecz sił już zabrakło! Siadła więc, krwawém okiem ścigała ruchy psa, zębami kłapała, lecz się już z miejsca nie ruszyła. Tymczasem koło myśliwych ścieśniało się i otoczyło dzika na kilkanaście kroków z ostrożnością, nikt bowiem przewidzieć nie mógł, co jeszcze uczynić może w tym rozpaczliwym stanie; kazałem puścić resztę psów i sobaki, zniecierpliwione, bo je trzymano na drążkach, obces na zwierza skoczyły, szarpać poczęły i za uszy ciągnąć.

Obrona wobec bliskiéj śmierci już była bezowocna. Z wysileniem trącała ryjem psy, usiłowała łapać zębami, aby którego z napastników dostać pod siebie; ale niebawem powaloną na ziemi zakłuto kordelasem. Było nas trzynastu obecnych, i to nie dzieci, a nie mogliśmy jéj ruszyć z miejsca. Widoczne były na śniegu ślady odegranego ubiegłéj nocy dramatu. Obiedwie samury z rojem warchlaków dotarły do gąszczy i tutaj ranioną opuściły już siły; musiała towarzyszce powierzyć swe dzieci, pożegnać je i polecić jéj opiece, a w końcu do wiecznego snu się ułożyć. Poza gąszczą na uboczy śnieżnéj niezliczona ilość tropów popisanych wskazywała pochód stada dzików ku połoninom.

W takito sposób zginęła największa i najwaleczniejsza z samur, jakie w życiu widziałem, istna córa ciepłych górskich moczarów, wychowana na owsie i kukurudzy.

Kazimierz hr. Wodzicki.

III.

83. Koń.

Pomiędzy stworzeniami, jakie Opatrzność dała na użytek człowiekowi, koń zajmuje niezaprzeczenie jedno z najważniejszych miejsc. Bo cóżby znaczył rolnik bez konia? czémby pole uprawił i zboże odstawił do miasta? cóżby zaprzągł do wozu lub bryki? na coby siadł w potrzebie? Coby bez niego robiły wojska? jakieżby było ich znaczenie bez konnicy? coby do armat zaprząc można?

Zaprawdę obejść się bez konia lub czém inném go zastąpić nie można. To téż od najdawniejszych czasów rycerskie i rolnicze ludy szczególną pieczołowitością otaczały tych towarzyszy bojów, trudów i pracy. Nigdzie jednak życie konia nie zespoliło się więcéj z życiem człowieka, jak u wschodnich ludów, i nigdzie téż lepszych, piękniejszych i doskonalszych nie ma koni, jak na wschodzie. Ojczyzną najpiękniejszych na świecie i najdzielniejszych bieguców jest Arabia.

Koń arabski w ogólności bywa niewielki, ale za to odznacza się pomiędzy wszystkimi końmi na świecie tak przymiotami swymi jak i budową. Bardzo łagodny i wierny swemu panu, posiada wielką odwagę, wyborną pamięć miejsc, gdzie bywał, i obejścia, jakiego doznał. Nieprzystępny dla nikogo prócz swego pana, nigdy nie spuszcza z oka nawet w najzaciętszym boju kierunku miejsca, skąd przybył, a nawet śmiertelnie raniony, jeżeli mu tylko siły pozwolą, wyrywa swego pana z niebezpieczeństwa i unosi go napowrót do swoich. Wzrok koni arabskich nadzwyczaj bystry, nawet w nocy, i nie zmylą nigdy drogi, chociażby ślad jéj był nikły. Słuch ich również czujny; najmniejszy szelest, nawet w wielkiéj bardzo odległości, uderza ich i dają o nim znać jeźdźcowi niespokojnym ruchem. Stądto pochodzi, że Araba, gdy siedzi na swym koniu, nigdy podejść nie można. Koń arabski w szybkim biegu niełatwo się zmęczy; nieraz zdarzało się, że w 24 godzinach trzydzieści mil ubieżał. Sprężystość nóg jego nieoceniona; z lekkością jelenia przeskakuje rowy, do 16 stóp szerokie, i pływa wybornie. Rży nadzwyczajnie rzadko; w gniewie jest straszny; w chorobie łagodny i bardzo

wdzięczny temu, kto go leczy. Jé i pije nadzwyczaj mało, a głód i pragnienie długo znosić może. Jest szybszym od wszystkich koni ras wschodnich. Znany jest opis wypadku, który miał miejce w Krymie. Tatarzy, wpadłszy w granice Polski, z ogromnym jasyrem i łupem wrócili do domów. Między innymi dostał się na Krym pewien znakomity rycerz polski, którego chan sobie wziął na własność. Pewnego razu w pochodzie rycerz nasz stał przed namiotem chana, a nieopodal osiodłany cudnéj piękności koń arabski, wierzchowiec chana, żuł wędzidło swobodnie; wokoło rozsypana spoczywała horda. Jednym skokiem był więzień na arabie, a dawszy mu podnietę, śmiało puścił się w step. Cała horda rzuciła się za nim w pogoń, ale Tatar Araba nie dogoni. Rycerz wrócił do domu na arabie i na nim bronił kresów swéj ziemi od Tatarów.

Kupić dobrego konia od Araba nie tak łatwo, jakby to nam się zdawało. Arab zawsze z trudnością rozstaje się z koniem, a sprzedaż klaczy do bardzo rzadkich liczy się wypadków. Konieczna tylko potrzeba może go przywieść do takiego kroku, prawdziwie rozpaczliwego w wyobrażeniach Wschodu, a ceny dochodzą wtedy do bajecznéj wysokości. Bywało, że Arab przy pożegnaniu z ulubionym koniem kopyta mu całował.

Głośny jest w Syryi niedawno zaszły wypadek. Arab zmuszony był sprzedać ulubioną klacz dla wykupienia ujętéj w niewolę rodziny. Po długim namyśle, naznaczywszy bardzo wygórowaną cenę, jakby umyślnie na odstręczenie kupca, oczekiwał z przestrachem ostatniego słowa, które o losie jego rozstrzygnąć miało. Działo się to na pustyni, blisko ruin Palmiry, w beduińskim namiocie. Klacz, u wnijścia gryząc wędzidło, ciekawym śledziła wzrokiem każdy ruch swego pana. Beduin stał jak posąg — kilku innych siedziało na kobiercu. Europejczyk naradzał się z przewodnikiem. Biedny Beduin natrafił na wielkiego znawcę i miłośnika koni, który téż nie cofnął się przed ceną, lecz usiadłszy na kobiercu, zaczął liczyć pieniądze. Sypało się złoto z worków, a za każdym rządkiem czerwieńców w oczach Beduina przebiegał dziwny jakiś ogień. Nakoniec ostatni potoczył się dukat, a z nim zamarła ostatnia Beduina nadzieja! Zawezwany do przeliczenia złożonych dukatów, ukląkł Beduin pomału, rachował i rachował, po każdéj sztuce złota

przesuwając palcem. Jaka walka wówczas w sercu jego się odbywała, jakich cierpień doznawał, tego wyobraźnia Europejczyka nie odgadnie, nie pojmie. Gdy wziął w rękę ostatni pieniądz, zadrżał, jakby śmierć stanęła mu przed oczyma; obejrzał się: klacz, odpowiadając jego spojrzeniu, wyciągnęła ku niemu długą, żylastą szyję... Jednym zamachem ręki rzucił złoto, odepchnął je od siebie, pobiegł do klaczy, chwycił ją za grzywę, wskoczył na siodło i w mgnieniu oka znikł w tumanie kurzawy.

Z ludów europejskich, żaden nie zajmował się końmi z taką pieczołowitością, żaden na tak obszerną skalę nie miał u siebie rozwiniętéj hodowli tych zwierząt, jak słowiański, mianowicie zaś Polacy. Żaden też w Europie nie pochwaliłby się tak znakomitymi, tak użytecznymi i tak wytrwałymi w potrzebie końmi, jak Polska, gdyby tylko te stworzenia doznawały u nas odpowiednich i rozsądnych starań.

Wedł. *A. Mazura.*

---

84. Obrona osła.

Nie ma może drugiego zwierzęcia, któreby w równéj u nas było pogardzie, jak osieł, uważany zwyczajnie za symbol uporu i głupoty. A przecież takie o nim zdanie jest niesłuszne i wielką krzywdę wyrządza temu biednemu zwierzęciu. Nie mówimy już o osłach, które we wschodnich krajach, w Arabii lub w Egipcie, żyją i tam wielce są użyteczne, służąc człowiekowi wiernie; ale weźmy na uwagę tylko tę rasę osłów, która się u nas, t. j. na północy, znajduje. Skutkiem złego obchodzenia się z niém, skutkiem braku należnego o nie starania podupadło i znędzniało u nas to zwierzę do tego stopnia, iż trudnoby było dopatrzeć się w niém podobieństwa z jego braćmi południowymi. Nawet wzrost naszego osła mniejszy, niż osłów południowych, barwa jego sierści ciemniejsza i uszy dłuższe. U nas jego pierwotna śmiałość zamieniła się w upór, jego chyżość w ociężałość, jego roztropność w głupotę, jego dzielność w obojętność na bicze i razy.

A przecież pomimo tych wad posiada on jeszcze tyle przymiotów i zalet, iż pewien uczony badacz natury słusznie staje w jego obronie.

W młodości żwawy jest i hoży; wyprawia pocieszne figle i skoki, jak dzieci; jak one, swobodny jest i zadowolony ze siebie, nie przeczuwając swego smutnego w przyszłości losu. Kiedy nad innymi zwierzętami domowymi w tym wieku ludzie szczególnie muszą czuwać i troskliwą nad nimi roztaczać opiekę, on tego nie wymaga ani nie potrzebuje; jak jego rodzice, tak i on na małém poprzestaje, zadowala się najskromniejszém pożywieniem. Czuwa nad nim jego matka, w razie niebezpieczeństwa broni go odważnie; nawet w ogień i wodę się rzuca, kiedy trzeba bronić nieporadnego oślęcia. Ono téż do matki wielce jest przywiązane; kiedy je od niéj chcą zabrać, oboje opierają się temu z całéj siły i rwą się ku sobie, a kiedy je już rozdzielą, przez kilka dni okropnym krzykiem objawiają wzajemny swój żal i tęsknotę.

Skoro już osiołek trochę podrośnie, można go zacząć uczyć; a pojętniejszym on jest do nauki, niż cielę albo nawet źrebię, w tym samym wieku będące. Krok jego powolny jest, ale pewny. Swego dozorcę poznaje łatwo, nie umie tylko okazywać mu tak swego przywiązania, jak to czyni koń; przecież ujrzawszy go, biegnie ku niemu i widocznie się cieszy.

Najważniejszą rzeczą, którą w obronie jego powiedzieć można, jest to, iż nie jest tak głupi, za jakiego pospolicie uchodzi; owszem, można go, jak konia, wielu rzeczy nauczyć. Wprawdzie przychodzi to z większym nieco trudem i mozołem, ale skutek nigdy nie zawodzi i osieł długo pamięta, czego się nauczył; wszakże bywają i dzieci, które się z trudnością uczą, ale tém gruntowniéj i trwaléj naukę sobie przyswajają. Pilnie uważa na skinienie i rozkaz swego pana i rozumie je dobrze. Dlatego można go nauczyć nawet tańczyć, w takt biegać, drzwi otwierać, po schodach wychodzić i schodzić, poznawać i zaraz nogą wybijać godzinę, na zegarku pokazaną, lub ilość znaków na karcie, na pytanie pana odpowiadać skinieniem głowy na dół lub na bok; można go nawet do wyścigów używać lub nauczyć przez obręcze skakać — a wszystko to wykonywa śmiało i pewnie.

Wyborną obdarzony pamięcią, z łatwością poznaje drogę, którą raz chodził. Wobec grożącego mu niebezpieczeństwa nadzwyczaj jest ostrożny. W tym względzie wielką pomoc znajduje w zmysłach, dostatecznie rozwiniętych. Pierwsze między nimi miejsce zajmuje u niego słuch, bardzo czujny, chociaż nie muzykalny; drugie miejsce zajmuje wzrok, a

trzecie powonienie. Zmysły dotykania i smaku bardzo mało u niego, jak się zdaje, są wydoskonalone; najlepszym tego dowodem jest to, że obojętny i nieczuły jest na bicie, a w wyborze pożywienia nie jest tak wybredny, jak koń.

Mając nadzwyczaj czułe zmysły słuchu, wzroku i powonienia, w ciekawy sposób zachowuje się osieł w okolicach, gdzie mu jakieś niebezpieczeństwo grozić może, w których się n. p. znajdują zwierzęta drapieżne, dla niego samego groźne. Doświadczają tego niejednokrotnie ci, którzy, podróżując po Abisynii, posługują się tém wybornem do drogi zwierzęciem. Długie jego uszy wszędzie ostrożnie nadsłuchują, podnosi głowę i uważnie na wszystkie rozgląda się strony. Jeżeli zaniepokojonemu słuchowi przyjdzie w pomoc jeszcze i powonienie, w takim razie biedne zwierzę zupełnie już traci spokój: nie chce ruszyć z miejsca. Przez to właśnie miejsce prawdopodobnie ubiegłéj nocy przeszedł lew, lampart, hyena lub jakieś inne zwierzę drapieżne. Biedny osieł wietrzy, patrzy, słucha; uszy mu się prawie obracają na głowie. Nie ruszy się więc z miejsca, aż ktoś z ludzi pójdzie naprzód. Idzie za nim, prawdopodobnie pocieszając się tą myślą, że w razie napadu owego dzikiego zwierza idący naprzód człowiek padłby pierwszy ofiarą jego drapieżności.

Wielką wreszcie zaletą osła jest to, iż w wyborze pokarmów wcale nie jest wybredny. Trawa i siano, których ani krowa ani koń jeść nie chcą, dla niego są prawie przysmakiem; jada nawet osty i chwasty kolące. Wybredniejszy jest tylko w użyciu napoju: mętnéj wody nie pija; może być woda słona albo gorzka, to mu obojętne, ale czystą być musi.

Wobec tylu przymiotów i zalet czyż godzi się pogardzać tém biednem zwierzęciem, tak pracowitém i wytrwałém, które do 40., a niekiedy do 50. roku życia tak chętnie i wiernie służy człowiekowi? Czyż nie lepiéj czynili starożytni Rzymianie, którzy ogromne sumy wydawali na poprawienie chowu osłów? Czyż nie rozumniéj postępują dziś Arabowie i Persowie, którzy zawsze wielką troskliwością otaczają to pracowite i tak pożyteczne zwierzę? U nas tylko osiołek skutkiem zaniedbania i nieludzkiego z nim obchodzenia się tak się wyrodził i znędzniał.

Wedł. *Brehma.*
(Thierleben).

85. Z życia wróbla.

Jak u ludzi co głowa to rozum, tak co wróbel, to inny pomysł w obieraniu miejsca na gniazdo.

W porze zimowéj szuka ciepłego miejsca po miastach i po wsiach, gnieździ się na gzymsach kominów, pod strzechami i dachami, na strychach, w owczarniach i stajniach, nawet w dymnych chatach. Gdzie w świątyniach okienko wybite lub szpary są w murach, tam się umieszcza wróbel, ściele gniazdo, hałasuje, żyje muszkami i pająkami, dzióbie łój w lampach, wyszukuje pokarm przemysłem. Dzwony i organy, śpiew i muzyka, światło i ruch — nic go nie odstrasza; czasem siędzie na ołtarzu i swoim głosem wtóruje śpiewom pobożnego ludu. Na wiosnę urządza swą siedzibę po wieżach, w dziosłach między gałęziami, w koronie i po konarach drzew, wędruje na skały i umieszcza się w ich rozpadlinach, leci do lasów, gajów, pasiek, nawet do drzew, osobno po polach stojących. Najciekawsze jednak i najpospolitsze ich gniazdo bywa w rynnach, przy dachu. Pojąć nie można, jak ten przezorny i rozumny, a tak praktyczny ptak, może narażać swą rodzinę na to nieustające niebezpieczeństwo, że przy każdym ulewnym deszczu woda gniazdo zaleje i materyały w niém popsuje; po klęsce doznanéj z wielkiém wysileniem znowu w témsamém miejscu gniazdo zakłada.

Ptak to czasem odważny nad miarę, ale i przemyślny. Znajdujemy go niekiedy tam, gdziebyśmy nawet nie śmieli przypuścić, żeby wśród zgiełku ludzi i hałasu wychował pisklęta; nie podobają mu się niskie krzaki i ziemia, natomiast opuszczone gniazda srok, wron i wiewiórek wysoko ceni; nawet drobniejszych ptasząt gniazda przywłaszcza sobie, a czasami siłą mocą je zdobywa; najwyżéj ceni gniazda jaskółcze, chroniące od przeciągów, bo dobrze zamknięte, które sobie podług potrzeby i zachcianki urządza. Ciśnie się do gołębników, ściele gniazda wśród gałązek gniazd bocianów, orłów i innych ptaków drapieżnych: wszędzie umie bezpieczną wynaleść kryjówkę. Podziwienia godny jest w tych ostatnich wypadkach. Zdarza się, że go porządnie nastraszą i poczubią, lecz on jak mysz włazi i wyłazi, szydząc z gniewu właścicieli; wie dobrze, że go się pozbyć nie mogą — istny, natrętny pasożyt. Gdy tylko miarkuje, że już na siebie uwagi nie zwraca, natychmiast wybiega lub wylatuje na zwiady;

trzyma się gniazd tych dlatego, że w nich mnóstwo bywa robactwa i niespożytego mięsa, wróbel zaś niczém nie gardzi i każde pożywienie na swój pożytek obraca. Zabawny widok wróbla, gdy wśród orląt i bocianiąt biega, kręci się i szuka, jakgdyby był do biesady zaproszony; zdarza się wszakże, iż życiem łakomstwo przepłaci lub z bolesną raną odejdzie, ugodzony dzióbem.

Jak jest ostrożny aż do podziwienia, tak znowu natrętny jest i zaślepiony, gdy nie przypuszcza i nie zna niebezpieczeństwa; to prowadzi go często do zguby. Widziałem dwa razy, jak wróble wypędziły z gniazda jaskółki i wróblica jaja w nie zniosła; tymczasem jaskółki, zgromadziwszy mnóstwo mścicielek, zalepiły otwór i udusiły napastnicę. Częściéj jednak wróble bez przeszkody zabierają gniazda jaskółek, nim jeszcze powrócą; a gdy nadlecą te biedne, nieśmiałe ptaszęta, nie mają ani siły ani odwagi do odebrania swéj własności i lepią świeże.

Powieśmy wysoko na pniach, po ogrodach lub laskach garnki nakryte, z otworem na boku, albo małe koszyczki, a niebawem można zobaczyć stare wróble nadlatujące, by obejrzéć tę nowość; z początku z ostrożnością, z oddalenia je badają, późniéj się zbliżają, zazierają do środka, włażą, próbują i — jeżeli to tylko możliwe — uścielą w nich gniazdo. Nieraz umyślnie im sporządzają koszyki i pudełeczka z gontów lub téż z bardzo cienkich desek porobione, aby ułatwić tak wróblom jak szpakom, gnieżdżenie się po sadach i ogrodach i sprowadzić jak największą ilość tych ptaków, celem wytępiania owadów.

Mimo swojego sprytu, nie okazuje wróbel zdolności jako budowniczy; gniazdo jego budowy niekształtne jest i wiotkie. Są to źdźbła słomy i siana i różne korzonki, niedbale splecione. W środku musi być piérze, nie gardzi on wełną; ani drobnymi szmateczkami, sierścią, szczeciną ni mchem: wszystko to razem układa, przeplata i ugniata. Sprytny w wynajdywaniu potrzebnego materyału, wie, gdzie gęsi gubią piérze, zna wszystkie kurniki, chodzi za kurami i ptastwem domowém. Zabawną bywa rzeczą, gdy znajdzie długie pióro koguta lub kapłona i, uszczęśliwiony zdobyczą, próbuje je zabrać; nie mogąc znaleść równowagi, dopóty manewruje, dopóki z piórem nie uleci i do gniazda go nie włoży.

Rodzice usiłują jak najprędzéj wykarmić i wypędzić żarłoczne pisklęta, którym trudno nastarczyć pożywienia; straszliwie téż z głodu piszczą, na brzeg gniazda wyłażą i wołają o pożywienie. To tłómaczy, dlaczego tak często znajdujemy pod domami i drzewami młode wróble zabite: biedactwo, piszcząc i nachylając się ustawicznie, wypada z gniazda. Nadchodzi nareszcie chwila, w któréj uznają rodzice, że młodzież dorosła może już dom rodzicielski opuścić; wypędzają je więc przemocą, same bowiem siedziałyby pomimo lichéj strawy jeszcze dni parę. Z krótkim, niedorośniętym ogonkiem, z żółtym przy nasadzie dzióbem — już bywa wróbel wygnany; najpierwéj skakać musi po dachu lub po gałęziach, coraz więcéj i więcéj, aż nareszcie gniazdo zostaje nieprzystępném dla dzieci. Ojciec zachęca je do lotu, najmłodszego jeszcze dzień lub dwa karmi, starszym przyniesie zmiękczone ziarneczko, to muszkę lub gąsieniczkę i poczwarkę, lecz im to kładzie opodal; wróble zgłodzone lecą na ponętę i tak daléj i daléj ojciec wprawia je do lotu i szukania żeru. W kilka dni leci z uczniami swymi na kwatery jarzyn, w pole na kupy nawozu, uczy ich i ćwiczy, a przekonawszy się o zdolności wróbląt, puszcza je samopas. Cała ta rodzina trzyma się razem, bieduje z początku, lecz, że to potrzeba jest matką wszystkich wynalazków, więc się wróble dosyć prędko wyuczają zaspokajania swych potrzeb. Czworo lub pięcioro wróbląt, rzuconych na los szczęścia bez opieki i pomocy, tuła się po miejscach, wskazanych przez ojca; razem nocują, tuląc się jedno do drugiego; a jak w każdém gronie jakichkolwiek żyjątek znajdzie się zawsze przewodnik, który siłą i zdolnością zajmie stanowisko kierownika i zdobędzie posłuch, tak i w téj rodzinie jakiś wróbel bierze towarzyszy w swą opiekę i w świat prowadzi.

Na tych wędrówkach spotykają w tymsamym przypadku będące sieroty, więc się kojarzą i tworzą spółkę, która się z każdym dniem powiększa, aż nareszcie tworzy owe liczne w sierpniu i wrześniu stada, nawiedzające nasze łany pszenicy, jęczmienia i prosa. Dni i nocy razem spędzają do zimy, dając nam na dachach czy na drzewach hałaśliwe koncerta. Gdy zaś zima przyciśnie, uśpi świat owadów, zakryje pola swym całunem, otrzęsie jagody i nasiona: wygnane z lasów wróble stadami cisną się do domów, do gumien miast i wsi,

aby przy człowieku znaleść ciepły kącik i potrzebne pożywienie.

Gdziekolwiek człowiek co wybuduje, zaraz zjawia się wróbel, bada, ogląda, sam i z drugimi; a jeżeli budowę uzna za stosowną, zaraz tam młodzież osadza lub sam się przenosi. W górach przejął zwyczaje górali: w zimie na dołach bawi i po wsiach, w lecie towarzyszy góralom do kolib i szałasów, umiejąc się stosować do ich zwyczajów. Gdy pług ziemię pruje, zaraz i wróbel zaziera, pewny, że znajdzie pędraka lub poczwarkę. Wszędzie go pełno, od Stockholmu do Neapolu, od Lizbony do Tobolska; żyje w ciepłym i zimnym klimacie, między dobrymi i złymi ludźmi.

Ptastwo, żyjące w bliskości człowieka, na przykład drób domowy, przyznaje wyższość wróblowi. Z drapieżnych ptaków mało który rzuca się na wróble, czasem krogulec go złowi, kuna lub tchórz w gnieździe schwyci, lecz i to nie często bywa. Człowiek tylko jeden sieci nań zastawia w zimie i pisklęta mu w lecie wybiera, pomimo, że jego mięso czarne i dosyć twarde. Z dziwną zręcznością ucieka wróbel przed krogulcem; wpada w gęste krzaki, pod strzechę lub w snopki, życie ratując, a kiedy się już bezpiecznym czuje, zaraz się obraca, główkę wychyla i świegoce tonem radosnym, jakgdyby mówił: „O to mi się udało!“.

Na wolności można go przyswoić podrzucaniem pożywienia, jednak rzadko kiedy z ręki przyjmuje pokarm. Bezczelny w swéj natrętnéj śmiałości, w mieście pcha się pod nogi przechodniów, na wsi szuka pożywienia wśród robotników i psów; młocków pilnuje i znajdzie chwilę, w któréj zdoła ukraść ziarno; lecz raz zdradzony, pamięta to długo i z doświadczenia korzysta. W niewoli niczém niepocieszony. Tłucze się po klatce, dzióbie i rozbić chce swoje więzienie; nawet czas, ten lekarz wyborny, uspokoić go nie zdoła; najczęściéj téż tak się potłucze, że i ginie. Pragnie i potrzebuje wolności, bo na nią zasłużył, bo jéj używać umie; wśród ludzi wychowany, zna wartość życia bez kajdan i pętów.

Kazimierz hr. Wodzicki.

86. Jaskółka.

Jaskółka słusznie zjednała sobie nazwę przyjaciółki człowieka. Nie potrzebuje go ona, a jednak ustawicznie go szuka.

Ulepia sobie gniazdko z cudowną niemal sztuką, a może sobie obrać mieszkanie, gdzie jéj się tylko podoba: wszędzie, gdzie jest słońce, gdzie płynie woda, gdzie nad wodą krążą owady. Jednakże woli ona miasta, niż samotne lasy i zarośla, woli domy ludzkie, niż skały, sadowi się rada koło komina lub pod oknem, częstokroć na poddaszu, a niekiedy nawet i w mieszkalnéj izbie, gdy wie, że dozna gościnnego przyjęcia. Lud téż chętnie ją przyjmuje pod strzechę. Miejscami przytwierdzają jéj umyślnie gliniane gniazdeczka do muru, a ptaszyna, odgadując ich przeznaczenie, urządza je wewnątrz po swojemu i chętnie w nich obiera mieszkanie. Za tak uprzejme przyjęcie wypłaca się jak może, oczyszczając chaty z natrętnych i szkodliwych owadów.

Jaskółka lepiéj w tym względzie służy człowiekowi, niż każda inna ptaszyna, karmi się bowiem wyłącznie żywymi owadami. Stąd wynikają ustawiczne jéj wędrówki. Jeżeli opuszcza nas zimą i szuka cieplejszego nieba, to bynajmniéj nie przez bojaźń zimowego chłodu. Dobrze odziana gęstém piérzem, cały dzień trawiąc w ustawicznym ruchu, w nocy utulona z rodziną w miękkiém i ciepłém gniazdku, żartowałaby sobie z zimna, gdyby mróz zimowy nie odbierał jéj środków pożywienia. Ale trzeba żyć przedewszystkiém, aby zaś wyżyć, trzeba koniecznie polować; jaskółka szuka więc okolic dobrze zaopatrzonych w owady.

Jaskółki żywią się skrzydlatymi owadami, które chwytają w przelocie. Ale ponieważ te owady krążą w wyższych lub niższych warstwach powietrza, stosownie do stanu atmosfery, a zdarza się niekiedy, że chłód lub słota zbijają je ku ziemi i nie dopuszczają wznieść się w górę na zmokłych skrzydełkach; więc jaskółki wtedy latają nisko, szukając owadów w trawie lub na badylach, a niekiedy nawet i na miejskim bruku; czasami nawet muskają skrzydłem wodę i zanurzają się w niéj do połowy, goniąc wodne żyjątka. W czasie wielkiego głodu przebijają dzióbkiem siatki pajęcze i biednym pająkom wydzierają zdobyte przez nich łupy, a w ostateczności i ich samych pożerają. W każdym razie łowna ta ptaszyna tropi bez ustanku skrzydlatą pastwę. Znajdują w jéj żołądku szczątki much, koników polnych, chrząszczów, motylów, a niekiedy nawet i drobne kamyczki, co dowodzi, że nie tylko w locie chwyta owady, ale je czasem podejmuje z ziemi.

Rzadko to jednak się zdarza. Jaskółka, kiedy nie spoczywa w gniazdku, lata prawie bez przerwy, w locie snać najswobodniejszą się czuje. Nóżki wątłe i krótkie, żadnéj prawie nie niosą jéj pomocy; nigdy nie podskakuje, jak inne ptaki; rzadko kiedy także, i to w ostateczności, siada na ziemi, bo z ziemi trudno jéj podlecieć w górę. Jeżeli spocznie w locie, to chyba na wysokiém miejscu, na dachu lub suchéj gałęzi; powietrze prawdziwym jest jéj żywiołem, żyje w niém, jak ryba w wodzie, pływa w przestrzeni lekko i swobodnie, z niezrównanym wdziękiem, a bez najmniejszego utrudzenia.

Mniéj chyża od sokoła, przewyższa go łatwością i swobodą lotu; gdy on porze przestrzeń siłą, ona mknie leciuchno przez powietrze, jakby czuła, że tam jéj świat, tam właściwa jéj dziedzina. Lata w rozmaitych kierunkach, wesołém świegotaniem objawiając radość; to muśnie ziemię lub wodę drobném skrzydłem, to wzleci w górę i zniknie poza mgłą obłoku, to goni ochoczo za łupem, to znów ucieka sama przed szponami drapieżnego ptaka; a kierując się samowolnie w powietrzu, kreśli najdziwniejsze gzygzaki i kółka.

Wyliczono do siedmdziesięciu gatunków jaskółek. Z pomiędzy wszystkich najbystrzejsza w locie jest jaskółka kościelna. Oprócz niesłychanéj szybkości lotu natura dała jeszcze téj ptaszynie wzrok nadzwyczaj bystry. W tym względzie jaskółka nie ustępuje drapieżnym nawet ptakom, mianowicie zaś jaskółka kościelna tak przenikliwe ma oko, że spostrzega skrzydlatą mrówkę, w oddaleniu stu metrów.

Jaskółki przylatują zwykle do nas na wiosnę, a odlatują z początkiem jesieni. Każdy czeka niecierpliwie tych miłych zwiastunek wiosny i żegna je ze smutkiem. Jednak nie wszystkie przylatują i odlatują równocześnie; naprzód zjawiają się te, które lepią gniazdka koło okien, po nich przybiegają drugie i gnieżdżą się koło kominów; jaskółki kościelne przylatują ostatnie. W początku zaś października odbiegają stadami, prędzéj czy późniéj, stosownie do stanu powietrza. Jest mniemanie powszechne, że te ptaszyny przeczuwają głód i słotę i instynktem przyśpieszają lub opóźniają czas odlotu.

Sławny pewien pisarz francuski tak mówi o jaskółce:

„W roku 1851. w październiku jeszcze pora była piękna, mnóstwo owadów krążyło w powietrzu; jaskółki więc miały jeszcze dostatkiem pożywienia. Uważałem jednak, jak przezorna rzesza sejmikowała dość burzliwie na dachu pobli-

skiego kościoła. Czemu narada odbywała się w dniu tym, a nie innym, nikt domyśleć się nie mógł. Wkrótce jednak zrozumiałem przyczynę“.

„Niebo piękne było w poranku, wiatr tylko powiewał chwilami. Jodły jęczały żałośnie; pod oknami mymi cedr szemrał ponuro; dojrzałe owoce spadały same na ziemię z grusz i jabłoni, a my zbieraliśmy je skrzętnie. Wkrótce chmury pokryły niebo, wiatr ustał, na Bożym świecie głucho było i ponuro. Wtedy to około godziny czwartéj, ze wszystkich stron równocześnie, i z bliskiego boru i z miasta i z nad rzeki, zbiegły takie zastępy jaskółek, że przyćmiły blask dzienny i spadły wszystkie na kościół, z przeraźliwym piskiem i krzykiem. Nie rozumiejąc ich języka, zgadywałem jednak, że się toczy jakiś spór zacięty. Zapewne młode, złudzone ciepłym powiewem jesieni, chciały pozostać dłużéj na miejscu. Ale starsze, lepiéj doświadczone, radziły odlecieć co prędzéj: odniosły wreszcie zwycięstwo; czarne ćmy ptaków poruszyły się razem, jakby olbrzymia chmura, i poleciały w południowo-wschodnią stronę, ku Włochom. Nie były daléj, jak o trzysta mil francuskich, gdy wieczorem po ich odlocie okropna spadła ulewa. Zdawało się, że Bóg otworzył znowu wszystkie nieba upusty i chce ziemię powtórnym zalać potopem. Schronieni pod dach, drżący od pocisków szalonege wichru, wielbiliśmy przezorność tych skrzydlatych wieszczków, co tak bacznie uprzedziły porę zwykłego odlotu“.

„Widoczną było rzeczą, że nie głód wyganiał je w dalekie kraje. Wobec przyrody, pięknéj jeszcze i bogatéj, przeczuły właściwą porę wędrówki. Nazajutrz byłoby już za późno; wszystkie bowiem owady, zbite ulewą, zniknęły bez śladu; te, które przetrwały burzę, schroniły się żywcem w głąb ziemi“.

Strefa umiarkowana wschodnia jest rzeczywistą ojczyzną jaskółek. Tu ich właściwe mieszkanie, tu rodzinne ich gniazdo. Jeżeli co rok ciągną do Afryki, to tylko na czasową, kilkomiesięczną podróż, na mozolną, lecz konieczną wędrówkę, którą chętnieby skróciły, gdyby mogły. W najwyższym bowiem stopniu czują one miłość rodzinnego gniazdka. Nie jest to wcale miłość samolubna, bo wszakże, gdy raz jaskółka skrzydełka rozwinie do lotu, mało już odtąd w domu pozostaje. Kocha więc gniazdko, jako kolebkę drobnych piskląt, jako miły rodzinny zakątek. To też ze szczególném staraniem jaskółka buduje i

wyściela swój domek. Powłokę zewnętrzną zwykle ulepia z ziemi, pomieszanéj z wapnem i słomą, wewnątrz zaś ściele je, jak może, puchem, watą i piórkami; kształt gniazdka bywa rozmaity. U kominów tworzy zazwyczaj półkole, przy oknach stanowi czwartą część koła, a przypierając wierzchem do gzymsu lub strzechy, ma tak maleńki otwór, że ledwie jedna ptaszyna od razu przecisnąć się nim może.

Ale zwróćmy jeszcze uwagę na obyczaje jaskółek, na ich cnoty domowe i społeczne. Uważaliśmy już ich miłość do ojczystego gniazda, niemniéj zasługuje na pochwałę ich przywiązanie do piskląt. Gdy małe się wykłują, ojciec i matka znoszą im bez ustanku pożywienie i z wielkiém staraniem uprzątają gniazdo, dopóki pisklęta, podrósłszy, nie oszczędzą im tego trudu. Ale najciekawszy jest widok, kiedy stare jaskółki zachęcają młode do lotu. To im szczebiocą coś niezrozumiale, to znów ukazują zdaleka robaczka, a w miarę, jak się pisklę przybliża, odsuwają go coraz daléj; to znów wypychają ptaszynę z gniazdeczka, leciuchno i ostrożnie, a sami krążą w powietrzu obok niéj na znak, że zawsze gotowi dać jéj pomoc w potrzebie. Nie dosyć jeszcze na tém. Każda z nich tak czułe ma serce na niedolę drugiéj, iż nigdy żadna nie wzywa napróżno ratunku swoich bliźnich. Usłyszawszy pierwszy okrzyk trwogi, zbiegają wszystkie na pomoc, aby obronić nieszczęśliwą. Liczne są dowody takiego poświęcenia. Pewien uczony widział raz, jak jaskółka zaplątała sobie nóżkę o szpagat, okręcony w około rynny. Krzyk jéj sprowadził wszystkie jaskółki z całéj okolicy; zdawało się, że radziły chwilę, jakichby użyć środków, potém co żywo zabrały się do dzieła i dopóty dzióbały twardy szpagat, aż go w końcu przecięły po półgodzinnym trudzie.

Niewinna ta ptaszyna nie zawsze jednak doznaje należytych względów i współczucia. W Toskanii n. p. prawa miejscowe liczą ją do istot szkodliwych i nakazują niweczyć jéj gniazdka. W niektórych znów okolicach Francyi polują na jaskółki, chcąc nimi zaspokoić nie głód, lecz łakomstwo.

Poetyczniejsi Słowianie szanują zato i strzegą od szkody tę miłą towarzyszkę strzechy, co lotnymi skrzydełkami ziemi i nieba dotyka. Lud mniema, tak w Polsce, jak i na Rusi, że jaskółki gromadnie, uczepiwszy się nogami jedna drugiéj, zatapiają się w stawach i rzekach na zimę, a odżywają z wiosną. I poeci nasi nie przepominają jaskółki, a Szymo-

nowicz w pięknéj sielance, idąc za ogólném mniemaniem ludu, tak się odzywa o nadobnéj téj ptaszynie w sielance swéj „Pastuszy“.

Jaskółeczko! jużeś się na świat ukazała,
Już ożyłaś i z chłodnéj wody wyleciała;
Za tobą dni wesołe i wietrzyk powiewa,
Za tobą i słoneczko cieplejsze dogrzewa.
Narodzi ono tobie muszek niezliczonych,
Ty je będziesz łapała po polach przestronych;
Będziesz łapała, będziesz do gniazda nosiła,
Boś je sobie pod naszą strzechą ulepiła.

Seweryna Pruszakowa.
(Rozrywki).

Z życia mrówki.

Świat jest dla nas otwartą księgą, w któréj zrozumiałą dla każdego mową wypisane są nauki i przepisy dla rozumu i serca; jest on niby zwierciadłem, w którém się odbija wprawdzie przyćmiony, lecz do słabości oczu naszych stosowny obraz doskonałości tego, który istotom, na podobieństwo swoje stworzonym, nakazał, aby się starały być tak doskonałymi, jako doskonałym jest ich Ojciec niebieski. Do najciekawszych dla człowieka stworzeń należy niewątpliwie mrówka, znana i podziwiana już w najodleglejszéj starożytności.

„Idź do mrówki, leniwcze! obacz drogi jéj, a nabądź mądrości“, dawno już i bardzo dawno powiedział mędrzec Pański.

W istocie, w obyczajach tego stworzenia wiele zdumiewających znajdziemy rzeczy, co nieskąpą naukę podać mogą nawet człowiekowi rozumem obdarzonemu. Szczególnie jednak dwie okoliczności zasługują u mrówek na uwagę: ich talent budowniczy i duch społeczeński.

Jakkolwiek wszystkie mrówki sztukę budowniczą w wysokim posiadają stopniu, wszelako wykonywane budowle odmienne są w każdym prawie gatunku. Do najznakomitszych należy ów skromny z powierzchowności kopiec, nierzadko po borach napotykany. Niepozorne to mrowisko jest wszakże arcydziełem swojego rodzaju. Powierzchnię jego stoczystą (dla

ułatwienia spadku wód deszczowych) pokrywają stosownie ułożone drobne gałązki i listki suche; pomiędzy nimi po bokach dają się postrzegać tu i ówdzie nieforemne otwory; są to bramy, do grodu wiodące, które przy pogodném niebie i ciepłém powietrzu stoją otworem, na zimno zaś i w czas wilgotny bywają starannie zamknięte. Przez którąkolwiek z nich zajrzawszy do wnętrza, znaleźlibyśmy ślimakowato idące ulice, niby jakie galerye, słupami przyozdobione. Gmach cały składa się z wielu, niekiedy dwudziestu piątr; którąkolwiek z ulic dostaniemy się do środka, który jest obszerném wydrążeniem, jakby plac publiczny stanowiącém. Przestronne to miejsce przyczynia się do ułatwienia stosunków i ruchu mieszkańców tego miasta; w niém bowiem, niby promienie koła, zbiegają się wszystkie ulice. Wzdłuż tych ulic leżą małe, schludne izdebki, na pobyt robotnic przeznaczone, a przy szykownych galeryach znajdujemy celki, gdzie przebywają liszki i poczwarki, niewłaściwie w mowie zwyczajnéj jajami mrówczymi zwane. Stanowią one przedmiot osobliwszéj pieczołowitości towarzystwa. Każda z mrówek, wziąwszy ostrożnie swoję wychowankę, stosownie do pogody, albo wynosi ją na zewnątrz, wystawiając na działanie dobroczynnych promieni słońca, albo zamyka ją w izbach mrowiska, gdzie podług potrzeby i wewnętrznéj miejsc tych temperatury raz na wyższe, drugi raz na niższe przenosi ją piątra. Z tego powodu piątra te misternie z sobą są połączone zapomocą ozdobnych galeryj, wygodnych korytarzów, długich mostów i olbrzymich sklepień, stanowiących prawdziwy labirynt.

Gdy nadejdzie chwila przeobrażenia się gąsienicy w poczwarkę, przędzie sobie ona powłokę jajowatą i w niéj się zamyka. Pod tą skóreczką jedwabistą rozwijają się członki przyszłego owadu. I w téj epoce cudownych działań natury mrówki pracowite nie są bezczynne. Jak zawsze, tak i teraz są one posłusznymi narzędziami w jéj ręku; jak przedtém, tak i w téj epoce obmyślają dla swych wychowanek stosowny stopień ciepła, wynosząc je na rozmaite według potrzeby miejsca i czekając na nadejście czasu ostatniéj przemiany. Gdy to nastąpi, robocze mrówki, posłuszne wlanemu od Opatrzności popędowi, rozdzierają pokrywającą poczwarki oponę, w któréj uwięzione dotąd zostawały, i wychodzącą z kolebki młodą mrówkę biorą w swoję opiekę: prostują jéj członki, rozpinają skrzydła, jeżeli je posiada, karmią i kierują pierwszymi jéj

krokami, zaspokajając wszystkie jéj potrzeby, nim o swoich siłach ta nowa pracownica będzie mogła krzątać się około dobra ogólnego i tym sposobom wypłacić innym dług wdzięczności, na siebie zaciągnięty.

Każdy ciekawy pewnoby rad obejrzał śpichlerze wspólnéj żywności, na nieprzyjazną porę zgromadzonéj. Atoli u naszéj mrówki owe głośne magazyny są to raczéj materyały budowlane, a nie składy żywności, bo przezorne mrówki zaledwie tylko na dni kilka przed mającą nastąpić niepogodą zaopatrują się w pożywienie. Wszakże one na zimę zasypiają i ze snu swego nie prędzéj się budzą, aż za nadejściem ciepłych dni wiosennych — na cóżby więc im zapasy przydać się mogły? Są jednakże (n. p. w Indyach Wschodnich) takie gatunki mrówek, które mrowiska swoje na zimę, t. j. na czas mokréj pory roku, obficie zaopatrują w żywność. Pewien uczony angielski opowiada, iż sam widział, jak gospodarne mrówki po upływie zimy wynosiły z mrowisk swoich pozostałe ziarna dla wysuszenia ich z wilgoci, która się do magazynów zakradła. Oprócz mrówek, zakładających swe siedliska na powierzchni ziemi lub w jéj głębi, znajdują się w Indyach Wschodnich jeszcze i takie, co swoje mrowiska nad nią budują. Gniazda tych owadów, kształtu jajowatego, osadzone są na konarach drzew i zwykle przytwierdzone są kilku gałązkami. Wnętrze ich dzieli się na mnóstwo komórek, piątrami uszykowanych, a wznoszących się nad jedną, środkową, największą. W niéjto przebywa matka całéj téj rodziny, zamieszkałéj w napowietrznym grodzie.

Są téż mrówki wędrowne, mieszkanki Ameryki południowéj, głośne z osobliwych swoich wędrówek. Każdego prawie roku w pewnych czasach, opuściwszy swoje podziemia, nawiedzają one niezliczonymi orszakami domy i wsi, a wygubiwszy wszelki owad i wypłoszywszy szkodliwe zwierzęta, powracają późniéj do swoich kryjówek. Dlatego téż ludzie, chociaż za ich nadejściem chronić się muszą, radzi są przecież tym odwiedzinom i każdy sprzęt zamykający się otwierają dla tych gości, ażeby za ich pomocą pozbyli się wszelkiego owadu i robactwa. Wedł. *Antoniego Żyszkiewicza.*

88. Słonecznik.

Komuż nieznany obraz naszéj wioski? Ciągnie się ona długim szeregiem chat po obu stronach drogi. Chaty pod słomianą strzechą świecą jasno wybielonymi ścianami i kryją się wśród zielonéj wierzbiny. Po jednéj jéj stronie mały, gęsty sad rumieni się dojrzewającym właśnie owocem grusz, po drugiéj niewielki ogródek. Na jego kraju trochę kwiatów, badyle czerwonego maku, kosmate ślazy, nogietki, krzewiny róży i bożego drzewka; trochę głębiéj ogrodowizny: marchew i ćwikła, a między nimi kopr; tu znów domowe leki: mięta i szałwia, józefek i ławanda; za tém już jeden zwarty łan głowiastéj kapusty. Ponad tém wszystkiém wysoki, sztywny, złotogłowy słonecznik rysuje się na tle widnokręgu.

Tak bywa u nas na wsi dzisiaj dość powszechnie, tak bywało przed laty, przed wieki nawet; tylko jeżeli czego brakło niegdyś temu swojskiemu obrazowi, to z pewnością słonecznika.

Biedny ten wygnaniec dalekiego świata mizerny stosunkowo wiedzie u nas żywot; ale swoją drogą tak się już zżył z nami, tak się ograniczył w swych potrzebach, tak skarłowaciał, że nie razi ani właściwą sobie w ojczyźnie wyniosłością ani blaskiem koszyka kwiatów, którymi tam gwałt słońcu nieledwo zadaje, ani niczém... Któżby mu dzisiaj u nas odmawiał swojskości? A przecież to gość na naszéj ziemi i nie ma jeszcze trzech wieków, jak tu po raz pierwszy przybył. Pierwsza bowiem wzmianka, jaka Europę o nim doszła, została ogłoszona drukiem r. 1568. W dzisiejszych czasach, tak obfitych w świetne odkrycia na polu umiejętności, nawet odkrycie jakiegoś smoka o kilku łbach (gdyby coś podobnego było możebném) nie zrobiłoby takiego wrażenia, jakie wywarła w XVI. wieku wiadomość o téj meksykańskiéj roślinie. W jedném z dzieł francuskich owego czasu czytamy o słoneczniku:

„Nasienie tego ziela, zasadzone w czasie wilgotnych upałów, wschodzi z ziemi w kilka godzin, a rośnie tak chyżo, że w 6 miesięcy po wysianiu przechodzi wysokość kopii, a nieraz i dwu, jeżeli było posadzone w ziemię urodzajną, zmierzwioną i cienistą. Żyje tylko rok i ma jeden pręt bez gałęzi; liście ma podobne do cytrynowych, ale więcéj zaostrzone, postaci i kształtu serca; na szczycie pędu dźwiga

owoc, pełen płynnéj żywicy i najmilszéj woni; jego łodyga, nieco nacięta, sączy pewien płyn, który pod wpływem słońca i powietrza ścina się w podobieństwo gumy, a w połączeniu z płynną żywicą w ogniu daje woń podobną".

„Przyroda téj rośliny jest podziwienia godną, bo obraca się ona i toczy wierzchołkiem prętu ku wschodzącemu słońcu, jakby chciała je witać; a kiedy słońce wskazuje południe, ona wznosi się i pozostaje wyprostowaną tak długo, póki słońce jest na południu; a w miarę, jak ono schodzi ku zachodowi, i ona zwraca się i zniża ku niemu".

„To ziele zalicza się do rodzaju zieleniny, bo włożone do ust, smakuje bardzo dobrze; jego liście, oczyszczone z nerwów i włosów, którymi obdarzyła je przyroda, są dobre do jedzenia, ale lepsze, skoro się je pokraje i włoży do octu z oliwą i korzeniami, a potém powoli zagotuje w glinianym garnku. Jego owoc jest przedniejszego smaku, niż karczochy, które nawet co do wielkości znacznie przewyższa, a liczne nasiona są prawie téjsaméj postaci i w tymsamym porządku, jak oczka w plastrach miodu".

„Dlatego powinna być ta roślina w wielkiém poważaniu, bo wydaje (jak się powiedziało) płynną żywicę i delikatną gumę, które zastępują mięso i napój; jest téż tak wilgotna, że ogonki, utrzymujące liście, dają po zjedzeniu mnóstwo soku, który niesłychanie gasi pragnienie. Jéj łodyga jest mięsna, węzłowata i doskonała do palenia, bo płynna żywica i rdzeń miękki sprawiają, że ta łodyga pali się tak, jak dobry knot, otoczony woskiem".

Taką wiadomość o słoneczniku czytamy w dziele francuskiém, przed trzystu laty wydaném.

I my rychłą o nim wiadomość posiadamy. Już w zielniku Szymona Syreńskiego, wydanym r. 1613., ale pisanym w ciągu 30 lat, znajdujemy taki tytuł: „Słonecznik peruwiański, ziele największe, słońce indyjskie". Wzmianka Syreńskiego dowodzi, że słonecznik rósł już wówczas na polskiéj ziemi, czytamy bowiem w zielniku: „Ziele to jest piękne w ogrodach, jakom ja je widział u J. M. P. Mikołaja Firleja, starosty kazimirskiego; jest zapachu wdzięcznego i smaku; acz u nas trudno mu dostać się w zimnych krajach". Używano go téż i u nas wówczas do stołu. „Czynią z niego — pisze tensam uczony — do stołu smaczniejszą potrawę, niż

karczochy i szparagi, prątki młodych listków i kosmki zgoliwszy, z solą, oliwą i pieprzem na roszcie przypiekłszy".

Wiek następny zajmuje się słonecznikiem w swój sposób. Ponieważ Ludwik XIV., król francuski, wziął słońce za swe godło, więc jeden z dworaków przedstawił obraz słonecznika z dewizą: „Postępuje za biegiem słońca!" — Bawiono się téż nim wówczas, dając mu miejsce w języku kwiatów. A więc oznaczał słonecznik to wyniosłość dlatego, że jest najśmiglejszém zielem, to fałszywe bogactwo, że ma blask złota bez jego dźwięku, to uwielbienie, bo podobno przed odkryciem Ameryki Indyanie, oddając cześć słońcu, wieńczyli słonecznika kwiatami kapłanki swych świątyń.

I nasz wiek nosi swoje piętno. „Nasiona słonecznika — mówi się dziś — dają tyle a tyle słodkiego, tłustego oleju, wybornego do mydła i farb malarskich". To téż czarnoziem ruski okrywa się jego bujnymi łanami tak, że już w r. 1866. wytłaczano ze słonecznika oleju za sumę przeszło półtora miliona rubli.

Że słonecznik obraca swój kwiat za słońcem, to zauważano, jakeśmy widzieli, już w pierwszéj chwili zetknięcia się z tém zielem. Przyczyna tego jest bardzo prosta. Najpotężniejszy, a wieloraki na rośliny wpływ wywiera światło. Kto trzyma choćby jednę doniczkę z rośliną na oknie, ten sobie przypomni, jak jéj gałązki po upływie pewnego czasu, jeżeli doniczka nie była z miejsca poruszana, zwracają się ku źródłu światła, ku słońcu, przechylając się ku niemu. Otóż wierzchołek słonecznikowego pędu jest podobnie wrażliwy i niezmiernie czuły na światło. Z tegoto powodu słonecznik w ciągu dnia obraca się w okrąg. Kołowanie takie jest zjawiskiem bardzo pospolitém w świecie roślinnym; u słonecznika jest ono bardzo wybitne dlatego tylko, że roślina jest wysoka i że pęd kończy się u wierzchołka wielkim kwiatem.

Józef Rostafiński,
(Szkice).

---

89. Sen roślin.

Najpowszedniejsze ziółka, co się po łąkach, polach i ogrodach naszych krzewią, mogą nam dostarczyć wielu bardzo ciekawych zjawisk,y bylebśmy się tylko nad nimi zastanowić chcieli. Jednego z nich milczeniem pominąć nie możemy.

Jest to zjawisko w państwie roślinném bardzo powszednie, a przywodzi nam na pamięć jedno z imion najgłośniejszych w dziejach nauki.

Nieśmiertelny Linné, dostawszy raz nasienie pewnéj rośliny, z południowéj Francyi pochodzącéj, zajął się jéj pielęgnowaniem domowém w Upsali, gdzie północnego klimatu pod okrytém niebem wytrzymaćby nie mogła. Roślina, wdzięczna za łożone około niéj starania, wynagrodziła naturalistę szwedzkiego, wydając jednego poranka dwa oczekiwane przezeń kwiatki, których szczegółowe zbadanie uszczęśliwiony miłośnik przyrody do wieczora odłożył. Gdy ten nadszedł, pośpiesza do swéj roślinki, lecz z wielkim żalem kwiatów już nie znajduje; sądząc, iż to jakaś niebaczna ręka pozbawiła go tych kwiatów, wziął owę roślinkę pod szczególniejszą opiekę. Niespodziewanie w dniu następnym roślinka znowu dwoma zajaśniała kwiatkami, które Linné za nowe uważał i które wieczorem znowu znikły.

Przezorny badacz, nie dopuszczając już w tym razie ponowienia się przypadku, zaczął się domyślać, iż tu coś nadzwyczajnego dziać się musi. Szukając przyczyny, nie bez zdumienia spostrzegł, że z wierzchu kwiatowéj gałązki znajdowały się dwa listki i że oneto właśnie, zbliżywszy się ku sobie i jak najdokładniéj otuliwszy kwiatek, całkowicie go okryły. „Musi to być sen rośliny“ pomyślał sobie badacz. — „Ale przecież nie może on być własnością, téj tylko roślince właściwą“ — rozmyślał daléj mąż uczony. Wziąwszy przeto do rąk latarkę, przebiegł cały ogród botaniczny, wszystkie jego szklarnie i z niemałą radością spostrzegł, iż ogólna postawa bardzo wielu gatunków znacznie się odmieniła. Odgadnąć nietrudno, iż nie przestał na tych jednych odwiedzinach i że je wielokrotnie ponawiał, chcąc dokładnie oznaczyć zmianę w położeniu listków, które oczom naszego mędrca najdokładniéj przedstawiały obraz słodkiego spoczynku, obraz snu prawdziwego.

Widok ten, tak dlań nowy, zachwycił Linnégo, cisza nocna powiększała jeszcze siłę odbieranycb wrażeń: i mocniéj zadrżało serce, łzy nawet popłynęły mu z oczu, bo duch jego poznał jeden z nowych dziwów. Lecz chcąc sobie wyobrazić to szczęście, tę rozkosz, jaką obudza każde, choćby najmniejsze, tego rodzaju odkrycie, trzeba być szczerym zwolennikiem nauki, a co większa, trzeba czuć powaby pięknéj natury, na-

dewszystko zaś umieć myślą wznosić się do jedynego jéj Stwórcy. A więc jak czujące zwierzęta, dziennem czuwaniem znużone, w śnie dobroczynnym czerpią nowe siły do nowego czucia, tak téż podobnie i żyjące rośliny odpowiedniego wypoczynku szukają w swoim śnie roślinnym, co je pokrzepia na dalsze życie.

Wtedy to Linné pierwszy podał myśl, pełną poezyi, robienia zegarów kwiatowych. Zasadę do tego pomysłu stanowiło to spostrzeżenie, iż nie wszystkie kwiaty rozwijają się o jednéj dnia porze, lecz każdy ma swoję godzinę, w któréj stale koronę swoję roztwiera. A więc zebrawszy pewną ich liczbę i poznawszy godzinę rozkwitania, możesz z kwiatów na ziemi, niby z tarczy zegarowéj, wyczytywać punkt drogi, w której się słońce na niebie znajduje — z tą tylko różnicą, że ci go nie wskaże metaliczna strzałka na martwéj liczbie, lecz żyjący i miły, rozwinięty kwiatek. A jednakże prostaczkowie wiejscy, żyjący na lat wiele przed tym genialnym człowiekiem, znali już tę własność roślin i godzinę dnia odgadywali, rzucając okiem na swoje łąki, a tak, wcale o tém nie wiedząc, już spostrzegali owę niepojętą harmonią, jaka zachodzi między ruchami drobniutkiego kwiatka, a biegiem olbrzymich ciał niebieskich, za miarę czasu służących.

Antoni Żyszkiewicz.

---

90. Kréda.

Wapień napotykamy w ziemi w różnych odmianach i rozmaicie zabarwiony; nawet marmur i kamień litograficzny, na którym litograf wyrzyna rozmaite rysunki, aby je potém na papierze odbijać — są podobnież wapieniami. Wszystkie te wapienie wielce są dla nas pożyteczne. Służą nam do budowy domów, do szutrowania dróg; kamieniarz wyrabia z nich nagrobki, płyty na stoły, ołtarze i t. p.; rzeźbiarz rzeźbi posągi i najrozmaitsze ozdoby; rolnik nawet posypuje niekiedy rolę wapnem mieloném, chcąc ją urodzajniejszą uczynić. Wapień jest więc na ziemi bardzo rozpowszechnionym minerałem i ma najrozmaitsze zastosowanie. Ale nie tylko człowiek ma z niego tyle korzyści: zwierzęta i rośliny niektóre nie mogą się też bez niego obejść! Wszakże skorupki ślimaków lądowych i wodnych są z wapienia; a ileż to zwierząt morskich

ma okrywę wapienną! Wapień wchodzi także w skład kości ludzkich i zwierzęcych.

Do wapieni zaliczamy także kredę, służącą nam do pisania. Wyrabiają ją z pewnego gatunku kamienia wapiennego, który także kredą albo wapieniem kredowym nazywamy. Wapień kredowy rozcierają na mąkę i wrzucają do kadzi, napełnionej wodą. Grubsze okruszyny i inne cięższe domieszki kredy opadają zaraz na dno kadzi, wodę zaś z zawieszoną w niéj mąką kredową odprowadzają do innych naczyń, w których miałka kreda osiada. Tak oczyszczoną kredę biorą pod prasę, suszą i rozsprzedają. Cały ten sposób wyrabiania kredy do pisania zowie się szlamowaniem. Przez dwu lub kilkakrotne szlamowanie uzyskuje się jeszcze delikatniejszą kredę, którćj znowu używają do rysowania. (Kredki rysunkowe).

Wapień kredowy nie wszędzie znajdujemy na ziemi; atoli dość często tworzy on potężne skały, góry i pokłady znacznéj grubości. Znamy wapień kredowy z południowo-wschodniéj Anglii, z północnéj Francyi, z Danii, z wyspy Krety na morzu Śródziemném, skąd téż nazwa kredy pochodzi, z pod Chełmu w ziemi lubelskiéj i t. d.; nawet u nas na Podolu występuje w jednéj miejscowości nad Seretem (w Wertełce koło Załoziec). Opokę, która tak jest pospolitą koło Lwowa i w wielu innych okolicach na wyżynie podolskiéj, nazywają uczeni kredą szarą, chociaż z wejrzenia niewiele ma podobieństwa z kredą właściwą. Można nią także pisać, ale pismo jest szare i niepiękne.

Na pozór wydaje nam się kreda masą zbitą, złożoną z drobnych okruchów ziemistych; tak jednak nie jest. Gdybyśmy kawałeczek kredy roztarli na proszek i położyli pod szkło, powiększające około 300 razy, to przedstawi on się nam w kształtach kulistych, niekiedy jak sitko dziurkowatych i zwykle bardzo pięknych. Są to skorupki zwierząt morskich, które przyrodnicy otwornicami nazywają. Kreda składa się więc niemal z samych skorupek zwierzęcych, ale tak małych, że ich wolném okiem nie podobna zobaczyć. W jednym centymetrze sześciennym kredy moglibyśmy naliczyć setki tysięcy, a nawet miliony otwornic. Ileż to tych skorupek zawiera w sobie zwykły kawałek kredy, którego używamy do pisania, a ile ich będzie w jednéj górze lub w całym łańcuchu skał i gór! Zwierzątka, z których kreda powstała, żyły niegdyś w morzu w nadzwyczajnéj ilości. Zaumierając, spa-

dały na dno morskie i utworzyły z czasem grube warstwy czyli pokłady.

Jeżeli jednakże otwornice żyją tylko w morzu, a skały krédowe znajdują się obecnie na lądzie stałym, można z tego wnosić, że w tych miejscach, gdzie dzisiaj są góry krédowe, rozciągało się przed wielu wiekami morze. Po jego ustąpieniu dopiero okazały się pokłady krédy w różnych krajach i częściach świata. Kréda jest zatém osadem morskim, jak wszystkie inne wapienie, które zaliczamy do skał osadowych.

Służy kréda nie tylko do pisania i rysowania. Użytek z niéj jest o wiele obszerniejszy. Z krédy sporządzają białą farbę malarską; służy ona także jako podkład przy malowaniu i pozłacaniu ozdobnych wyrobów z drzewa; czyszczą nią także metale i wywabiają tłuste plamy z sukień; szklarz dodaje krédy do kitu i t. d. Sproszkowana kréda miała dawniéj także zastosowanie w lecznictwie. *Józef Bąkowski*,

(Dwadzieścia lekcyj).

---

91. Marmury.

W skałach pierwotnych znajduje się w wielkich masach marmur, tak zwany pierwotny, z grubszych lub drobniejszych ziarn złożony. Marmur ten niekiedy sam jeden tworzy te skały.

Najpospolitszy jego kolor jest biały, lecz bywają także marmury szare, czarne, żółte i czerwone. Kolory te albo są jednostajne albo rozrzucone w postaci plam, kropek, żyłek, wstęg i t. d. Ziarna, z których się marmur składa, są niekiedy tak drobne, że masa jego zdaje się być ciągłą i jednostajną i żadnych ziarn w składzie swoim nie ukazuje. Marmury takie bywają twardsze i daleko mniéj kruche, niż marmury grubo-ziarniste.

Kopalnie marmuru znajdują się w bardzo wielu krajach; sławniejsze są na wyspach Paros i Antyparos na Archipelagu greckim, w górze Athos w Grecyi, w górach przyległych miastu Carara w Toskanii, w Alpach szwajcarskich, tyrolskich, karynckich, w górach Karpackich w Węgrzech, w Saksonii, w Czechach, w Szwecyi i Norwegii, we Francyi, w Anglii, w górach Uralskich w Syberyi i w wielu innych miejscach. Gatunek ten marmuru nazywają także posągowym albo rzeźbiarskim, ponieważ z niego najwięcéj wyrabiają posągów i popiersi, rzeźb i wspaniałych ozdób. Najczęściéj jednak do tego

celu używaną była odmiana jego biała, z barwy i kształtu swéj masy do cukru albo soli podobna. Starożytni sławni rzeźbiarze greccy przekładali nad wszelki inny marmur z wyspy Paros; rzeźbiarze dzisiejsi używają natomiast marmuru białego z okolic miasta Karary w Toskanii, ponieważ jego ziarno jest drobniejsze, niżeli marmurów innych.

Marmur biały z przeciągiem wieków nabywa na powierzchni swojéj barwy zielonawéj, dlatego częstokroć nawet dzisiejsi rzeźbiarze wyrobione z niego starożytnym kształtem naczynia lub posągi powlekają sztucznie barwą zielonawą, chcąc dziełom swym nadać pozór starożytności. Odmiana tego kamienia w blado różowym kolorze od wszystkich innych jest rzadsza i drogo się płaci; stąd i ten kolor nadają mu niekiedy sztucznie.

Są téż marmury młodsze, stanowiące skały przechodowe i warstwowe. Zawierają one w masie swojéj mnóstwo skamieniałych istot morskich, których w marmurze pierwotnym żadnego śladu nie widać. Marmury przechodowe i warstwowe mają najrozmaitsze kolory, najczęściéj pomieszane i różne desenie tworzące. Że zaś w ich składzie znajduje się mnóstwo szczątków skamieniałości, a każda z nich ma właściwy sobie kolor, przeto po wyszlifowaniu marmuru ukazują się na jego powierzchni różnokolorowe plamy, wstęgi, kropki, żyłki i t. p. Najczęściéj w marmurach takich znachodzą się ułamki korali i różnych muszli, których gatunki już wyginęły, ale podobne do nich dotąd jeszcze żyją w morzach.

Marmury takie znajdują się w bardzo wielu krajach europejskich. Przez szlifowanie nadać im można bardzo znaczny połysk. Używa' się ich na wspaniałe budowy, naczynia, posadzki, gzymsy, kolumny i t. p. Tak n. p. kolumna, utrzymująca posąg Zygmunta III. na przedmieściu Krakowskiém w Warszawie, wyrobiona jest z takiego marmuru, wykopanego pod Chęcinami w województwie Krakowskiém.

Marmury florentyńskie i arabskie mają na sobie tak piękne desenie, że po wyszlifowaniu, nakształt obrazów w ramy oprawione, do ozdoby ścian służą. Pierwsze są koloru żółtawego z brunatnymi plamami, wyobrażającymi widoki rozwalin miast, fortec, wież, zamków i t. p.; drugie mają w swoich masach naturalne plamy czarne, wyobrażające girlandy, krzaczki, drzewa, lasy i różne widoki, częstokroć tak wyraźne i do-

kładne, iż patrząc na nie, zaledwie uwierzyć można, że są nie sztuki płodem, lecz igrzyskiem natury.

Marmur znowu z Bleibergu w Karyntyi zawiera w masie swojéj ułomki skamieniałych mięczaków. Ich skorupy mają naturalny połysk perłowéj macicy, który nawet w ich skamieniałych ułomkach nie zaginął; przeto marmur blejberski, po wyszlifowaniu lub rozbiciu naprzeciw światła trzymany, odbija w sobie różne mieniące kolory, jak opal szlachetny.

Do marmurów z młodszych skał warstwowych należy także kamień litograficzny, mający kolor jednostajnie żółtawy i bardzo drobne ziarno z muszlowym odłamem. Kamień ten w masie swojéj jest tak mocno zbity, że się daje gładzić i pięknie polerować. Na wygładzonéj powierzchni jego rysują i piszą artyści z nierównie większą łatwością, niżeli na blasze miedzianéj; wykończony rysunek zapomocą osobnéj prasy wyciska się na papierze i to się zowie litografowaniem. Po odbiciu pewnéj liczby egzemplarzy można jeden rysunek piaskiem zetrzéć, a potém na kamieniu, nanowo wypolerowanym, inny rysunek rozpocząć. Tym sposobem może jeden kamień służyć artyście na bardzo długie lata. Najlepsze kamienie litograficzne znajdują się koło Ratysbony w Bawaryi.

Wedł. *Antoniego Wagi.*

D.

92. Rolnictwo.

Człowiek, wyrokiem Bożym na pracę skazany, obrócił najpierwsze starania swoje na wyszukanie najważniejszych środków do utrzymania swego bytu na ziemi.

Dzikie narody żyją jeszcze dotąd owocami, rybą i surowém mięsem; ucywilizowane zaś wynalazły chleb jako najlepszy pokarm i jako najpierwszy odpowiedni środek do utrzymania fizycznych sił człowieka. Wiadomo, że chleb przygotowuje się ze zboża; najgłówniejsze zatém w historyi postępu stanowisko zajmuje bezwątpienia rolnictwo.

W najdawniejszych czasach nie miano wyobrażenia o narzędziach rolniczych. Wzruszano ziemię muszlami, kością lub ostrym krzemieniem i na los Opatrzności wrzucano w nią ziarno. Były to jeszcze trudne początki rolnictwa, słabe usiłowania pojedynczych ludzi. Dopiero kiedy człowiek zaczął oswajać zwierzęta i używać ich do uprawy ziemi, rolnictwo

weszło powoli najpierw w zwyczaj, a potém w potrzebę narodów; i odtąd rozpoczyna się prawdziwa jego historya.

Pierwszy pług, a raczéj socha, któréj obraz przechował się do dziś dnia na Litwie, był zrobiony wprost z drzewa, bez kółek, lemiesza i odkładni, zapewne z młodego odziomka, z zakrzywionymi nakształt kotwicy korzeniami. Największe upowszechnienie znalazł on w Egipcie z powodu stałych wylewów Nilu. Dlatego téż Egipcyan uważają powszechnie za pierwszych wynalazców pługa i brony, chociaż te narzędzia znane były równocześnie innym narodom. Grecy przypisywali wynalazek owych pierwszych przyrządów rolniczych Demeterze, jako bogini rolnictwa; Rzymianie zaś czcili bożka Saturna, jako pierwszego rolnika. Stąd możemy wnioskować, że chociaż owe starożytne narody nie zajmowały się w takim stopniu rolnictwem, jak my dzisiaj, to jednak było ono w wielkiém u nich wszystkich poważaniu.

W starożytności uprawiano najwięcéj pszenicę i jęczmień. Chleb pszeniczny służył za pokarm dla bogatszych, chleba zaś jęczmiennego używała uboga klasa ludu.

Naród germański, jużto z powodu górzystego kraju i zbyt ostrego klimatu, już téż z powodu ciągłych wojennych wypraw i napadów, nie bardzo zajmował się u siebie rolnictwem, zdając je pieczy kobiet i niewolników. Uprawiano tylko jęczmień i owies, jako letnie (jare) zasiewy, gdyż ozimina nie dojrzewała w starożytnéj Germanii. Z owsa robili Niemcy chleb i kaszę, a z jęczmienia piwo.

Przeciwnie zaś Słowianie, naród z natury rolniczy, najpierwsze swoje usiłowania obracali na uprawę ziemi, korczowanie lasów, osuszanie bagien i budowanie wsi. Lech pierwsze swoje zdobycze rozpoczął pługiem, a Piast wprost od pługa postąpił na tron, potomkowie zaś jego przez pięćset lat słynęli skarbami, sławą i potęgą głównie przez rolnictwo. Któryż z monarchów był i będzie tak wzorowym rolnikiem, jakim był Kazimierz Wielki, który szczególną opieką otaczał stan rolniczy, chłopków!

Słowiańskie ludy uprawiały od najdawniejszych wieków żyto. W VI. wieku po nar. Chr. wprowadzili je Słowianie w czasie swoich wędrówek także do Niemiec. Żyto służyło odtąd na północy do przysposabiania chleba, podczas gdy w południowych Niemczech używano na chleb pszenicy, za przykładem ludów południowych i zachodnich. W XVI. stu-

leciu dostała się gryka z Azyi do Niemiec i na równinach północy znalazła gościnne przyjęcie i rozpowszechnienie. Wprzódy jednak, niż w Niemczech, bo już w XV. stuleciu, znano ją w Polsce. Tatarzy bowiem rozpowszechniali ją po Rusi i Polsce, skąd zapewne przeszła i do sąsiednich Niemiec. Gryka zatrzymała jeszcze do dziś dnia w niektórych okolicach Polski nazwę tatarki.

Ziarno wydeptywali z początku z kłosów sami ludzie, w późniejszych czasach napędzano na nie bydlęta, jak nas o tém sama Biblia przekonywa. Dotąd jeszcze w niektórych okolicach zachował się ten sposób wymłacania zboża, co zwykle ma miejsce na polu, na ubitym z gliny toku czyli klepisku.

Użycie cepów, wynalezionych przez Rzymian, utrzymało się mimo rozmaitych mechanicznych ulepszeń w téj gałęzi rolnictwa aż do naszych czasów, gdyż, jak się zdaje, jest to jedyny, choć może ze stratą czasu połączony, sposób korzystnego wydobywania ziarna z kłosów i czystego składania w snopy długiéj słomy, potrzebnéj na pokrycie dachów, na sieczkę i t. p. Przy młóceniu na odkrytych tokach zauważyli ludzie, że wiatr oddzielał czyste ziarno od plewy, stąd wpadli na myśl przewiewania ziarna zapomocą ręcznych narzędzi. Szufel był już zatém oddawna w użyciu, przeciwnie młynki do czyszczenia zboża i wialnie są wynalazkiem ostatnich czasów.

Sito znali już Egipcyanie i robili je z łyczków papyrusu. Hiszpanie splatali sita z nici, Gallowie i Franki z końskiego włosia, Niemcy zaś składali je z łupanéj trzciny. Obydwa ostatnie rodzaje sita i rzeszota znano także w dawnéj Polsce i dochowały się one do dzisiejszych czasów.

Wedł. *Franciszka Staszica.*

---

93. Mieszkanie.

Ludy koczujące, żyjące z myśliwstwa i rybołostwa, obchodziły się pierwotnie bez stałych mieszkań, chroniąc się na noc lub przed burzą po jaskiniach, na prędce skleconych szałasach z chróstu, pod rozłożystymi konarami drzew i t. p. Od czasu jednak pierwszych prób i usiłowań rolniczych nie mogło już być mowy o niestałych mieszkaniach, jakie sama przyroda, przypadek lub konieczność nastręczały ludziom. Rolnik zmuszony był pomyśleć o stałém i trwałém mieszkaniu, nie tylko dla siebie i swojéj rodziny, ale także postarać się

o zabezpieczenie przed mrozem, upałem lub deszczami swojéj chudoby, a co ważniejsza na suchych miejscach pod nakryciem składać płody polne, aby je zachować od rychłego zepsucia.

W okolicach leśnych mieszkania ludzkie mało odróżniały się od szałasów koczujących pasterzy. Wbijano naprzód pale w ziemię, potém oplatano ściany witkami i na wewnątrz wylepiano je gliną. Że jednakowoż pale te czyli słupy prędko gniły w ziemi, a budynek za lada burzą groził upadkiem, poczęto z czasem pod owe słupy podkładać podwaliny. Dachy swych chat pokrywali ludzie stosownie do okoliczności dranicami, korą lub słomą. Po ukończeniu ścian i dachu przystępowano późniéj do wewnętrznego urządzenia, które nadzwyczaj bywało proste i narażało na liczne niewygody.

Właściwa architektura czyli sztuka prawidłowego a pięknego stawiania gmachów, nie mająca związku z kleceniem chat i szałasów, wzięła podobno swój początek od Egipcyan i Fenicyan. Od nich potém nauczyli się téj sztuki Grecy, a od tych Rzymianie. Atoli najwyższy szczyt doskonałości w sztuce nadobnego budownictwa osiągnęli Grecy. Najcelniejszym przedmiotem greckiéj architektury były gmachy publiczne, świątynie, kolumnady, przysionki i krużganki do przechadzek, jak np. sławny wchód na Akropolis w Atenach. Przeciwnie zaś Rzymianie celowali wznoszeniem przepysznych pałaców, teatrów, łaźni publicznych, cyrków, studzien i wielu innych budowli, łączących w sobie pożytek ze zbytkiem i rozrzutnością.

Z zaprowadzeniem chrześcijaństwa starożytna architektura zaczęła się przeradzać stosownie do pojęcia, klimatu i potrzeby narodów. Chociaż Grecy i Rzymianie wznosili przepyszne budowle, nie znali jednak przyjemności i wygód naszych czasów. Dla przepuszczenia dziennego światła zostawiali w ścianach swoich mieszkań proste tylko otwory, przez które wdzierał się do komnat wiatr, deszcz, śnieg, a nawet zwierz dziki lub złoczyńca. Chcąc zapobiec ostatnim zwłaszcza niedogodnościom, wprawiano zwykle w okna żelazne lub drewniane kraty; późniéj zaś zaczęto okna zasłaniać pęcherzem lub rogowymi tafelkami, gdyż przekonano się, że róg, gotowany w wodzie, pozwala się rozciągać na cienkie i przezroczyste listki. W Chinach zalepiano okna papierem, napuszczonym oliwą, a w Rzymie za czasów Chrystusa używano już za szyby łupanéj miki. Szkło było wprawdzie oddawna już znaném, ale nie wiedziano o jego użytku do okien.

Dopiero w III. wieku po Chr. zaczęto naprzód świątynie przyozdabiać szklanymi oknami; do mieszkań zaś jeszcze przez kilka wieków nie używano szkła, gdyż pałace lordów angielskich dopiero około roku 1180. otrzymały pierwsze szklane szyby, a w r. 1458. jeszcze nie wszystkie domy w Wiedniu były oszklone. Dawne szyby były zwykle kolorowe, dopiero w XIV. stuleciu pojawiły się, naprzód we Francyi, białe szklane okna.

W krajach strefy umiarkowanéj i zimnéj oprócz opatrywania okien szybami musiano także myśleć o sztucznêm ogrzewaniu mieszkań, do czego zwykle używano żarzących się węgli lub téż rozniecano ogień w urządzonéj na ten cel jamie, dym zaś, napełniający mieszkanie, uchodził na dwór drzwiami, oknami lub zostawionym w dachu otworem (dymnikiem). Podobne dymne czyli kurne lepianki istnieją jeszcze do dnia dzisiejszego po wsiach w kraju naszym. Z czasem zaczęto murować ogniska i kominki, dym zaś, unosząc się w górę pod tak zwany kaptur, wychodził osobnym otworem na powietrze. Było to wstępem do późniejszego wynalazku pieców izdebnych. Piece te w pierwotnym swoim kształcie bardzo jeszcze były niezgrabne i niewygodne, a przytém pochłanialy ogromną ilość drzewa. Późniéj nastały piece kaflowe, a wreszcie żelazne. Obecnie fabrykacya pieców tak się wydoskonaliła, że dziś należą one do najpiękniejszych ozdób po wielu mieszkaniach. Ale bo téż wytworne i wygodnie urządzone mieszkania dzisiejsze ani podobne do ubogiéj izby, która im była pierwowzorem. Wedł. *Fr. Staszica.*

---

94. Opatrzność Boga.

Wspaniałe słońce już zaszło, wieczorna rosa kroplami ziemię okrywa, a gorące powietrze ochłódło. Kwiaty stulają różnobarwne listki, pochylają zamknięte główki na lekkich łodygach. Małe kurczęta zebrały się pod skrzydła matki i siedzą cicho; ona sama spoczywa. Ptaszki śpiewać przestały, śpią na gałęziach, każdy swoję główkę pod skrzydełko schował. Już pszczoły nie brzęczą koło ulów ani po łąkach nie szukają miodu; skończyły pracę i odpoczywają w swych komórkach z wosku. Baranki leżą na miękkich runach, już ich głosu nie słychać na pagórkach. Już ustał gwar rozlicznych głosów

i hałas igrających dzieci i stąpanie zatrudnionych ludzi. Już młot kowala nie bije w kowadło, już w ręku cieśli nie rznie piła. Wszyscy ludzie spoczywają, każdy na jakiém ma posłaniu. Ciemność ogarnęła niebiosa, ciemność okryła ziemię i wszystkie oczy zamknięte, każde ramię spoczywa.

I któż czuwa nad tym uśpionym światem, kiedy nikt o obronie nie myśli, niebezpieczeństwa nie widzi, choćby było bliskie? Jest oko, które nie śpi nigdy; jest oko, które zarówno widzi i w ciemnościach nocy i w świetle słoneczném. Kiedy już nie ma jasności ani od słońca ani od księżyca; kiedy już w domach światła zgaszono; kiedy nawet z za chmur ciemnych żadna nie wyjrzy gwiazdka: to oko wszędzie i wszystko widzi i czuwa nad wszystkimi rodzinami świata.

To oko, które nie śpi nigdy, jest to oko Boga: opieka Jego zawsze nad nami. On dał nam sen dla spoczynku po trudach; stworzył noc, ażebyśmy spać mogli spokojnie. Jak matka cały dom swój przebiega, a palce położywszy na ustach, wszystkim nakazuje milczenie, ażeby się nie obudził uśpiony jedynak, i zasłonę kołyski zasuwa, ażeby światło nie raziło oczu jego: tak Bóg zasuwa przed nami zasłonę ciemności, wszystkiemu nakazuje milczenie, ażeby wielka Jego rodzina spocząć mogła w cichości.

A więc, robotnicy, pracą znużeni, i wy, dzieci, zabawą zmęczone, śpijcie spokojnie: Bóg nad wami czuwa. Tak! wy spać możecie, bo Bóg nie śpi nigdy; możecie zamknąć oczy bez trwogi, bo Jego oko otwarte nad wami. Ale skoro znikną ciemności i światło słoneczne powieki wasze otworzy, zaczynajcie dzień od chwalenia Tego, który nad wami w czasie nocy czuwał. Wy, kwiaty, skoro roztoczycie na nowo listki wasze, na cześć Jego woń wydawajcie! Wy, ptaki, skoro się ockniecie wśród zielonych gajów, Jemu nućcie pieśń wdzięczności. A wy, dziatki, czcijcie imię Boga; niech pochwały Jego będą w sercach waszych w chwili usypiania, niech z ust waszych wychodzą zaraz po ocknieniu.

Klementyna z Tańskich Hofmanowa.

---

95. Skarbonka gliniana.

Nie ma zapewne nikogo, którýby nie znał skarbonek glinianych; pełno ich różnéj wielkości na targach naszych i u każdego garncarza. Ale może nie każdemu wiadomo, jakito

sprzęt nieoceniony, jakieto w niéj źródło pomyślności znaleść można za kilka groszy.

Skarbonka gliniana ma niepospolite zalety. Ona jest godłem wierności i wytrzymałości. W prostocie swojéj zawstydza ona najpiękniejsze sakiewki i woreczki, najobronniejsze kufry i kantorki, szkatułki i najściśléj zawarte trzosy; zawstydzićby mogła może i ludzi. Grosza, raz jéj powierzonego, nikt jéj nie wydrze, chyba ją samę wprzód zniszczy; wierna do końca, dopóki jéj bytu, dopóty nie wyda oddanego sobie skarbu; rozedrzéć trzeba to łono, ażeby wydobyć zawartą w niém tajemnicę. Skarbonka gliniana nie jest hardą; ona zarówno grosz i dukat przyjmie; rzetelna, tyle odda, ile wzięła, nic nie uroniwszy; skromna, nigdy ani się nie nadyma ani nie podnosi; zawsze jednakowa, a jakby rozumną była istotą, im pełniejsza, tém mniéj głośna. Nie sąż to nieocenione i niestety! mało naśladowane przymioty?

A teraz zważmy, jakie w niéj znajduje się źródło pomyślności, jakie ona korzyści niesie tym, których przyjaciółką i towarzyszką domową się stanie; jak się odwdzięcza tym, którzy nabywszy ją, wiernie ją napełniają i dobrze strzegą i dopiero w ostatecznéj chwili kończą byt jéj bezinteresowny. Napatrzyłam się wielu takich przykładów, dlatego kilka z nich tutaj przytoczę.

Różne są czasy i pory w życiu człowieka; niejednostajnie koło fortuny się toczy; niezawsze słońce jednakowo świeci; komu dziś łatwo acz uczciwie pieniądze przychodzą, ten ręczyć nie może, czy podobnie za lat kilka dziać mu się będzie, czy zdrowia wystarczy, czy inne jakie przeciwne okoliczności nie zajdą. Tę uwagę zrobiło wcześnie dwóch moich znajomych, obrońca prawny i lekarz, kiedy w największéj byli wziętości; każdy z nich kupił sobie glinianą skarbonkę; ograniczał ile możności wydatki swoje, a zbywające pieniądze powierzał téj wiernéj przyjaciółce. Dziś obrońca, czując umysł spracowany, oddalił się od mozolnego urzędu: żyje przyzwoicie z procentu od oszczędzonych funduszów; lekarz, widząc, że mu zdrowia ubywa, kupił piękną wioskę, w niéj mieszka, włościan i domowych lecząc.

Znam ojca, którego córka szczęście swoje winna skarbonce glinianéj. Od jéj urodzenia postanowił on odkładać dla niéj część dochodów swoich, zwłaszcza, że stałego nie miał majątku. Postanowił i dotrzymał. Nieznacznie uzbierała się

sumka wcale znaczna; a gdy dorosłéj już pannie trafił się uczciwy i rozumny człowiek, ale przeszkodą do małżeństwa było to, że pan młody nie miał czém dorabiać się chleba: ojciec ów, nie szukający dla córki losu w zamęściu, ale prawdziwego szczęścia, roztłukł skarbonkę, pieniądze, w niéj zawarte, dał córce jako posag i wydał ją za owego rozumnego i uczciwego człowieka. Przy gorliwéj i sumiennéj pracy skarb ten mały z czasem w wielki się zamienił.

Znam matkę, która los i edukacyą czworga dzieci przypisuje glinianéj skarbonce. Mąż jéj był na zyskownym urzędzie i sypał pieniądzmi; chciał, żeby dzieci jego w zbytkach rosły, żeby zabawek i strojów miały podostatkiem. Inaczéj rozsądna matka myślała. Skoro mąż chciał kupić co niepotrzebnego dzieciom, ona pieniądze, na to przeznaczone, w skarbonkę chowała. Minęło lat kilkanaście, mąż umarł, zmieniła się fortuna. Z dochodów pozostałych wdowa ledwie utrzymać się mogła z dziećmi. Ale pieniądze zebrane posłużyły jéj do ukończenia edukacyi dzieci i dziś każde z nich ma byt uczciwy.

Znam pana, który rzadkie szczęście posiada: ma zawsze dobrych służących i już niejeden wyszedł od niego na człowieka; całą wdzięczność za to szczęście skarbonce glinianéj winien. Przyjmując służącego, pokazuje mu ją i mówi: „Prócz zasług, które ci regularnie płacić będę, oznajmiam ci, że tu miesięcznie składać będą pewną kwotę pieniężną, nie na imię twoje, ale na tytuł, jaki masz w domu moim: lokaja, woźnicy, kucharza i t. p. Jeżeli mi będziesz służył lat dziesięć, te pieniądze dostaną się tobie i będziesz mógł albo daléj służyć, albo téż odejść i coś dla siebie innego przedsięwziąć“. Ta nadzieja zbawienne sprawia skutki; służący garną się do niego, służą dobrze i długo.

Znam filozofa, który ze skarbonki glinianéj taki użytek czyni. Ma ludzkie i dobre serce, ale żebraków nie cierpi. Kiedy który naprzykrza mu się na ulicy, on z zimną krwią dobywa pieniądz z jednéj kieszeni, ale zamiast go dać żebrakowi, do drugiéj go kieszeni kładzie; przyszedłszy do domu, oszczędzone tym sposobem pieniądze wrzuca do skarbonki. Kiedy się dowie o jakiéj prawdziwie nieszczęśliwéj rodzinie, która żebrać się wstydzi, rozbija skarbonkę i daje jéj uzbieraną sumę; albo téż za pieniądze, próżniactwu odjęte, sposobi do pracowitego życia kilkoro dzieci ubogich, które teraz do szkoły posyła, późniéj do jakiego odda rzemiosła.

Spis tych przykładów, którychby więcéj przytoczyć można, przerywa mi następująca uwaga: człowiek sam jest jakby glinianą skarbonką; wartość w nim ukryta, to dusza: roztłucze śmierć naczynie, skarb w niéj będący zostanie; a jeśli znaczny i rzetelny, nie zginie na wieki.

Klementyna z Tańskich Hofmanowa.

96. Praca a próżnowanie.

Człowiek rodzi się z potrzebami, musi więc koniecznie na dogodzenie im pracować i życia swojego bez pracy utrzymać nie może. Póki zostaje w dzieciństwie, dobrotliwa ręka rodziców lub opiekunów potrzeby jego i wygody opatruje; lecz skoro do sił przychodzi, powinien sam na siebie pracować i jeszcze pracą swoją wypłacać się za dobrodziejstwa tym, którzy go w dzieciństwie jego, to jest w stanie niemocy i słabości, pielęgnowali. Jest to dług zaciągniony, który koniecznie wypłacić trzeba, a nie można go wypłacić bez pracy.

Różne są stany ludzi: ten się rodzi bogatym, ów się rodzi ubogim; tego Opatrzność na wysokim, owego na niskim stopniu postawiła. Atoli mimo téj różności, kiedy się wszyscy rodzą ludźmi, wszyscy zarówno pracować muszą i żadnego nie masz stanu, któryby był wyjęty od pracy. Prawda, że praca ta jest różna, ale jednak zawsze jest pracą. Król, rządzący narodem — senator, przemyślający o dobru ojczyzny — sędzia, czyniący sprawiedliwość pokrzywdzonym — żołnierz, ćwiczący się i sposobiący do obrony kraju — nauczyciel, oświecający młode umysły nauką, a serce cnotą napawający — gospodarz, przemyślnie chodzący w domu około majątku swojego — rolnik, ziemię kopiący: wszyscy pracują, wszyscy wspólnymi siłami do powszechnego dobra rodu ludzkiego zmierzają.

Wielką jest więc rzeczą w wychowaniu człowieka, wcześnie go przyuczać do pracy, bo cała dalszego życia jego poczciwość na pracy polega.

Kto z młodu pracować lubi i nigdy nie jest w dopełnieniu swych powinności leniwym, ten się na dobrego i pożytecznego obywatela kraju sposobi. W jakimkolwiek go stanie potém Opatrzność pomieści, zawsze on w pracy kochać się będzie, a témsamém będzie użytecznym członkiem społeczności.

A jako praca potrzebna jest i pożyteczna, tak szkodliwe jest niedbalstwo i próżnowanie. Lecz fałszywym przesądem omamieni ludzie prawie powszechny wstręt czują do pracy, a całą szczęśliwość życia na nieczynności i próżnowaniu zasadzają.

Praca zdaje się być przykrym ciężarem, od którego każdy się pragnie uwolnić. Człowiek pracowity, który w pocie czoła swojego na kawałek chleba zarabia, zazdrości losu bogaczom, we wszelkie dostatki obfitującym, gdy częstokroć los ich bardziéj politowania, niż zazdrości jest godzien. W rzeczy saméj praca, byle nie była nad siły człowieka, nie tylko nie jest dlań ciężarem, lecz nawet zaprawą jego spoczynku, jako też wszelkiéj zabawy i uciechy.

Próżnowanie zaś wystawia na ustawiczne nudy i tęsknoty i gdyby innych gorszych za sobą skutków nie pociągało, dlatego jedynie każdyby się go chronić powinien. Ale co jeszcze gorsza, próżnowanie jest matką wszystkich występków. Nie masz takiego złego, do któregoby przyprowadzić nie mogło. Próżnowanie młodych niszczy wszelkie ich umysłu przymioty, któreby przez pracę rozszerzyć, oświecić i na dobro swoje i drugich obrócić mogli.

Próżnowanie sług jest zdradą i oszukaniem panów, którzy ich dla pracy i potrzebnych sobie usług kosztem swym utrzymują.

Próżnowanie ludzi niższego stanu, którzy pracą rąk swoich chleba szukają, albo ich do głodu i ostatniéj nędzy przywiedzie albo o śmierć haniebną przyprawi za występki, które za sobą pociąga.

Próżnowanie możnych, bogatych, w wyższym stanie zostających ludzi, jest źródłem owych dzikich fantazyj, owych próżnych, kosztownych, a na mało przydatnych rozrywek, którymi czas zabijać, a siebie od tęsknoty i nudów uwolnić szukają. Zgoła, nie masz stanu, w którymby próżnowanie nie było złém i szkodliwych za sobą dla społeczności skutków nie pociągało.

Kto nie pracuje, krzywdzi społeczność, bo darmo jé chleb, do którego się wcale nie przykłada. Trzeba więc od młodości nauczyć się dobrego używania czasu, trzeba nabrać chęci do pracy, a wstrętu do próżnowania, aby nie być potém złym człowiekiem, złym kraju obywatelem i ciężarem dla społeczności.

Niech każdy składa talent swój krajowi jako dar w skarbonę, tajemnie i nie mówiąc, ile złożył. Przyjdzie czas, że się skarbona napełni, a Pan Bóg zapisuje, ile każdy do niéj włożył. A jeśli chwalić się będziecie tém, coście złożyli, tedy wyśmieją was ludzie, poznawszy, żeście talent wasz dawali dla próżnéj chluby. Zasługa dla kraju jest jako proch. Kto proch szeroko rozsypuje i podpali, zrobi mały błysk bez mocy huku i skutku. Ale kto proch zakopie głęboko i podpali, tedy wywróci ziemię i mur z hukiem i skutkiem. Ludzie mówić będą: Zaiste, było tam wiele prochu; chociaż było go niewiele, ale w zakopaniu głębokiém. Przeto i zasługa, głęboko schowana, pokaże się jawnie; a kto ją tak schowa, że się na tym świecie nigdy nie pokaże, tedy ukaże się w wieczności i blask jéj będzie nigdy nie gasnący i skutek na wieki.

Franciszek Dmochowski.

CZĘŚC DRUGA.

I.

1. Pan i pies.

Szczekał pies na złodzieja, całą noc się trudził;
Obili go nazajutrz, że pana obudził.
Spał smaczno drugiéj nocy, złodzieja nie czekał;
Ten dom skradł, psa obili za to, że nie szczekał.

Ignacy Krasicki.

2. Potok i rzeka.

Potok, z wierzchołka góry płynący z hałasem,
Śmiał się z rzeki; spokojnie płynęła tymczasem.
Nie stało wód u góry, gdy śniegi stopniały,
Aż z owego potoku strumyk tylko mały.
Co gorsza: ten, co zaczął z hałasem i krzykiem,
Wpadł w rzekę i nakoniec przestał być strumykiem.

I. Krasicki.

3. Ptaszki w klatce.

„Czegoż płaczesz?“ – staremu mówił czyżyk młody —
„Masz teraz lepsze w klatce, niż w polu wygody!“
— „Tyś w niej zrodzon“ — rzekł stary — „przeto ci wybaczę;
„Jam był wolny, dziś w klatce — i dlatego płaczę.“

I. Krasicki.

4. Żółw i motyl.

Żałował motyl żółwia, że w gorącém lecie
Musiał ciężki swój pancerz nieść ciągle na grzbiecie.
Spadły grady: legł motyl lekki i skrzydlaty,
Żółw się wtulił pod pancerz i uszedł zatraty.

Franciszek Morawski.

5. Osieł i Jacek.

Biedził się Jacek od dobréj godziny,
Nie mógł osłowi poradzić:
Nie wiedzieć, z jakiéj przyczyny,
Nie dał się przez most prowadzić.
„Nie pójdę!“ — rzecze; — „dość tych dziwactw znoszę,
Męczę się, niszczę i już ledwie łażę;
Ja mam biec naprzód? i dlaczego proszę?
Wielka przyczyna, że Jacek tak każe!“
Jacek tymczasem na nowo go zmusza,
Ciągnie za uszy, drągiem, kijem ćwiczy;
Osieł nie tylko, że naprzód nie rusza,
Jeszcze się cofa i ryczy.
„Niechże cię wreszcie jasny piorun trzaśnie!“
Gniewny Jacek wrzaśnie;
„Nic ja tu z tobą nie zrobię!“
Gdy mu wtém nagle błyśnie myśl szczęśliwa;
Biegnie w tył, osła za ogon porywa
I silnie ciągnie ku sobie.
„Ho! ho! rozumiem! Jacek plan swój zmienia“ —
Domyślny osieł zawoła;
„Widząc, że naprzód naglić mnie nie zdoła,
Chce mię zmusić do cofnienia.
Otóż nie zmusi: w téj chwili zobaczy,
Co to osieł znaczy.“
Rzekłszy to, jakby sparzony ukropem,
Myśląc, że cudów dokona,
Zrywa się, rusza i przez most galopem
Leci z Jackiem u ogona.
Są i wśród ludzi istoty tak dziwne,
Sprzeczne, przekorne, jakby krnąbne dzieci;
Lecz udaj zdanie, twojemu przeciwne,
A osieł przez most poleci.

Fr. Morawski.

---

6. Gęś i osieł.

Choćbyś miał siłę równą lwu samemu
Lub największemu z niedźwiedzi,
Gdy na rozumie Bóg cię upośledzi,
Ulegniesz nawet słabszemu.
Na kępie, kędy chłód i w dni gorące,
Gdzie bujna topól srebrném liściem trzęsie,
Porozrzucane po niezmiernéj łące
Pasły się gęsie.
Zdaje się dla nas rzecz to niepojęta,
By trawa była do jedzenia zdatna;
Jednakże wszystkie zwierzęta

Twierdzą, że jest delikatna.
Jedna więc z gęsi zieloną murawę
Jadła, jakgdyby najlepszą potrawę.
Osieł, wiedziony tymże apetytem,
Gardząc respektem, damom należytym,
Zaczął gryść trawę między małym wrzosem,
Tuż gęsi naszéj pod nosem.
Rozgniewała się gęś strasznym sposobem.
Wszczęły się żywe kłótnie i zatargi.
Gdy to napróżno, czerwonym swym dziobem
Szczypnęła osła w koniec grubéj wargi.
Lecz zwierzę, cierpiąc ból srogi,
Tyle rozumu nie miało,
Że się przednimi bronić trzeba nogi;
Zawsze tylnymi wierzgało,
To jest nie w stronę, kędy ból przenikał,
Ale w tę stronę, gdzie go nikt nie tykał.
I stąd wypadło, że pomimo mocy,
W końcu walki i gonitwy,
Za nadejściem ciemnéj nocy
Przy gęsi został plac bitwy.
Precz uszedł osieł; gęś, szczęściem zuchwała,
Z radości strasznie wrzeszczała.

Julian Ursyn Niemcewicz.

---

7. Żaba.

Widząc rosłego wołu jedna żabka mała,
Koniecznie zrównać wielkością mu chciała.
Więc się, jak mogła, nadęła, podniosła
I pyta swoich, czy już go dorosła?
„Ej! gdzietam! jeszcze daleko!"
Wszyscy jéj rzeką.
No, a teraz? — „A! w cale podobieństwa niéma!"
No, a teraz? — „A! jeszcze daleko jesteście!"
Wtém, kiedy coraz bardziéj się nadyma,
Pękła nareszcie.

Antoni Górecki.

---

8. Kulawy i ślepy.

Niósł ślepy kulawego: dobrze im się działo.
Ale że to ślepemu nieznośném się zdało,
Iż musiał zawsze słuchać, co kulawy prawi,
Wziął kij w rękę: „Ten — rzecze — z szwanku nas wybawi".
Idą; a w tém kulawy krzyknie: „Umknij w lewo!"
Ślepy wprost i, choć z kijem, uderzył łbem w drzewo.
Idą daléj. Kulawy przestrzega od wody;

Ślepy w bród, sakwy zmaczał, nie wyszli bez szkody.
Nakoniec, przestrzeżony, gdy nie mijał dołu,
I ślepy i kulawy zginęli pospołu.
I ten winien, co kijem bezpieczeństwo mierzył,
I ten, co bezpieczeństwo głupiemu powierzył!

I. Krasicki.

9. Wolnoć Tomku w swoim domku.

Paweł i Gaweł w jednym stali domu;
Paweł na górze, a Gaweł na dole;
Paweł spokojny, nie wadził nikomu,
Gaweł najdziksze wymyślał swawole:
Ciągle polował po swoim pokoju;
To pies, to zając — między stoły, stołki
Gonił, uciekał, wywracał koziołki,
Strzelał i trąbił i krzyczał do znoju.
Znosił to Paweł, nareszcie nie może;
Schodzi do Gawła i prosi w pokorze:
„Zmiłuj się Wać Pan, poluj ciszéj nieco,
Bo mi na górze szyby z okien lecą“.
A na to Gaweł: „Wolnoć Tomku
W swoim domku“.
Cóż było mówić? — Paweł ani pisnął,
Wrócił do siebie i czapkę nacisnął.
Nazajutrz Gaweł jeszcze smacznie chrapie,
A tu z powały coś mu na nos kapie!
Zerwał się z łóżka i pędzi na górę;
Stuk! puk! — zamknięto! — Spogląda przez dziurę
I widzi — cóż tam? — Cały pokój w wodzie,
A Paweł z wędką siedzi na komodzie.
— „Cóż Wać pan robisz?“
— „Ryby sobie łowię“.
— „Ależ, Mospanie, mnie kapie po głowie!“
A Paweł na to: „Wolnoć Tomku
W swoim domku“.
Z téj powiastki morał w tym sposobie:
„Jak ty komu, tak on tobie.“

Alexander hr. Fredro.

10. Przyjaciele.

Nie masz teraz prawdziwéj przyjaźni na świecie;
Ostatni znam jéj przykład w oszmiańskim powiecie.
Tam żył Mieszek, kum Leszka, i kum Mieszka, Leszek,
Z tych, coto: gdzie ty, tam ja; co moje, to twoje.
Mówiono o nich, że gdy znaleźli orzeszek,
Ziarnko dzielili na dwoje;

Słowem, tacy przyjaciele,
Jakich i wtenczas liczono niewiele;
Rzekłbyś: dwój-duch w jedném ciele.

O téj swojéj przyjaźni raz w cieniu dąbrowy
Kiedy gadali, łącząc swoje czułe mowy
Do kukań zazul i krakań gawronich,
Aleć ryknęło raptem coś koło nich.
Leszek na dąb; nuż po pniu skakać jak dzięciołek.
Mieszek téj sztuki nie umie,
Tylko wyciąga z dołu ręce: „Kumie!"
Kum już wylazł na wierzchołek.

Ledwie Mieszkowi był czas zmrużyć oczy,
Zblednąć, paść na twarz, a już niedźwiedź kroczy.
Trafia na czoło, maca — jak trup leży;
Wnosi, że to nieboszczyk i że już nie świeży.
Więc mruknąwszy ze wzgardą, odwraca się w knieje,
Bo niedźwiedź-Litwin miąs nieświeżych nie jé.
Dopieroż Mieszek odżył. — „Było z tobą krucho!"
Woła kum. — „Szczęście, Mieszku, że cię nie zadrapał;
Ale co on tak długo tam nad tobą sapał,
Jakgdyby coś miał powiadać na ucho?"
„Powiedział mi — rzekł Mieszek — przysłowie niedźwiedzie
Ze prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie".

Adam Mickiewicz.

II. Dziad i Baba.

Był sobie dziad i baba,
Bardzo starzy oboje;
Ona kaszląca, słaba,
On skurczony we dwoje.
Mieli chatkę maleńką,
Tak starą, jak oni:
Jedno miała okienko
I jeden był wchód do niéj.
Żyli bardzo szczęśliwie
I spokojnie jak w niebie:
Czemu? ja się nie dziwię,
Bo przywykli do siebie.
Tylko smutno im było,
Że umierać musieli,
Że się kiedyś mogiłą
Długie życie rozdzieli.
I modlili się szczerze,
Aby Bożym rozkazem,
Kiedy śmierć ich zabierze,
Brała oboje razem.
— „Razem! to być nie może;
Ktoś choć chwilę wprzód skona".
— „Byle nie ty, nieboże!"
— „Byle tylko nie ona!"

— „Wprzód umrę" — woła baba.
Jestem starsza od ciebie,
Co chwila bardziéj słaba,
Zapłaczesz na pogrzebie".
— „Ja wprzódy, moja miła,
Ja kaszlę bez ustanku
I zimna mnie mogiła
Pokryje lada ranku".
„Mnie wprzódy—mnie kochanie!"
—„Mnie mówię?—Dośćże tego—
Dla ciebie płacz zostanie."
„A — tobie nie — dlaczego!"
I tak daléj dalej,

Jak zaczęli się kłócić,
Tak się z miejsca porwali,
Chatkę chcieli porzucić. —
Aż do drzwi — puk! powoli:
„Kto tam?“ — „Otwórzcie proszę;
Posłuszna waszéj woli,
Śmierć jestem, skon przynoszę.“
— „Idź, babo, drzwi otworzyć“.
— „Oto! idź sam! ja słaba,
Ja pójdę się położyć“ —
Odpowiedziała baba.
— „Fi! śmierć na słocie stoi
I czeka tam nieboga!
Idź otwórz z łaski swojéj!“
— „Ty otwórz, moja droga!“
Baba za piecem z cicha
Kryjówki sobie szuka,
Dziad pod ławę się wpycha:
A śmierć stoi i puka.
— I byłaby lat dwieście
Pode drzwiami tam stała,
Lecz znudzona nareszcie
Kominem włeść musiała.

Józef Ignacy Kraszewski.

II.

12. Garnek popiołu.

W czasach grabieży i niepokoju
Był człowiek, co przez lat wiele
Zebrany pieniądz o krwawym znoju
Przechował w garnku, w popiele.

Lecz się nie zwierzył w nagłém skonaniu
Ani przed żoną ni dzieckiem;
I długo, długo tak w zaniedbaniu
Ten garnek stał pod przypieckiem.

Jednego razu wszedł do téj chaty
Biedny zgłodniały podróżny,
Ledwie okryty podłymi szmaty,
I kornie prosił jałmużny.

Choć gospodyni wpośród rodziny
Przy jadle była za stołem,
Lecz bez litości, jakby na drwiny,
Dała mu garnek z popiołem.

Żebrak z modlitwą opuścił chatę,
Przyjąwszy datek z ochotą;
Bóg za pokorę dał mu zapłatę,
Bo znalazł w popiele złoto.

Ignacy Hołowiński.

13. Dwie dusze.

Gdzie Boży święci jak gwiazdy świecą,
Ze dwojéj strony dwie dusze lecą:
Pierwsza okryta płachtą, ponura,
Po tamtym świecie leci jak chmura.
A druga biała, okryta biało,
Jakby się słonko chmurką odziało.
Kiedy się zbiegły dwie nieboszczyce,
Spojrzały sobie w umarłe lice.

— „To ty, Barbaro?“ — „To ty, Maryjo?“
I swoje długie szaty rozwiją.

„Jaka ty czarna, powiedz, siostrzyczko,
Coć poczerniało rumiane liczko?
Tyś była taka biała jak ściana,
A czasem jakby róża różana. —
Czy ciebie w jakiém zielu kąpano?
Czy tobie złego ziela zadano?“

„Ej! nie to, nie to; od liści ziela
Człek ni się czerni ni się wybielą.
Jam nieraz matce hardo odrzekła,
Że aż niebodze i łza pociekła;
I takć' krótkimi powiem słowami:
Cała ludzkimi zmyłam się łzami.
A łzy, co na mnie spadały marną,
Taką mnie oto zrobiły czarną. —
Lecz ty mi powiedz, siostro bez grzéchu,
Na jakim ty się bieliła blichu?
Pamiętam ciebie, jak żęłaś zboże,
Popychadełko, czarne nieboże,
Miłosiernymi patrzy oczyma,
A dzbanek z wodą ledwie utrzyma;
Kto spojrzy na cię, to się odwróci,
A kto wesoły, to się zasmuci.
I w jakim ty się zdroju kąpała,
Żeś wybielała i wypiękniała?
Czy na tym stawie, na tém jeziorze,
Gdzie łabędź pływa pod złotą zorzę
I od niedzieli tak do niedzieli
Szerokie skrzydła płucze i bieli?
Czy w ciemnym lesie, kędy z pod drzewa
Zdrój się tajemny cicho wylewa?“

A owa rzecze głosem pokornym,
Jakby dalekiém echem klasztorném,
Kiedy pod koniec cichego dzionka

Siostry się zejdą za głosem dzwonka:
„Jam się nie myła w jasném jeziorze,
Gdzie łabędź pływa pod złotą zorzę,
Ani w tém źródle, co w lasów cieni
Z pod drzew wiekowych leci zieleni;
Otoć krótkimi powiem słowami:
Ja się własnymi obmyłam łzami.“

To rzekłszy, w płachtę zwinie się białą
I leci w stronę, gdzie powidniało.

Teofil Lenartowicz.

14. Chleb kamienny w Oliwie[1]).

Kaźmierz panował, ze szczepu Piasta
Ostatni potomek męski,
Gdy padła klęska na wioski, miasta,
Nad wszystkie straszniejsza klęski.

Bo ziemia, latem zwędzona parném,
Słaba z długiego pragnienia,
Nie wypłaciła jesieni ziarnem
Wziętego wiosną nasienia.

Pierwszym to było w kraju przykładem,
Że Polak, co z łaski nieba,
Chlebem się dzielił z swoim sąsiadem,
Dzisiaj umierał bez chleba.

Wtenczas król chłopków swemu ludowi
Królewskie śpichrze otworzył;
Lud błogosławił temu królowi,
Którego ziarnem on ożył.

Lecz tak powszechny był niedostatek,
A wszędzie równe potrzeby,
Że nie do wszystkich dójść mogły chatek
Pańskie pieniądze i chleby.

W onym to roku powszechnéj nędzy,
Gdy z głodu naród umierał,
Był panek; zdzierstwem wiele pieniędzy
I ziarna wiele nazbierał.

I choć zamożny z łońskiego zbioru,
W kmiecą siermięgę się przebrał,

[1]) Miasto w Prusach zachodnich.

Do Oliwskiego chadzał klasztoru,
Nędzę udawał i żebrał.

Razu jednego, gdy wracał z miasta,
Chleb niosąc w zawoju szaty,
Z dzieciątkiem w ręku stara niewiasta
Z przydrożnéj wybiegła chaty

I woła: „Ratuj! jam z głodu chora,
Pan Bóg ci będzie zapłatą,
Ty wracasz z miasta, niesiesz z klasztora
Chleba bochenek pod szatą.“

„Podziel się chlebem, posil niebogę,
Jeżeli serce masz człeka;
Ja stara jestem, ranną mam nogę,
Droga do miasta daleka“.

„Babo! rzekł panek — pokój daj święty
I nie zatrzymuj mnie w drodze“ ;
I znów, litością niby przejęty,
Dodał: „Zawiodłaś się srodze!“

„Nie chleb ja niosę, lecz kamień prosty,
Bo u nas kamień jest rzadki,
A mam na rzece budować mosty,
Co płynie wedle méj chatki“.

Na to niewiasta: „Człeku! tyś skłamał,
Bo chleb ty niesiesz nie kamień;
Lecz chleb, któregoś ze mną nie złamał,
Boże, w kamienie dziś zamień!“

Ledwie co rzekła, panek spostrzega,
Że chleba bochen ociężał;
Ciężarem swoim ramię przylega,
Na twardy kamień już stężał.

Struchlał i czołem na ziemię padł,
Inne prowadził już życie:
Za wszystkie chleby, co głodnym skradł,
Odpłacił głodnym obficie.

Dotąd w Oliwie, w klasztornym ganku,
Wisi ten kamień na ścianie;
I krąży powieść o skąpym panku
I o cudownéj przemianie.

Adam Gorczyński.

15. Święta Kinga.

Przez polskie łany, przez zieleń niw
Cóż to ucieka, goni, aż dziw?
Czy to przed burzą, przed burzą czarną,
Owieczki trwożne do dom się garną?

Oj! nie owieczek białych to ślad,
Pomiędzy które grom niebios spadł;
Królowa Kinga to, biała, święta,
Wiedzie do Węgier swoje dziecięta.

A za królową, za Kingą tuż
Czy to nadciąga sto wrogich burz?
Czy to dzień sądny świta dla ziemi
Z krzykami piekła, z łuny krwawemi?

Oj! to nie burza, nie chmurzysk cień,
Ale na Polskę sądny to dzień:
Bo po raz pierwszy czarnymi szyki
Szarańczą straszną spadł Tatar dziki!

Miotły na niebie i szczera krew;
Psy wyją, świszczą wierzchołki drzew;
A po rosistéj, zielonéj łące
Dzwony pływają, na gwałt bijące.

Tam od Krakowa nadlata gwar,
Jęk słychać, widać płomieni żar,
Krzyk mordowanych, jęk uwięzionych
Leci po niwach, niwach zielonych.

Zewsząd się ludek przygarnia wraz:
„Królowo Kingo, ratuj ty nas!“
A biała Kinga powiada, święta:
„Za mną do Węgier, moje dziecięta!“

W wstążkę jéj szaty wiatr niebios wiał,
Z ust się jéj uśmiech anielski śmiał;
Laseczkę białą trzymała w dłoni,
A z dyamentów wieniec u skroni.

Gonią dzień cały i całą noc,
A coraz bliższa tatarska moc,
A coraz bliższe kopyt tętenta:
— „O ratuj, ratuj nas, Kingo święta!“

Świt ranny błysnął, staszliwy brzask —
Słychać już, słychać Tatarów wrzask;
Słońce się szybą świeciło krwawą
Za dymem zgliszczów, kopyt kurzawą.

Ku białéj Kindze, by wiatrem gnan,
Chyli się ludu szeroki łan
I w jęk boleści pani się skarży:
—„Ratuj nas, Kingo — oto Tatarzy!“

Królowa Kinga wstrzymała bieg,
Z szaty bieluchnéj, jak ranny śnieg,
Niebieską wstążkę na wiatr rzuciła,
Aby w ucieczce jéj nie wadziła.

Wstążka rzucona — o! cudów cud! —
Między Tatarów i Boży lud
Wpadła szeroką, szumiącą rzeką
I gdzieś w kraj świata leci daleko.

Zawyła tłuszcza i w męty wód
Leciała wściekła, gdzie Boży lud;
A lud on Boży nogą skrzydlatą
Za białą pani pośpiesza szatą.

Lecz już przez fali szumiącéj toń
Leci Tatara szalony koń;
Leci, dosięga ludek ubogi:
— „O ratuj, Kingo! — tam Tatar srogi!“

I oto Kinga u ludka głów
Jako Stróż Anioł stanęła znów
I z drobnéj dłoni laskę rzuciła,
Aby w ucieczce jéj nie wadziła.

Laska z jéj ręki — o! nowy cud! —
Między Tatarów a Boży lud
Stanęła lasem gęstéj świerczyny,
A las się rozrósł w świata kończyny.

Zawyła znów dzicz i w lasów cień
Pędziła naprzód przez długi dzień,
A ludek Boży borów odmętem
Stąpał za śladem królowéj świętym.

Lecz już się skończył świerkowy las:
— „O pani! Kingo! ratuj ty nas!

Bo krok za krokiem czarnymi szyki
Już nas dogania Tatarzyn dziki!“

I oto Kinga, Archanioł Stróż,
Przed swoim ludkiem stanęła już;
Koronę z głowy zrzuciła miłą,
Aby nic w drodze jéj nie wadziło.

Korona jasna — o! cudów cud! —
Między Tatarów i Boży lud
Stanęła Tater czarną opoką
I gdzieś pod niebo wzrosła wysoko.

Stanęła — stoi jak wielki mur,
Świecącym szczytem dotyka chmur
I słońca promień jak tęcza wita
Nieprzełamana już, nieprzebita.

Za tymi skały, jak wichrów wiew,
Skonał bezsilnie Tatarów gniew,
A biała Kinga, królowa święta,
Wiodła do Węgier swoje dziecięta.

Lecz na pamiętkę świętych jéj dróg
Niebieską rzekę zachował Bóg,
Wstęgą się sunie jasną, świetlaną
I nosi zdawna Dunajca miano.

I na pamiątkę świętych jéj dróg
Lasy świerkowe zachował Bóg,
A drzewo w lasach proste jak świeczka,
Jako królowéj Kingi laseczka.

I na pamiątkę korony jéj
Bóg dał, że dotąd ziemi lśni téj,
Że u jéj skroni poważnéj, białéj,
Dyadem Tater błyszczy wspaniały.

A gdy na Tater lodowy szczyt
Wejdzie rumiany poranka świt,
To się rozbłyszczą jak dyamenty
W koronie Kingi, królowéj świętéj.

Józef Szujski.

16. Jan Kanty.

Błysła na wschodzie jutrzenka złota,
Gwiazdy w nieznane mkną światy;
Z rosą poranną łzami sierota
Nadwiślańskie skrapia kwiaty.

Nie dla niéj piękny świeci poranek,
Świat w szatę światła ubiera;
Żałośnie trzyma w swéj dłoni dzbanek,
A drugą łezkę ociera.

Już Krakowiaków gromadka wesoła
Na targ do miasta się śpieszy;
Lecz na sierotkę nikt nie zawoła,
Sierotki nikt nie pocieszy.

Wtém mąż sędziwy wolnym idąc krokiem,
Jan Kanty, chluba Krakowa,
Rzewną sierotkę zmierzywszy okiem,
W te do niéj ozwał się słowa:

„Dlaczego płaczesz, dziecino droga?
Bóg widzi te łezki twoje;
Wyznaj mi szczerze, ja w imię Boga
Może twą żałość ukoję."

A Krakowianka w błękitném oku
Fartuszkiem łezkę ociera
I, kornie stojąc przy jego boku,
Drżące swe usta otwiera:

„Jestem sierotą, u mieszczki z Łobzowa
Służę; ach, ostra to pani,
Nigdy dobrego nie da mi słowa,
Lecz zawsze gromi i gani.

„Zaledwie tylko błyśnie poranek,
Na Kleparz na targ wysyła,
Abym, przedawszy tam mleka dzbanek,
Krupek i soli kupiła.

„A że to jutro święto Boskiéj Matki,
Chcąc przybrać obraz jéj w wianek,
Po drodze wonne zbierałam kwiatki,
Wtém z ręki wymknął się dzbanek.

„I wszystko mleko spłynęło drogą,
Ot... ślady widać zdaleka,
Któż się nademną użali niebogą!
Ach, wiem, co w domu mię czeka!“

— „I czemuż, dziecię, tak rzewnie szlochasz
I główkę kryjesz w swéj dłoni?
Ty Matkę Boską tak szczerze kochasz,
Ona cię pewnie obroni.“

„A gdy powrócisz do swéj zagrody
Boska cię Matka pocieszy,
Pośpiesz do Wisły, zaczerpnij wody!“
Sierota ufa i śpieszy.

Przyniosła dzbanek, rączki złożyła
I klęcząc pacierz odmawia;
Główkę do ziemi kornie schyliła,
Przed Kantym dzban wody stawia.

Jan Kanty krzyżem dzban błogosławił,
Modlił się długo i szczerze,
A gdy modlitwę swoję odprawił,
Dzban wody do ust swych bierze.

Lecz woda w mleko się przemieniła.
„Dziecię, Maryi złóż dzięki;
Ona cię w smutku twym pocieszyła,
Dzban mleka masz tu z Jéj ręki!“

Na twarzy dziecka spłonął rumieniec,
Do nóg się Jana rzuciła;
Bogarodzicy odtąd już w wieniec
Obraz codziennie stroiła.

Karol Antoniewicz.

III.

17. Powrót taty.

„Pójdźcie, o dziatki, pójdźcie wszystkie razem
Za miasto, pod słup, na wzgórek:
Tam przed cudownym klęknijcie obrazem,
Pobożnie zmówcie paciorek.

Tato nie wraca: ranki i wieczory
We łzach go czekam i trwodze;
Rozlały rzeki, pełne zwierza bory
I pełno zbójców na drodze.“

Słysząc to dziatki, biegną wszystkie razem
Za miasto, pod słup, na wzgórek;
Tam przed cudownym klękają obrazem
I zaczynają paciorek.

Całują ziemię, potém: W Imię Ojca,
Syna i Ducha świętego,
Bądź pochwalona Przenajświętsza Trójca
Teraz i czasu wszelkiego.

Potém: Ojcze nasz i Zdrowaś i Wierzę,
Dziesięcioro i koronki;
A kiedy całe zmówili pacierze,
Wyjmą książeczki z kieszonki:

I litanią do Najświętszéj Matki
Starszy brat śpiewa, a z bratem
„Najświętsza Matko“! — przyśpiewują dziatki,
„Zmiłuj się, zmiłuj nad tatem!“

Wtém słychać turkot. Wozy jadą drogą
I wóz znajomy na przedzie;
Skoczyły dzieci i krzyczą, jak mogą:
„Tato, ach! tato nasz jedzie!“

Obaczył kupiec, łzy radosne leje,
Z wozu na ziemię wylata:
„Ha! jak się macie? co się u was dzieje?
Czyście tęskniły do tata?

„Mama czy zdrowa? ciotunia? domowi?
A ot rodzynki w koszyku...“
Ten sobie mówi, a ten sobie mówi,
Pełno radości i krzyku.

„Ruszajcie!“ kupiec na sługi zawoła,
Ja z dziećmi pójdę ku miastu.“
Idzie, aż zbójcy obskoczą dokoła,
A zbójców było dwunastu.

Brody ich długie, kręcone wąsiska,
Wzrok dziki, suknia plugawa;

Noże za pasem, miecz u boku błyska,
W ręku ogromna buława.

Krzyknęły dziatki, do ojca przypadły,
Tulą się pod płaszcz na łonie;
Truchleją sługi, struchlał pan wybladły,
Drżące ku zbójcom wzniósł dłonie:

„Ach! bierzcie wozy, ach! bierzcie dostatek,
Tylko puszczajcie nas zdrowo;
Nie róbcie małych sierotami dziatek
I młodéj małżonki wdową.“

Nie słucha zgraja. Ten już wóz wyprzęga,
Zabiera konie; a drugi
„Pieniędzy!“ krzyczy i buławą sięga;
Ów z mieczem wpada na sługi.

Wtém: „Stójcie! stójcie!“ krzyknie starszy zbójca
I spędza bandę precz z drogi,
A wypuściwszy i dzieci i ojca,
„Idźcie, rzekł, daléj bez trwogi.“

Kupiec dziękuje, a zbójca odpowie:
„Nie dziękuj! wyznam ci szczerze,
Pierwszybym pałkę strzaskał na twéj głowie,
Gdyby nie dziatek pacierze.

„Dziatki sprawiły, że uchodzisz cało,
Darzą cię życiem i zdrowiem;
Im więc podziękuj za to, co się stało,
A jak się stało, opowiem.

„Zdawna już słysząc o przyjeździe kupca,
I ja i moje kamraty,
Tutaj za miastem, przy wzgórku u słupca,
Zasiadaliśmy na czaty.

„Dzisiaj nadchodzę,... patrzę: między chrósty
Modlą się dziatki do Boga;
Słucham... z początku porwał mię śmiech pusty,
A potém litość i trwoga.

„Słucham... ojczyste przyszły na myśl strony,
Buława upadła z ręki:
Ach! ja mam żonę i u mojéj żony
Jest synek taki maleńki.

„Kupcze, jedź w miasto; ja do lasu muszę.
Wy, dziatki, na ten pagórek
Biegajcie sobie i za moję duszę
Zmówcie téż czasem paciorek.“

Adam Mickiewicz.

---

18. Pielgrzym.

„Puśćcie mnie! puśćcie w podwórzec zamkowy,
Pysznych podwojów odsuńcie wrzeciądze!
Śnieg zimny bije, świszczy wiatr grudniowy,
Zmokły, przeziębły — i błądzę i błądzę.

„Nie jestem wcale natrętny podróżny,
Wszystko mam z sobą, nie pragnę jałmużny;
Wszakże ktokolwiek w tak okropnéj nocy
Ma prawo ludzkiéj zażądać pomocy.

„Śniegiem zawiana znikła z oczu droga,
Tu pokutnika zaskoczyła zima;
Puśćcie mnie, puśćcie! zaklinam na Boga,
Błogosławieństwo odbierzcie pielgrzyma.

„Wędruję z Rzymu, wspólnéj naszéj matki,
Niosę odpusty i świętych ostatki,
Niechaj was o tém anieli ostrzegą;
Puśćcie mnie, puśćcie na miłość bliźniego!

„Przelękły zając kryje się do nory,
Jeleń przy łani ucieka przez błonie:
Ja, biedny starzec, zwątlony i chory,
Gdzież się, ach! gdzież się przed burzą uchronię?

„Z rozgłośnym hukiem wre rzeka burzliwa,
Gniewna, w wezbranych falach się rozpływa;
Popłynę przez nią, choć zimno i ciemno,
Gdybym litości nie znalazł nademną.

„Pukam i darmo, żelazne podwoje!
Lecz twardsza od nich pana zamku dusza,
Gdy go bliźniego los ni lata moje
Ni prośba w imię Boga nie porusza.

„Żegnam cię! Niechaj Pan ziemi i nieba
Przedłuża w łasce i szczęściu twe lata;
I oby nigdy nie było ci trzeba
Żebrać na starość litości u świata!“

O mury starca rozbiły się słowa,
Ale pan zamku nie będzie miał ciszy;
Ilekroć burza zaszumi grudniowa,
W poświstach wiatru znowu je usłyszy.

Bo gdy po nocy — z jutrzenką rumianą
Mgły z ponad wody podniosły się rano,
Falą rzucone pomiędzy opoki
Zimne pielgrzyma znaleziono zwłoki.

Z Walter-Skota.
(tłóm. Bohd. Zaleski).

---

19. Giermek.

Złoci wieczór łan Podola.
Ciągną wojska, tabor, wozy,
Tętnią całe lasy, pola,
Stoją groźne dwa obozy.

Z jednéj strony sztandar wiary,
Siwy hetman, młodzież dziarska;
Z drugiéj wściekłość, krew, pożary
I straszliwa czerń tatarska.

Jutro, jutro z rannym brzaskiem
Dzień gonitwy, dzień rozprawy,
Słońce krwawym zaszło blaskiem:
Bój to będzie straszny, krwawy!

Ledwie pierwszy mrok zapada,
Polski hetman kord przypasze,
Z młodym giermkiem na koń siada
I objeżdża czaty nasze.

Jedzie — patrzy w obóz dziczy,
Słucha gwaru, rżenia koni,
Pyta, zważa, ognie liczy
I już w myśli łamie, goni.

O! nie ciesz się, wodzu stary:
Zmienne wojny są koleje,
Nie tak łatwo to z Tatary;
Słuchaj, patrzaj, co się dzieje!

— Hurra! hurra! — pędzi horda,
Nocny napad w obóz leci,
Giermek za broń, wódz do korda,
„Na koń — woła — na koń dzieci!“

Śpieszą, biegną do swych szyków,
W pośród nocnych pędzą cieni,
Gdy wtém z grzmotem nowych krzyków
Zewsząd czernią otoczeni.

Tną i walczą na przebicie,
Rąbie hetman, giermek łamie;
Całą młodość, ogień, życie
W wojujące przelał ramię.

I już słyszą, słyszą w dali,
Jak nadbiega polska wiara;
Ale już ich nie ocali,
Już nie wyrwie z rąk Tatara.

Wzięty giermek, hetman wzięty;
Krzyczy, huczy, motłoch dziki,
Bucha gniewem chan zacięty,
Patrząc na swe niewolniki.

Wre i zemstą ryczy srogą,
Każe jedném skuć żelazem
Nogę giermka z wodza nogą
I tak obu więzić razem.

Smutnie wzrok ich wzniósł się, zwrócił
Na wysokie gwiazd sklepienia;
Ale na cóżbym wam nucił
Ich boleści, ich marzenia?

Kto w półdzikim, podłym tłumie
Nie wlókł ciężkich lat niedoli,
Nie — nie pojmie, nie zrozumie,
Jak jest gorzkim chleb niewoli!

Zasnął hetman siwobrody,
Zasnął, jakby między swemi;
Nie śpi, czuwa giermek młody:
Długo o swéj duma ziemi.

I łza tryska mu z źrenicy,
Żal i rozpacz serce tłoczy,
Gdy wtém nagle w swéj ciemnicy
Zapomniany topór zoczy.

Patrzy, duma, drży i marzy,
Serce szczytnym ogniem płonie,

Wielki w duszy zamiar waży,
Topór w obie chwyta dłonie.

I podnosi rękę śmiałą,
Mężnie ku swym pętom zwróci —
Tnie — odcina nogę całą
I hetmana swego cuci.

— „Wolnyś, rzecze, straż zaspana,
Uchodź, ocal twą krainę,
Śpiesz i pobij wojsko chana,
Ja z radością tutaj zginę.“

Powstał hetman i wzniósł dłonie,
Rzewnymi się łzami zalał,
Żegnał, Boskiéj zdał obronie,
Ścisnął, uszedł i ocalał.

I straż nagle z snu się zrywa,
Wieść ucieczki wodza szerzy;
I sam wreszcie chan przybywa
I zaledwie oczom wierzy.

Długo, długo wzrok swój wryty
W śmiałych topi mu źrenicach,
Stoi, jakby gromem zbity,
Po dostojnych czyta licach.

I odpycha wszystkie straże;
— Cnota dzikość zwyciężyła —
Każe leczyć, darzyć każe
I do Lachów go odsyła.

W świetném dworzan, wodzów gronie,
Szkarłatnymi szaty odzian
Siadł król polski na swym tronie,
Wdzięczny przed nim stanął młodzian.

W miejscu nogi prosta kula
Ujmującą postać wspiera;
I dwór cały się rozczula,
Z szmerem dziwu nań spoziera.

I dwaj wiodą go rycerze,
Kornie przed tron przystępuje;
Król z wezgłowia szczerbiec bierze
I rycerzem go pasuje.

A wtem wpośród wodzów koła
Hetman nogę niesie złotą:
— Oto herb twój! — król zawoła —
Wysłużony twoją cnotą.

Franciszek Morawski.

IV.

20. Pustka.

GUSTAW.

Niedawno odwiedzałem dom nieboszczki matki.
Ledwie go poznać mogłem! już ledwie ostatki!
Kędy spojrzysz, rudera, pustka i zniszczenie!
Z płotów koły, z posadzek wyjęto kamienie,
Dziedziniec mech zarasta, piołun, ostu zioła;
Jak na cmentarzu w północ, milczenie dokoła.
O! inny dawniéj bywał przyjazd mój w te bramy!
Po krótkiém oddaleniu, gdym wracał do mamy,
Już mię dobre życzenia spotkały zdaleka;
Życzliwa domu czeladź aż za miastem czeka,
Na rynek siostry, bracia wybiegają mali,
Gustaw! Gustaw! wołają, pojazd zatrzymali;
Lecą nazad, gościńca wziąwszy po pierogu;
Mama z błogosławieństwem czeka mię na progu,
Wrzask spółuczniów, przyjaciół ledwo nie zagłuszy!
Teraz pustka, noc, cichość — ani żywéj duszy!
Słychać tylko psa hałas i coś nakształt stuku. —
Ach! tyśto, psie nasz wierny, nasz poczciwy Kruku!
Stróżu i niegdyś całéj kochanku rodziny.
Z licznych sług i przyjaciół tyś został jedyny!
Choć głodem przemorzony i skurczony laty,
Pilnujesz wrót bez zamku i bez panów chaty.
Kruku mój! pójdź tu, Kruku. Bieży, staje, słucha,
Skacze na piersi, wyje i pada bez ducha!
Ujrzałem światło w oknach! Wchodzę — cóż się dzieje?
Z latarnią, z siekierami plądrują złodzieje,
Burząc do reszty świętej przeszłości ostatki!
W miejscu, gdzie stało niegdyś łoże mojéj matki,
Złodziej rąbał podłogę i odrywał cegły;
Schwyciłem, zgniotłem, oczy na łeb mu wybiegły!
Siadam na ziemi, płacząc. — W przedporannym mroku
Ktoś nasuwa się, kijem podpierając kroku:
Kobieta w reszcie stroju, schorzała, wybladła,
Bardziéj do czyśćcowego podobna widziadła;
Gdy obaczy straszliwą marę w pustym gmachu,

Żegnając się i krzycząc, słania się z przestrachu.
„Nie bój się! Pan Bóg z nami! ktoś moja kochana?
Czego po domu pustym błąkasz się tak zrana?“
„Jestem biedna uboga“, ze łzami odpowie;
„W tym domu niegdyś moi mieszkali panowie,
Dobrzy panowie, niech im wieczny pokój świeci!
Ale pan Bóg nie szczędził dla nich i dla dzieci:
Pomarli, dom ich pustką, upada i gnije;
O paniczu nie słychać, pewnie już nie żyje!“
Krwią mi serce zabiegło, wsparłem się u proga...
„Ach! więc wszystko minęło?“

Ksiądz.

„Prócz duszy i Boga!
Wszystko minie na ziemi, szczęście i niedole.“

Adam Mickiewicz,
(Dziady).

---

21. Leszek Biały.

Od dworaków opuszczona,
Helena w stroju niedbałym,
Gdy syna trzyma u łona,
Co go zwano Leszkiem Białym,
Tak szerzy skargi płaczliwe
Na swe losy nieszczęśliwe:

„Ty się śmiejesz, dziecię lube,
Bo nie znasz twojéj niedoli,
Nie znasz spisków na twą zgubę;
Oto z stryja twego woli
Wydarłać państwo niecnota,
A jam wdowa, ty sierota!

„Zrodzony, byś berłem władał,
Dziś przewrotnych ludzi winą
Wszystkoś na świecie postradał;
Tułasz się, biedna dziecino!
Ja cię przytulę do łona,
Lecz skądże inna obrona?“

„„Powściągnij łzy twe, królowo —
Zawołał Goworek stary —
Byłem ojcu radą zdrową,
Synowi dochowam wiary;
Póki dłoń ta mieczem władnie,
Żadna nań trwoga nie padnie!““

Pod czułym starca dozorem
Wzrastał w siły Leszek Biały
I szedł chlubnym Piastów torem,
Był sprawiedliwy i śmiały;
Zręczny w rycerskich gonitwach
I szczęśliwy w krwawych bitwach.

Goworek przez cnoty swoje
Wzbudził nienawiść dworaków;
Przyszli na Leszka podwoje,
Mówiąc imieniem rodaków:
„Oddal Goworka, korona
Nazad ci będzie zwrócona!“

Królowa w modrzewim dworze
W skromnéj siedziała komnacie
I w skromnym była ubiorze —
Nie miała złota na szacie;
Przy niéj poselstwem zdziwiony,
Siedział Leszek zamyślony.

Gdy milczą, Goworek stary
Tak ich milczenie przerywa:
„„Przyjm, Książę, ludu ofiary,
Panuj, kiedy lud cię wzywa;
Niech kraj na tém nie szkoduje,
Że mnie zawiść prześladuje.

„„Ja stary, władzy nie chciwy,
Do skromnéj ojców zagrody
Wrócę, wygnaniec szczęśliwy;
Ty długie uśmierz niezgody,
A rządząc krajem potężnym,
Bądź sprawiedliwym i mężnym.

„„Jeśli za to, żem pracował,
Los mi usłyszeć zostawi,
Że tego, com ja wychował,
Naród polski błogosławi,
Nie umrę w cieniu méj strzechy
Bez słodkiéj sercu pociechy!“ “

Tu gdy płakała królowa,
Gdy we łzach wszyscy przytomni,
Książę odpowie w te słowa:
„Leszek nigdy nie zapomni,
Co winien sobie, krajowi,
I co winien Goworkowi!

„Nie chcę, by mąż, co mnie wspierał,
Gdym się tułał opuszczony,
Dla mnie wygnańcem umierał;
Nie chcę państwa ni korony:
Nad blask, co berło udziela,
Wyżéj cenię przyjaciela!“

Nagrodziły nieba hojnie
Tę szlachetność, tyle męstwa:
Leszek, zwycięzca na wojnie,
Odzyskał wydarte księstwa;
Stary Goworek przy zgonie
Oglądał Leszka na tronie.

Julian Ursyn Niemcewicz,
(Śpiewy historyczne).

---

22. Jan III. w szkole.

Był ksiądz Dąbrowski uczonym doktorem
W Krakowskiéj szkole i szedł świętym wzorem
Jana Kantego, co jéj w niebie świeci
I do rozumu wiedzie ludzkie dzieci.
Różna to młodzież do téj szkoły chodzi,
Gdzie nauczają w imię Trójcy świętéj.
Więc w onym czasie między pacholęty
Chodzili także dwaj Sobiescy młodzi:
Maraś jednemu, Jaś drugiemu było.
I spojrzéć w duszy na chłopięta miło,
Bo i pobożni i obaj dorodni
I, choć młodzianki, już u ludzi godni.
Rodzic tych chłopiąt był panem krakowskim;
A już Jasiowi za przejrzeniem Boskiém
Ów ksiądz Dąbrowski z młodu przepowiedział,
Że będzie królem w téj Koronie siedział.
Do tego była okazya tam taka:

Wiecznie na wierzchu są śmiechy u żaka.
Raz więc na lekcyi tak się wydarzyło,
Że ksiądz Dąbrowski biret sobie strącił,
Co wszystkich uczniów bardzo rozśmieszyło.
Więc gdy śmiech pusty spokój szkoły zmącił,
Rzekł ksiądz Dąbrowski: „Wszakżem wam oddany;
Gdzież wstyd i rozum na Chrystusa rany!“
A tu się głośniéj jeszcze roześmiano.
Wtedy Jaś groźno spojrzał chłopcom w oczy
I, zdjąwszy biret, ku katedrze skoczy
I podał biret, całując kolano....
Łzy trysły z oczów księdzu Dąbrowskiemu:

„Kiedy czcisz starszych, to Bóg po staremu
Poczci twą głowę; krzyż tu na niéj składam
I Bóg to ziści, co ci przepowiadam.
Na pomazańca czoło Twoje znaczę
I, widząc przyszłość, przepowiadam Tobie,
Mój miły Janku, że nie legnę w grobie,
Póki w koronie Ciebie nie zobaczę“.
I spoważniała nagle młodzież pusta:
A Jaś Sobieski pobladł niby chusta
I, przerażony kapłańskimi słowy,
Nie zdołał z piersi wydobyć już mowy.
Więc ksiądz profesor powstał i powiada:
„Skończyć tę wielką lekcyą nam wypada“.
Odmówił z dziatwą modlitwę zwyczajną
I zabrał Janka na rozmowę tajną.
Co tam mówili, o tém nikt nie wiedział;
Dość, że Jan królem w téj Koronie siedział.

Wincenty Pol,
(Z wyprawy wiedeńskiéj).

---

23. Zaranie.

Już wschodził uroczysty dzień Najświętszéj Panny
Kwietnéj; pogoda była prześliczna, czas ranny,
Niebo czyste, wokoło ziemi obciągnięte
Jako morze wiszące, ciche, wklęsło-wgięte;
Kilka gwiazd świeci z głębi, jako perły ze dna
Przez fale; z boku chmurka biała, sama jedna
Podlatuje i skrzydła w błękicie zanurza,
Podobne do niknących piór Anioła Stróża,
Który, nocną modlitwą ludzi przytrzymany,
Spóźnił się, śpieszy wracać między spółniebiany.

Już ostatnie perły gwiazd zamierzchły i na dnie
Niebios zgasły i niebo środkiem czoła bladnie.
Prawą skronią złożone na wezgłowiu cieni
Jeszcze smagławe, lewą coraz się rumieni;
A daléj okrąg, jakby powieka szeroka,
Rozsuwa się i w środku widać białek oka,
Widać tęczę, źrenicę: — już promień wytrysnął,
Po okrągłych niebiosach wygięty przebłysnął
I w białéj chmurce jako złoty grot zawisnął.
Na ten strzał, na dnia hasło, pęk ogniów wylata,
Tysiąc rac krzyżuje się po okręgu świata,
A oko słońca weszło. Jeszcze nieco senne,
Przymruża się, drżąc wstrząsa swe rzęsy promienne.
Siedmią barw błyszczy razem: szafirowe razem,
Razem krwawi się w rubin i żółknie topazem:

Aż rozlśniło się jako kryształ przeźroczyste,
Potém jak brylant światłe, nakoniec ogniste,
Jak księżyc wielkie, jako gwiazda migające:
Tak po niezmierném niebie szło samotne słońce.

Już pospólstwo litewskie z całéj okolicy
Zebrało się przed wschodem wokoło kaplicy.
Wyszła msza. Nie obejmie świątynia maleńka
Całego zgromadzenia; lud na trawie klęka;
Patrząc we drzwi kaplicy, odkrywają głowy.
Włos litewskiego ludu biały albo płowy
Pozłacał się jako łan dojrzałego żyta;
Gdzieniegdzie krasna główka dziewicza wykwita,
Ubrana w świeże kwiaty albo w pawie oczy
I wstęgi rozplecione, ozdoby warkoczy,
Wśród głów męskich, jak w zbożu bławat i kąkole.
Klęczący różnobarwny tłum okrywa pole,
A na głos dzwonka, niby na wiatru powianie,
Chylą się wszystkie głowy jak kłosy na łanie.

Wieśniaczki dziś na ołtarz Matki Zbawiciela
Niosą pierwszy dar wiosny — świeże snopki ziela;
Wszystko wkoło ubrane w bukiety i wianki:
Ołtarz, obraz, a nawet dzwonica i ganki.
Czasem poranny wietrzyk, gdy ze wschodu wionie,
Zrywa wianki i rzuca na klęczących skronie
I rozlewa jak z mszalnéj kadzielnicy wonie.

Adam Mickiewicz.
(Pan Tadeusz).

---

24. Kościół wiejski.

Był to kościółek. Z modrzewiu miał ściany,
Już pochylone, wsparte na podpory;
Promieniem słońca błyszczał dach blaszany;
Słońce, wzierając przez te szyby drżące,
Różne już na nich wybiło kolory;
Nad dachem rosły trzy brzozy płaczące,
Krzyż się przeglądał przez ich szczyt wyniosły.
Na progu żebrak pacierze powtarza,
Wokoło cmentarz, kwiatami zarosły,
I wiejskie groby błyszczą wśród cmentarza.
Daleko słychać wiejski dzwon kościelny;
Zadzwonił, zewsząd lud śpieszy przez pola.
Było to święto; był to dzień niedzielny.
Dziś pług spoczywa, zieleni się rola,
Dziewice ołtarz przystroiły w kwiaty,

Zabrzmiała młodzież do śpiewu gotowa;
Wyszedł ksiądz ze mszą, pochylony laty;
Tłumi się coraz pieśń ludu niknąca....
Ucichła: księdza tylko słychać słowa,
Cichy szmer brzozy, co o szyby trąca,
Niekiedy dzwonek jękliwy uderzy,
Niekiedy starzec księdzu odpowiada,
Świegocą wróble i pod szczytem wieży
Pierzchnie jaskółka i w gzymsy zapada.

Juliusz Słowacki,
(Jan Bielecki).

25. Dwór szlachecki.

Wśród pięknych pól przed laty, nad brzegiem ruczaju,
Na pagórku niewielkim, we brzozowym gaju,
Stał dwór szlachecki z drzewa, lecz podmurowany;
Świeciły się zdaleka pobielane ściany,
Tém bielsze, że odbite od ciemnéj zieleni
Topoli, co go bronią od wiatrów jesieni.
Dom mieszkalny niewielki, lecz zewsząd chędogi;
I stodołę miał wielką i przy niéj trzy stogi
Użątku, co pod strzechą zmieścić się nie może.
Widać, że okolica obfita we zboże,
I widać z liczby kopic, co wzdłuż i wszerz smugów
Świecą gęsto jak gwiazdy, widać z liczby pługów,
Orzących wcześnie łany ogromne ugoru
(Czarnoziemne, zapewne należne do dworu,
Uprawne na kształt ogrodowych grządek),
Że w tym domu dostatek mieszka i porządek.
Brama, na wściąż otwarta, przechodniom ogłasza,
Że gościnna i wszystkich w gościnę zaprasza.

A. Mickiewicz
(Pan Tadeusz).

26. Ogród.

Drzewa owocne, zasadzone w rzędy,
Ocieniały szerokie pole; spodem grzędy
Tu kapusta, sędziwe schylając łysiny,
Siedzi i zda się dumać o losach jarzyny;
Tam, pląecąc strąki w marchwi zielonéj warkoczu,
Wysmukły bób obraca na nią tysiąc oczu;
Owdzie podnosi złotą kitę kukurudza,
Gdzieniegdzie otyłego widać brzuch harbuza,
Który od swéj łodygi aż w daleką stronę
Wtoczył się, jak gość, między buraki czerwone.

Grzędy rozcięte miedzą. Na każdym przykopie
Stoją, jakby na straży, w szeregach konopie,
Cyprysy jarzyn: ciche, proste i zielone;
Ich liście i woń służą grzędom za obronę,
Bo przez ich liście nie śmie przecisnąć się żmija,
A ich woń gąsienice i owad zabija.
Dalèj maków białawe górują badyle;
Na nich, myślisz, że rojem usiadły motyle,
Trzepocąc skrzydełkami, na których się mieni
Z rozmaitością tęczy blask drogich kamieni:
Tylą farb żywych, różnych, mak źrenicę mami!
W środku kwiatów, jak pełnia pomiędzy gwiazdami,
Krągły słonecznik licem wielkiém, gorejącém,
Od wschodu do zachodu kręci się za słońcem.
Pod płotem wąskie, długie, wypukłe pagórki,
Bez drzew, krzewów i kwiatów: ogród na ogórki.
Pięknie wyrosły; liściem wielkim, rozłożystym
Okryły grzędy, jakby kobiercem fałdzistym.

A. Mickiewicz,
(Pan Tadeusz).

27. Ptastwo domowe.

Zosia w porannym stroju i z głową odkrytą
Stała, trzymając w ręku podniesione sito;
Do nóg jéj biegło ptastwo. Stąd kury szurpate
Toczą się kłębkiem. Stamtąd kogutki czubate,
Wstrząsając kolorowe na głowach szyszaki
I wiosłując skrzydłami przez bruzdy i krzaki,
Szeroko wyciągają ostrożaste pięty.
Za nimi zwolna indyk sunie się odęty,
Sarkając na gderanie swéj krzykliwéj żony.
Ówdzie pawie, jak tratwy, długimi ogony
Sterują się po łące, a gdzieniegdzie z góry
Upada, jak kiść śniegu, gołąb srebrnopióry.

W pośrodku zielonego okręgu murawy,
Ściska się okrąg ptastwa, krzykliwy, ruchawy,
Opasany gołębi sznurem nakształt wstęgi
Białéj, środkiem pstrokaty w gwiazdy, w cętki, w pręgi.
Tu dzióby bursztynowe, tam czubki z korali
Wznoszą się z gęstwi piérza, jak ryby z pod fali.
Wysuwają się szyje i w ruchach łagodnych
Chwieją się ciągle, nakształt tulipanów wodnych.

Tysiące oczu, jak gwiazd, błyskają ku Zosi;
Ona w środku, wysoko nad ptastwem się wznosi,

Sama biała i w długą bieliznę ubrana,
Kręci się jak bijąca śród kwiatów fontana;
Czerpie z sita i sypie na skrzydła i głowy
Ręką, jak perły białą, gęsty grad perłowy.

A. Mickiewicz,
(Pan Tadeusz).

---

28. Zachód słońca.

Słońce już gasło, wieczór był ciepły i cichy,
Okrąg niebios gdzieniegdzie chmurkami zasłany,
U góry błękitnawy, na zachód różany.
Chmurki wróżą pogodę: lekkie i świecące,
Tam jako trzody owiec, na murawie śpiące,
Owdzie nieco drobniejsze, jak stada cyranek.
Na zachód obłok, nakształt rąbkowych firanek,
Przejrzysty, sfałdowany, po wierzchu perłowy,
Po brzegach pozłacany, w głębi purpurowy,
Jeszcze blaskiem zachodu tlił się i rozżarzał,
Aż powoli pożółkniał, zbladnął i poszarzał.
Słońce spuściło głowę, obłok zasunęło
I, raz ciepłym powiewem westchnąwszy, usnęło.

A. Mickiewicz,
(Pan Tadeusz).

---

29. Śniadanie.

Po krótkiéj chwili w cichym i samotnym domie
Wszczął się naprzód szmer, potém gwar i krzyk wesoły,
Jak w ulu pustym, kiedy weń wlatują pszczoły.
Był to znak, że wracali goście z polowania
I krzątała się służba około śniadania.

Różne tam były dla dam i męszczyzn potrawy:
Tu roznoszono tace z całą służbą kawy,
Tace ogromne, w kwiaty ślicznie malowane,
Na nich kurzące wonnie imbryki blaszane
I z porcelany saskiéj złote filiżanki,
Przy każdéj garnuszeczek mały do śmietanki.

Takiéj kawy, jak w Polsce, nie ma w żadnym kraju.
W Polsce, w domu porządnym, z dawnego zwyczaju
Jest do robienia kawy osobna niewiasta —
Nazywa się kawiarka; ta sprowadza z miasta
Lub z wicin bierze ziarna w najlepszym gatunku
I zna tajne sposoby gotowania trunku,

Który ma czarność węgla, przejrzystość bursztynu,
Zapach Mokki i gęstość miodowego płynu.
Wiadomo, czém dla kawy jest dobra śmietana;
Na wsi nie trudno o nią, bo kawiarka zrana,
Przystawiwszy imbryki, odwiedza mleczarnie
I sama lekko świeży nabiału kwiat garnie
Do każdéj filiżanki w osobny garnuszek,
Aby każdą z nich ubrać w osobny kożuszek.

Panie starsze już wcześniéj wstawszy piły kawę:
Teraz drugą dla siebie zrobiły potrawę
Z gorącego, śmietaną bielonego piwa,
W którym twaróg gruzłami posiekany pływa.
Zaś dla męszczyzn wędliny leżą do wyboru:
Półgąski tłuste, kumpie, skrzydliki ozoru,
Wszystkie wyborne, wszystkie sposobem domowym
Uwędzone w kominie dymem jałowcowym;
Wkońcu wniesiono zrazy na ostatnie danie;
Takie bywało w domu szlacheckim śniadanie.

A. Mickiewicz,
(Pan Tadeusz).

---

30. Wigilia Bożego Narodzenia.

Krzyż wszystkiemu na początek,
Bo od Boga wszego wątek!
Więc od krzyża i od słowa
Ksiądz rozpoczął. Za nim głowa,
Głowa domu słowo bierze:
Przy opłatku się przeprasza
Z całym domem, w ojców wierze,
Boć to bratnia uczta nasza;
A że z wieka będzie po wiek
Ta gromada wielki człowiek,
Więc poczyna te biesiady
Pan z opłatkiem od gromady.

Zadudniło coś po moście:
Ktoś przed gankiem z bata pali:
Więc drzwi w oścież. — Goście! goście!
Coraz pełniéj w wielkiéj sali.
Przełamali się pospołu
I stanęli wkoło stołu.
Za oknami, na dziedzińcu
Słychać szepty i poswarki
I migają się latarki
I chłopięta stają w wieńcu,

Aż już w blasku niespodzianie
W samém oknie szopka stanie:
I kolęda zabrzmi głośno
Pieśnią wielką i donośną:
„Bóg się rodzi, moc truchleje,
Pan niebiosów obnażony;
Ogień krzepnie, blask ciemnieje,
Ma granice nieskończony;
Wzgardzony — okryty chwałą,
Śmiertelny król nad wiekami,
A Słowo Ciałem się stało
I mieszkało między nami!“

Jak od morza aż do morza
Są posiane polskie łany;
Jak szeroko rosną zboża:
Tak szeroko śpiew ten znany;
W każdéj chacie, w każdym dworze,
W każdym zamku i klasztorze
Grzmi po ziemi pieśń wesela
I witają Zbawiciela.

Wincenty Pol,
(Pieśń o domu naszym).

31. Wielkanoc.

Już po dworach ruch nieznany
Wszystkie twarze uwesela,
Czyszczą domy, bielą ściany
Na przyjęcie Zbawiciela;
Z nad kominów walą dymy,
Że aż poczuć je zdaleka:
To obyczaj nasz rodzimy,
To święcone się wypieka.
Każda krząta się niewiasta,
Boć to dla niéj ważne święto:
We sto kształtów idą ciasta,
We sto kształtów mięs nacięto.
Więc i z pola, więc i z kniei,
I domowych ptastw gromada,
Wszystko tutaj po kolei
Na paschalny stół się składa.
A gdy jutro po obiedzie,
Jako zwyczaj przekazany,
Święcić jadło ksiądz przyjedzie
I przeżegnać domu ściany,
Lubił szlachcic staréj daty
Wskazać ład swój i dostatek:

Stół sążnisty wśród komnaty,
Obrus biały, jak opłatek,
Umajony w zieleniźnie,
Zastawiony jadłem szczerze,
Że i wąż się nie prześliźnie
Między misy i talerze,
Gdzie stawione z cudnym szykiem
Rzędy jadła i napoi,
Gdzie baranek z proporczykiem
Na najpierwszém miejscu stoi.
Woń tak łechce, wzrok się nęci,
Że ucztowałby człek sobie,
Gdyby nie miał na pamięci,
Że Pan Jezus jeszcze w grobie.

Ksiądz przychodzi w komży, w stule;
Kędy pascha już nakryta,
Gospodarzy wita czule
I nad stołem modły czyta:
„Boże, któryś na pustyni
Błogosławił pięciu chlebom,
Niech Twa łaska nam przyczyni
Chleba życia ku potrzebom“.
Potém jadło i napoje
Poświęconą kropi wodą:
„Wielki Boże, dary Twoje
Niech do grzechu nas nie wiodą;
Niechaj człowiek przypomina
Wśród biesiady, że są głodni;
Niech pienisty kielich wina
Nie poduszcza go do zbrodni;
Pożywając dary Boże,
Niech Anioła-Stróża słucha;
Niechaj ciało nie przemoże
Świętych natchnień Twego Ducha!

Władysław Syrokomla.

---

32. Jak to na Mazurach.

Po szerokiém polu modra Wisła płynie,
Pochylone chaty drzemią na dolinie.
Nad wodą zgarbiony stary dąb żylasty,
Kędy bielą płótno wesołe niewiasty.
Po łące bociany stąpają powolne,
W owsach jednostajnie brzęczą świerszcze polne.
A z borów cienistych leśnéj okolicy
Rozlewa się wonność wiosennéj żywicy.

Po niebie obłoki, jak bieluchne runo,
Słoneczkiem przeciekłe, pod błękitem suną.
Na wodzie, na Wiśle, śród ciszy poranka,
Płynie łódź flisowska, jak szara cyranka,
A za nią ładowne pszenicą galary,
Szum wioseł na falach i śmiechy i gwary.
Oj, cudna to ziemia, to nasze Mazowsze,
I czystsza tam ziemia i powietrze zdrowsze;
I sosny roślejsze i wiśnie kraśniejsze
I ludzie mocniejsi i niebo jaśniejsze!

Teofil Lenartowicz.

---

33. Jak to na Góralach.

Nasi karpaccy bracia, Górale,
Siedzą w dolinkach, co się zwą hale.
Pod modre niebo góry się jeżą,
Śniegi tam zimą i latem leżą.
W nizinach szumią wody rozliczne,
Przy wodach bujne łąki prześliczne.
Po skałach ciemne świerki się chwieją,
Jak zajrzysz, góry w mgłach błękitnieją.
Tak ci tam raźno, tak nic nie trzeba,
Jakbyś na prawdę trafił do nieba!
Chłodne strumienie lecą w doliny,
Szumią po dołach, huczą jak młyny.
Kędyś przed chatą w ciemnym wąwozie
Wesoły góral beczy na kozie,
Cygan włóczęga brzęczy na drumli,
A pies przy progach, dziwiąc się, skómli.
Nad Morskiém Okiem, nad stawem cichym
Jest wielka góra, co się zwie Mnichem.
Kiedy w powietrzu ma się na burzę,
Ta góra we ćmie, jak mnich w kapturze.
Ach! na Góralach takie śliczności,
Że się przypatrzeć naszéj piękności;
Za bydłem Góral w kawowéj goni,
Śpiewając, biegnie z toporkiem w dłoni.
Przez lato w górach barany pasie,
A zwierza strzela w zimowym czasie.
Góral nie rady w doliny schodzi:
Z tak pięknéj ziemi wyjść się nie godzi.

T. Lenartowicz.

---

34. Podole.

Nie ma kraju nad Podole!
Jak zasięgnie tylko oko
I daleko i szeroko,
Świat kłosami tylko płynie
I w obszarach oko ginie.
Tu kraj cały jednym łanem
I, nadany wielkim płodem,
Płynie mlekiem, płynie miodem;
A lud cały wielkim panem!
Ziemie czarne, niepochybne,
Pasze żyzne, wody rybne;
Mało wprawdzie trochę lasa,
Ale za to chleb do pasa!
Z rolą człek się tam nie kłopi,
Słomę pali, nawóz topi
I, co zmoże, w skład wyorze,
A jak umie, Boga chwali.

Kilkuletnie sterty, brogi,
W toku z laty poczerniałe,
Jak miasteczka stoją małe,
Nie strzeżone na obszarze.
I na polu skot w koszarze,
Co zabiela dniem rozłogi.
A skot bywa szerści siwéj,
A koń bywa gęstéj grzywy,
Nóg żelaznych, twardéj skóry,
Bez narowu, lecz ponury.

Za okopem lub za płotem
Wsi zamknięte kołowrotem,
A choć rzadkie — duże, syte;
Chaty czysto wymuskane,
Strzechy grubo, równo szyte,
Drogi rowem okopane.
Kiedy spuścisz się ku wodzie,
Toś zajechał niby w góry:
Skała żebrem wzrok ubodzie,
Brzegowisko istne mury;
Po nich pnie się zarośl młoda,
Z nich urwisko skał opadło;
Na łotokach szumi woda,
A staw czysty, jak zwierciadło.
Lecz gdy wymkniesz się z parowu,
Skały znikną, szum nadstanie,
Jakbyś był na stepie znowu;
Równo, cicho znów na łanie.
Cicho, jednak niby ludno:
Wszędy zboża, wszędy krzyże,
Konik polny piosnkę strzyże,
O mogiłę też nie trudno...
Kłosy płyną w lekkiéj fali,
A gdzieś widne w sinéj dali
Brzozy smutne i powiewne
I dąbrowy starodrzewne.

A i ludu wdzięczne lica,
Boć to czysto, biało odzian
Jak dąb młody rzeski młodzian,
A dzieweczka — jak pszenica!
W chacie też to człeka radzi
Bogiem, chlebem witać w progu;
I Bóg gościa spać prowadzi
I na drogę zleca Bogu.

Wincenty Pol,
(Pieśń o ziemi naszéj).

---

35. Puszcza.

Co to za dziwne, co za Boże głosy,
Jeśli je dusza w natchnieniu zrozumie,
Kiedy nad głową cała puszcza szumi
I swych pokoleń opowiada losy!

Co znów za urok, kiedy głucho stanie
Odwieczna puszcza na Boże zaranie!
Nieme olbrzymy stają niby we śnie,
Jednak duch taki z pod tych sklepień wieje,

Że całych wieków zapomniane dzieje
Stają do razu, stają tu współcześnie,
Życiem zielone i potęgą żywe,
A jako słowo stworzenia szczęśliwe!

Puszcza — to wielka jest natury księga!
Niema — a mówi, kto jéj duchem pyta;
I kto do dziejów i natury sięga,
Z niéj tylko cząstkę tajemnic odczyta.

Wincenty Pol.

B.

I.

36. Wiosna.

Zniknęły już śniegi, spłynęły już lody
I rzeka porusza się gładko,
Jaskółki szczebiocąc wybiegły z pod wody,
Już całe unosi się stadko.

Kręcą się, wiją się, to niżéj, to wyżéj,
Nad czystą jak kryształ rzeczułką,
A coraz to szybcéj, a coraz to chyżéj,
A w kółko, a w kółko, a w kółko!

Na brzegu zielonym, na bujnéj, na trawce
Dwie pasą się krówki, baranek,
A pastuch przygrywa na długiéj ligawce
I słonko przygrzewa w poranek.

Przelotny wiaterek to trawką zawichrzy,
To w trzcinę, w tatarak się wkradnie,
Zakłóci, zamąci... i cichszy... i cichszy
W zielonym gaiku przepadnie.

Ligawka przycichnie — to dzwonek z kościółka
Z za lasu, zdaleka zadzwoni;
A dzwonek zamilknie, to złota mi pszczółka
Zabrzęczy na kwietnéj, na błoni;

A pszczółka przysiędzie na świeży sasanek,
To piosnka dziewczęcia drży w wietrze:
O Boże mój drogi, w wiosenny poranek
Jak wszystko i świeższe i letsze.

Ja siedzę pod lipą odwieczną, schyloną,
Co ledwie że w pączki rozpuka,

I słucham, jak w lesie pod sosny koroną
Kukułka wciąż kuka i kuka.

Kukułko! kukułko! a dużo tam jeszcze,
A dużo naliczysz mi latek?...
O ptaszę ty moje! o ptaszę ty wieszcze,
I kiedyż tam będzie ostatek?

Już dziesięć, dwanaście i jeszcze wciąż dzwoni; —
Za wiele, ty moja ptaszyno!
— Nie bój się, niewiele! w ojczystéj ustroni
Twe lata jak woda przepłyną.

Teofil Lenartowicz (Lirenka).

---

37. Lato.

Bławatki, kąkole zbielały od słońca,
Gdzieniegdzie się tylko niebieszczą,
A polne koniki we zbożu bez końca
Zwyczajną piosenkę szeleszczą.

Maleńka przepiórka już woła z pod prosa:
„Pójdźcie żąć, pójdźcie żąć co żywiéj!“
Bo jeśli w pogodę nie puści się kosa,
To potém się słota sprzeciwi.

Bóg zapłać, przepiórko! twój głosik kochany
Wesoło przypada mi w ucho;
Pójdź koso z komory, pójdź sierpie ze ściany,
Bo w chacie wieśniaka już krucho.

Pocieszcie się dzieci, chleb będzie, chleb nowy,
Nasz chlebek kochany, dar Boży;
Matuchna upiecze i na stół dębowy
Jak słońce bochenek położy. —

Wychodzim na kośbę wesołą gromadką:
Chłopaki, dziewczęta jak róże;
O chwałaż Ci, Boże, za nowe, za latko.
Hej chłopcy, dziewczęta, a nuże!

Brzęk brzęku, brzęk brzęku, pośpiesznie a chyłkiem.
Śmiech słychać, spłoszyli zająca;

I oto się bielą nad rannym posiłkiem
Pod gruszą, co chroni od słońca.

A niebo tak równe, jakby je wygładził,
A słońce tak jasne, choć małe;
A w łąkach tak kwiecia, jakgdyby nasadził,
Czerwone, niebieskie i białe.

T. Lenartowicz (Lirenka).

37. Jesień.

Jabłonka i grusza podpórek aż proszą,
Tak na nich i jabłek i gruszek;
Podpórki dziewczątka z podwórka przynoszą,
Gdzie struże dziadulo staruszek.

Gdy spojrzę na dziadka, jak z nimi się bawi,
Jak zawsze szczęśliwy jednako:
To cichą modlitwą źrenica się łzawi,
O! Boże, daj starość mi taką.

Na polu omglonem, jak oko zasięga,
Skończone ostatnie roboty;
I cisza wokoło, a gęsior gdzieś gęga
I ziemia już tylko a płoty.

Po drodze to wózek podróżny zadudni,
To bydlę się przemknie u rowu,
To żóraw wysoki zaskrzypi u studni
I spokój rozsiada się znowu.

Brat w małym ogródku motyką coś kopie,
Dziadulo wciąż struże i struże,
Dwie siostry przed chatą trą białe konopie,
A klekot odbija podwórze.

T. Lenartowicz (Lirenka).

39. Ranek majowy.

Słonko majowe
Ze snu już wstaje,
We mgłach różowe
Wyzłaca gaje;
Przez chmur koronkę
Patrzy ciekawie,

Biegnie przez łąkę
Kąpać się w stawie;
Promyki drżące
Po drzewach wiesza
I budzić śpiące
Kwiatki pośpiesza;

Ukradkiem, z cicha
Pączki rozwija
I w lot z kielicha
Rosę wypija.

O ileż blasku!
Jakże uroczo!
W pobliskim lasku
Ptaszki szczebiocą,
A z tego drzewa,
Co pod oknami,
Słowiczek śpiewa
Pieśń nad pieśniami;
Piosenka płynie
Dalekiém echem,
Chaty w dolinie
Wtórzą jéj śmiechem;
Wszystko się budzi,
Do zajęć wraca;
Ożywia ludzi
Radość i praca.

Adam Asnyk.

---

40. Ulewa w Tatrach.

Na szczytach Tatr, na szczytach Tatr,
Na sinéj ich krawędzi,
Króluje w mgłach świszczący wiatr
I ciemne chmury pędzi.

Rozpostarł z mgły utkany płaszcz
I rosę z chmur wyciska,
A strugi wód z wilgotnych paszcz
Spływają na urwiska.

Na piętra gór, na ciemny bór
Zasłony spadły sine;
W deszczowych łzach granitów gmach
Rozpłynął się w równinę.

Nie widać nic! błękitów tło
I całe widnokręgi
Zasnute w cień, zalane mgłą,
Porznięte w deszczu pręgi.

I dzień i noc i nowy wschód
Przechodzą bez odmiany;
Dokoła szum rosnących wód,
Strop niebios ołowiany.

I siecze deszcz i świszcze wiatr,
Głośniej się potok gniewa;
Na szczytach Tatr, w dolinach Tatr
Mrok szary i ulewa.

Adam Asnyk.

II.

41. Krakowiak.

Jestem krakowiaczek
Z tamtéj Wisły strony;
Gdzie jodłowy krzaczek,
Naszéj wsi zagony.

Wesołość w mym progu,
Choć ubóstwo w domu;
Lecz téż dzięki Bogu
Nie dłużnym nikomu.

Za górą krynica,
Tam się coś zieleni;
To moja pszenica:
Będzie grosz w jesieni.

Oj! tanio jéj nie dam,
W Krakowie ją przedam;
Tam dobrze zapłacą
I będzie żyć za co!

Antoni Górecki.

---

42. Krakowiaki.

1.

Młody Krakowiaku, odwróć się na chwilę
Od zabaw, od żartów, choć wabią tak mile;
Popatrz po tych niwach, po wodach, mogiłach,
A świętą miłością krew ci zawre w żyłach.
Tu przodków twych kości bieleją z pod sochy,
Tu w powietrzu drgają twoich ojców prochy!
Wciągnij je oddechem, oni ci obstoją
Za pokarm i napój, za własną krew twoją!
Lecz cóż to ja widzę? twarz twoja pobladła;
Sukmaną łzę otrzyj, co rumieniec skradła.

2.

Na Wawel, na Wawel, Krakowiaku żwawy!
Podumaj, potęsknij nad pomnikiem sławy.
Dzieje twojéj ziemi na grobowcach czytaj,
Twoich wodzów groby uściskiem powitaj.
Powitaj uściskiem, w oczy spojrzyj śmiało,
Bo tobie w dół patrzeć nigdy nie przystało.
Oni światu przegrażali; i dziś, chociaż w trumnie,
Chociaż okiem marmurowém, poglądają dumnie.
A na widok krzywych szabel, co zdobią grobowiec,
Wnuk ich wzdycha i łzę roni, uklęka wędrowiec.

3.

Patrz! Maryacka wieża stoi, dla miasta strażnica;
Na jéj widok myśl się korzy, a dusza zachwyca!
Na wysmukłéj jéj kibici sześć wieków zdrzémało,
Przecież piękna, jak dziewica, przecież stoi cało.

A poważny w swym ogromie, niby rodzic miasta,
Kościół pod nią z łona rynku jak olbrzym wyrasta.
W jego sklepie oko zginie, za myślą poleci,
Aż tam, gdzie na skroniach Maryi gwiazd dwanaście świeci!

4.

Halko miła! co poranek białe rączki złóż,
Skroń Maryi ustrój w wianek z lilijek i róż.
Na jéj prośby i wstawienie zmięknie Boga gniew,
Łask rozświeci nam promienie, a my wzniesiem śpiew!
Śpiew wzleci z łona jak błyskawica:
„Boga rodzica, dziewica, Matko sławiona, Marya!...“

Edmund Wasilewski.

---

43. Pieśń góralska.

Czerwony pas, za pasem broń
I topór, co błyska zdala,
Wesoła myśl, swobodna dłoń,
To strój, to życie górala!

Gdy świeży liść okryje buk
I Czarna góra zczernieje,
Niech dzwoni flet, niech ryczy róg,
Ożyły nasze nadzieje.

Pękł rzeki grzbiet, popłynął lód,
Czeremosz szumi po skale;
Nuż w dobry czas kędziory trzód
Weseli kąpcie, górale!

Połonin step na szczytach gór,
Tam trawa w pas się podnosi;
Tam ciasnych miedz nie ciągnie sznur,
Tam żaden pan ich nie kosi.

Dla waszych trzód tam paszy dość,
Tam niech się mnożą bogato;
Tam runom ich pozwólcie róść,
Tam idźcie na całe lato!

A kiedy mróz posrebrzy las,
Ładujcie ostrożne konie;
Wy z plonem swym witajcie nas,
My z czarką podamy dłonie.

Józef Korzeniowski,
(Karpaccy górale).

---

44. Prostak wiejski.

Nie wiem, gdzie tam lepiéj komu.
Każdyć panem własnéj woli;
Mnie najlepiéj w ojców domu:
Więc rad siedzę na swéj roli.
Nie ciekawym, co tam poda
Zagranicznym miastom moda;
Sieję sobie swe zagony:
Niech Bóg będzie pochwalony!

Ktoś przez mądre tam mozoły
Myśli, że świat przeinaczy;
Toć i jam odbywał szkoły,
Wiem, co ta ich mądrość znaczy.
Hurt na hurt wolę ja stare:
Ojców serce, ojców wiarę,
Żyć dla dzieci i dla żony;
Niech Bóg będzie pochwalony!

Ktoś tam ludzi durzy, mami
I, gdy jakiś zysk w tém zoczy,
Górnościami, czułościami,
Jako może, mydli oczy.

U mnie, znam się na oszustach,
Prawda w sercu, prawda w ustach,
Do prostotym wzwyczajony:
Niech Bóg będzie pochwalony!

Niech tam sobie łakną drudzy
Chwały, sławy i tak dalej;
Mnie gdy w domu lubią słudzy,
Gdy mię w wiosce kmieć pochwali,
Gdy pochwalą mię sąsiedzi,
A zwłaszcza ksiądz u spowiedzi:
Tom już całkiem nacieszony;
Niech Bóg będzie pochwalony!

Stefan Witwicki.

45. Słonko.

Wędrowało sobie słonko,
Uśmiechnięte, jasne, złote;
Szło nad gajem, szło nad łąką:
Napotkało w łzach sierotę.

Ta się żali: „Tak wesoło
Świecisz światu, słonko moje;
Uśmiechami sypiesz w koło,
Gdy ja smutna we łzach stoję.

„Obojętnie patrzysz na to,
Jak się ludzkie serca męczą,
I nad każdą ludzką stratą
Promienistą błyskasz tęczą“.

Słonko na to: „Biedne dziecię!
I mnie smutno na niebiosach,
Gdy o waszym myślę świecie
I o ludzi ciężkich losach.

„Lecz nie mogę ustać w drodze,
By nad każdą boleć raną;
Więc w złocistym blasku chodzę,
Wypełniając, co kazano.

„Nie pomogą próżne żale...
Ból swój niebu trzeba zlecić,
A samemu wciąż wytrwale
Trzeba naprzód iść i — świecić!“

Adam Asnyk.

46. Dumka.

Smutnoż tu — smutno, bracia, za Dunajem!
I w oczach mokro, bo sercami tajem;
Ludzie nas nudzą i świat cały nudzi:
Cudzo, och! pusto wśród świata i ludzi!
Nie ma bo rady dla duszy kozaczéj:
U nas inaczéj — inaczéj — inaczéj!

U nas inaczéj! Ponad Ukrainą,
Wkróś okolicą jarzącą się, siną,
Boże śpiewaki ciągną w różne strony,
Aż w uszach klaszcze, taki gwar zmącony;
Nie ma bo rady dla duszy kozaczéj:
U nas inaczéj — inaczéj — inaczéj!

U nas inaczéj! Wciąż nuta żałoby,
Bo nadmogilna, bo pomiędzy groby
Ku duchom ojców przygrywa wspaniale
O ich minionych i bojach i chwale;
Nie ma bo rady dla duszy kozaczéj:
U nas inaczéj — inaczéj — inaczéj!

U nas inaczéj! Miłość i Tęsknota —
To jak dwie prządki naszego żywota.
Bożeż mój, Boże! łzami modlę Ciebie:
Jak umrę, daj mi Ukrainę — w niebie!
Nie ma bo rady dla duszy kozaczéj:
U nas inaczéj — inaczéj — inaczéj!

Bohdan Zaleski.

47. Domowa piosenka.

Śpieszył wędrowiec obcą krainą,
A droga przed nim daleka;
Wtém go piosenki tony opłyną:
Wędrowiec stanął — i czeka.

Słucha zdziwiony, a z drżącéj dłoni
Kostur pielgrzymi wypada;
Stron to rodzinnych piosenka dzwoni,
Łzami na sercu osiada.

Tam ją nuciła matka kochana
Wśród cichych gwarów wieczora,
Tu wszystko obce; — pieśń tylko znana,
I grajek inny i pora.

Nie pyta grajka, skąd piosnkę umie,
Lecz kołysany dźwiękami,
O swéj krainie marzy w zadumie,
O siole między lasami.

Potém grosz wcisnął do grajka dłoni,
Uśmiechy ze łzami miesza;
Myśli wróciły z marzeń pogoni —
On daléj, daléj pośpiesza.

Mieczysław Romanowski.

48. Wiosna.

Już słoneczko powstało
I przegląda się w rzece;
Oj, na rosę, na białą
Polecęż ja, polecę!
Jak to z brzozy płaczącéj,
Co wyrosła nad rzeką,
Krople rosy świecącéj
Zwieszają się i cieką.

Jakie jasne obłoki
Na niebieskim przestworze,
Jakie czyste potoki,
O, mój Boże! mój Boże!

Jaskółeczka przed bramą
Wciąż uwija się w kółko;
Ja nie jestem jaskółką,

A potrafię taksamo.
Teraz matki się boję,
Lecz niech ogień rozniecę,
Niech-no krówki wydoję,
Polecęż ja, polecę!

Jak to dobrze Bóg zrobił,
Że ten śliczny świat stworzył,
Tak cudnie go ozdobił,
Tyle kwiecia rozmnożył
I że mnie dał braciszka,
Z którym codzień się pieszczę;
Pójdę cicho jak myszka
Zajrzéć, czy téż śpi jeszcze...
Śpi w kolebce. — Więc daléj!
Prędko ognia trza skrzesać;
Jak się ogień rozpali,
Pójdę włosy uczesać.
A robotaż to nudna,
Te warkocze do ziemi,
Plątanina och, żmudna,
Tak tam bawić się niemi.

Mateńka mi powiada,
Że ja wcale nie rosnę.
Niechno tylko popada
Ciepły deszczyk na wiosnę,
Niech ja na deszcz wyskoczę,
A dobrze się przemoczę,
To, nim skończy się burza,
Już urosnę tak duża!...

Pająk przędzie, oj przędzie
Swoje szare włókienko;
I ja umiem tak cienko,
I moje téż tak będzie. —
Bo przecież ja coś umiem:
Kądziel przędę i pielę
I na książce rozumiem
I zaśpiewam w kościele.

Jak zrobiłam w święcone
Prześlicznego baranka,
Co miał wełnę kręconą
I klęczące kolanka:
To się bardzo dziwiono,
Bo tak siedział, jak żywy,
Jak baranek prawdziwy
Z chorągiewką czerwoną.

A gaiki, a wianki
W listki srebrne i złote,
Jakie chcecie równianki,
Jak najpiękniéj uplotę.
Kwiatki lubię ogniście:
Boże drzewko, lilije,
I to, co tak na liście
I na prątki się wije...

Oj, niedobra to córka,
Co się próżno zabawia;
Daléjże do podwórka,
Trzeba ciągnąć żórawia.
Oj! ta da... da... A cicho!
Matka będzie się gniewać:
Pokusiło mię licho,
Chciałem sobie zaśpiewać...

Idzie w górę wiaderko,
Z boku woda się leje,
Zajrzę w wody lusterko,
W niém ja druga się śmieje.
Jak to téż tam głęboko,
Nim się wiadro zabrodzi.
To aż wzdryga się oko,
Aż mnie zimno przechodzi.
Nie spotka mnie nic złego,
Choć nad studnią tak stoję:
Nie boję się niczego...
Oho, prawda! Nie boję?

Naprzód straszą mnie bąki,
Co latają w ogrodzie,
Żółte osy z nad łąki
I jałówka, co bodzie.
Potém boję się tęczy
Na wilgotnym obłoku,
Choć się do mnie tak wdzięczy,
Pijąc wodę z potoku.

Bo ta tęcza świecąca,
Gdybym poszła, broń Boże!
Z ziemi unieść mnie może
Do białego miesiąca!
Wreszcie trwożą mnie grzmoty
I piorunów trzaskania,
Kiedy niebios blask złoty
Tak się strasznie odsłania!
Lecz w kościele nie czuję

By najmniejszéj bojaźni:
Mnie tam radość przejmuje,
W sercu jeszcze mi raźniéj.
Tak mi rzeźwo, wesoło
Jak u matki w chałupie...

Ludzie szepcą wokoło:
Ot, cieszy się, bo głupie...
A, co mi tam... niech sobie!...
Mnie ogarnia myśl błoga.

Co ja robię?... co robię?...
Raduję się do Boga.
Kiedyć może skowronek,
Wylatując nad kłosy,
Jak świt tylko, jak dzionek,
Trzepotać się w niebiosy:
To i mnie nikt nie wzbroni
Przed ołtarza jasnością
Złożyć oto tak dłoni
I spoglądać z radością.

Teofil Lenartowicz.

49. Jaskółka.

Z za morza powraca!... ach leci tu, leci
Jaskółka pod strzechę, pod naszą...
A, cichoż ty, bosa gromadko! sza, dzieci!
Bo krzyki ptaszynę wystraszą...

Ach, śpiesz się, dziewczyno, nie splataj warkoczy,
Do strugi, za wioskę bież strzałą;
Nim ptaszka w niéj skrzydła czarniawe umoczy,
Ty w wodzie twarzyczkę myj białą!

Jeżeli się uda ten wyścig z jaskółką
I staniesz ty pierwsza u wody,
To słońce przez lato, całując twe czółko,
Smagłością nie przyćmi urody.

Ty, młoda gosposiu, wybiegaj z wrzecionem,
Nim w locie się zwinie jaskółka,
Cieniuchną niteczkę pasemkiem srebrzoném
Nawijaj, nawijaj u kółka;

A kiedy jesienią zaświecisz łuczywo
I siędziesz prząść lniane włókienka,
To nitka, jak ptaszek, okręci się żywo,
I równa i mocna i cienka.

Dziadusiu, babusiu, siadajcie u proga,
Pod przyzbą, na ławie dębowéj;
Niech dla głów siwiutkich uprosi u Boga
Jaskółka ten roczek, ten nowy!

Ach leci!... ach leci!... Powraca z za morza
Do naszéj wioskowéj zagrody
I czarném skrzydełkiem pozdrawia rozdroża
I łąki i pola i wody.

Marya Konopnicka.

50. Dobre rady.

Wstawaj rano! sypiaj twardo!
Hartuj duszę, jadaj miernie,
Z bolem łam się z młodu hardo,
A dochowaj słowa wiernie.

Ucz się słuchać — abyś umiał
Rozkazywać, gdy tak padnie;
Ucz się pracy — byś rozumiał,
Co tam leży w życiu na dnie.

Ucz się milczeć — byś treściwie
Umiał podnieść w niebogłosy;
Ucz się modlić — byś cierpliwie
Umiał wytrwać na złe losy.

Rano rozważ, co masz czynić,
Nim postawisz krok na progu,
A wieczorem licz się Bogu!
A już lepiéj jest obwinić
W sercu siebie, niżli bliźnie,
Kiedy noga się pośliźnie.
Nic nie pocznij bez rozwagi,
Boga wzywaj do pomocy:
To nie braknie ci odwagi
Ani we dnie ani w nocy.

Wincenty Pol.

51. Złote słowa.

Niech oko opatrzne, co czuwa nad światem,
Nad mrówki i pszczółki robotą,
Osypie wasz żywot owocem i kwiatem,
Niech natchnie poczciwą ochotą!
Niech praca po ziarnku dokłada do ziarnka,
Niech mierzy i liczy i waży;
A kiedy poczciwa uzbiera się miarka,
Niech miłość tą miarką szafarzy!
Wśród burzy żywota nie wyjdzie bezpieczny
Z téj walki ni wielki ni mały,
Lecz wyjdzie oględny, wytrwale stateczny,
Rozumnie serdeczny i dbały.
Więc licz się i z czasem i z groszem i z wiekiem,
Ćwicz w pracy i w męstwie i w cnocie,
Szczędź zdrowia i mienia — czuj sojusz z człowiekiem:
A Bóg ci pomoże w robocie!

Wincenty Pol.

III.

52. Modlitwa do Dzieciątka Jezus.

O słodki Jezu, mała dziecino!
Do Ciebie nasze modlitwy płyną:
Niechaj nam krzyż Twój drogę rozświeci,
Błagają dzieci.

O słodki Jezu, w ubogiéj chatce
Tyś był posłuszny Najświętszéj Matce:
Niech posłuszeństwo wśród nas się kwieci,
Błagają dzieci.

O Jezu, w pracy gorliwy wielce,
Tyś dopomagał nieraz w ciesielce:
Niechaj Twój przykład w życiu nam świeci,
Błagają dzieci.

O słodki Jezu, w dwunastém lecie
Tyś już uczonych dziwił po świecie:
Niech chęć do nauk w nas się rozświeci,
Błagają dzieci.

O słodki Jezu, Tyś był tak cichy,
Tak skromny — jako lilii kielichy:
Niech słodycz Twoja i na nas zleci,
Błagają dzieci.

O słodki Jezu, cierpienia wzorze,
Tyś krzyż Twój ciężki dźwigał w pokorze:
Daj nam wytrwale stać wśród zamieci,
Błagają dzieci.

Władysław Bełza.

---

53. Hymn do Boga.

Wszechmocny Panie, wiekuisty Boże!
Kto się Twym sprawom wydziwować może?
Kto rozumowi, którym niezmierzony
Ten świat stworzony?

Gdziekolwiek słońce rzuca strzały swoje,
Po całym świecie słynie Imię Twoje;
A sławy niebo ogarnąć nie może
Twéj, wielki Boże!

Twój czyn jest niebo, Twoich rąk robota
Gwiazdy te w górze, jaśniejsze od złota;
Ty w nocy ślicznem światłem zdobisz wdzięczne
Koło miesięczne!

A człowiek czém jest? Wszak Ty, niestworzony
Wszystkiego twórca i Pań niezmierzony,
Raczysz nań pomnieć! Czém jest syn człowieczy
Godzien Twéj pieczy?

Dałeś w moc jego wszystkie bydła polne,
Dałeś i leśne zwierzęta swawolne,
On na powietrzu ptastwem, pod wodami
Władnie rybami.

Wszechmocny Panie, wiekuisty Boże!
Kto się twym sprawom wydziwować może?
Kto rozumowi, którym niezmierzony
Ten świat stworzony?

Jan Kochanowski,
(Psałterz Dawidów).

---

54. Wołanie do Boga.

Panie! zdejm ze mnie karzącą rękę,
Niech mi się podług win mych nie dzieje;
Obym Ci złożył pieśń na podziękę,
Jakom miał w Tobie nadzieję!

Albowiem ja znam przestępstwa moje,
Żem chodził w zdradzie, żem zgrzeszył Tobie,
Ale me oczy łez lały zdroje
I serce moje w żałobie.

Grzech mój nademną; ciężkom zawinił,
Myśli me wszystkie zatruł frasunek:
I nie masz, ktoby dobrze mi czynił,
Kto na mój szedłby ratunek.

Spełnia się wyrok i nie odmienia,
Który stanowisz radą tajemną:
O pośpiesz ku mnie w czas utrapienia,
Zmiłuj się, Panie, nademną!

Stefan Witwicki,
(Poezye biblijne.)

55. Hymn za Cesarza.

Boże wspieraj, Boże ochroń
  Nam Cesarza i nasz kraj!
Tarczą wiary Rządy osłoń,
  Państwu Jego siłę daj!
Brońmy przodków Jego koron,

onem złączon
ryi los.

ierni,
iętych praw;
się spełni
nych spraw.
skroń żołnierza
zdobi lauru krzew,
Nieśmy chętnie za Cesarza,
  Za Ojczyznę mienie, krew!

Ludu pilnéj pracy zbiory
  Niech osłania zbrojna moc;
Niechaj kwitną ducha twory,
  Niech rozpędza światło noc.
Austryi, Boże, daj wsławienie,
  Na szczyt chwały racz ją wznieść!
Słońca Twego skłoń promienie
  Ku jéj szczęściu, na jéj cześć!

Spólność, jedność powołania
  Niech przenika wszystek lud;
Bo złączonych sił działania
  Zdolne przemóc wszelki trud,
Dążąc społem ku celowi,
  Chciejmy bratnio siły zlać;
Szczęść Monarsze, szczęść krajowi:
  Austrya będzie wiecznie stać.

Przy Cesarzu mile włada
  Cesarzowa pełna łask;
Wszystek lud jéj hołdy składa,
  Podziwiając cnót Jéj blask.
Franciszkowi Józefowi
  I Elżbiecie, Boże, szczęść!
Habsburskiemu szczęść Domowi!
  Sława Jemu, chwała, cześć!